

Long Julie Anne

Skrzydła motyla

1

Zrobiłeś się niepokojąco buraczkowy na twarzy, Redmond.

Tą uwagą pan Culpepper, historyk z Pennyroyal Green, zakończył przedłużającą się chwilę ciszy, która zapanowała, kiedy drzwi gospody Pod Świniakiem i Ostem otworzyły się z trzaskiem, wpuszczając do środka podmuch wilgotnego powietrza, głośny śmiech i trzy osoby. Jedną z nich była siostra Milesa Redmonda, Violet. A jako że Violet słynęła z niekonwencjonalnego zachowania, trzeba było na nią uważać. Zwłaszcza że tuż za nią pojawił się w drzwiach ktoś, kto specjalizował się w prowokowaniu Violet - brat Milesa, Jonathan Redmond. A ta trzecia osoba...

Ta trzecia osoba była odpowiedzialna za buraczkowy kolor twarzy Milesa.

Patrzył, jak Cynthia Brightly ściąga z palców rękawiczki, wieszając pelerynę na kołku przy drzwiach i mówi do Violet coś, na co jego siostra odrzuca głowę w tył i wybucha perlistym śmiechem obliczonym na zwrócenie powszechnej uwagi. I rzeczywiście, wszystkie głowy w sali mimo woli zwróciły się w jej stronę jak słoneczniki odwracające się do słońca.

W innych okolicznościach Miles tylko by przewrócił oczyma.

Ale teraz patrzył jak urzeczony na pannę Brightly, która rozglądała się po sali: jej wzrok padł na stolik zajęty przez roześmianą rodzinę Eversea, na pannę Mariettę Endicott, właścicielkę Akademii dla Młodych Dam, która jadła kolację w towarzystwie dwojga zmartwionych

rodziców i nadąsanej pannicy. Na niego. Jej niezwykle błękitne oczy ani się nie rozjaśniły, ani nie pociemniały na jego widok - bo i dlaczego? - a lekki półuśmiech, echo rozbawienia sprzed chwili, nie zniknął z jej twarzy. Zwróciła na niego tyle uwagi co na słup pod ścianą albo wieszak na kapelusze.

Tymczasem on, muśnięty jej spojrzeniem, zawibrował jak trącona struna.

Cóż ona, na litość boską, robi w Sussex? W Pennyroyal Green? W towarzystwie Violet?

- Ja bym jednak raczej powiedział, że się zrobił purpurowy - oznajmił Culpepperowi Cooke. Rzucił te słowa jak wyzwanie na pojedynek. Przez cały wieczór był rozdrażniony, bo Culpepper wygrał trzy partie szachów z rzędu i Cooke wyraźnie szukał zaczepki. Jakiegokolwiek. Skoro nie trafiło się nic lepszego, gotów był się sprzeczać o kolor wypieków Mileśa.

Dwaj uczeni panowie znali Mileśa od urodzenia, a odkąd wrócił ze swojej słynnej już wyprawy na Morza Południowe, traktowali go niemal z ojcowską dumą. Właśnie przed chwilą zaniemówili z wrażenia, kiedy zdradził im, że planuje kolejną, jeszcze większą ekspedycję, i zaproponował, żeby w nią zainwestowali.

Tylko że wtedy akurat otworzyły się drzwi i Miles zmienił się na twarzy.

Wiedział, że jego przekłeta siostra uwielbia wszystkich zaskakiwać, ale czegoś takiego nigdy by się nie spodziewał. Wreszcie odzyskał głos.

- Zrobiłem się purpurowy? Może to dlatego, że siedzimy za blisko kominka.

Dwie pary krzaczastych brwi zgodnie uniosły się z niedowierzaniem. Ilekroć spotykali się Pod Świniakiem i

Ostem, Culpepper i Cooke - a tym samym towarzyszący im Miles - zawsze zajmowali miejsca przy kominku, bo tam właśnie stała szachownica.

Miles wykonał więc manewr, który miał znaczyć „Na miły Bóg, ależ tu gorąco!”, ostentacyjnie rozluźniając fular pod szyją. Ze zdziwieniem stwierdził, że serce podeszło mu do gardła. To też była wina Cynthii Brightly.

Opuścił dłoń na blat stołu i wbił w nią wzrok, jakby z własnych żył i ścięgien pragnął wyczytać powody tak gwałtownej reakcji. Jego dusza naukowca chciała wiedzieć, co dokładnie czuje do tej kobiety. Silne emocje rzadko gościły w jego sercu - i nie ma się co dziwić, bo nigdy nie był dla nich życzliwym gospodarzem - więc trudno mu było określić, czy czuje złość, czy może coś innego.

Jakiegokolwiek to było uczucie, na pewno składał się na nie gniew.

Nagle zdał sobie sprawę, że ratunek znajduje się pod ręką, i to dosłownie. Zamknął dłoń na cynowym kuflu i kilka niefancyznych haustami wlał do gardła resztę słynnego piwa warzonego przez Neda Hawthorne'a. Ciemny płyn koł nerwy i dodawał odwagi.

Otarł usta grzbietem dłoni.

- A teraz jakiego jestem koloru? - spytał zaczepnie.

W pewnym sensie to właśnie dzięki swoim zamorskim wojażom w ogóle zwrócił uwagę na Cynthię Brightly.

Zdarzyło się to na balu. Listę gości zaproszonych na doroczne przyjęcie u Malverneyów otwierał sam książę regent ze świtą. Oprócz niego znalazło się tam również wiele innych, znacznie mniej dostojnych osób. Miles, młodszy syn wyjątkowo bogatego i wpływowego Isaiaha Redmonda, nie był pewien, gdzie się w tym rankingu

plasuje, ale - prawdę powiedziawszy - niewiele go to obchodziło.

Jego statek zawinął do portu w rodzinnej Anglii na tyle niedawno, że tropikalna opalenizna nie zdążyła jeszcze ustąpić miejsca właściwej jego rodakom pergaminowej bladości i właśnie osiągnęła stadium chorobliwej żółci. Wciąż był za chudy jak na swój wzrost: gorączka, kiepskie wyżywienie i długie morskie podróże mają to do siebie, że człowiek traci na wadze. Miał nadzieję, że domowe obiady z pieczenią wołową i puddingiem pomogą mu dojść do siebie.

Na swoją wyprawę ruszył na statku ledwie zdatnym do żeglugi, zaś jego załogę stanowiła prawdziwa hałastra, z którą dotarł do krainy jak z gorączkowego snu. Były tam kwiaty o krzykliwych barwach, wielkie jak parasole, wiszące na lianach grubych niczym ramię mężczyzny; węże tak grube jak owe liany; chrząszcze wielkości szczurów z londyńskich przedmieść; mrówki długości kciuka. W powietrzu migotały hałaśliwe ptaki o tęczowym upierzeniu i połyskliwe motyle o skrzydłach wielkich jak chińskie wachlarze; w nocy dzielił łożę z kobietami o ciemnej skórze i giętkich ciałach, które oplatały go jak tropikalne pnącza. Wszystko tam było niczyje, wilgotne i ogromne. Wkrótce się zorientował, że nie ma co liczyć na suchość czy chłód i nauczył się poruszać powoli, leniwie.

Śmierć była tam równie zaskakująca i wszechobecna, jak życie - ukryta, ale oczywista: pełzała wśród poszycia w postaci maleńkich skorpionów, wyłaniała się z zarośli wraz z plemieniem kanibali, z którymi targował się o własne życie, była w nieustępliwej gorączce, która omal go nie zabiła.

Podziw graniczący ze strachem nie był Milesowi obcy, ale osobliwości i niebezpieczeństwa Lacao nigdy go nie przerażały. Strach zwykle wypływał z niewiedzy, a on już dawno nauczył się, że niewiedzę można zwyciężyć nadludzką cierpliwością, uważną obserwacją i żelazną determinacją. Rozpoznawał więc piękno, ale nigdy go nie czcił. W przyrodzie, jego zdaniem, piękno istniało jedynie po to, żeby zwabić partnera lub ofiarę - a po dwudziestu z okładem latach obserwowania własnych rodziców, rodziny i towarzystwa uznał, że taka sama jest jego rola w każdym ludzkim społeczeństwie.

I dlatego właśnie nigdy, przenigdy nie wyzwiał nikogo na pojedynek, nie pisał koszmarnych wierszydeł, nie wspinał się po balkonach (co, jak głosiła plotka, przytrafiło się swego czasu Colinowi Eversea) ani w żaden inny sposób nie zbłąźnił się z powodu pięknej kobiety. Z godnym pochwałą rozsądkiem i dyskrecją zaspokajał swój niemały apetyt na cielesne igraszki w ramionach wdówek z towarzystwa, które uważały go za swój najlepiej strzeżony sekret.

Po powrocie do Anglii napisał pierwszą z późniejszej serii książek o swoich przygodach. Książka ta przyniosła mu niemały rozgłos, najpierw w kręgach naukowych, a później jego sława jak rozchodząca się fala dotarła na salony, gdzie proszono go o wygłaszanie odczytów i gdzie napotykał pełne zawiści spojrzenia tych dżentelmenów, którzy nie mogli się pochwalić taką odwagą albo byli uwiązani do żon i dzieci.

Milesa to wszystko bardzo dziwiło.

Po prostu nie był w stanie dostrzec w swoich podróżach żadnych legendarnych bohaterskich czynów. Pchała go naprzód wyłącznie niepowstrzymana żądza

wiedzy, zwyczajna, ale po cichu uparta. Targowanie się o życie z kanibalami wydawało się najzwyczajniej w świecie logicznym krokiem na tej drodze, którą kroczył, odkąd w wieku siedmiu lat dostał solidne lanie za to, że rozebrał na części złoty zegarek ojca. Rozłożył przed sobą wszystkie maleńkie, błyszczące elementy, obejrzał je dokładnie, odkrył w jaki sposób łączą się ze sobą i właśnie miał je z powrotem poskładać, kiedy przyłapał go ojciec. Lanie w najmniejszym stopniu nie odebrało mu tego radosnego poczucia tryumfu, że wreszcie udało mu się zrozumieć, jak to diabelstwo działa. Ale była to ważna lekcja: dowiedział się, że droga prowadząca do odkrycia prawdy bywa niebezpieczna.

Ale uznanie i popularność miały przyjść dopiero za rok.

Na razie zwyczajnie cieszył się z tego, że wreszcie jest znowu w domu, wśród bliskich, że może sycić głód pieczenią wołową, a wokół siebie ma bezkresne zielone równiny i chętne, acz dyskretne, arystokratyczne wdówki o ciałach ukrytych pod licznymi warstwami tkaniny, którą można zdjąć samemu lub nakłonić do tego właścicielkę. Cieszył się nawet z tego, że jest na balu, a przecież zasadniczo ich nie cierpiał. Po prostu teraz bal wydawał mu się czymś rozkosznie swojskim i bynajmniej nieegzotycznym.

Jednak Lacao wypuszczało go ze swoich objęć powoli, niespiesznie jak sen, który przechodzi w jawę. I nagle, kiedy właśnie lord Albemarle ciągnął go za łokieć, namawiając na opowieści o rozwiązłych gorącokrwistych kobietach, stało się: duchota sali balowej zmieniła się w tropikalny żar, jedwabne wachlarze w rękach dam - w motyle i palmowe liście, a szelest jedwabiu i muślinu

przypominał odgłosy dżungli. Dwa światy zlały mu się w jeden.

Dlatego odwrócił się mimowolnie, kiedy w oko wpadł mu kolorowy błysk. Natychmiast pomyślał: *Morpho rhetenor helena*. Niezwykły tropikalny motyl, którego skrzydła zmieniają kolor: przechodzą z błękitu w zieleni i fiolet. Okazało się, że to suknia kobiety.

Suknia była błękitna, ale w migotliwym świetle dziesiątków świec w kandelabrach Miles widział w tym błękitcie drgające odcienie fioletu, a nawet zieleni. Nadgarstek kobiety zdobiła bransoletka z białych kamieni, a na ciemnych włosach połyskiwał diadem. On też odbijał światło świec.

Za dużo tego blasku, uznał Miles i zaczął się od niej odwracać. Ale wtedy podniosła twarz do światła. Wszystko się zatrzymało. Bicie serca, oddech, nawet czas. Po paru sekundach na szczęście odzyskał dech i serce znowu zaczęło mu bić. Znacznie mocniej niż poprzednio.

I wtedy w jego myślach wybuchły fajerwerki zachwytu.

Dłonie same mu się rwały, żeby ująć jej twarz - miała twarz kociątka: szerokie czoło i zadziornie trójkątny podbródek. Jej oczy też były kocie, duże, lekko skośne i czy to możliwe, że były tak błękitne jak Morza Południowe? I dlaczego on, Miles Redmond, pozwolił sobie na takie kwieciste porównanie? Miała zalotne brwi: cienkie, wygięte ukośnie i bardzo ciemne. Jej włosy były prawdopodobnie po prostu brązowe, ale Miles czuł się tak, jakby to nie wystarczało.

Lśniąca. Jedwabista. Miedziana. Lazurowa. Delikatna. Anioł. Alleluja. Nagle wydało mu się, że innych słów już nie pamięta.

Wpatrywał się w nią jak urzeczony, ale tego nie zauważyła. Ani ona, ani nikt inny, bo w sali panował tłok, a Miles odkąd pamiętał, potrafił pomimo swojego słusznego wzrostu doskonale wtopić się w otoczenie, jeśli tylko zechciał.

Kilka chwil później tę kobietę, która tak gwałtownie zakłóciła spokój jego umysłu, otoczyły przyjaciółki i zaciągnęły w głąb sali balowej, gdzie wkrótce stracił ją z oczu.

A więc to nie była tylko poetycka metafora: męczyzna naprawdę mógł stracić oddech na widok kobiety. Jeśli nie liczyć czterech wyczynowych rund w sypialni lady Dovecote - która właśnie dawała mu wachlarzem subtelne, ale dość jednoznaczne sygnały - dotychczas żadna kobieta nie zdołała pozbawić go tchu.

Miles zignorował lady Dovecote. Stał wciąż odwrócony twarzą w tym kierunku, gdzie ostatni raz widział tamtą kobietę, jak igła kompasu drganiem wskazująca północ.

- Co to za dziewczyna w błękitnej sukni? - Bardzo się starał, żeby zadać to pytanie tonem wystudiowanej nudy. Zwrócił się z nim do lorda Albemarle.

Albemarle, choć lekko zdezorientowany, był gadułą, więc z przyjemnością oświecił Mileasa.

- Ach! To będzie panna Cynthia Brightly. Szybka z niej dziewczyna, jak powiadają. Choć to pewnie nie po dżentelmeńsku powtarzać plotki, ale cóż zrobić. Najbardziej rozchwytywana piękność tego sezonu, tyle można powiedzieć. Zupełnie bezkonkurencyjna, gdyby nie to, że w tym roku jest i Violet, Boże miej nas w swojej opiece... Och, strasznie cię przepraszam, Redmond. Nie wyzywaj mnie na pojedynek za to, co powiedziałem o

twojej siostrze. Mówią, że panna Brightly nie ma rodziny ani pieniędzy, za to ma... wszystko inne... jak sam widzisz, więc bardzo modnie jest się w niej kochać.

Hm. A więc to zjawisko zostało już odkryte. Naukowiec w duszy Milesa nie był z tego zadowolony.

- Przedstawić cię? - zakończył wywód Albemarle. - Moja siostra pewnie by mog...

Ale Miles już zniknął.

Teraz przypominał sobie, jak wtedy szedł przez salę balową. Na pewno znał wiele z osób, które mijał po drodze, ale był tak skupiony na dotarciu do celu, że w ogóle nie rozpoznawał twarzy. Lekko się uśmiechał, przemierzając dżunglę z jedwabiu i muślinu, zupełnie jakby ten uśmiech był jego dokumentem podróźnym, latarnią i wymówką za to, że jego dobre angielskie wychowanie wraca równie opieszale, jak właściwy kolor skóry.

A przez cały czas jakiś niewidzialny kowal w jego wnętrzu z całej siły łomotał w kowadło jego serca.

Wreszcie znowu złowił okiem lśnienie połyskliwego materiału - czy to możliwe, że tę suknię uszyto ze skrzydeł wróżek? Był tak oczarowany, że nawet nie przeraziło go to żalosne porównanie. Może w myślach zakochanych nieustannie wybuchają gejzery banałów.

Zwolnił kroku. Czyżby ta niezwykła mieszanina emocji oznaczała miłość?

Jeśli tak, to nie jest ona wyłącznie przyjemna, uznał. Ale z pewnością jest interesująca. A Miles wyjątkowo sobie cenił rzeczy interesujące.

Był teraz na tyle blisko, żeby móc zobaczyć profil dziewczyny, który istniał chyba tylko po to, żeby wyczyniać dramatyczne rzeczy z męskimi sercami: zatrzymywać ich bicie, kraść je, łamać. Jej dolna warga -

bladoróżowa, wygięta poduszczyca - wzbudzała w nim znacznie bardziej przyziemne myśli, które biegły prosto do jego łędźwi. Policzki panny Brightly, lśniące w świetle świec, były zaróżowione od gorąca; ze spiętrzonych fryzur wymknęło się kilka pasm włosów po to tylko, jak mu się wydawało, by skierować uwagę patrzącego na długą smukłą szyję i kremowy biust, hojnie odsłonięty przez odważny dekolt.

I wtedy dobiegł go jej głos. Nigdy nie zapomni tamtej chwili, kiedy go pierwszy raz usłyszał: śpiewny, kobiecy, zaskakująco dojrzały i pewny siebie. Kobieta stojąca obok - panna Liza Standshaw, przypomniał sobie Miles - poufałym gestem wzięła ją pod ramię i nachyliła głowę w stronę Cynthii Brightly, żeby lepiej słyszeć sekrety. Niestety, Miles miał wyjątkowo dobry słuch.

- Lord Finley ma trzydzieści tysięcy funtów rocznie i złote włosy, za to jego matka jest okropną jędzą. Ale to i tak niewielka cena za te trzydzieści tysięcy, nie sądzisz, Lizo? Jest wprawdzie trochę rozwiązły, ale za to jak świetnie tańczy. Już zamówił u mnie dwa tańce, - i to walce! Hrabia Borland ma narośl, ale można przymknąć na to oko, jak się pomyśli o jego tytule, pieniądzech i posiadłościach. A pan Lyon Redmond jest wyjątkowo przystojny i bogaty, nieprawdaż? Redmondowie mają fortunę, która przyprowadziłaby o zazdrość Krezusa, tak przynajmniej słyszałam. Podobno świata nie widzi poza panną Oliwią Eversea. Zadurzył się w niej na amen, ale cóż z tego, skoro ich rodziny żyją ze sobą jak Capuletti i Montecchi. Ich tatusiowie nigdy się nie zgodzą na ten związek, więc jego też dopiszemy do mojej listy. Dobrze by było, gdyby ktoś nas sobie przedstawił.

- Panna Olivia Eversea jest przy tobie nikim, Cynthio - lojalnie oświadczyła przyjaciółka. - Znajdziemy jakiś sposób, żeby ktoś cię mu przedstawił. Jest tu dziś również pan Miles Redmond. Drugi syn Redmondów. Też jeszcze kawaler. Czyjego także miałabyś ochotę poznać?

- Pan Miles Redmond... Miles Redmond... Ach! Ten strasznie wysoki, w okularach? - zapytała zszokowana. - On ma zdaje się do czynienia z robakami, prawda? Lizo, czyś ty oszalała? - Cynthia Brightly żartobliwie uderzyła przyjaciółkę w ramię wachlarzem. - Czemu miałabym się zadowalać jakimś ponurym młodszym synem, skoro mogę mieć dziedzica? Albo hrabiego?

Zachichotały obie. Ich śmiech zabrzmiał w uszach Milesa jak wiosenne roztopy: dźwięcznie i lodowato.

Wycofał się niepostrzeżenie. Jeden krok. Drugi. Trzeci.

Wreszcie zderzył się plecami z niską kolumną, która podtrzymywała jakąś rzeźbę w greckim stylu: Herkules, stwierdził. Walczący bohatersko z lwem.

Przez moment był nieruchomy jak ta rzeźba.

Wstrząs, którego doznał, wydał mu się jakimś ohydny zwyrodnieniem: jak gdyby na jego dłoni przysiadł piękny motyl, by chwilę później zatopić w niej kły.

Wkrótce jednak szok ustąpił miejsca lekkiemu rozbawieniu. Jakież był dotąd naiwny, jeśli chodzi o kobiety. Nigdy by nie przypuszczał, że w tak delikatnym ciele może kryć się tak wyrachowane serce. Był wytracony z równowagi, ale zafascynowany i w pewnym sensie wdzięczny. Odtąd patrzył już na kobiety inaczej, szukał w ich oczach dowodu na to, że w ich umysłach obracają się bezwzględne trybiki, tańczył z nimi tak, jakby trzymał w

ramionach jadowitego węża. Znacznie ciekawsze od tego, co miały do powiedzenia, zaczęły mu się wydawać rzeczy, których mu, jak przypuszczał, nie mówiły.

Dopiero później zorientował się, że przyczyną jego poruszenia była urażona duma. Zmiana, jaka się w nim dokonała, była niewidoczna gołym okiem, ale nieodwracalna.

Miles Redmond odkrył, że nie lubi być lekceważony.

Gdyby rok temu ktoś powiedział Cynthii Brightly, że będzie szczerze zadowolona, mogąc spędzić sobotni wieczór na wsi, w gospodzie, której nazwa nawiązywała do trzody chlewnej i chwastu, tak by się śmiała, że pękłby jej gorset. A przynajmniej poklepałaby tę osobę lekko po ramieniu, sugerując, żeby już nie dolewała sobie więcej ratafii. Bo jeszcze przed rokiem wszystkie wieczory Cynthii obfitowały w interesujące wydarzenia oraz ratafię.

Zawsze miała w życiu więcej szczęścia, niż sobie na to zasłużyła. Tym razem uśmiech losu objawił się w postaci niespodziewanego zainteresowania ze strony Violet Redmond: pięknej, czarującej dziewczyny, która nade wszystko lubiła chadzać własnymi ścieżkami i co zaskakujące, była wyjątkowo mało sentymentalna. Violet miała dar wywoływania wokół siebie zamieszania, który Cynthia szczególnie wysoko ceniła, jako że jej samej psoty były nieobce. Kiedyś Violet zagroziła, że z powodu sprzeczki z zalotnikiem rzuci się do studni i już przełożyła jedną nogę przez ocembrowanie, zanim zdążyli ją odciągnąć. Podobno wyzwała też jakiegoś dżentelmena na pojedynek. Zazwyczaj jednak zachowywała nienaganne maniery, a choć jasno dawała do zrozumienia, że nie spotkała jeszcze mężczyzny, któremu skłonna byłaby

oddać rękę, nie przeszkadzało jej to w kokietowaniu śmietanki londyńskich młodzieńców i zachęcaniu ich do zabiegania o jej względy.

Więc kiedy socjeta zgodnie odwróciła się od Cynthii, do przewidzenia było, że Violet zaprosi ją do swojego domu rodzinnego w Sussex na dwutygodniowe letnie przyjęcie.

Cynthia była przekonana, że zaproszenie Violet wypływało po części z życzliwości, a po części z chęci wzbudzenia kontrowersji, ale nie mogła sobie pozwolić na wyniosłość i postanowiła wykorzystać ten czas jak najlepiej.

Instynktownie zwróciła się w stronę, skąd dobiegał śmiech, i przy jednym ze stolików zobaczyła członków rodziny Eversea: dwóch oszałamiająco przystojnych mężczyzn, z których jeden, Colin, był świeżo po ślubie - tak świeżo, że gazety wciąż jeszcze się o nim rozpisywały - a drugi, sądząc po tym, jak się słał na krześle, miał już nieźle w czubie. Wysmukła ciemnowłosa kobieta - żona Colina Eversea? - uśmiechnęła się do szczupłej dziewczyny, która podeszła do ich stolika i zaczęła zbierać puste talerze i kufle. Widać było wyraźnie, że uśmiech nie został odwzajemniony.

Cynthia odprowadziła dziewczynę wzrokiem do baru, gdzie starszy mężczyzna pociągnął ją za warkocz i podał miotłę, kiedy już miała wolne ręce. Do niego się uśmiechnęła. A on w odpowiedzi posłał jej identyczny uśmiech. Ojciec i córka. Cynthia odwróciła głowę, nagle przytłoczona tą rodzinną atmosferą. To było dla niej jak obcy język, bo sama przecież nie miała rodziny.

- To Hawthorne'owie - powiedziała Violet, podążając za jej spojrzeniem. - Ned i jego córka, Polly. Ich rodzina

gospodarzy Pod Świniakiem i Ostem już od paru stuleci. - Udawała, że nie dostrzega latorośli rodu Eversea i kompletnie zignorowała rękę Colina uniesioną w ironicznym pozdrowieniu, zaraz zresztą strąconą na stół przez brata.

Violet minęła zachwycających Eversea i poprowadziła Cynthię do innego, znacznie mniej obiecującego stolika. Siedziało przy nim trzech mężczyzn: między dwoma starszymi leżała szachownica z rzędami starannie ustawionych czarnych i białych figur, a najmłodszy był wysokim, ciemnowłosym, ponurym okularnikiem.

Ach tak, oczywiście. Starszy brat Violet. Miles Redmond.

Ma chyba... coś wspólnego z owadami, przypomniało się Cynthii.

Miles znowu znieruchomiał, patrząc, jak jego siostra nieubłaganie zbliża się do nich w towarzystwie panny Brightly.

Od tamtej nocy już nigdy nie miał okazji widzieć Cynthii i naturalnie ani słowem nie zdradził się przed nikim z tym, co podsłuchał. Ale w tamtym sezonie mówiło o niej całe miasto, plotkowano o niej w klubach i na salonach. Dochodziły go słuchy o szalonych wyścigach faetonów przed świtem, których zwycięzca zdobywał prawo do zatańczenia z panną Brightly wszystkich walców na przyjęciu u lady Murcheston, o całych stosach kiepskich wierszy na cześć jej delikatnej twarzyczki i oczu i oczywiście o zakładach z całą starannością odnotowanych w księgach u White'a - impulsywnych, desperackich zakładach, które sprawiały, że dochodziło nawet do rękoczynów o to, kto w końcu zdobędzie jej rękę.

Jednym słowem - wielu, bardzo wielu mężczyzn rozbiło się o tę górę lodową, którą było serce panny Cynthia Brightly. A ona ich jeszcze do tego wszystkiego zachęcała, tak przynajmniej szeptano, na poły ze zgorzeniem, na poły z podziwem.

W dniu jej zaręczyn z niewyobrażalnie bogatym synem hrabiego Courtlanda od rana pił u White'a. To było prawie dwa lata temu. I mimo że ta wiadomość w ogóle go nie dotyczyła, odbiła się w nim dziwnie przykrym echem. Zamarł, zdumiony i przybity.

Ale zaraz górę wzięło dobre wychowanie i Miles dołączył do innych, którzy wznosili toasty za zdrowie i szczęście Courtlanda. Pił dalej, całą noc, próbując zagłuszyć tę dziwną, dzwoniącą pustkę, ale zdrowy rozsądek nakazał mu przestać, zanim będą go musieli wynieść z klubu.

Violet i panna Brightly stały już przy nich. Zauważył, że siostra poufale położyła dłoń na nadgarstku swojej towarzyszki. Zagapił się na jej rękę. Nadal nie był w stanie myśleć trzeźwo, a przecież zazwyczaj trzeźwe myślenie było dla niego tak naturalne, jak obieg krwi.

Wstać jednak dał radę: dobre maniery postawiły go na nogi. Wszyscy trzej zresztą się podnieśli: on, Cooke i Culpepper. Ale nie był w stanie patrzeć wprost na pannę Brightly. Posłał za to wymowne spojrzenie krnąbrnej siostrzyczce.

- Nie umiem skłamać, kiedy tak na mnie patrzysz, Miles - poskarżyła się raz Violet. - To tak, jakby mi się przyglądało moje własne sumienie.

Śmiał się z niej wtedy. Miał miły, dźwięczny śmiech i jego rodzeństwo lubiło go rozbawiać. Miles był chyba jedyną osobą na świecie, która była w stanie sprawić, żeby

Violet miała wyrzuty sumienia. Ojciec ją rozpieszczał, a Violet kochała go i trochę się go bała; Lyon psuł ją zupełnie, a ona go uwielbiała; Jonathan ją prowokował, a matka żałamywała nad nią ręce. To Miles czuwał nad siostrą. Roztaczanie opieki nad tym, co kochał - to była jego specjalność.

Psotne iskierki w oczach Violet nieco przygasły. No, tak już lepiej.

- Dobry wieczór panom - przywitała się grzecznie i może odrobinę mniej zadziornie, niżby to zrobiła, zanim napotkała karcący wzrok Milesa. - Chciałabym wam przedstawić moją drogą przyjaciółkę, pannę Cynthię Brightly.

Miles o mało nie parsknął, słysząc słowo „droga”.

Na twarzach obydwu szachowych przeciwników odmalował się nieskrywany podziw. Przepadali za Violet - w końcu znali ją od dziecka i zawsze z rozbawieniem słuchali o jej wybrykach - ale panna Brightly była czymś nowym. Przez chwilę patrzyli na nią w niemym zachwycie, zanim skłonili się dwornie i uprzejmie powitali obie damy.

Miles pomyślał z przekąsem, że piękno działa podobnie jak wysokie urodzenie. Człowiek odruchowo składa mu hołd, czując jednocześnie podziw, frustrację i chęć nadskakiwania. Każdy chce się znaleźć w orszaku piękna, choć niekoniecznie darzy sympatią tego, kto się może nim poszczycić. Ale ona nie jest prawdziwą pięknoscią, powiedział sobie. Ma za duże oczy i zbyt pełne wargi. A jej twarz nie jest doskonale owalna.

Niestety, ta szczegółowa analiza nie wpłynęła na to, jak zareagowało jego ciało. Ponieważ tak nakazywało dobre wychowanie, w końcu i on nachylił się nad dłonią panny Brightly.

Kiedy już się wyprostował, uderzyła go myśl, że właściwie nie tyle widzi ją, ile wyczuwa: jak lekkie muśnięcie włosów na karku, jak gorący oddech nad uchem, jak ciche drżenie w okolicy żołądka, jak niewidzialną dłoń, która ściska za gardło. Skóra go paliła.

Zmierzyli się wzrokiem. Jej spojrzenie nie zdradziło, że go rozpoznaje. Ale poczuł coś, co wydobywało się z niej, by owinać się wokół niego jak kokon: tę nieokreśloną właściwość zwaną urokiem osobistym. Od razu wiedział, że celowo próbuje go oczarować. Był mężczyzną, ale przecież nie głupcem. Jeśli Cynthia Brightly znalazła się w Sussex, w Pennyroyal Green, na wsi, i to bez męża czy nawet narzeczonego...

Coś nieprzyjemnego musiało się wydarzyć w Londynie. Ta myśl sprawiła, że jego spojrzenie stało się cyniczne, a w jej oczach nagle pojawiła się niepewność.

Powtórzył sobie, że naprawdę szczerze jej nie lubi. To mu pomogło odzyskać oddech i panowanie nad sobą. W końcu był przecież Redmondem: jego maniery były wytrawne jak najlepszy koniak i galanteria przychodziła mu z równą łatwością, jak oddychanie. Teraz odezwie się do niej i powie jakąś uprzejmą błahostkę.

- Muszę wyjść - oświadczył, po czym odwrócił się na pięcie i jak powiedział, tak też zrobił.

Za jego plecami cztery osoby otworzyły usta ze zdumienia. Miles sam siebie zaskoczył równie mocno, jak pozostałych. Wirowało mu w głowie, tak jakby właśnie popchnął wahadło, które zamiast zakołysać się w drugą stronę, uderzyło w niego i powaliło go na ziemię.

Ale nie zatrzymał się i dalej torował sobie drogę pośród jedzących i pijących gości Pod Świniakiem i Ostem. Minął swojego młodszego brata, Jonathana, który stał przy

barze i właśnie powiedział coś do Polly Hawthorne, na co dziewczyna zachichotała. Miło było to słyszeć, bo Polly, jak prawie każda kobieta w Pennyroyal Green między siedemnastym a osiemdziesiątym rokiem życia, kochała się w Colinie Eversea i bardzo sobie brała do serca sprawę jego małżeństwa. Zresztą była w takim wieku, kiedy wszystko się bierze do serca. Miles zauważył, że Polly posyła żonie Colina ponure, urażone spojrzenia.

Widać, zdaniem Jonathana dziewczyna nie dość szybko nalewała mu piwo, bo niecierpliwie stukał palcami o bar. Odwrócił się i w twarzy Milesa wyczytał coś, co kazało mu unieść wysoko brwi w przesadnym zdziwieniu.

„Dlaczego?” - spytał Miles bez słów, ruchem głowy wskazując pannę Brightly i jednocześnie sięgając po swój płaszcz, który wisiał na kołku przy drzwiach. Zawahał się, widząc obok jej pelerynę. Była zupełnie zwyczajna - szara, wełniana, nawet nienowa - ale jemu się wydawało, że ma jakiś szczególny urok. Zapatrzył się na nią, a potem zmarszczył ze złością czoło.

Jonathan, jako mężczyzna, zrozumiał, o co chodzi Milesowi. Wziął od Polly kufel i uniósł go w podziękowaniu, pociągnął głośny haust i dopiero wtedy zwrócił się do Milesa. Zniżył głos.

- Tak do końca nie wiem, dlaczego ona tu przyjechała; Violet też nie wie, a jechaliśmy razem z Londynu. Słyszałem o jakimś pojedynku. Cała sprawa została wyciszona, bo przecież panna Brightly była zaręczona ze spadkobiercą hrabiego Courtlanda. Tyle wiem, że zaręczyny zostały zerwane i w Londynie ma zrujnowaną reputację, wszyscy się od niej odsunęli, choć nikt w zasadzie nie wie czemu. Nie wydaje mi się, żeby było w dobrym tonie o tym rozmawiać. Ja w każdym razie nie

pytałem. Lubię ją. Nie jest nudna - dodał beztrąsko. - Założę się, że Violet ściągnęła ją tutaj, żeby zrobić małe zamieszanie i żeby mogła zapolować na bogatych kawalerów, którzy do nas zjadą. Uważaj, staruszkule! Panna Brightly ma chrapkę i na ciebie - dorzucił z pogodną złościwością.

Jonathan zrobił z palca haczyk i wsadził go sobie do ust, wybałuszając oczy jak złapana na wędkę ryba. Na to Miles szarpnięciem otworzył drzwi i pozwolił im się zatrzasnąć, zostawiając za plecami roześmianego brata, a sam zanurzył się w dobrze znany zmierzch na łąkach w Sussex.

Nagle zatęsknił za niebezpieczeństwami brazylijskiej dżungli - wydały mu się o wiele bardziej znośne.

2

Dotarłszy do domu, Miles wręczył kapelusz i laskę jednemu z lokajów, wystrojonych przez jego matkę w kosztowne liberie, a kiedy tak stał na ułożonej we wzór szachownicy marmurowej posadzce, zamyślił się, wyobrażając sobie różne możliwe nastroje i okoliczności, w jakich jego przodkowie przekraczali ten próg: podchmieleni po wieczorze spędzonym Pod Świniakiem i Ostem, rozradowani lub zawstydzeni po powrocie ze schadzki, tryumfujący po bitwie, może w żałobie po pogrzebie w małym kościółku albo świeżo po ślubie, rozpaleni pożądaniem lub pełni lęku. Podobno jeden z jego antenatów po wejściu do domu przystawił sobie pistolet do głowy.

Pomyślał o tym wszystkim, bo po raz pierwszy w życiu nie był pewien, co właściwie czuje. Zagadki stanowiły treść jego życia i wyzwanie: każdą rozszyfrowywał powoli, starannie, bez pośpiechu, ale niezmordowanie.

Sam dla siebie nigdy jeszcze do tej pory nie stanowił zagadki.

Rzucił okiem na schody. Mógłby wbiec po nich szybko, polecieć służącemu, żeby spakował podręczny bagaż, i czmychnąć do Londynu, gdzie na stałe wynajmował apartament, zanim zjedzie się reszta gości. Zrobił dwa zdecydowane kroki w stronę schodów, ale zwolnił, kiedy przypomniał sobie o przyjeździe lady Middlebough. Kragła, ciemnowłosa, znudzona mężatka dowiedziała się w zaufaniu od znajomej o bogatym repertuarze jego umiejętności i podziwu godnym zapale, z

jakim je wykorzystywał; okazała się przy tym na tyle inteligentna, żeby na niedawnym balu bez słów dać mu do zrozumienia, że jest zainteresowana - i na tyle sprytna, żeby zdobyć od jego matki zaproszenie do ich domu. Myśl o niej sprawiła, że się zatrzymał. Właśnie takiej kobiety potrzebował.

Zawahał się i mimo woli zacisnął dłoń, jakby już teraz obejmował miękkie białe udo lady Middlebough. Ta chwila zadumy okazała się z jego strony wielkim błędem, bo w tym właśnie momencie jego matka, Fanchette Redmond, wyjrzała do holu i przekazała mu mrozącą krew w żyłach nowinę.

- Miles, kochanie, ojciec chciałby z tobą porozmawiać.

Zamarł. Zmysłowa fantazja prysła jak mydlana bańka.

Matka nadstawiła twarz do pocałunku i syn odzyskał władzę w nogach na tyle, żeby posłusznie cmoknąć ją w delikatny, pachnący bzem policzek. Zaraz jednak Fanchette Redmond zaskoczyła Milesa, całując go w oba policzki, jakby chciała go przeprosić za to, że będzie musiał rozmawiać z ojcem.

Bo Miles wprowadził Isaiaha w zakłopotanie.

Podczas gdy wielu bogatych młodzieńców z nudów parało się naukami przyrodniczymi, Miles - ku absolutnemu osłupieniu ojca - postanowił zostać entomologiem. „Te robaki czy coś”, tak Isaiah Redmond określał jego życiową pasję. Miles świetnie zdawał sobie sprawę, że gdyby nie pojechał na daleką, pełną niebezpieczeństw wyprawę, podczas której narażał się na głód i choroby, napotykał ludożerców i chętne półnagie kobiety, jego ojciec chyba w ogóle nie uważałby go za mężczyznę.

Zanim Lyon nie zniknął, nie miało to najmniejszego znaczenia.

Teraz jednak ojciec z tego właśnie powodu zdecydowanie odmawiał przedstawienia propozycji kolejnej, większej wyprawy Milesa gronu inwestorów z Klubu Merkuriusza. Jednak Miles znany był z tego, że wcześniej czy później zawsze osiągał swój cel. Bezwstydnie szukał funduszy, gdzie tylko mógł, zdołał nawet zarazić swoim pomysłem starego Culpeppera i Cooke'a. Mimo wszystko szło mu dość opornie i powoli zaczynał tracić nadzieję.

- Ojciec za chwilę przyjdzie na górę do biblioteki - dodała matka.

To było całkiem w stylu ojca, że kazał mu na siebie czekać.

- Jeszcze jedno, kochanie. Wiesz, że zaprosiliśmy do nas kilka osób. Ojciec i ja niestety musimy wyjechać, mamy do załatwienia interesy rodzinne z moimi krewnymi. Obawiam się, że wyruszymy już jutro wczesnym rankiem. Widzisz, chodzi o jakiś spadek, ziemie i pieniądze, i ojciec, jak możesz się domyślać, upiera się, żeby to załatwić od razu. Zaplanowałam usadzenie gości przy stole, jadłospis na dwa tygodnie, rozrywki i tym podobne. Ty masz tylko dopilnować, żeby wszyscy dobrze się bawili, póki nie wrócimy.

Miles zaniemówił. Czemuż, ach czemuż nagle miał wrażenie, że o niebo lepiej byłoby zostać gościem głodnych kanibali, niż być gospodarzem przyjęcia we własnym domu? W końcu nie miał nic przeciwko gościom jako takim. Miał wyborne maniery i potrafił rozmawiać na każdy temat.

- Oczywiście, mam - powiedział spokojnie.

Matki tym jednak nie oszukał. Poklepała go po ramieniu, nie wątpiąc, że dopełni obowiązku - nie tak jak Lyon, którego podobno pokonała miłość i który potem zniknął bez śladu.

Podczas gdy Miles czekał na ojca w jego gabinecie, Cynthia, Jonathan i Violet wrócili z karczmy. Cynthia stała właśnie na środku sypialni, którą jej przydzielono, i rozglądała się krytycznie.

Pokój został tak starannie wyczyszczony i wypolerowany, że każdy mebel - orzechowa toaletka i lustro nad nią, szafa, w której pokojówka Violet pieczołowicie rozwiesiła suknie Cynthii, wysoki zagłówek ogromnego łóżka, na którym mogłaby się trzy razy zmieścić wszerz i sześć razy wzdłuż - wydawał się świecić własnym blaskiem. Ale gzyms kominka nie był rzeźbiony w liście dębu czy winogron. Ścian nie zdobiły żadne stiuki. Nogi łóżka i toaletki miały formę nieobrobionych klocków drewna. Dywan nie mógł się poszczycić żadnym znanym rodowodem.

Był to całkiem inne meble niż te, które widziała na dole: delikatne, złocone cacka ocalałe z rewolucji francuskiej, niewątpliwie kupione za bezcen przed kilkudziesięciu laty od uciekającego z kontynentu arystokraty przez jakiegoś wyrachowanego Redmonda (a byli inni?). Rozpoznawała dywany ze słynnych manufaktur Savonnerie i Aubusson: miękkie i grube jak owcze runo, o barwach wciąż żywych mimo zaawansowanego wieku, z równiutkimi frędzlami.

Innymi słowy, wiele mówił fakt, że pani Isiahowa Redmond przydzieliła pannie Brightly ten akurat pokój. Cynthia uśmiechnęła się tak olśniewająco, jakby w tej

chwili przyglądała jej się cała sala gości. Co jak co, ale wyzwania nie były jej obce.

Drgnęła, kiedy nagle poruszyła się zasłonka; okno było otwarte. A chociaż pokój bez wątpienia należał do najmniejszych w tym domu, zdawało jej się, że potrzeba kwadransa, żeby przejść przez niego i zamknąć okno. Zawahała się, nim to zrobiła. Odsunęła szerzej zasłonki, żeby wyrzeć na zewnątrz.

Na niebie tłoczyły się miliony gwiazd, a pod nimi rozpościerała się łagodna ciemność, naznaczona tu i ówdzie wełnistymi cieniami drzew. Zakręciło jej się w głowie i przez chwilę miała wrażenie, że znowu jest małą, drżącą z zimna dziewczynką, wciśniętą pomiędzy rodziców na odkrytym wozie, który ciemną nocą podskakiwał na wybojach, wioząc ich do nowego domu w Little Roxbury, z dala od zgielku pokojów wynajmowanych u rodziny Jonesów w londyńskiej dzielnicy Battersea - ci państwo Jonesowie mieli całą gromadkę rozwrzeszczanych dzieciaków.

A kiedy wreszcie światła Londynu ustąpiły miejsca bezkresnemu niebu, bezkresnej ciemności i dzwoniącej ciszy wiejskiej nocy, podniosła głowę do góry i zobaczyła spadającą gwiazdę. Wtedy uderzyło Cynthię to, że tak zaskakujące, tak przedziwne i piękne zdarzenie ma miejsce w kompletnej ciszy. To było coś, co powinien oglądać cały świat, choć przecież łatwo było je przegapić, jeśli się nierozważnie mrugnęło. Teraz przyszło jej na myśl, że to takie zabawne określenie - spadająca gwiazda. Ona przecież nie spada, tylko ucieka. Jakby wykorzystywała niespodziewaną okazję do urwania się ze swojego miejsca na sklepieniu nieba.

Z drugiej strony, może to inne gwiazdy ją wyrzuciły, pomyślała cierpko. Coś niecoś wiedziała na temat spadania z firmamentu. I na temat odrzucenia przez innych.

Złowiła wzrokiem nieznacznym ruch: w kącie przy oknie tkął swoją sieć mały pająk. Cynthia cofnęła się przerażona. Pająk cofnął się przerażony.

Nachyliła się do przodu, żeby zamknąć okno i jednym ruchem zasunęła zasłony. Już od wielu lat nie spała w pokoju, gdzie pozwolono by pająkowi zbudować sobie dom. Od czasów Battersea i małego pokoiku nad mieszkaniem Jonesów.

Potarła delikatne włoski na karku, gdzie poczuła lekkie ukłucie strachu. Kiedy była młodsza, zwłaszcza zaraz po śmierci rodziców, często budziła się w nocy z koszmaru o tym, że spada przez nieprzeniknioną ciemność. Jak ta gwiazda. Sen odchodził, a ona zaciskała ręce na pościeli, jakby chciała przykuć się do łóżka, i chowała twarz w poduszkę, żeby pastor i jego żona nie słyszeli jej łkań. Nie chodziło o to, że bała się uderzyć o ziemię, czego na poły zawsze się spodziewała we śnie. To by przynajmniej było jakieś zakończenie, choć niekoniecznie z gatunku tych szczęśliwych. Przerażała ją nicość, przerażała ją niewiedza, paraliżowała ją obawa przed tym, że będzie się tak samotnie miotać w pustce już przez całą wieczność.

Niespokojnie odwróciła się od okna i podeszła do lustra. To, co w nim zobaczyła, bardzo ją podniosło na duchu. W końcu była przecież optymistką.

Ale zrobiła jeszcze jedną, nietypową dla siebie rzecz - taki talizman przeciw koszmaram: przez znajomych z Little Roxbury dowiedziała się o istnieniu pewnej upiornej staruszki w hrabstwie Northumberland, która całe dni spędzała w fotelu na kółkach i regularnie poszukiwała

nowej damy do towarzystwa, jako że jej złośliwe usposobienie szybko odstraszało jedną po drugiej. Pani Mundi-Dickson.

Cynthia napisała do niej, pytając, czy oferta jest nadal aktualna, i podała adres Redmondów. Ten krok świadczył o tym, że jej sytuacja istotnie nie była najweselsza.

Sama myśl o pani Mundi-Dickson popchnęła ją w kierunku szafy, w niespokojnym odruchu, który w ciągu ostatnich kilku tygodni stał się niemiłym przyzwyczajeniem: wyciągnęła z niej swoją sakiewkę i potrząsnęła nią. Prawie nie zabrzęczała. Cóż, nie mogła się raczej spodziewać, że pod jej nieuwagę ostatnie szylingi w sakiewce połączą się w pary i urodzą małe pensiki, które w końcu wyrosną na nowe szylingi. Tak czy inaczej, owo żalosne pobrzękiwanie i dwa tygodnie przyjęcia u Redmondów, które właśnie się zaczynało, to było wszystko, co dzieliło ją od ubóstwa. No i jeszcze pani Mundi-Dickson.

Chociaż mogłaby, na przykład, pomnożyć swoje ostatnie kilka funtów, proponując innym gościom grę w karty...

Nie. Będzie się zachowywać przyzwoicie. Wcześniej nieraz zdarzało jej się kusić los - i proszę, do czego ją to doprowadziło.

Nagle zorientowała się, że ma wilgotne dłonie.

Wcisnęła sakiewkę z powrotem do szafy i usiadła z impetem na łóżku, żeby je wypróbować. Miękkie. Podskoczyła kilka razy: nie skrzypiało. Odchyliła narzutę i wsunęła pod spód lepką od potu dłoń, muskając chłodną, gładką i cieniutką pościel, wyprasowaną przez jedną z niezliczonych pokojówek. Wchodząc z Violet i

Jonathanem, widziała je, jak rozbiegają się po domu niby myszy chowające się do norek.

Poweselała. Jak długo będzie miała własne łóżko - i jak długo będzie gościem, a nie pracownicą albo, niech Bóg broni, utrzymanką - tak długo jest nadzieja. W szczególności gdy chodzi o tego spadkobiercę Redmondów. Choć trzeba przyznać, że ich pierwsze spotkanie było nader krótkie i mogła sobie raczej obejrzeć jego plecy niż twarz, kiedy wybiegał z karczmy. Niezbyt obiecujące.

Violet zapewniała, że to jakiś jednorazowy wybryk.

- Wielkie nieba. Muszę cię przeprosić za mojego brata, ale słowo daję, że nigdy dotąd nie miałam powodu się za niego wstydzić. Ma zawsze wyśmienite manieri, Cynthia.

Cynthia lekko wzruszyła ramionami, w duchu żałując, że to nie któryś z Eversea, co byłoby wprost zachwycające, albo nie czarujący, dumny i charyzmatyczny Lyon, który przed rokiem zrobił coś niebywałego: zniknął, ponoć z powodu serca złamanego przez najmniej odpowiednią kobietę. I zostawił jako dziedzica tego ponuraka Milesa.

- Źle się poczuł - stwierdził jeden ze starszych dżentelmenów, pan Cooke, lojalnie broniąc Milesa. - Zrobił się purpurowy na twarzy.

- Buraczkowy - wtrącił po cichu pan Culpepper.

Coś błysnęło w ciemnych oczach Milesa Redmonda, gdy tak stał przed Cynthią. Nie tylko podziw - to akurat widziała niezmiennie w męskich spojrzeniach i Miles nie był wyjątkiem. Ale było tam coś jeszcze, czego nie potrafiła określić. Kiedy puścił jej dłoń, poczuła w niej dziwne drżenie.

Wciąż myśląc o wielkiej, posępnej i niepokojącej postaci Milesa Redmonda, rzuciła się w tył na wygodne łóżko i posłała promienny uśmiech w stronę sufitu. Przyjdzie taki dzień, że będzie w tym domu sypiać w pokojach przeznaczonych dla rodziny, była tego pewna.

Doprawdy... jak ten okularnik mógłby się oprzeć sile jej uroku?

Czekając na ojca, Miles wyglądał przez okno na pogrążony w mroku park Redmondów i rozgwieżdżone niebo ponad nim. Wolał ten widok od złudnego spokoju kolorów i tkanin tworzących wystrój gabinetu ojca, wśród których dominowały brązy i beże, aksamity i miękkie dywany. Niewiele działo się w tym pomieszczeniu rzeczy, które można by określić mianem spokojnych. To tutaj Isaiah Redmond odbywał wszelkie rozmowy, które uważał za istotne, takie jak na przykład karcące upomnienia; to tutaj zaszywał się, żeby rozważyć nowe sposoby na pomnożenie i tak już ogromnej rodzinnej fortuny.

Miles odwrócił się, słysząc kroki ojca. Isaiah Redmond, bardzo wysoki i tak szczupły, jak Miles barczysty, wciąż jeszcze był przystojny w ten charyzmatyczny sposób, który odziedziczył też po nim Lyon. Ojciec i brat byli tacy do siebie podobni, że czasem trudno było w to uwierzyć. Obaj mieli zielone oczy, lśniące jak klejnoty.

Miles bardzo lubił ojca. Na tyle, by nawet współczuć mu, że stracił takiego syna jak Lyon i musi się zadowolić jego osobą. Ale nie na tyle, żeby próbować się zmienić w kogoś, kim nigdy nie był.

- Dobry wieczór, ojczu.

- Dobry wieczór, Miles. Matka pewnie ci już mówiła, że musimy wyjechać do Cambridgeshire, żeby pomóc

rozporządzić majątkiem ze strony Tarbellów. Jeden z kuzynów twojej matki zostawił fortunę, a że nie ma testamentu, od razu wynikły niesnaski.

Miles nie miał wątpliwości, że ojciec zdoła skrupulatnie i w majestacie prawa dołączyć tę fortunę do swojej.

- Mówiła. Z przyjemnością was zastąpię i postaram się, żeby przyjęcie przebiegało bez zakłóceń.

Rozmawiali uprzejmie, bo tak każdy Redmond zwracał się do osób, z którymi nie był blisko zżyty.

- Bardzo dobrze. Chciałem z tobą porozmawiać o interesach, a ponieważ czas nagli, uznałem, że warto się w tej sprawie rozmówić jeszcze przed naszym wyjazdem.

Miles zdębiał. Isaiah nigdy nie rozmawiał z nim o interesach. A ostatnim razem, kiedy Miles zwrócił się do niego z propozycją dotyczącą sfinansowania jego wyjątkowo kosztownej nowej wyprawy na Morza Południowe, spotkał się z lekceważeniem i chłodną odmową.

- Tak, ojciec - odparł ostrożnie.

Isaiah wolnym krokiem podszedł do stoliczka z polerowanego orzecha i pytająco wskazał na karafkę z brandy. Po obu jej stronach stały dwa kieliszki, tak przezroczyste, że niemal niewidoczne. Miles pokręcił głową.

- Zastanawiałeś się kiedyś nad małżeństwem? - Ojciec powiedział to obojętnym tonem, odwrócony do niego plecami, z karafką w ręku. Drogi trunek z chlupotem wlał się do kieliszka.

Miles usiłował nie okazywać zdumienia. Ale przecież miał do czynienia z Isaiahem Redmondem. To nie było bezcelowe pytanie.

- Od czasu do czasu - rzucił cierpko. - W moim wieku zwykle już się o tym myśli. - Miał blisko trzydziestkę.

Ojciec powoli odwrócił się w jego stronę, przytrzymując dłonią kieliszek. Namyślał się przez chwilę.

- Wolno wiedzieć, czy upatrzyłeś już sobie jakąś damę?

Milesa rozbawiło wahanie w jego głosie. Ani chybi ojciec wyobrażał sobie, że w głowie jego drugiego syna tańczą sawantki. Chwileczkę - sawantki nie tańczyły. Raczej maszerowały - z przewieszonymi przez ramię koszami pełnymi jedzenia dla ubogich.

- Nie, nie myślałem o nikim konkretnym - odpowiedział ze spokojem. - Chciałbym jednak, żeby była z dobrego domu, miała ładną buzię, majątek i dobrze poukładane w głowie.

Zapadła przedłużająca się chwila ciszy. Miles zastanawiał się, które z jego wymagań tak zmartwiło ojca. Pewnie to ostatnie.

- A czy... czy miłość jest koniecznym warunkiem? - zapytał w końcu głucho Isaiah.

Miles ledwo się powstrzymał, żeby nie rozdziawić ust ze zdumienia. I musiał się uszczypnąć, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Mój Boże. Czyżby czekała go rozmowa z ojcem na temat miłości? Niewiele chyba istniało na świecie rzeczy trudniejszych do zniesienia. Lepsze byłoby już ukąszenie skorpiona albo podsłuchiwanie, jak kanibale rozprawiają o jego losie.

Ale naraz przypomniał sobie, że to właśnie miłość - do Olivii Eversea - była podobno tym, co sprawiło, że Lyon stracił zdrowy rozsądek i zniknął, być może już na zawsze, pozostawiając Isaiahowi Milesa, który znacznie

mniej jego zdaniem nadawał się na dziedzica. Lyon, ofiara owej niefortunnej rodowej klątwy: legenda głosiła, że z mocy przeznaczenia w każdym pokoleniu ktoś z rodziny Eversea zakocha się w jednym z Redmondów lub na odwrót.

Niewątpliwie Isaiah zastanawia się, czy i on nie nosi w sobie podobnej romantycznej skazy. Nagle przed jego oczami pojawił się nieproszony, niezwykle wyrazisty obraz - zwyczajna, szara peleryna wisząca na kołku przy drzwiach gospody. Miles wciągnął powietrze.

- Miłość - oświadczył cicho i z przekonaniem - tego rodzaju, o jakim mówisz, jest absurdem. Nie potrzebuję miłości, żeby się ożenić.

Isaiah przyglądał się swojemu drugiemu synowi z lekko zmarszczonym czołem. Otworzył usta i przez chwilę tak stał, widać nie mogąc się zdecydować, co powiedzieć.

W końcu energicznie skinął głową.

- Bardzo dobrze - orzekł.

Zupełnie jakby to było zebranie Klubu Merkuriusza, którego członkowie właśnie przegłosowali coś po jego myśli.

- Wolno wiedzieć, czy ty masz jakąś konkretną osobę na myśli, ojczy? - Bo teraz Miles czuł zaciekawienie, a znając ojca, na pewno upatrzył już dla niego jakąś kandydatkę.

- Georgina Mossgate, lady Rutland, to urocza dziewczyna. Ją też zaprosiliśmy na przyjęcie. - Ojciec nawet nie udawał, że to zbieg okoliczności.

- Hm. - To nazwisko było dla Milesa zaskoczeniem.

Mossgate'ów znał, niemal odkąd pamiętał. Jej ojciec, Rutland, amatorsko pasjonował się naukami przyrodniczymi i ostatnio nawet ze sobą korespondowali.

Ale co wiedział o samej Georginie? Jako mała dziewczynka nosiła długi warkocz; jako dorosła kobieta upinała go wokół głowy w sposób, który przywodził mu na myśl kamienny krąg.

Kiedyś zdarzyło mu się rozmawiać z nią o życiu mrówek z Sussex, o których zwyczajach wiedziała zaskakująco dużo; w jej szarych oczach lśniły łagodność i skupienie i ani na moment nie spuściła z niego wzroku. Była spokojna, ale nie stroniła od ludzi, a jej biust - Miles zawsze zwracał uwagę na kobiecy biust - robił wrażenie. Podobała mu się kobieta, na jaką wyrosła. Przez ostatnie lata nie raz i nie dwa tańczył z nią na różnych balach i przyjęciach. Nie miała w sobie nic intrygującego.

Nagle uderzyła go myśl, że taka osoba wspaniale nadawała się na żonę.

- Jak pewnie wiesz, od lat namawiam Rutlanda, jej ojca, żeby wstąpił do Klubu Merkuriusza.

Miles w ułamku sekundy zorientował się, do czego zmierza ta rozmowa. Rozwiązanie było doskonale przemyślane, genialne w swojej prostocie i cyniczne - cały ojciec. W skrócie: obaj dostaną to, czego chcieli.

Serce mu zadudniło, ale nie dał nic po sobie poznać. Czekał, aż ojciec sam mu to powie. Isaiah nie tracił czasu.

- Gdybyś miał się ożenić z Georginą, Rutland wreszcie zgodzi się zostać członkiem Klubu. A z jego poparciem i majątkiem nietrudno będzie, jak przypuszczam, znaleźć grupę inwestorów, którzy sfinansują twoją podróż do... - Zmarszczył czoło.

- Do Lacao, ojciec - odpowiedział spokojnie Miles.

Do tej pory większa część Anglii знаła już nazwę miejsca, o którym napisał tyle książek. Ale nie jego cholerny ojciec.

- Właśnie. Do Lacao. - Ojciec nigdy go nie pytał o to miejsce.

Znacznie bliższe jego sercu były praktyczne zainteresowania Lyona, który pomnażanie pieniędzy miał we krwi. Owszem, pisanie i opowiadanie o Lacao również przynosiły pieniądze i Miles zdołał zgromadzić dzięki temu mały mająteczek. Ale ten zarobek był raczej przypadkowy i nieplanowany - ot, szczęśliwy zbieg okoliczności. Milczał.

- A więc jesteś skłonny zaakceptować tę propozycję? - powiedział wreszcie Isaiah.

- Jak najbardziej. - Nie widział powodu, żeby się nie zgodzić.

- Doskonale. - Głos ojca odzyskał swoje zwykłe brzmienie. - Georgina będzie naszym gościem przez najbliższe dwa tygodnie, na zaproszenie twojej matki. Ma przyjechać już dziś wieczorem. Matka zaplanowała różne rozrywki: obiady z sąsiadami, wieczorki taneczne i tym podobne. Więc poproś dziewczynę do tańca. Rozmawiaj z nią. Bądź dla niej uprzejmy i...

Och, na miłość boską.

- Mogę cię uspokoić, ojcze, że nie musisz mi udzielać pouczeń, jak się przypodobać tej damie - wtrącił cierpko. Tej czy innej, dorzucił w myślach. Poczuł przyjemny dreszczyk na myśl o tym, jak przypodoba się lady Middlebough. Georgina stanowiła w tej sprawie drobną komplikację, ale przecież lady Middlebough przyjeżdża na krótko i oczekuje od niego tylko jednego, co w prosty sposób będzie można zaaranżować.

Ojciec roześmiał się uprzejmie.

- Ależ tak. Wybacz, Miles. Po prostu twoja matka i ja bardzo się przejmujemy tym, żeby zapewnić naszym

dzieciom koneksje, które przyniosą chlubę rodzinie. Nie możemy sobie pozwolić na nic innego.

W tym stwierdzeniu zabrzmiało leciutkie, nieznaczne ostrzeżenie.

Zupełnie zbędne zresztą. Miles nie wyobrażał sobie sytuacji, w której mógłby zapragnąć jakiegoś niestosownego związku. Małżeństwo było bodaj najważniejszą transakcją, jaką mężczyzna zawierał w swoim życiu. Dobrze wiedział, że mówiąc o „przynoszeniu chluby rodzinie”, ojciec ma na myśli raczej pomnażanie rodzinnej fortuny i poszerzanie już i tak ogromnych wpływów Redmondów, ale nie miał w związku z tym żadnych obiekcji.

- Rozumiem waszą troskę - odparł z powagą. - Małżeństwo z lady Georginą będzie korzystne dla nas wszystkich. Mam nadzieję, że dla niej również. Jestem pewien, że uda nam się do siebie dopasować.

Isaiah przez moment zrobił się dziwnie milczący. Wreszcie skinął głową.

- A skoro już mowa o troskach, Miles - dorzucił suchym tonem - to mam jeszcze jedną. Twoja siostra zapoznała niejaką pannę Cynthię Brightly. I zaprosiła ją do naszego domu na najbliższe dwa tygodnie.

Zupełnie jakby ojciec odkorkował butelkę, w której siedział dzin. Te dwa słowa, które wypowiedział - „Cynthia” i „Brightly” - sprawiły, że niemal poczuł jej obecność w pokoju, jak gdyby stała tuż przed nim. Mięśnie brzucha skurczyły mu się nerwowo i przestał oddychać.

- Tak? - wydusił wreszcie, względnie opanowany.

Ojciec zawahał się, dobierając słowa.

- Doszły mnie słuchy na temat tej panny Brightly.

- Jakiego rodzaju słuchy?

Ojciec uśmiechnął się ponuro.

- A czy to ma znaczenie?

Nie, stwierdził Miles, to raczej nie ma znaczenia: „słuchy” chodzące na temat jakiejś młodej damy były zazwyczaj wystarczającym ostrzeżeniem, że owa dama jest nazbyt interesująca. Na przykład „słuchy” często chodziły na temat rodziny Eversea, choć po tym, jak ostatnie wydarzenia związane z Colinem Eversea wywołały burzę plotek, zainteresowanie gazet chwilowo osłabło. Ale w przypadku rodu Eversea to tylko kwestia czasu.

Redmondowie nie byli opisywani w plotkarskich pismach. Zapewniało im to dobre, staranne wychowanie, chłodny rozsądek ojca i pieniądze potrzebne na łapówki dla osób zajmujących rozmaite stołki.

- A panna Brightly jest... - Miles zawiesił głos, czekając, aż ojciec dokończy listę jej godnych potępienia cech.

Nagle poczuł niezdrową ciekawość i chciał usłyszeć, co ojciec o niej wie, dlaczego tu przyjechała. Jego starszerek miał swoje sposoby na dowiadywanie się różnych rzeczy.

- Na razie wiem o niej tyle, że jest zbyt ładna i zbyt czarująca jak na osobę, która nie ma ani majątku, ani koneksji. Prawdopodobnie ma też za wysokie ambicje, a do tego krążą o niej trudne do potwierdzenia pogłoski, choć możesz mi wierzyć, że próbowałem zdobyć potwierdzenie. Koniec końców, nie nadaje się na towarzystwo ani dla Violet, ani dla kogokolwiek z naszej rodziny.

I tak oto ojciec podsumował i skreślił jedyną kobietę, której udało się pozbawić Milesa tchu. Wiedział, rzecz jasna, że ojciec zasadniczo ma rację w tym, co powiedział o panie Brightly.

- Przypuszczam, że Violet chciała zrobić coś kontrowersyjnego i właśnie dlatego zainteresowała się panną Brightly - ciągnął ojciec znużonym głosem człowieka, który kolejny raz powtarza to samo; Violet zazwyczaj szukała kontrowersji, co w jej przypadku było czarujące i zatrważające zarazem. - A ty, Miles, co wiesz na temat panny Cynthii Brightly?

Wiem, że przez nią w moich myślach eksplodują fajerwerki poezji jak motyle wyrwijające się na wolność z kokonów. Widzisz? Już tak się dzieje. A jeśli będziemy o niej dłużej mówić, zaraz zacznę przemawiać metaforami i obaj będziemy mocno zażenowani. Czy wspomniałem już, że wygięcie jej dolnej wargi to najbardziej zmysłowa rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu...

- Wydaje mi się, że doszło do zerwania zaręczyn - powiedział to takim tonem, jakby zaręczyny Cynthii Brightly były ozdobą parkową, przewróconą nieumyślnie przez niedbałego jeźdźca. - Uważam, że niestosownie jest na taki temat spekulować.

Nie wspomniał, że tego wieczoru już ją spotkał. Wiedział, że jego ojcu spodoba się użycie słowa „niestosowny”. Celem życiowym każdego Redmonda było unikanie tego, co niestosowne.

- Z pewnością twoja siostra wie, co się stało - stwierdził ojciec.

- Z pewnością. - Chociaż według Jonathana Violet nie miała o tym najmniejszego pojęcia.

- Nieważne. Mówię o tym dlatego, że ze względu na obecność gości Violet będzie wymagała szczególnej uwagi przez te dwa tygodnie. Skoro już musimy podejmować pannę Brightly, to trudno, ale tylko dwa tygodnie, nie dłużej. I nie wydaje mi się, żeby okazywanie jej jakichś

wyjatkowych względów było konieczne - dodał oschle ojciec.

Miles poczuł ukłucie rozdrażnienia. Violet zawsze wymagała szczególnej uwagi, po części dlatego, że ojciec tak ją rozpieszczał.

- Twoja matka zaprosiła lady Windermere - ciągnął Isaiah. - Jak ci wiadomo, przyjeżdżają też lord i lady Middlebough, chociaż ona chyba dotrze tu przed nim. Spodziewam się jeszcze Milthorpe'a, który pewnie będzie rozczarowany, że mnie nie zastanie, i pana Goodkinda, który chce pozyskać mnie do jakiegoś wspólnego interesu. Tak czy inaczej, myślę, że powinienes uważać na siostrę.

- Możesz być spokojny, ojcie. - Miles znał tych ludzi doskonale.

- Dziękuję, synu - odparł spokojnie Isaiah. - Wiem, że wszystkim się zajmiesz, jak trzeba. Przy odrobinie szczęścia wrócimy za dwa tygodnie i spędzimy z gośćmi ostatni wieczór.

Miles niemal fizycznie odczuł, jak ciężar odpowiedzialności przenosi się na jego barki. Zapadła cisza.

- A jak tam twoje badania naukowe?

Zaskakujące pytanie ze strony ojca i w dodatku niezbyt szczerze. Właśnie podnosił do ust kieliszek z brandy.

- Bardzo dobrze. Mówi się nawet o mojej kandydaturze na prezesa Królewskiego Towarzystwa Nauk, kiedy sir Joseph Banks ustąpi.

Kieliszek ojca zastygł w połowie drogi do ust.

Do Isaiaha przemawiał język statusu. Znał sir Josepha Banksa. Wszyscy go znali. Był przyjacielem samego króla. Słynnym przyrodnikiem i odkrywcą. Wykształconym,

szanowanym i wpływowym człowiekiem. A to, że choćby rozważano kandydaturę Milesa jako następcy sir Banksa, świadczyło o tym, jakim on sam cieszy się uznaniem wśród kolegów naukowców.

Miles już dawno temu nauczył się nie przejmować tym, co myśli o nim ojciec, jako że niewiele mógł na to poradzić. Niemniej ta reakcja dała mu niemałą satysfakcję.

- To dobrze - powiedział w końcu Isaiah ze spokojem.

Miles tylko skinął głową.

- W takim razie, synu, życzę powodzenia z gośćmi, no i z Georgią.

To oznaczało koniec rozmowy.

- Dziękuję, ojczu. A tobie szczęśliwej i owocnej podróży.

Isaiah skwitował jego zgryźliwość uśmiechem. On sam nie miał najmniejszych wątpliwości, że podróż będzie owocna.

Lokaj w jaskrawoniebieskiej liberii niepostrzeżenie wsunął się do gabinetu, żeby dopełnić karafkę brandy, a przy okazji podszedł do okna i dłońmi w rękawiczkach zaciągnął ciemnobrązowe aksamitne story.

I nagle Miles ujrzał wyraziste błękitne oczy, a dłonie lokaja stały się jego własnymi - unoszącymi kaskadę ciemnobrązowych włosów. Staął jak rażony gromem. Chryste Panie. To było jak nawrót gorączki.

Zmarszczył gniewnie brwi, spoglądając na odwróconego plecami sługę.

Potem uklonił się ojcu i szybko wyszedł, żeby rozkoszować się tym, że właśnie podano mu na srebrnej rodowej tacy Redmondów to, o czym najbardziej marzył.

3

Następnego ranka Cynthia zeszła na dół, gdzie śniadanie czekało na kredensie pod lśniącymi pokrywami, a kilkoro gości już siedziało nad talerzami przy długim stole. Po wzajemnej prezentacji rozpoczęła się uprzejma, kulejąca rozmowa, która stopniowo nabierała rumieńców, w miarę jak kawa, jajka i wędzone śledzie odpędzały senność i małomówność, a gospodarze subtelnie dawali do zrozumienia, kto ma jaką pozycję społeczną, żeby wiadomo było, jak się do siebie odnosić.

Wśród gości była niejaka lady Windermere, wdowa zaproszona przez panią Redmond, energiczna, korpulentna, lecz przystojna i bardzo głodna, sądząc po prędkości, z jaką jajka znikają z jej talerza. Cynthia, wciąż jeszcze nieco zaspana, z zainteresowaniem przyglądała się rytmicznym ruchom jej ręki: zupełnie jakby ktoś zagarniał łopatą węgiel. Najwyraźniej dla lady Windermere liczyło się przede wszystkim to, żeby śniadanie było pożywne. Zaś niespokojne iskierki w jej szarych oczach sugerowały, że wdowieństwo niezbyt jej przeszkadza w korzystaniu z uroków życia.

Obok niej siedziała trzydziestoletnia może kobieta, lady Middlebough, która „ubolewała” (dziwne tylko, że mówiła o tym nieszczególnie zbolalym tonem), że chwilowo nie było z nimi jej męża. Miał dołączyć za jakiś dzień czy dwa, po czym małżonkowie wybierali się odwiedzić rodzinę w Kelham Cross, we wschodnim Sussex.

Lady Middlebough była ładna, choć jej uroda była dość oczywista: miała ciemne lśniące włosy, które upinała

w wysoką fryzurę, i kuszące krągłości w odpowiednich miejscach. Sądząc po stroju, była też dość zamożna: miała na sobie suknię z mnóstwem falban w modnym odcieniu ciemnej zieleni. Rękawy były długie, dekolt głęboki, a biust właścicielki kreacji - imponujący.

Też wydawała się niespokojna, choć nie miała iskierek w oczach jak lady Windermere. Jej oczy lśniły, ale wyglądała na rozkojarzoną - przesuwiała jedzenie na talerzu, jakby się spodziewała znaleźć pod spodem coś innego, ciekawszego. I co jakiś czas popatrywała na drzwi.

Cynthia była ciekawa, gdzie się podziewa Miles Redmond. Chciała go najpierw poobserwować, zanim zdecyduje, czy aby na pewno jest taki ponury i zamknięty w sobie, jak podejrzewała. W końcu musi opracować jakąś strategię łowiecką, a w tym pomaga obserwowanie ofiary w jej naturalnym środowisku, przyglądanie się, jak się zachowuje wśród innych należących do tego samego gatunku i rodzaju. Rozbawiło ją to porównanie; Milesowi Redmondowi pewnie też by się spodobało, skoro tak kochał owady.

Włożyła dziś sukienkę z białego muślinu, która w uroczy, lecz nie nazbyt skromny sposób otulała jej śliczne ramiona, a pod biustem miała tasiemkę w kolorze błękitu jej oczu. Sama upięła sobie włosy, po czym uwolniła kilka loczków, które wdzięcznie opadały na szyję. Wyglądała wyjątkowo czarująco, kiedy sprawiała wrażenie odrobinę zbałamuconej niewinności.

Tak przynajmniej głośił jeden z wierszy na jej cześć. Nie mogła sobie akurat w tej chwili przypomnieć, kto go napisał. Lord... jakiś tam.

- Nie wiecie, gdzie się podział Miles? - Jonathan stłumił ziewnięcie.

- Och, Miles wstał bladym świtem i z jakiegoś sobie tylko znanego powodu wybrał się na przejażdżkę konną - odparła Violet. - Nie wiem, jak on może tak rano wstawać. A przecież wczoraj był w gospodzie. No ale cóż, nie pije tyle, ile powinien pić mężczyzna w jego wieku.

- Violet! - zachnął się Jonathan, jako że Violet ewidentnie chciała swoją uwagę wywołać oburzenie. Pozostali spojrzeli na nią z zainteresowaniem.

- To przez te Morza Południowe - wyjaśniła. - Był tam przez rok, chorował na febrę i teraz prawie wcale nie pije. Zrobił się strasznie stateczny.

A więc, jeśli wierzyć Violet, Miles Redmond był przesadnie statecznym, niepijącym prawie że inwalidą. Dobry humor Cynthii wyparował.

Lady Windermere przerwała systematyczną konsumpcję.

- W tych egzotycznych krajach kwitnie rozpusta - stwierdziła z przekonaniem. - Gołe dzikuski i tak dalej. Pewnie po prostu znudziło mu się to całe wyuzdanie.

Jonathan się roześmiał, Violet wyglądała na zafascynowaną, a lady Middlebough mruknęła pod nosem coś, co zabrzmiało jak „nie to o nim słyszałam”, po czym zatopiła swoje drobne ząbki w kawałku tosta, odgryzła kęs i zaczęła go przeżuwać z taką pieczołowitością, jakby miała zamiar to robić przez cały dzień.

Cynthia spojrzała na nią uważnie. Czy można się było znudzić rozpustą? I czy Miles Redmond jest w ogóle zdolny do rozpusty?

- Och, nie martw się, siostrzyczko. Ja piję dość za nas dwóch - oświadczył radośnie Jonathan. Podniósł filiżankę z kawą i wychylił ją jednym haustem, po czym skinął na lokaja, prosząc o dolewkę.

Cynthia polubiła Jonathana, ale to nie on był dziedzicem. Poza tym z pewnością nie zamierzał się jeszcze żenić - chociaż był najprawdopodobniej w jej wieku - za bardzo cenił sobie uroki młodości, żeby w ogóle zastanawiać się nad małżeństwem. Przypominał jej rozbrykanego żrebaka. Ale jego mroczna uroda pewnie wkrótce dorówna tej, z której słyszał zaginiony brat, Lyon Redmond.

W tej chwili w drzwiach pojawiła się młoda dama i zatrzymała się nieśmiało. Lady Middlebough szybko zerknęła w jej stronę, po czym odwróciła wzrok i zaczęła przebierać długimi palcami, stukając w filiżankę, jakby grała na flecie. Wyglądało na to, że na kogoś czeka i za każdym razem doznaje rozczarowania. Na męża?

- Georgina! - Violet uprzejmie poderwała się z miejsca. - Ojej, kiedy przyjechałaś? Moi drodzy, pozwólcie, że wam przedstawię: Georgina Mossgate, lady Rutland. Siadaj, proszę, i zjedz coś, zanim Jonathan pochłonie cały bekon.

Inni biesiadnicy, niepewni, jak się zachować, zaczęli wstawać, żeby się uklonić albo dygnąć przed nowo przybyłą.

- Och, proszę nie wstawać. - Georgina wydawała się zażenowana tym, że pobiegło w jej stronę tyle spojrzeń. - Przyjechałam wczoraj późno wieczorem i wszyscy oprócz służby już spali. Piękna mamy dzisiaj pogodę, nieprawdaż? Mój pokój jest uroczy. Mam z okna widok na jezioro. Jest takie błękitne. Zupełnie jak niebo dzisiaj, prawda?

Z nerwów język jej się plątał. I nic dziwnego: kilka kobiet obserwowało ją z ciekawością i nie w każdym przypadku ta ciekawość była życzliwa. Lady Georgina nie była dziewczyną, lecz kobietą - jej krągłe kształty

wypełniające jasną muslinową suknię nie pozostawiały pod tym względem wątpliwości - ale miała niewinną, łatwowierną twarz osoby, której niczego w życiu nie brakowało i której nikt nigdy nie skrzywdził, wobec czego świat był w jej oczach bezkonfliktowym, przyjemnym miejscem i nie wyobrażała sobie, żeby mogło być inaczej.

Miała w sobie spokój - widoczny w jej gładkim czole, jasnoszarych oczach, rzęsach i brwiach jedynie o ton ciemniejszych niż cera - który Cynthia miała ochotę naruszyć. Zorientowała się, że jest względem nieznajomej nieżyczliwa, ale szybko sobie wybaczyła, bo uznała, że to naturalny odruch. Nienaruszone powierzchnie muszą kiedyś zostać skalane: w końcu ktoś musi pierwszy zanurzyć łyżkę w pięknie wyrośnięty pudding i podeptać świeżo spadły śnieg; jedno i drugie przynosi satysfakcję. Lady Georgina prawdopodobnie była miłą, kompletnie niezajmującą osobą.

- Nasze rodziny przyjaźnią się od ponad dziesięciu lat.
- Violet w ten sposób skwitowała obecność lady Georginy po tym, jak już wszyscy inni zostali jej przedstawieni (lady Windermere i Middlebough zostały opisane jako „serdeczne przyjaciółki mojej matki”, a Cynthia jako „serdeczna przyjaciółka z Londynu”). Jonathan najwyraźniej nie wymagał prezentacji, ale i tak wstał i się uklonił.

Cynthia z lekkim napięciem czekała, jak lady Georgina zareaguje na dźwięk jej nazwiska. Możliwe, że to jej blade czoło, a do tego jasne brwi i rzęsy maskowały subtelności mimiki twarzy. Jednak reakcje, takie jak otwarte usta czy wytrzeszczone oczy, zazwyczaj były wyraźnie widoczne, pocieszyła się więc myślą, że być może lady Georgina nie była jeszcze w tym roku w

Londynie i nie miała żadnej dobrze poinformowanej sąsiadki, która opowiedziałaby jej wszyściutko na temat Cynthii Brightly.

Lokaj wysunął krzesło i Georgina dosiadła się do stołu.

- Jesteśmy już prawie w komplecie, brakuje tylko panów. Argosy powinien dotrzeć przed południem, przysłał posłańca z gospody w Monkton. Milthorpe właśnie odprowadza konia do stajni. Rozczaruje się, że ojca nie ma, to pewne jak dwa a dwa cztery - stwierdził Jonathan ze złośliwym zadowoleniem.

- Zaplanowaliśmy popołudniowe spotkanie w salonie, żeby wszyscy mieli okazję się poznać - oznajmiła słodko Violet. - Do tego czasu każdy już pewnie ochłonie po podróży.

Miles miał lekkie wyrzuty sumienia, że nie pojawił się na śniadaniu - „ucieczka” była najwłaściwszym słowem, żeby opisać to, co zrobił i z czego nie był dumny - a zamiast tego wziął Ramsaya na długą przejażdżkę po błoniach. Ale okazało się, że dobrze zrobił, bo jazda konna i piękna pogoda znakomicie poprawiły mu nastrój, a jego myśli pożeglowały przez ocean ku Lacao, kiedy tak galopował przez park i na wzniesienie, z którego widać było kanał La Manche, szary i falujący łagodnie w oddali. Pomyślał o statkach, które zapewni mu majątek lorda Rutlanda, i o listach, które rozesłał po całym kraju do znanych przyrodników, ludzi, których podziwiał całym sercem.

A kiedy mu odpiszą, z jak głęboką satysfakcją będzie im mógł oznajmić, że już niedługo zrealizuje kolejne przedsięwzięcie na skalę, o jakiej wcześniej żadnemu z

nich nawet się nie śniło. Oczywiście, gdy tylko ożeni się z lady Georgią.

Odprowadził Ramsaya do stajni i wszedł do domu, brudny, spocony i pełen satysfakcji z podjętej decyzji. Przemył tors namydloną ściereczką i ciepłą wodą, żeby usunąć ślady końskiego zapachu; następnie dał się gładko ogolić służącemu, a kiedy włożył nieskazitelny, świetnie skrojony frak, świeży fular i lśniące wysokie buty, był już gotów stawić czoła własnej przeszłości.

Salon, w którym goście spotkali się po południu, był zbyt wypełniony meblami i dywanami, żeby zmieścić w sobie echo, choć ściany wznosiły się ku sufitom wysokie i białe niczym klify Dover. Fantazyjnie wygięte sofy obite pasiastą kremowo-brązową tkaniną rozpierały się dumnie pomiędzy wykwintnymi krzesłami o złożonych nogach.

W obydwu olbrzymich kominkach, których gzymsy zdobiły wymyślne motywy roślinne - orzechy, winorośle, dorodne warzywa i owoce - buzowały płomienie, które wraz z nowoczesnymi lampami gazowymi Isaiaha Redmonda, kulami delikatnego światła ustawionymi na stolikach, spowijały pomieszczenie ciepłym blaskiem. Stiuk pod sufitem, okalający pomieszczenie niby szeroki mankiet, powtarzał motywy przedstawione na kominkach.

Zapalono także dwa kandelabry w kształcie splełanych gałązek brzoźowych. Marnotrawstwo światła i ciepła, ale przecież Redmondowie mogli sobie na to pozwolić. W pokoju wyczuwało się namacalnie historię rodu i atmosferę redmondowskiego bogactwa, tak jak w kościele zwykle czuje się ducha modlitwy i skupienia.

Ale Miles przypomniał sobie, że był to ten sam pokój, w którym z Lyonem bawili się w żołnierzy, kryjąc się za sofami i mierząc do siebie z muszkietów zrobionych z

pogrzebaczy, i w którym udawali kiedyś, że pokryty beżowymi, brązowymi i bordowymi wzorami dywan to ocean wrzącej lawy (wymyślił to Miles; akurat przeczytał coś na temat wulkanów i lawy) i nie można po nim chodzić.

Dlatego musieli przemieszczać się po pokoju, skacząc z krzesła na szeslong, potem na stół, znowu na szeslong i na kolejne krzesło - i tak aż do chwili, kiedy zostali na tej zabawie przyłapani. Jak było do przewidzenia, skacząc po pokoju, stracili popiersie jakiegoś poważnego nieznanego o nieobecny spojrzeniu. Miles nigdy nie mógł zrozumieć, po co się robi popiersia. Tamto spadło na podłogę i niestety nie odbiło się od niej. Roztrzaskało się w drobny mak.

Co ciekawe, nie dostali lania. Zamiast tego ojciec uznał za stosowne udzielić im pierwszej lekcji ekonomii: objaśnił im wartość, pochodzenie i kruchość każdego przedmiotu w salonie, uzmysłowił, jaką te rzeczy mają wagę dla ich rodziny i co to znaczy być Redmondem. Już wtedy Miles czuł, że ciężar historii, ciężar odpowiedzialności za nazwisko przytłacza go niczym zbroja.

Teraz zarówno obcy ludzie, jak i starzy przyjaciele domu zbili się w grupkę po jednej stronie tego pokoju, który przywołał tyle wspomnień. Ostatni zjawił się lord Milthorpe, sąsiad z Sussex, członek Klubu Merkuriusza i przyjaciel jego ojca, który miał się u nich zatrzymać na kilka dni, żeby omówić z Isiahem jakieś interesy.

Dokładnie tak jak przewidział to ojciec, miał mocno nietęgą minę, zupełnie jakby dywan rzeczywiście był rozlaną lawą, która zaraz zacznie lizać jego stopy. Biedak nastawiał się na męskie rozmowy z Isiahem, a tymczasem

trafił na zjazd plotkujących dam, do ręki zaś dano mu filiżankę o połowę mniejszą od jego dłoni.

Wcześniej od niego dotarł Anthony Cordell, lord Argosy, jedyny syn wicehrabiego i wieloletni przyjaciel rodziny, szczególnie zżyty z Jonathanem. Pograżony w nieróbstwie dziedzic wiekowej fortuny był znudzony życiem chyba już od urodzenia. Na jego korzyść przemawiał fakt, że nie zrobił jeszcze nic szczególnie nagannego, żeby poczuć dreszczyk emocji - zajmowały go zwyczajne męskie rozrywki: hazard, kobiety, pięściarstwo i strzelanie.

Argosy'emu nie brak było inteligencji, istniała więc szansa, że w końcu wyrobi sobie charakter, o ile tylko będzie miał motywację. Nie można było powiedzieć, że prowadzi rozwiązłe życie, ale naprawdę niewiele mu do tego brakowało. Miles pomyślał, że Argosy potrzebuje jakiegoś pożytecznego zajęcia. Ale nie zamierzał przejmować się młodym lordem, jeśli ten nie będzie sprowadzał na złą drogę Jonathana. Albo Violet.

Oprócz nich były tam cztery kobiety: siostra, której musiał pilnować; lady Middlebough, z którą bardzo chciał porozmawiać na osobności; lady Georgina, świeża i nieskazitelna aż do niemożliwości, która udawała, że nie gorszy jej historia właśnie opowiadana przez Violet. Powinien zacząć się do niej zalecać. To nie będzie specjalnie trudne, uznał, patrząc na nią w tej chwili. No i wreszcie była ta, która...

Zastygł w bezruchu. Ta, która po prostu... przy której chciałoby się ogrzać dłonie jak przy ogniu. Jej ciemnozielona suknia miała niewymyślny krój: prostokątny dekolt i krótkie rękawy bez falban. Wydawać by się mogła zaskakująco skromna, gdyby nie zewnętrzna warstwa z

eterycznego tiulu, w którym migotały jakieś iskierki. Miles nie znał się na krawiectwie i nie potrafił powiedzieć, skąd się brały te rozbłyski. Mógł za to powiedzieć, że całość wyglądała jak łąki w Sussex o świcie, kiedy schodzi z nich mgła i rosa lśni w porannych promieniach słońca... Dobry Boże, znowu zaczynał myśleć wierszem.

Zmarszczył gniewnie brwi, żeby odpędzić sentymentalne myśli.

W tym momencie Cynthia Brightly podniosła głowę, jak gdyby dosłyszała dudnienie grzmotu, zobaczyła jego gniewny grymas i uśmiechnęła się lekkim, ciepłym uśmiechem. Jak promień słońca, który rozgania mgłę i nagrzewa łąki, tak że zapach ciepłej wiosennej trawy unosi się...

Ta przeklęta dziewczyna jest zbyt pewna własnego uroku.

Nie bez wysiłku Miles zapanował nad sobą i przyjął bliżej nieokreślony wyraz twarzy. Nieznacznie odwrócił przy tym głowę, udając, że właśnie spoglądał ponad jej ramieniem na swoją siostrę, Violet. Niezrażona tym panna Brightly również powoli odwróciła głowę, pozbawiając go ciepła swojego uśmiechu. Powiedziała coś do Violet, która roześmiała się i przyjaźnie poklepała ją po ramieniu.

Miles znowu zaczął marszczyć brwi, ale w porę się powstrzymał. I zajął się tym, co robił zawsze, kiedy czuł się niepewny: obserwacją.

Panna Brightly nie poświęcała rozmowie całej swojej uwagi, choć pewnie tylko on jeden to spostrzegł. Na pozór niedbale omiatała wzrokiem całe pomieszczenie, ludzi i sprzęty, obserwując podobnie jak on: jej wzrok padł na Milthorpe'a, Argosy'ego, Jonathana, na lampy i meble. Miał wrażenie, że rejestruje wszystko i wszystkich, zupełnie tak

samo, jak księgowy jego ojca: zapelniając kolumny wadami i zaletami, dodając i odejmując, wyciągając wnioski i decydując, gdzie najlepiej zainwestować swoje wdzięki.

Wstała i ruszyła w jego kierunku.

Miles zrobił krok w stronę Milthorpe'a, ale nie był w stanie iść dalej. Więc czekał. Podniosła oczy, a na jej uroczej twarzy pojawił się wyraz nieznacznego zdziwienia, że ktoś stoi na jej drodze. Trzeba przyznać, że świetna z niej aktorka.

- Dzień dobry, panie Redmond. Brakowało pana przy śniadaniu.

Bezpośrednie i rozbrajające. Ale jego nie rozbroi.

- Dzień dobry, panno Brightly. Mam nadzieję, że jak na razie dobrze się pani u nas czuje. Dlaczego mówi pani, że mnie brakowało? - Naśladował jej ton głosu tak doskonale, że mogła to odebrać jako drwinę.

Jeśli zauważyła, nie dała tego po sobie poznać.

- Jest mi tu bardzo dobrze, dziękuję. - Rozpromieniła się w uśmiechu. - Dom jest przepiękny. A przy śniadaniu kilka osób pytało o pana, stąd moje przypuszczenie. Niektórzy twierdzili nawet, że znużyło pana rozpustne życie na egzotycznych wyspach Mórz Południowych i postanowił pan zostać abstynentem.

Jej twarz miała w sobie tyle życia. Spod niewinnej minki raz po raz przebijały się iskierki uroczej żartobliwej złośliwości, zupełnie jak te błyskotki złapane w sieć jej sukienki. W dodatku takie słowa jak „rozpusta” padające z ust atrakcyjnej kobiety były bardzo pociągające. Gdyby wypowiedziała je inna atrakcyjna kobieta - na przykład lady Middlebough - być może skierowałby rozmowę na grunt obiecujących dwuznaczności.

Do niej powiedział co innego.

- Musi się pani czuć w tym salonie jak na aukcji szlachetnych rumaków, panno Brightly. Cóż za interesujący wybór kawalerów. Jak też się pani zdoła na któregoś z nich zdecydować?

Panna Brightly zeszywniała. Na moment zapadła między nimi niezręczna cisza. Po czym uniosła ku niemu głowę, ostrożnie, powoli, jakby miała na niej filiżankę gorącej herbaty. Świadoma wielkiego niebezpieczeństwa.

I spojrzała - prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu naprawdę spojrzała - prosto w jego twarz. To, co tam zobaczyła, sprawiło, że niepewność i nagłe zrozumienie przemknęły przez błękitny bezkres jej oczu tak szybko jak para polujących sokołów. Ale już po chwili to wrażenie zniknęło i znowu patrzyła na niego oczami niewinnymi jak pola niezapominajek.

A więc nie była wcale taka głupia. To niedobrze, bo wolałby odkryć, że jest mniej interesująca, niż mu się wydawało, a nie bardziej.

- Proszę mi wybaczyć, panie Redmond, ale nie wiem, o czym pan mówi.

- Ależ panno Brightly - mruknął zachęcająco. - W końcu jestem jednym z pani gospodarzy. Nalegam, żeby mi się pani zwierzyła. Przecież szuka pani kawalera do wzięcia, nieprawdaż? Po cóż innego przyjeżdżałaby pani do Sussex? A może już sobie pani któregoś upatrzyła?

Jej twarz zastygła w bezruchu. Za to w oczach tlił się płomień, jakby całą siłę swoich myśli chciała wyrazić za pomocą jednego spojrzenia. Wydawało mu się, że złowił uchem jakiś nerwowy szelest. Ach, tak: jeden rzut oka powiedział mu, że ukradkiem zacisnęła dłonie na materiale sukni.

- Jeśli zdradzi mi pani nazwisko owego szczęściarza, być może będę mógł dostarczyć ciekawych informacji na jego temat. - Zrobił minę usługowego sklepikarza. - Jako gospodarz czuję, że jest to moim obowiązkiem...

- Panie Redmond. - Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Jakby chciała go obronić przed nim samym. - Bardzo chętnie z panem porozmawiam, ale muszę przyznać, że nie nadążam za pana tokiem myślenia. Mówi pan rzeczy, których zupełnie nie rozumiem.

Jej twarz była maską niewinności, ale oczy nadal płonęły. Rozumiała doskonale. Westchnął ciężko.

- No dobrze, panno Brightly. Wybaczy pani, ale zanudzę nas oboje, tłumacząc rzeczy najzupełniej oczywiste. Proszę pamiętać, że pani sama mnie do tego zmusiła. Więc cóż my tu mamy: nie jest pani pozbawiona uroku, a jednak zjawia się na wsi, na tym przyjęciu, bez męża czy choćby narzeczonego. A z tego, co słyszałem, miała pani dość imponującego narzeczonego, hrabiowskiego dziedzica. Courtlanda, o ile się nie mylę? Co z kolei każe mi sądzić, że w Londynie wydarzyło się coś raczej niefortunnego, co doprowadziło do zerwania zaręczyn... - Podniósł oczy na gipsową rozetę na suficie. - Czyżby pojedynek?

Znowu spojrzął na nią.

Zacisnęła mocno szczęki; w jej oczach zebrały się burzowe chmury, a ich błękit groźnie pociemniał. Cynthia Brightly była najwyraźniej rozzłoszczona. Nie zdziwiło go specjalnie, że i ze złością było jej bardzo do twarzy. Poza tym jej wzburzenie było mu na rękę.

- Widzę, że się nie pomyliłem - oznajmił radośnie. - Mam mówić dalej?

- Panie Redmond... - Jej oczy błysnęły na lewo i prawo, na krótką chwilę zatrzymując się z tęsknotą na lokaju, który właśnie przechodził do drzwi, niosąc tacę pełną maleńkich kieliszków z resztkami sherry na dnie. Ciekawe, czy to na sherry tak tęsknie patrzyła, czy może tak jak lokaj chciała się wydostać z salonu.

- Ale, ale, panno Brightly. Prosiła pani o wytłumaczenie. Jako naukowiec nie znoszę pobieżnych objaśnień. Więc będę dokładny. Domyślam się, że ten skandal, który zostawiła pani za sobą w Londynie, jeśli to coś tak poważnego, że doprowadziło do zerwania zaręczyn, wkrótce dogoni panią i tutaj, bo burzowe chmury mają to do siebie, że pędzą z wiatrem i naiwnie byłoby sądzić, że nie dotrą do Sussex. A więc jest pani dosłownie o krok przed nimi. Przypuszczam, że w ogóle nie przyjechałaby pani do nas, gdyby nie to, że to pani ostatnia szansa na dobre zamążpójście, jako że pani reputacja lekko się, można powiedzieć... wytarła. - Nachylił się do niej poufale. - Bo i nie ma co ukrywać, mocno ją pani nadwerężyła przez ostatni sezon.

Na jej rozgniewanej twarzy pojawiło się coś na kształt zaskoczenia. Cienkie brwi niemal stykały się nad nosem, a te niesamowite błękitne oczy badały go spojrzeniem jubilera pochylonego z lupą nad podejrzanym diamentem. Szukając ukrytych wad, sprawdzając autentyczność.

Pozwolił jej na chwilę ciszy; pozwolił na te oględziny.

Sam nie wiedział, jakiej odpowiedzi oczekiwał, ale świetnie się bawił tym, że mówił rzeczy, których ona się nie spodziewała.

Już prawie zwątpił, że coś powie, kiedy wreszcie się odezwała.

- Nie gustuje pan w ambitnych kobietach, panie Redmond?

Aż cofnął się na te słowa, zaskoczony. A nawet... dziwnie podekscytowany.

Nigdy mu się nie śniło, że tutaj, w samym środku wspaniałego ojcowskiego salonu letniego, w otoczeniu rozbawionych gości, będzie robił coś, co w towarzystwie zupełnie nie uchodziło: Prowadził autentyczną, szczerą rozmowę z kobietą.

Nagrodził ją skinieniem głowy, jakby była uczennicą, która pomyślnie zdała egzamin.

- Wręcz przeciwnie - wyznał konspiracyjnym szeptem. - Pochwalam ambicję. Sam się nią w życiu kieruję. A małżeństwo to przecież zasadniczo związek interesów, nieprawdaż? Tak uważają ludzie rozsądni. Każdy powinien się starać zawrzeć możliwie najkorzystniejsze małżeństwo, o ile tylko pozwalają na to wrodzone i nabyte zalety. Cała ta otoczka romantycznej miłości to prosty przepis na katastrofę. A przynajmniej na rozczarowanie. Zupełnie zbędne. Zgodzi się pani ze mną? Coś mi mówi, że tak.

Przez czoło panny Brightly przemknął cień niepewności, a po nim błysk ostrożnego optymizmu. Widać było, że się zastanawia, czy zwiększy swoje szanse u niego, jeśli będzie przytakiwać.

Uwolnił ją od niepotrzebnego napięcia.

- Ja sam też mam w planach małżeństwo i tak sobie pomyślałem, że moglibyśmy się wymieniać spostrzeżeniami. Na przykład dla mnie doskonałą kandydatką wydaje się lady Georgina, jako że ma oszałamiającą fortunę i szacowny tytuł, pochodzi z dobrej rodziny, a związek z nią ucieszyłby moich rodziców i na

stałe połączył dwa wspaniałe rody. Jako spadkobierca Redmondów nie mogę sobie pozwolić na małżeństwo z kobietą, która nie byłaby bez zarzutu pod względem pochodzenia, majątku czy charakteru, bo ryzykowałbym swoją pozycję i zlekceważył życzenie ojca. Ale taka inteligentna osoba jak pani na pewno się już tego domyśliła. Tak więc możemy śmiało współpracować przez te dwa tygodnie, bo nie ma mowy o małżeństwie między nami.

Zrozumiała. Usta jej pobieleły w kącikach, tyle wysiłku kosztowało ją uśmiechanie się; oddychała płytko. Niebieskie oczy pociemniały od najczystszeo gniewu. Powoli odwróciła od niego twarz. Chwilę później przełknęła.

Przez jakąś sekundę czy dwie stanowili wysepkę idealnej ciszy i bezruchu pośród śmiechu i rozmów dookoła. Podejrzewał, że już go znieawidziła.

Nienawiść, powiedział sobie, jest lepsza niż obojętność. Teraz przynajmniej na pewno go dostrzegała. Rosnące napięcie sprawiło, że zacisnęły mu się mięśnie brzucha. Miał dziwne wrażenie, że podczas całej tej rozmowy naciągał jakiś niewidoczny łuk, którego naprężona cięciwa dygotała teraz pod jego dłonią.

- Ależ panno Brightly... Mógłbym pani zdradzić co nieco na temat tych dzentelmenów. To znacznie ułatwiłoby pani polowanie na dobrego męża. Mógłbym... pomóc pani dokonać wyboru. Wskazać istotne szczegóły. Podpowiedzieć, jak wykorzystać pani, za pozwoleniem, atuty w sposób, który doprowadzi panią do upragnionego celu.

Szybkim ruchem odwróciła się do niego. Spojrzenie miała twarde i cyniczne.

- I zrobi pan to wszystko ot tak, z dobroci... serca...
panie Redmond?

Słowo „serce” wypowiedziała z sarkastycznym powątpiewaniem, jakby podawała w wątpliwość, czy on w ogóle je posiada. Z zadowoleniem skinął głową i uniósł brew.

- Rzadko zdarza mi się robić coś z dobroci serca. Bo jaka w tym logika? A ja jestem człowiekiem logicznym, człowiekiem założeń, planowania i celów. Przypuszczam, że akurat pani dobrze to wszystko rozumie, prawda, panno Brightly?

Rozumiała doskonale; łagodne rysy jej twarzy stężały w cynicznym grymasie.

- Ach tak. W takim razie czego pan oczekuje w zamian za swoje cenne informacje, panie Redmond?

Cięciwa puściła, zwalniając strzałę.

- Pocałunku.

No cóż. Sądząc po tym, jak Miles Redmond nagle znieruchomiał, z pewnością sam siebie zszokował tak samo jak ją. Ale nie cofnął tego słowa ani nie przeprosił. Zamiast tego przyglądał jej się uważnie.

Cynthia wbiła wzrok w swojego dręczyciela: szeroki w barach i potężnej postury nie miał tak szczupłej sylwetki jak jego brat Lyon, ale też nie był zwalisty czy niezgrabny. Duże dłonie o długich palcach spoczywały bez ruchu na udach. Większość mężczyzn, jak zauważyła, zdradzała wewnętrzny niepokój nerwowymi ruchami rąk: bawili się guzikami albo postukiwali palcami o uda, podczas gdy ich usta wypowiadały słowa, które miały ją oczarować. Ten mężczyzna był nieruchomy, ale jego bezruch nie był nienaturalny. Wypływał ze skupienia. To na niej tak się skupiał. Czują namacalnie, jak otaczają swoją uwagę. Jakby na świecie istnieli tylko oni dwoje.

No i te okulary, które zwykle u mężczyzn wydawały jej się śmieszne. Ale jego ciemne oczy za szklami miały w sobie coś wyjątkowego, niby drzwi do sekretnych, mrocznych pomieszczeń: przywoływały i skrywały w sobie tajemnicę; zapraszały i niepokoiły. Jego twarz była pociągła, a nos... okazałych rozmiarów - niestety nie dało się tego inaczej opisać - zaś szczęka miała obrys tak równy i elegancki, jakby został wytyczony linijką. Włosy, dłuższe niż należało, opadały miękkimi puklami na dość wysokie czoło, za którym zapewne kryła się cała masa jego nadzwyczaj istotnych przemyśleń.

W odruchu obronnym nawet w myślach nie szczędziła mu sarkazmu.

Ale jego usta... Były w tej twarzy przybyszem z krainy zmysłowości: mocne, szerokie, pięknie zarysowane. Podobnie jak w jego oczach, kryła się w nich sugestia. Sugerowały mianowicie, że Miles Redmond potrafi ich użyć do celów innych niż tylko jedzenie oraz nękanie gości. Przypomniały jej się nagie dzikuski i egzotyczna kraina rozpusty.

Przerwał jej zamyślenie.

- Zakładam, że ktoś już kiedyś panią całował, panno Brightly?

Te nieznośne usta dalej ją dręczyły. Ale powiedział to tonem pełnym uprzejmego poszanowania, jakby był lokajem podsuwającym jej tacę ze słodkościami.

To pewnie dlatego dotąd unikała mężczyzn w okularach, pomyślała z goryczą. Jakiś rodzaj instynktu samozachowawczego. Bo ten... naukowiec - w jej umyśle to słowo nabrało pogardliwego odcienia - ten bogaty nierób i spadkobierca - zawahała się przy tym ostatnim słowie, bo trudno było myśleć pogardliwie o czymś, co dotąd było jej ulubioną cechą u mężczyzn - jakoś zdołał wywęszyć niepochlebną prawdę o niej.

Częściowo go za to podziwiała. Było w tym coś na kształt uderzającej do głowy ulgi: ktoś ją rozumiał. Ale zaraz się przestraszyła: czy był jedynym, który potrafił to dostrzec? Na moment odwróciła wzrok od jego ciemnych oczu ukrytych za szklami. Musiała się otrząsnąć. Ale wciąż widziała go przed sobą, zupełnie jak wtedy, kiedy spojrzył się w słońce i jego obraz zostaje pod powiekami, nawet gdy zamkniemy oczy.

Uznała, że tylko on. On jeden przejrzał ją na wylot.

Będzie musiała postępować bardzo ostrożnie.

- Plotka głosi, że jest pan dżentelmenem, panie Redmond. Człowiekiem... honoru. - Miała nadzieję, że pochlebstwo skłoni go, by jej pomógł dla samej satysfakcji z dobrego uczynku.

Zgasił jej nadzieje.

- Plotka, tak? - W jego głosie zabrzmiało rozbawienie. - Nie sądzę, żebym kiedykolwiek był bohaterem czegoś tak interesującego jak plotka. Zwłaszcza na temat honoru. Proszę sobie oszczędzić fatygi, zwłaszcza że tak dobrze nam już szło. Proszę powiedzieć to, co ma pani do powiedzenia, i zakończmy negocjacje.

Westchnęła, udając znudzoną.

- Niech będzie, panie Redmond. Chciałam powiedzieć, że nie rozumiem pana motywacji. Chodzi mi o to, że jak przed chwilą ustaliliśmy, porywy serca nie leżą w pańskiej naturze. A jeden pocałunek jako zapłata za informacje wydaje mi się dość romantycznym, a nawet osobliwym pomysłem.

Chwilę trwało, nim na jego twarzy pojawił się uśmiech; rozszerzał się z wolna, żeby wreszcie zastygnąć.

- Osobliwy. - Powtórzył to słowo, jakby było niezwykle w smaku i konsystencji. Dziwaczne.

Równie powoli zwrócił na nią spojrzenie.

- Mnie pani jeszcze nie całowała, panno Brightly. Cynthia wstrzymała oddech.

Ich oczy się spotkały. Powiedział to cicho, spokojnie i z zatrważającą pewnością siebie. W oczach miał tę samą pewność. Wyczuwała ją nerwami u podstawy pleców: była przyjemna jak dotyk surowego jedwabiu albo zarost drapiący o policzek. Chciała dalej słuchać tego głosu, choć mówił takie okropne rzeczy. Odetchnęła głęboko.

Teraz już zaczynała się go bać. Bo przyczyną, dla której mogła porównywać głos Redmonda do drapiącego zarostu, było to, że czasem późną nocą, po jednym czy drugim balu zdarzało jej się czuć na delikatnym policzku szorstką szczecinę, gdy ten czy ów młodzieniec drżący z zachwytu i uwielbienia wyciskał na jej ustach pocałunek. Ale Cynthia była ostrożna w rozdawaniu pocałunków i miała swoje powody: piękna, lecz biedna dziewczyna mogła utrzymać mężczyzn na dystans, a jednocześnie zachować nadzieję na dobre zamążpójście tylko wtedy, kiedy wiadomo było, że jej cnota pozostawała nietknięta.

Choć mimo wszystko lubiła być całowana.

Lecz jeszcze do tej pory żaden pocałunek nie zwyciężył głęboko w niej zakorzonego pragmatyzmu i instynktu samozachowawczego.

Czuła, że wzbiera w niej furia. Pomimo tych swoich okularów, talentu do szermierki słownej, wyjątkowego zmysłu obserwacji, a także fortuny i wyniosłości Redmond w głębi duszy nie różnił się niczym od innych.

Po prostu chciał skraść całusa pięknej kobiecie. Chciał ją pocałować. Bo pewnie żadna piękna kobieta z własnej woli by się na to nie zgodziła.

Już ona mu pokaże.

- Zanim przychylę się do pańskiej prośby, panie Redmond, będę potrzebowała dowodu, że pana informacje rzeczywiście mi się przydadzą.

Redmond znieruchomiał, jakby dostał cios w zębra. Ha! Pomyślała tryumfalnie.

Ale on za moment wziął oddech, zrobił minę pełną namysłu i skinął głową, wypuszczając powietrze. Nieznacznym ruchem głowy wskazał jej rumianego mężczyznę w kosztownym ubraniu, tak kanciastej postury,

że filizanka w jego ręku wydawała się krucha jak jajko. Udawał, że bawi go rozmowa z lady Windermere, która trajkotała z ożywieniem.

- Lord Milthorpe - Miles mówił cicho i rzeczowo - jest markizem Blenheim. To dość stary tytuł. Wart dwadzieścia tysięcy funtów rocznie - urwał na chwilę, jakby chciał dać Cynthii czas na zachłyśnięcie się tak ogromną sumą. - Sprytnie inwestuje. Jest członkiem znanego Klubu Merkuriusza: przyjechał tu, żeby porozmawiać z moim ojcem, i zostanie aż do jego powrotu. Wdowiec. Dwie olbrzymie rezydencje, jedna w Londynie, druga w Sussex. Nie odrzuca myśli o kolejnym małżeństwie, ale podejrzliwie traktuje kobiety polujące na bogatego męża. Woli wieś niż miasto. Na miejscu będą skromne, dziewicze rumieńce. Warto też porozmawiać z nim o psach.

Błyskawicznie odwrócił głowę i złowił jej wzrok z szybkością drapieżnika.

Na tyle szybko, niestety, że akurat zobaczył na jej twarzy zdumienie, nadzieję i głód, których nie zdążyła ukryć pod maską obojętności. Podły.

Ale właśnie takie informacje były jej desperacko potrzebne. O ileż łatwiej mogłaby osiągnąć cel, gdyby dysponowała taką wiedzą.

Oboje patrzyli na lorda Milthorpe'a, który rzucał żalodne spojrzenia porcelanowej filizance, jakby był pewien, że wcześniej czy później ją stłucze i już zawczasu składał milczące przeprosiny.

- Kiedy się pani ostatnio rumieniła, panno Brightly? - odezwał się nagle Miles z autentycznym zaciekawieniem w głosie.

- Rumieńce są dobre dla naiwnych idiotek. - Cynthia w rozdrażnieniu przestała nad sobą panować.

Zmarszczył brwi i pokiwał głową, zupełnie jakby powiedziała coś wyjątkowo mądrego.

Rozpaczliwie szukała zajęcia dla rąk i przeklinała chwilę, w której odstawiła swoją filiżankę na jeden z tych małych lśniących stoliczków. Na drugim krańcu tego grubego, arystokratycznego dywanu pokrytego rozmazanymi wzorami istniał zupełnie inny świat: Violet Redmond śmiała się wesoło z jakiejś błahostki, lady Georgina, kobieta godna spadkobiercy Redmondów, siedziała skromna i nietknięta, zaś lady Middlebough z jakiegoś powodu wbijała w Milesa spojrzenie swoich wielkich ciemnych oczu.

A złotowłosego młodzieniec o płomiennym wejrzeniu udawał, że wcale nie patrzy na Cynthię. Aha! To zasługiwało na uwagę. Ciekawe, co Miles o nim wie.

A niech to.

Znowu spojrzała na swojego dręczyciela. Wyglądało na to, że świetnie się bawi jej kosztem. Widział, co ją tak zainteresowało.

- Wcale nie chcę pana całować, panie Redmond. - Z przerażeniem stwierdziła, że nie panuje nad swoim głosem.

- Ale wydaje mi się, że i tak pani to zrobi. Znowu ta rozbawiona, przekłeta pewność. Odwróć się i odejść, nakazała sobie.

Niestety stopy najwyraźniej przestały słuchać rozkazów głowy.

Spojrzała na niego ze sztucznym uśmiechem. Oczy, nos, okulary, usta, sylwetka: wszystko razem oznaczało, że w innych okolicznościach nie zaszczyciłaby go nawet przelotnym spojrzeniem. Ale teraz zdała sobie sprawę, że

to on sam o tym decydował. Jeśli ktoś nie zauważał Milesa Redmonda, to tylko dlatego, że on nie chciał być przez tę osobę zauważony.

- Mogę pani powiedzieć podobne rzeczy o każdym mężczyźnie w tym pokoju, panno Brightly. Ktoś taki jak pani na pewno potrafi dobrze te informacje wykorzystać. - Wciąż to diaboliczne, ciche rozbawienie. - Byłaby wielka szkoda, gdybym nie mógł się nimi z panią podzielić. Ja w każdym razie podałem swoją cenę. Jeśli pani skinie głową, to od razu możemy dobić targu. A jeśli pani pokręci głową na „nie”, to już nigdy o tym nie wspomnę i pozostanie mi tylko życzyć pani miłych łowów.

Serce Cynthii waliło boleśnie. W ustach jej zaschło.

Jeden pocałunek. Jeden jedyny pocałunek mógłby jej pomóc w zapewnieniu sobie przyszłości albo zrujnować reputację, jeśli ten człowiek nie będzie umiał trzymać języka za zębami. Pomyślała o swojej chudej sakiewce leżącej w szafie i o złośliwej staruszce na wózku w Northumberland; pomyślała o swojej dumie, która nie pozwalała jej się pogodzić z myślą o pracy zarobkowej ani porzucić marzenia o korzystnym mariażu.

Miles w ramach ostrzeżenia odsunął się od niej o jeden mały, niecierpliwy kroczek.

A obiecywała sobie, że będzie się przyzwoicie zachowywać. Ze nie będzie nikogo zachęcać do żadnych wybryków, choćby nadarzała się wspaniała okazja. Ze będzie się pilnować, by nikt się przez nią nie strzelał. I nie będzie lekkomyślnie kłaść swojej przyszłości na szali, niezależnie od tego, jak bardzo szczęście jej niegdyś dopisywało, bo tak niewiele już miała do stracenia. Dosłownie i w przenośni.

Ale czy to jej wina, że ryzyko samo ją znajdowało?

Nie rób tego. Nie rób tego.

Przypięczutowała swój los ledwo widocznym skinieniem głowy. - Wnęka w korytarzu - powiedział natychmiast rozkazującym tonem. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. No cóż.

Zauważyła, że kieruje się w stronę korytarza, do którego przylegały inne pomieszczenia.

Wymknął się tak niepostrzeżenie, że nikt nie zwrócił na niego uwagi. Lady Windermere dalej trajkotała bez ustanku. Podbródek lorda Milthorpe'a wskazywał okno niczym kurek na dachu; pewnie wolałby być na zewnątrz niż siedzieć tutaj. Violet chichotała, rozmawiając z kuzynem, szczęśliwie nieświadoma tego, że zaraz jej brat pocałuje jej gościa. Cynthia wyślizgnęła się z salonu w ślad za Milesem, a serce dudniło jej w piersi jak młotem. Nigdzie nie było go widać.

Zaraz jednak usłyszała chrząknięcie dobiegające ze wspomnianej przez niego wnęki, półkolistego wgłębienia w ścianie, gdzie pewnie zwykle stała jakaś rzeźba, którą teraz wyjęto do czyszczenia, czy też co tam jeszcze bogacze robią ze swoimi rzeźbami. Miles sam przypomniał nieruchomą statwę. Zmuszając się do wykonywania prostych ruchów, Cynthia podeszła bliżej i zatrzymała się tuż przed nim.

Był jak nadciągająca burza i schronienie przed nią: ciemne włosy, ciemne oczy, ciemne ubranie, szerokie ramiona... Na moment straciła orientację, niby polna mysz, której słońce przesłonił cień jastrzębia. On za to nie wahał się ani chwili. Duża dłoń spoczęła delikatnie na jej talii. Zebrała całą odwagę. Uniosła twarz do góry w tym samym momencie, kiedy on opuścił swoją.

Miles omal nie wybuchnął śmiechem. Cóż on, na litość boską, wyprawia? Takie podstępne manewry były zupełnie nie w jego stylu. Co właściwie chciał udowodnić czy osiągnąć, całując kobietę, która wcale nie pragnęła być przez niego całowana? Skoro miał do wyboru tyle innych, które chciały, żeby je całował?

Ale ponieważ właśnie dowiedział tego, że Cynthia Brightly gotowa jest kupczyć swoimi pocałunkami, jakoś niehonorowo byłoby się w tej chwili wycofać. Tak sobie przynajmniej tłumaczył. Lepiej mieć to już za sobą.

Więc zanurzył się w pocałunek, jakby nurkował do lodowatej wody, i od razu dotknął ustami jej warg. O Boże. Miękkie. Miękkie. Jakie miękkie.

Żałował, że nie zna bardziej odpowiedniego słowa.

Zamknął oczy, bo przeszywające ostrze pożądania odebrało mu oddech; dłonie oplótł wokół jej talii. Jego wargi zawisły tuż nad powierzchnią tych niezwykle delikatnych ust i poczuł jej ciepły oddech. Nie był w stanie unieść głowy. Ten pocałunek wytworzył własną siłę ciężenia, która nad nim panowała.

Umysł w końcu dogonił instynkt: przypomniał sobie zegarek ojca i to, że uczucie tryumfu z powodu rozwikłanej tajemnicy warte było wtedy przykrych konsekwencji. Chciał w taki sam sposób rozłożyć na części Cynthię, sprawdzić, czy bije w niej serce kobiety. Jeśli ją zrozumie, jeśli rozwiąże tę zagadkę, to może przestanie go dręczyć.

A wiedział, że pocałunek ma moc zawrócić w głowie kobiecie.

„Wcale nie chcę pana całować, panie Redmond”.

Kiedy z nią skończy, nie będzie wiedziała, jak się nazywa. Więc całował ją jeszcze raz. Jego usta były jak piórko, jak mgła, jak szept. Pokazywały, że samo

zetknięcie i pieszczota warg to tylko obietnica całego wszechświata doznań, który może ogarnąć jej ciało. Westchnęła w ten bezwiedny, kuszący sposób, który oznaczał moment utraty kontroli. Rozchyliła wargi; ich oddechy się zmieszały. Zamglone błękitne oczy skryły się za powiekami.

O Boże.

Chciał ją w siebie wchłonąć. W jego umyśle panowała miękka, wilgotna ciemność: splątane języki, usta o owocowym smaku, odurzający zapach jej pożądania, jedwabisty kontur piersi pod jego dłońmi i szorstkie pączuszki sutków, krągłe uda. Brać, brać, brać. Chciwe ręce pragnęły tego wszystkiego; przynaglały go do działania. Jego męskość nabrzmiała boleśnie. Tracił zmysły.

Odrobina zdrowego rozsądku, która mu jeszcze pozostała, wiedziała jednak, że to lotne piaski. Więc chociaż pragnął, pragnął, pragnął całym sobą, nie pozwolił sobie na nic oprócz delikatnego pocałunku.

Ich usta i oddechy zwały się w tańcu, ale nie wsunął języka pomiędzy jej wargi, a dłoni nie ruszył z miejsca, gdzie je wcześniej położył, we wgłębieniu jej talii.

Ich ciała przywarły do siebie. Była jego oddechem, jego powietrzem. Jego świat wypełniły wonne mydło, piżmo i kobiecość, ciepło, miękkość i delikatność. Jej brzuch pod cieniutkim muślinem sukni ocierał się o jego rozszalałą erekcję uwięzioną w spodniach. Przeszył go dreszcz rozkoszy; jej piersi drgnęły, uniesione gwałtownym oddechem. Westchnienia błogości spotkały się w pół drogi. Usłyszał własny głos, mrużący pomiędzy jednym a drugim pocałunkiem jej imię: Cynthia. Szaleństwo, istne szaleństwo.

Jej głowa opadła do tyłu, a jego wargi zsunęły się na jedwabistą skórę szyi, tam gdzie wyczuwał dudniący puls. Jej szybki, gorący oddech owionął jego włosy, ucho - o Boże - w tej chwili wydało mu się zupełnie rozsądne posiąść ją tutaj, w tej wnęce, po prostu podciągnąć do góry spódnicę i zatopić się w niej.

Wtedy Cynthia otworzyła zaciśnięte dłonie, które zawisły w powietrzu między nimi jak dwa przestraszone motyle. Wreszcie wylądowały, opierając się leciuteńko o jego koszulę. Jak gdyby niezdecydowane, czy mają go dotknąć, czy może odepchnąć.

Ta niepewność przebiła go niczym kolec i jednym szarpnięciem wyniosła na powierzchnię zdrowego rozsądku. Zmusił się, żeby podnieść głowę. Zdjął ręce z jej talii i unióś je przed sobą w powietrzu, jakby była rzeźmieszką trzymającym go na muszce. Zrobił krok do tyłu, aż natrafił plecami na ścianę wnęki.

Wtedy dopiero powoli opuścił ręce.

I wziął głęboki oddech, a potem wypuścił powietrze. Wdech. Wydech. Każdy kolejny pomagał mu odzyskać równowagę i rozjaśniał umysł, odurzony oparami pożądania. Cieszył się z tego i żałował jednocześnie.

Na razie nie był w stanie na nią spojrzeć. Uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, ile czasu minęło - jedna chwila czy może cała wieczność. A ponieważ kochał porządek i logikę, instynktownie szukał jakichś wskazówek upływu czasu. Z pobliskiego salonu nadal dobiegały rozmowy. Wyciągnął szyję i dojrzał lorda Milthorpe'a, który przesłaniał sobą okno, wciąż skazany na monolog lady Windermere. Miles widział skrawki ciemniejącego błękitu prześwitujące zza firanki drzew widocznych przez okno. Czyli ciągle jeszcze był dzień.

Jednym wyćwiczonym ruchem zakrył połą fraka wyrzucenie w spodniach i wyciągnął z kieszeni zegarek. Ręce nie bardzo chciały go słuchać, kiedy otwierał kopertę, jakby obrażyły się, że już nie mogą dotykać Cynthii.

Zmierzył tarczę zegarka oskarżycielskim spojrzeniem, jakim patrzy się na bezczelnego kłamcę. Wskazówki i rzymskie cyfry mówiły, że minęła niecała minuta.

Wreszcie zaryzykował rzut oka na Cynthię.

Dwie cienkie kreseczki między zmarszczonymi brwiami. Lśniące oczy, ukryte za na wpół opuszczonymi powiekami, głowa odwrócona w stronę głosów dochodzących z salonu - a więc celowo unikała jego wzroku. Dłonie, przed chwilą jeszcze zawieszane pomiędzy pieśczołą a odtrąceniem go, teraz zaciśnięte w pięści chowały się w fałdach sukni jak zawstydzone dzieci.

Stała zupełnie nieruchomo. Ostrożnie. Jakby nie poznawała własnego ciała albo przestała mu ufać. W końcu odwróciła się do niego i zamrugła, zaskoczona siłą jego spojrzenia. Wpatrywali się w siebie nawzajem. Miles uniósł rękę do twarzy, mimo woli wskazując, w którym miejscu na jej policzkach wykwitły gorące rumieńce.

Powtórzyła jego gest, podnosząc ręce do twarzy. Zmarszczka na czole jeszcze się pogłębiła; widać płonące policzki zdziwiły ją i zawstydziły. Był tak zmieszany, że powiedział coś zupełnie absurdalnego, w dodatku z całą powagą i kurtuazją.

- Dziękuję, panno Brightly. Och, na litość boską.

Otworzyła szeroko oczy. Ale... wyglądało na to, że pod wpływem tych słów w jej spojrzeniu na powrót pojawiły się figlarne iskierki. Nic dziwnego, bo to, co powiedział, było doprawdy komiczne.

Na jedną niepokojącą, magiczną chwilę połączyło ich rozbawienie. Miles miał wrażenie, że otworzyła mu się ziemia pod nogami, że nad nim, pod nim i wszędzie indziej trwa nieskończona wspaniałość.

- Proszę uprzejmie, panie Redmond - odpowiedziała wreszcie cicho.

Uśmiechy rozbawienia stały się jeszcze szersze. Coś kazało Milesowi odwrócić głowę. Bo nagle jej uśmiech sprawił mu niemal fizyczny ból. I znowu zapadła cisza.

- No cóż. W takim razie czekam z niecierpliwością na informacje o pozostałych... dżentelmenach... którzy będą tutaj bawić przez te dwa tygodnie, panie Redmond.

Dygnęła przed nim - nie bez ironii - a potem wzruszyła ramionami, jakby zrzucała z nich gryzący szal, i wróciła do pozostałych gości.

Kiedy znowu zniknęła mu z oczu, wchodząc do salonu pełnego ludzi o bardzo różnych pragnieniach i zamiarach skrywanych pod płaszczykiem towarzyskiej konwersacji, Miles poczuł w głębi serca odległe echo tamtego lęku, który przeszył go wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczył, jak ginie wśród tłumu balowiczów. Jak gdyby coś w nim miało umrzeć, jeśli jej więcej nie zobaczy.

Przycisnął pięść do ust; ciągle jeszcze były rozpalone.

To ona miała zapomnieć, jak się nazywa pod wpływem jego pocałunku. Więc czemu nie był w stanie myśleć o niczym innym?

Zamyślony i dziwnie znużony trwał nieruchomo we wnętrzu z dłonią przyciśniętą do ust, dopóki nie straciły całego ciepła jej warg.

Cynthia sama nie wiedziała, jak i kiedy znalazła się z powrotem w salonie, przed pięknym obrazem Jamesa Warda przedstawiającym białego konia. Miała na twarzy uśmiech, nieruchomy i sztuczny jak maska karnawałowa. Wciąż czuła ten pocałunek: jej twarz płonęła, a serce waliło jak młotem. Kilka głębokich oddechów powinno załatwić sprawę. Udając, że przygląda się koniowi, oddychała głęboko.

Violet z ciekawością uniosła głowę, zobaczyła przyklejony uśmiech na jej twarzy i sama się do niej uśmiechnęła, po czym wróciła do rozmowy. Kiedy Cynthia udało się już uspokoić bijące serce i przyspieszony oddech, zaczęła kątem oka obserwować lorda Milthorpe'a, markiza Blenheim.

Sylwetka lorda była sumą linii prostych: spadziste ramiona, kręgosłup sztywny jak maszt, szpakowate półdługie włosy, które zakładał za uszy. Jediną miękką częścią jego ciała był brzuch, okrągły i leżący mu na kolanach, jakby zupełnie niezależnie od tułowia. Pośladki usadowiły się niepewnie na samej krawędzi krzesła; wyglądał, jakby chciał poderwać się na nogi, nim delikatny mebel rozpadnie się w drzazgi pod jego ciężarem. Jedna ręka podrygiwała na kolanie niby jakaś bezwłosa istota pogrążona w głębokim śnie; druga, zwinięta, obejmowała pewnie kolbę niewidocznego muszkietu.

Cynthia była przekonana, że bez strzelby i psa u boku czuje się nagi i zupełnie nie wie, co ma robić z rękami. Ze współczuciem wyobraziła sobie, jak ciężkie musi być prowadzenie uprzejmej rozmowy, kiedy człowiek czuje się

nagi. Ciekawe, co się stało z jego filiżanką. Już nie trzymał jej w ręku. Może odebrał mu ją jakiś lokaj, obawiając się o los kruchej porcelany.

Dwadzieścia tysięcy funtów.

Czas przetestować informacje Milesa Redmonda. Wzięła dla otuchy głębszy oddech. Odwróciła się nieznacznie. I rzuciła lordowi Milthorpe'owi najpromienniejszy ze swoich uśmiechów.

Lord zamarł, jakby usłyszał w oddali granie myśliwskiego rogu. Zmarszczył lekko brwi. Ostrożnie rozejrzał się wśród towarzyskiej gęstwiny, niepewny, co zwróciło jej uwagę. Drgnął, kiedy zorientował się, że Cynthia uśmiecha się do niego z zainteresowaniem.

Oczywiście, ona szybko spuściła oczy. Odczekała strategiczną sekundę dla podniesienia napięcia, po czym skromnie i nieśmiało znowu podniosła oczy, ale nie do końca - spoglądała na niego zza firanki na wpeł opuszczonych rzęs. Nie tak dawno temu to właśnie spojrzenie stało się natchnieniem dla trzech poematów.

Zmarszczka na czole Milthorpe'a zniknęła, a usta otworzyły się z podziwu.

Tak jak planowała, był urzeczony.

Świetnie. Co dalej? Rumieniec, przypomniała sobie gorączkowo. Dziewczęce kolorki na policzkach zrobią dobre wrażenie, tak mówił Redmond. Tylko jak tu się zarumienić...

W tym momencie Miles Redmond wrócił do pokoju i przeszedł obok, w ogóle nie zwracając na nią uwagi. Spojrzała na oddalające się szerokie plecy, kiedy podchodził do siostry, i nagle znowu poczuła jego wargi wpijające się w jej usta, poczuła przyciśniętą do swojego

brzucha jego nabrzmiałą męskość, poczuła, jak sutkami ociera się o guziki jego fraka...

Podmucha gorąca. Całe jej ciało momentalnie stanęło w płomieniach. Żar popłynął wzdłuż rąk i nóg i rozlał się na policzkach. Nawet oczy ją zapiekły.

Cóż, to był ewidentny błąd. Pewnie zrobiły jej się na twarzy pomidorowe wypieki, które prędzej odstraszą lorda Milthorpe'a, niż go oczarują. Rzeczywiście wyglądał na zaskoczonego nagłą zmianą koloru jej twarzy: krzaczaste brwi poszybowały w górę.

Cynthia z wielką uwagą przyglądała się pęcynom konia na obrazie, odmalowanym z niebywałą subtelnością i precyzją, a jednocześnie próbowała nieco ochłonać. Kiedy znowu podniosła oczy, Milthorpe ciągle miał otwarte usta, jakby się szykował, żeby coś powiedzieć. Przez chwilę pozostawały uchylone jak szczelina w drzwiach. Potem się zamknęły. Pochylił się w jej kierunku, znowu otworzył usta. Zamknął je z powrotem.

Och, na miłość boską.

Postanowiła mu ulżyć. W kilku krokach podeszła do niego. Zaskoczony, już chciał się podrywać z krzesła, ale Cynthia machnęła ręką, jakby mówiąc „proszę nie wstawać”, i sama przysiadła na krzesło obok.

- Zastanawiałam się, lordzie Milthorpe - powiedziała tonem niewiele głośniejszym od szeptu - czy mogłabym zasięgnąć pana opinii w pewnej sprawie.

Kiedy siadała, odwrócił od niej głowę, jakby się obawiał, że bezpośrednie spojrzenie może go porazić. Wydawało jej się, że ledwo zauważalnie drży.

- Na temat gościny u sąsiadów? - odezwał się wreszcie z tak komicznie ponurą miną i z tak oczywistym brakiem poszanowania dla wymaganych w rozmowie

konwenansów, że Cynthia z miejsca poczuła do niego sympatię.

Zasłoniła usta końcami palców, żeby ukryć uśmiech.

- Czyżby uważał pan, że takie przyjęcia są... - Tu zmarszczyła wdzięcznie nosek. - Nużące? - Jej przyciszony głos zapraszał do zwierzeń, a piersi, nachylone w przód, zachęcały do zaglądania w dekolt.

Milthorpe mężnie zwrócił się do niej twarzą. Jego spojrzenie odruchowo powędrowało w głąb obfitego dekoltu i natychmiast wróciło do jej oczu.

Teraz to jemu wykwitły na twarzy czerwone plamy.

- W tej chwili już nie - powiedział bez większego wdzięku, ale za to z krzywym uśmieszkiem. Sprawa była oczywista i Cynthia pozwoliła sobie na chwilowe uczucie tryumfu: lord Milthorpe właśnie z nią flirtował.

- Ja też uważam, że takie przyjęcia są znośne. To znaczy, teraz. - Spojrzała na niego roziskrzonymi oczami.

Uśmiech lorda zniknął bez śladu. Był oczarowany i porażony.

- Ale pomyślałam, że akurat pana mogę o to zapytać. Mam nadzieję, milordzie, że zechce mi pan doradzić.

- Z największą przyjemnością, panno Brightly - zapewnił gorliwie.

Jego oczy znowu powędrowały w dół śnieżnobiałego dekoltu, ale przesunął je z powrotem na jej twarz, jakby przywoływał do porządku psa na smyczy.

- Chodzi mi o to, milordzie, że chciałabym... to znaczy, myślę o tym, czyby... no cóż, chciałabym mieć psa. A pan wygląda mi na człowieka, który lubi wieś i zna się na psach, więc na pewno będzie pan umiał ocenić, jakiego psa powinna sobie sprawić taka dziewczyna jak ja.

Wąskie błękitne oczka lorda Milthorpe'a otworzyły się szeroko. Na moment podniósł wzrok do nieba, być może zanosząc ciche dziękczynienie, westchnął uszczęśliwiony i dobitnie umościł pośladki na krzesło, zajmując całe siedzenie. Krzesło wydało z siebie przeciągłe, przerażone skrzypnięcie. Milthorpe najwyraźniej tego nie zauważył.

- Psa? Czyżby i z pani była wiejska dziewczyna, panno Brightly? Proszę mi wybaczyć, że tak mówię, ale jest pani taka układna i taką ma pani delikatną buzię, jakby pani w ogóle nie wychodziła na dwór i nigdy nie miała w rękę strzelby czy łuku. Czy pani strzela?

Ktoś pod oknem odchrząknął. Wiedziała, kto to, zanim jeszcze spojrziała w tamtą stronę.

Miles Redmond zdołał wyłowić z grona pań lady Georginę - tę, co to miała olbrzymią fortunę, nieśmiały uśmiech i nienaganne pochodzenie, a na głowie koronę z warkocza białych włosów niby jakąś przekłętą aureolę - i podszedł razem z nią do okna, pochylając się nad nią z uwagą. Lady Georgina mówiła coś z ożywieniem; białe dłonie trzepotały przed nią, a różowe usteczka poruszały się szybko.

Cała postawa Milesa Redmonda wskazywała na to, że słucha jej ze skupioną uwagą. Cynthia wiedziała, jak musi się teraz czuć lady Georgina, otoczona kokonem jego zainteresowania. Światło zaśniło w jego ciemnych włosach. Podniósł rękę, gestykulując, a ona w tej chwili poczuła ciepły dotyk tej dłoni na swojej talii. Zachłysnęła się.

Uświadomiła też sobie, że nie od rzeczy byłoby nazwać Milesa Redmonda przystojnym. Wydało jej się to bardzo podstępne z jego strony. Zmylił ją i oszukał, a teraz miał nad nią władzę, której mógł użyć, kiedy chciał.

Zmusiła się do odpowiedzi na pytanie Milthorpe'a. Sama właściwie nie była w stanie powiedzieć, jaka naprawdę była. Kiedyś mieszkała na wsi, ale wszelkie wesołe wspomnienia z tamtego okresu ginęły wśród tych ponurych. Podobało jej się życie w mieście: towarzyski zawrót głowy, poczucie własnej siły. Najbardziej jednak pragnęła spokoju, pewności, stałości i zdrowo brzęczącej sakiewki; miejsce nie grało roli.

- Ja... spędziłam dużo czasu na wsi, milordzie. Ale życie rzuciło mnie do Londynu. Jest taki zatłoczony i hałaśliwy, nie sądzi pan? - Zerknęła na prawo i na lewo, jakby nie chciała, żeby inni to usłyszeli, bo mogliby się poczuć urażeni. - Pomyślałam sobie, że miło będzie mieć psa do towarzystwa.

Złowiła okiem krótki błysk światła: słońce odbite w szkle okularów. A więc jednak słuchał. Miles Redmond podśluchiwał. Nie odwrócił się całkiem w ich stronę, ale zdradziły go okulary. W dodatku tył jego głowy robił wrażenie wyjątkowo czujnego. Lord Milthorpe coś mówił.

- ...Och! A jaka z niej cacana suczka, wabi się Eleonora. To na cześć królowej Eleonory Akwitańskiej. Mój spaniel pokrył ją już trzy razy, a z ostatniego miotu zostały jeszcze dwa szczeniaki. Obie suczki.

Zwracał się do ucha Cynthii. Wyglądało na to, że nadal dopiero się przyzwyczajają do obcowania z jej olśniewającą urodą. Może to i lepiej, że nie patrzył na jej twarz, bo ona akurat, chcąc nie chcąc, wyobraziła sobie, jak spaniel lorda Milthorpe'a „pokrywa” Eleonorę Akwitańską (spanielkę, nie królową). Zupełnie nie była na to przygotowana i jej rysy zastygły w dziwnym wyrazie.

Ten „ktoś” znów odchrząknął.

Zdażyła się opanować, zanim lord Milthorpe na nią spojrział.

- Szczeniaczki są takie urocze! Prawdziwy szczęściarz z pana, że może je pan mieć. Gratuluje, milordzie.

Rozchylił usta w rozanielonym uśmiechu. Jeden z jego przednich zębów był całkiem szary, jak kamienny nagrobek na przykościelnym cmentarzu. Starła się omijać go wzrokiem. Cóż, przynajmniej miał jeszcze wszystkie zęby.

Oczy lorda ponownie wpatrzyły się we względnie bezpieczne miejsce, jakim było jej ucho.

- Byłbym... byłoby mi niezmiernie miło, gdybym mógł pani podarować szczeniaka od Eleonory, panno Brightly.

- Och, naprawdę? - westchnęła z zachwytem i nieznacznie pochyliła się w jego stronę.

Zawahała się, wyciągnęła rękę, jakby chcąc dotknąć jego ramienia, ale zaraz szybko ją cofnęła, bo lord znieruchomiał niczym przerażony królik oko w oko z głodnym wilkiem. Jego oczy na chwilę zsunęły się w dekolt Cynthii, po czym znowu zwróciły się na jej twarz.

- Gdyby pan to zrobił... Gdyby podarował mi pan pieska... Ja bardzo chętnie nazwę go na pana cześć. Mogłabym go nazwać lord Milthorpe.

Od strony okna dało się słyszeć donośne kasznięcie. Cynthia rzuciła okiem w tamtym kierunku w samą porę, żeby zobaczyć, jak Miles Redmond dyskretnie zasłania usta pięścią.

Wiedziała! Ten nieznośny człowiek dusił się od tłumionego śmiechu. Niech go licho porwie, przez niego teraz ona sama omal się nie roześmiała.

Skupiła całą swoją uwagę na Milthorpie. Rozluźnił się pod wpływem rozmowy o psach, a bliskość jej dekoltu wprawiła go w wyborny humor, toteż znalazł w sobie tyle odwagi, żeby jej spojrzeć prosto w oczy. Ależ on ma wielką twarz, pomyślała. Tak wielką i tak angielską, jak skała Gibraltaru i prawie tak samo prostokątną jak reszta jego ciała.

Nie można było jednak powiedzieć, że jest odpychający z wyglądu. Ani że jest przystojny. Miał za to miłe oczy. I dwadzieścia tysięcy funtów rocznie.

- Może zamiast tego nazwie pani swojego psa Monty, panno Brightly - zniżył głos. - Tak mam na imię.

Nie najgorzej, milordzie, pomyślała ciepło. Widać, że wyszedł z wprawy, ale mimo to flirtowanie wychodziło mu zupełnie nieźle. Podobało jej się to.

- Och! Z przyjemnością nazwę go... Monty... - Nieśmiało spuściła głowę, jakby się wstydziła wypowiedzieć jego imię. - O ile nie przeszkadza panu, że... że jakaś... - To słowo nie przyszło jej tak łatwo, jakby chciała. - Jakaś suczka będzie sobie biegać z pańskim imieniem. Bo przecież powiedział pan, że zostały same suczki?

Milthorpe'a jakby zamurowało. A kiedy otworzył usta, wydobył się z nich charczący, szczekliwy dźwięk. Cynthia dopiero po chwili zorientowała się, że to jego śmiech, lekko zardzewiały z braku użycia.

- Tak jest! Na Jowisza, panno Brightly. Same suczki!

Zachichotała do towarzystwa, przez co wszystkie głowy w salonie zwróciły się w ich stronę, bo śmiech Cynthii był jak etiuda muzyczna, jak menuet, i wszyscy, którzy go słyszeli, pragnęli znaleźć się bliżej niej. A ponieważ nic istotnego z reguły nie umykało uwadze

Cynthii, dostrzegła, że lord Argosy przygląda się jej badawczo. I że Miles Redmond nie odwrócił głowy, a lady Georgina ciągle coś do niego mówi. Za to kompletnie znieruchomiał.

Lord Milthorpe westchnął uszczęśliwiony.

- Co tam, niech będzie Daisy, panno Brightly. Jeśli weźmie pani jednego z moich szczeniaków, niech go pani nazwie Daisy czy coś w tym rodzaju. A może któregoś dnia zechce mnie pani odwiedzić w moim majątku, wtedy będzie pani mogła sama obejrzeć sobie pieski.

Ach. Wyjątkowo śmiałe posunięcie z jego strony. Bardzo dla niej obiecujące. Ale tutaj musiała postąpić rozważnie, pokierować sytuacją jak doświadczony dyrygent stojący z batutą przed orkiestrą. Nie czas jeszcze na omdlewające tony skrzypiec. Lepiej się wycofać na bezpieczną pozycję jękającej się nieśmiałości.

- Ja... To znaczy... Będę zaszczycona... Monty.

Poczerwieniał jeszcze bardziej niż dotychczas, kiedy zwróciła się do niego po imieniu. Podrygujące dłonie jakby się uspokoiły. Kiedy z nią rozmawiał, wydawał się mniej osamotniony. Z jakiegoś powodu sprawiało jej to przyjemność.

- Jeśliby pani chciała, panno Brightly, może uda nam się zorganizować jakieś małe strzelanie do celu w parku Redmondów. Pogadam z Milesem. Co pani na to? W zeszłym roku wziąłem ze sobą parę osób i nastrzelaliśmy tyle głuszców, że jak je zrzuciliśmy na stertę, to prawie sięgała czubkiem kopca siana.

Uśmiech zastylł jej na wargach. Mężczyźni za bardzo się rwą, żeby strzelać, pomyślała. Do głuszców. Do siebie nawzajem.

- Aż tak wysoko? W takim razie musi być z pana zawołany myśliwy. Tak, myślę, że strzelanie to świetna zabawa. - Radośnie pominęła kwestię tego, czy ona sama potrafi strzelać. Wystarczyło przecież podnieść broń, wycelować i pociągnąć za cyngiel. To chyba nie takie trudne? Z niejednej kłopotliwej sytuacji już w życiu wybrnęła. Jeśli będzie musiała strzelać, żeby oczarować lorda Milthorpe'a, to i z tym sobie poradzi.

Jej uwagę przykuło gwałtowne poruszenie od strony okna: to plecy Milesa Redmonda wyprostowały się nagle, jakby był marionetką pociągniętą za sznurek. Wręcz widziała, jak emanuje z niego pełne niedowierzania rozbawienie.

Lady Georgina wdzięcznie przechyliła główkę na bok i zaczęła coś wyliczać na palcach jednej ręki, pomagając sobie drugą - pewnie opowiadała o własnych zaletach. W jej jasnych oczach malowało się przyjemne rozkojarzenie.

Nazwę swoją suczkę lady Georgina, pomyślała kąśliwie Cynthia.

- Milordzie, tak mi się miło z panem rozmawia, że zaniechałam naszą gospodynię, pannę Violet Redmond, moją serdeczną przyjaciółkę. Bardzo przepraszam, ale pójdę z nią teraz porozmawiać. Uprzejmie panu dziękuję za radę. Mam nadzieję, że w ciągu tych dwóch tygodni jeszcze nam się uda porozmawiać o psach. Może jutro, na pikniku.

- Ja też mam taką nadzieję. - Uśmiechnął się. Ten szary ząb, uznała optymistycznie, tylko podkreśla białość pozostałych. - Cała przyjemność po mojej stronie, panno Brightly.

Cynthia skromnie pochyliła główkę, dygnęła czarująco przed lordem, po czym oddaliła się w stronę

Violet, stojącej akurat niedaleko lorda Argosy'ego. Który nie przestawał się w nią wpatrywać spod opuszczonych zmysłowo powiek.

W przeciwieństwie do lorda Milthorpe'a Argosy miał w oczach leniwą pewność siebie, w ruchach swobodny wdzięk, a na ustach uśmiech tak kuszący, jak pukle ciemnoblonde włosów opadających na jedną brew. Bez żadnego problemu otwarcie jej się przyglądał. Argosy należał do osób, które świetnie się czuły na tego rodzaju przyjęciach. Czy gdziekolwiek indziej. Tego typu ludzie byli przekonani, że są mile widziani w każdym domu i w każdych okolicznościach, a ich swobodne maniery zrodzone były właśnie z tego przekonania.

Bardzo pociągający, bardzo zapatrzony w siebie, bardzo irytujący. Cynthia udawała, że go nie widzi. Tak właśnie należało traktować lordów Argosych tego świata. Dzięki temu ich zainteresowanie natychmiast rosło. Zaintrygować i pozostawić z uczuciem niedosytu. Ale pilnować, o ile to możliwe, żeby nie próbowali się przez nią nawzajem powystrzelać.

Pomyślała o nieśmiałym Milthorpie i jego stercie martwych głuszców, a potem o innych mężczyznach z pistoletami w dłoniach i poczuła na ramionach gęsią skórę.

Rankiem następnego dnia wszyscy wylegli na dwór, panie w różnorakich modnych kapelusikach dla ochrony przed słońcem, panowie już lekko spoceni we frakach, a za nimi lokaje z koszami pełnymi jedzenia, serwetek i talerzy, które podzwaniały delikatnie przy każdym kroku.

Towarzystwo zmierzało nad strumień, który przepływał przez posiadłość Redmondów i podobno w którymś miejscu uchodził do rzeki Ouse. Mówiono też, że łączył się ze strumieniem, który płynął przez ziemie rodziny Eversea. Symboliczne znaczenie tego faktu nie mogło ująć uwagi żadnego z mieszkańców starożytnej osady Pennyroyal Green, jako że wspólna historia obu rodów sięgała jeszcze czasów saksońskich i rzymskich. W każdym razie, nad strumieniem miały na nich czekać drzewa dające obfitość cienia.

Cynthia już z daleka dostrzegła ich przysadziste kępy, zebrane razem niby bukiety: olbrzymie dęby i brzozy, orzechy i jesiony, koronkowe wierzby pochylone nad wodą. A gdyby duszna, upalna pogoda przyniosła deszcz, jak przewidywał Miles, można się będzie pod nimi schronić. Powszechnie uznano, że letnia burza byłaby bardzo romantyczna.

Cynthia milczała, bo miała krańcowo odmienny pogląd.

Reszta towarzystwa mogła sobie pozwolić na przemoczenie czy ubłocenie butów, kapeluszy i ubrań. Ona nie. Szczęśliwie na czas pobytu u Redmondów miała do dyspozycji jedną z pokojówek Violet, która okazała się wyjątkowo utalentowana. Oczyszczyła gąbeczką zabrudzone

brzegi sukienek, ożywiła oklapniętą koronkę i przywróciła lśniąca biel niektórym kreacjom.

Ale nawet najlepsza pokojówka nic nie poradzi, jeśli w butach zrobią jej się dziury. Już czuła pod stopami ziemię przez wytarte podeszwy. Może powinna się kazać nosić w lektyce. Jak ta straszna kobieta z Northumberland. Ale nie, do tego nie dojdzie. Za dnia łatwiej było w to uwierzyć. Wczoraj w nocy dopadł ją dawny koszmar i jeszcze dziś rano widziała w lustrze efekty: zaróżowione powieki, błękitnawe cienie pod oczami.

Teraz przed sobą miała złotą główkę lady Georginy kołyszącą się w rytm kroków. Starannie zapleciony warkocz upięty z tyłu jej głowy wyglądał zupełnie jak tarcza, uznała złośliwie Cynthia. Zabawiała się przez chwilę, wyobrażając sobie, że może wzrokiem ciskać strzałki, ale szybko stwierdziła, że to z jej strony nie w porządku. Powiedziała sobie, że naprawdę postarałaby się polubić lady Georginę, gdyby tylko było co lubić.

Wczoraj po obiedzie Georgina głównie chwaliła sukienki, fryzury oraz dowcipne uwagi innych pań. Ani razu pierwsza się nie odezwała. Dużo słuchała. Była taka uprzejma, miła i bez zarzutu, że trudno było stwierdzić, jaka jest naprawdę.

Obok niej szedł znacznie od niej wyższy Miles Redmond; kroczył pewnie, swobodnie, elegancko, jakby cały świat, a zwłaszcza ta posiadłość, był nowym frakiem skrojonym dokładnie na jego miarę. Włosy pod kapeluszem miał na tyle długie, że powiewały w lekkich podmuchach wiatru. Lady Georgina, wątył kwiatuszek w białym muślinie, musiała mocno wyciągać nogi, żeby mu dotrzymać kroku.

Ale nie wszyscy szli w męsko-damskich parach jak z arki Noego. Grupy gości mieszały się jak bilardowe kule rozbite pierwszym uderzeniem, a tu i ówdzie trwał subtelny wyścig o lepszą pozycję. Za plecami Cynthii wyrósł cień, przesłaniając na chwilę słońce, kiedy kanciasty lord Milthorpe wyprzedził młodego lorda Argosy'ego. Argosy przybliżył się do niej z boku, próbując niezauważalnie się z nią zrównać, i Cynthia trzymała za niego kciuki, ale niestety Milthorpe był szybszy.

Argosy mógł się przekonać, że nonszalancja nie popłaca.

Zmuszony teraz pozostać nieco w tyle, dołączył do Violet i Jonathana, którzy śmiali się z czegoś do rozpuku, dotrzymując towarzystwa wdowie, lady Windermere, ciągnącej przez trawę z wdziękiem czterokołowego wozu oraz bujnej piękności, zameżnej lady Middlebough, sunącej w swojej brązowej sukni jak świetnie wyważona dwukółka.

- Myślałem o tym, jakiego psa wybrać dla pani, panno Brightly - przełamał się Milthorpe.

- Myślał pan o mnie, milordzie? To znaczy, o psie dla mnie?

Rumiane policzki przybrały wiśniową barwę. Aha! Doskonale. To znaczy, że oba domysły były trafione. Ale lord Milthorpe nie dał się zbić z pantafelku. Psy to był dla niego poważny temat.

- Jest wiele wspaniałych ras, ale ja uważam, że pies powinien pasować do osobowości właściciela. A jeśli idzie o panią, panno Brightly, to waham się... - Wsadził ręce do kieszeni. - Pomiędzy spanielem... a chartem.

Przed nimi Miles Redmond zwolnił kroku, żeby pokazać palcem coś na pobliskim krzaku. Zatrzymał się i

nachylił bliżej. Lady Georgina wyteżyła wzrok, podążając za jego ręką, a jej usta uformowały literkę O.

- Panie Redmond! Jakie to ciekawe - zaszczębiotała. Co tam było ciekawego? Robak? Mucha? Pająk?

- .. .parzą się... - Z całej wypowiedzi Milesa dobiegło ją to jedno słowo.

Cynthia z wypiekami na twarzy czym prędzej wróciła do lorda Milthorpe'a.

- A dlaczego wybrał pan dla mnie właśnie te dwie rasy, milordzie? - spytała.

- No cóż. - Odchrząknął. - Spaniel bardzo przypomina mi panią, bo ma piękne, długie, jedwabiste...

To brzmiało obiecująco!

- .. .kasztanowej barwy uszy.

Cynthia, zaskoczona, podniosła rękę w kierunku głowy.

Milthorpe nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

- Co więcej, nasza odmiana z Sussex cała jest porośnięta długą kasztanową sierścią. Puszysta sierść na brzuchu i zadzie. I śliczny, mały ogonek.

Cynthia złowiła uchem charakterystyczny zdławiony odgłos. Słońce odbijające się w szklach okularów znowu zdradziło Milesa Redmonda. Jak zwykle podsłuchiwał, przekłety, i dusił się z tłumionego śmiechu.

Oczy zaczęły jej lekko łzawić. Histeria czy rozbawienie? Sama nie wiedziała.

- Spaniele są z natury przyjacielskie i wierne, o tak, panno Brightly. Małe, zwinne i zgrabne. I takie mają piękne lśniące oczy.

Cynthia zastanawiała się, czy i ona jest z natury wierna. I czy lord Milthorpe uważa, że jest zwinna i zgrabna.

Miles Redmond nagle cofnął ramiona do tyłu, jakby nieopanowany śmiech ugodził go w pierś niczym strzała.

- Spaniele rzeczywiście muszą być urocze - powiedziała nieco głośniej, niż było trzeba. Zdecydowała, że jednak ma wierną naturę: jeśli los pozwoli, będzie oddana swojemu mężowi jak spaniel. Z wdzięczności.

Właśnie zrównali się z Redmondem i Georginą, lecz Miles w czarodziejski sposób w tej samej sekundzie zakończył oględziny bliżej nieokreślonego pełzającego po liściu stworzenia i natychmiast ruszył dalej. Georgina, sapiąc, podążyła za nim.

- A ta druga rasa, milordzie? Przybrał minę pełną dumy i godności.

- Może pomyśli sobie pani, że jestem zbyt śmiały, panno Brightly, ale wybrałem charta. Eleganckie, smukłe, szlachetne zwierzę. Charta trzeba sobie oswoić, ale wtedy jest wspaniałym kompanem.

Był bardziej domyślny, niż mogłoby się wydawać. Zerknęła na niego ukradkiem, próbując sobie wyobrazić, jak przez kolejne dziesięciolecia noc w noc leży obok niego w łóżku. Chrapał, tego była pewna. Szybko odsunęła od siebie myśl o dzieleniu łoża z lordem Milthorpe'em do końca życia. Postanowiła skupić się na chwili obecnej.

Palce Milthorpe'a zadrgały przy nodze, po czym objęły pustkę. Czegoś im brakowało. Pewnie ta cała rozmowa o psach sprawiła, że zatęsknił za zwierzęciem u nogi i strzelbą w garści, tak jak opój tęskni za butelką.

- Muszę powiedzieć, milordzie - odezwała się miękko - że oba porównania mi schlebiają.

- Przeciwnie. Żadne z nich nie jest dla pani dość dobre, panno Brightly. Ale to wszystko, co byłem w stanie wymyślić po tak krótkiej znajomości.

Cynthia się uśmiechnęła. Rozczuliła ją myśl, że wczoraj wieczorem lord Milthorpe przejrzał w wyobraźni całą paradę znanych sobie ras psów. I to wszystko ze względu na nią. Przekonywała się, że każdy mężczyzna potrafi być czarujący, jeśli się go odpowiednio zachęci.

Lord Milthorpe na widok jej uśmiechu wyprostował się i rozkwitł jak kwiat w promieniach słońca. Nigdy nie będzie przystojny. Nigdy nie będzie młody. Szczerze wątpiła, czy kiedykolwiek uzna go za interesującego.

Ale będzie dla niej miły.

- Co ty na to, Redmond? - Milthorpe zawołał do Milesa z tą dobroduszną pewnością siebie, którą daje mężczyźnie niepodzielna uwaga uroczej młodej damy.

Miles Redmond zatrzymał się w pół kroku i odwrócił do nich z uprzejmym uśmiechem. Miał wszystkie zęby, równiutkie i - niech go czort - białe.

- Co ja na to, Milthorpe? Potrzebujesz mojej opinii? Mam ich na pęczki. Pytaj śmiało.

- Jesteś chłopak ze wsi. Jakiego psa, twoim zdaniem, powinna mieć panna Brightly? Waham się między spanielem a chartem.

- Hm... pies dla panny Brightly?

Po raz pierwszy tego dnia Miles Redmond spojrzął jej prosto w oczy i Cynthia drgnęła, jakby pod wpływem jego wzroku doznała lekkiego wstrząsu. Upłynęła chwila ciszy, nierozsądnie długa. Na tyle długa, że ktoś mógłby zacząć coś podejrzewać.

Miles wyprostował ramiona, splótł dłonie za plecami i zwrócił się do towarzyszącego jej mężczyzny:

- A więc, Milthorpe, ja to widzę tak: spaniele tropią drobną zwierzynę: ptactwo wodne i tym podobne, a potem aportują ustrzeloną. To małe pieski, trzymają się nisko przy

ziemi i biegają po krzakach i zaroślach. Za to charty... ach, charty to psia arystokracja. Zwykle używa się ich do szczucia. Lubisz polowania z nagonką, Milthorpe?

- A pewnie. I z nagonką, i każde inne. Nie mam akurat charta, ale przyjaciel ze Shropshire napisał do mnie, że właśnie oszczeniła mu się suka. Mam nadzieję, że kiedy do niego pojedę, przywiozę jednego ze sobą.

- Psów nigdy za wiele - powiedział z powagą Miles.

Cynthia przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Nigdy - żarliwie przyświadczył Milthorpe.

Miles ciągnął dalej:

- A jeżeli chodzi o charty... Cóż, szczucie to znacznie bardziej... ambitny sport. Wymaga od psa większych umiejętności, nie sądzisz? Nie przeczę, że spaniele są użyteczne, ale za to charty polują na grubego zwierza, i to na wiele gatunków... - Miles musnął spojrzeniem lorda Argosy'ego, który szedł kilka kroków za nimi pomiędzy Violet i Jonathanem, a potem przeniósł wzrok na Milthorpe'a. Dla Cynthii było to tak oczywiste, jakby pokazał palcem. - A w dodatku polują na otwartych przestrzeniach, w biały dzień, gdzie mogą być doskonale widziane. Poza tym charty to psy dla ludzi szlachetnej, a nawet królewskiej krwi.

Miles jeszcze przez sekundę mierzył Cynthię spojrzeniem, po czym odwrócił się na pięcie i dołączył do swojej towarzyszki.

- Dla panny Brightly zdecydowanie lepszy będzie chart - rzucił przez ramię.

Żałowała, że nie ma w ręku niczego, czym mogłaby w niego rzucić.

- Chyba jednak wolałabym spaniela - zaprotestowała z rozdrażnieniem, zwracając się do lorda Milthorpe'a.

- Wspaniałe psy, jeden i drugi - dyplomatycznie zgodził się Milthorpe. Minę miał nieco zdezorientowaną, gdy patrzył w plecy Milesa.

- Szpice są takie słodkie! - odpowiedziała usłużnie lady Georgina, odwracając się do nich. Na szczęście była zupełnie nieświadoma otaczającej ich chmury dwuznaczności i podtekstów wypowiedzianych przed chwilą przez Milesa Redmonda. - Ja bym chciała mieć szpica miniaturkę!

- Słyszałem, że te pieski gryzą, lady Georgino - powiedział z głęboką troską Miles. - A przecież nie chcielibyśmy, żeby została pani pogryziona.

Lady Georgina zachichotała z większym ożywieniem, niż należało, zwłaszcza że Miles nie powiedział nic śmiesznego.

Czy i ja byłam kiedyś taką gąską? - zastanawiała się Cynthia. Chyba nigdy nie mogła sobie pozwolić na luksus bycia głupiutkim podlotkiem. A przecież nie mogła być dużo starsza od lady Georginy. Być może były w tym samym wieku.

Przechodzili właśnie obok - czy może raczej dokoła, bo Miles wskazywał ją palcem, żeby nikt w nią nie wszedł - małej, ale kunsztownie utkanej pajęczyny rozpiętej między dwiema gałęziami krzaka.

Miles przystanął, żeby jej się przyjrzeć, więc Cynthia i Milthorpe siłą rzeczy też musieli się zatrzymać. Za nimi Violet, której dokuczał bezlitośnie młodszy brat, zapiszczała: „Jonathan!”

- U mnie w pokoju też jest pająk - odezwała się zniecierpliwiona Cynthia.

- Proszę go ode mnie pozdrowić, gdy będzie się pani kładła spać - rzucił oschłym tonem Miles.

Ponieważ nie patrzył na nią, nie do końca była pewna, czy żartuje, czy mówi poważnie.

- Potrafiłby pan powiedzieć, co to za gatunek?

- Och, to pewnie zwykły krzyżak. Nie zrobi pani nic złego. Ona tylko...

- Ona? - To ją rozczuliło.

Nawet nie zauważył, że mu przerwała.

- ...szuka schronienia, a narożniki okien świetnie się nadają na zbudowanie sieci, w którą można łapać małe, latające albo pełzające szkodniki. Pająki to wspaniałe gospodynie.

Cynthia nigdy by nie wpadła na to, żeby pająki nazwać dobrymi gospodyniami. Gospodynie z reguły nie lubiły w swoich domach pajaków.

- Niech pani będzie dobra dla tego pająka. On tylko ciężko pracuje, żeby móc pozostać tym, kim jest. I proszę nic o nim nie mówić pokojówkom - dorzucił cierpko.

Przez chwilę patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, porażona trafnością porównania. Ciężko pracuje, żeby móc pozostać tym, kim jest.

Gwałtownie odwrócił wzrok i ruszył, żeby dogonić Georginę, która nie zorientowała się jeszcze, że jej towarzysz został z tyłu.

- Lubi się mądrzyć, ale dobry z niego chłopak - powiedział lord Milthorpe. - Naprawdę znajduje pani przyjemność w polowaniach, panno Brightly? Redmond mówił coś na ten temat.

Zawahała się.

- Polowania z nagonką jeszcze nie próbowałam - stwierdziła ostrożnie.

Nie była to tak do końca odpowiedź na jego pytanie, ale przynajmniej powiedziała prawdę. Milthorpe odchylił

głowę do tyłu, przygotowując się do wygłoszenia ody na cześć łowiectwa.

- Może pewnego dnia przekona się pani, jak to wspaniale patrzeć na smukłego ogara mknącego po polu...

W tym momencie dogoniła ich Violet.

- Cynthia wspaniale poluje - powiedziała z zapałem i z szelmowskim spojrzeniem spod oka na Cynthię.

- Och, to znakomicie! - ucieszył się Milthorpe. - Niepotrzebna skromność, panno Brightly. W takim razie sprawa załatwiona. Pogadam z Milesem i jutro postrzelamy sobie do celu. Dołączy pani do nas, panno Redmond?

- Chyba tak - orzekła Violet z miną, która innym strzelającym nie mogła wróżyć nic dobrego. Cynthia ukradkiem ją uszczypnęła, a Violet bezgłośnie (i nieszczerze) powiedziała: „Au!”

Przed nimi Miles objaśniał coś lady Georginie.

- ...dla tego gatunku trwa właśnie okres parzenia się i lęgu, młode powinny wykluć się w sierpniu.

- Och, na miłość boską, ten Miles ciągle tylko gada o parzeniu się i Bóg wie czym. - Violet jakby przepraszała Cynthię za brata. - Robaki i zwierzęta w kółko tylko to robią.

- Kobiety dzikusów podobno też - mruknęła pod nosem Cynthia.

Miles odwrócił się w jej stronę i zmierzył zaciekawionym spojrzeniem przez jedną... dwie... sekundy.

Wystarczająco długo, żeby sobie przypomniała, że u ludzi wstępem do parzenia się było zwykle całowanie, i żeby stanął jej przed oczami pewien konkretny pocałunek. Krew napłynęła jej do twarzy, a po całym ciele rozlał się żar.

Znowu odwrócił się tyłem.

Powachlowała sobie twarz jedną z błękitnych wstążek od kapelusika i powlokła się dalej po mocno przystrzyżonym trawniku. Miała wrażenie, że na pończochach już czuje wilgoć, co oznaczało, że szwy jej butów w końcu zaczęły puszczać. Całe jej życie wisiało na takich cieniutkich, napiętych nitczkach.

Milthorpe został z tyłu, w towarzystwie Jonathana i Argosy'ego; już wkrótce wszyscy trzej z wielkim ożywieniem o czymś rozprawiali. Pewnie o czworonogich stworzeniach i zabijaniu.

- Cóż, tak to jest. - Violet podjęła wcześniejszy temat. - Owady i inne zwierzęta niczym oprócz tego się nie zajmują. Parzą się, jedzą, zabijają. Tak przynajmniej mówi Miles. O niczym innym nie potrafi rozmawiać.

Słyszając, jakimi słowami siostra podsumowała dorobek jego życia, Miles tylko rzucił przez ramię ironiczne spojrzenie.

- W takim razie zachowują się podobnie jak ludzie. - Cynthia niechętnie podniosła głos.

Cała ta rozmowa zbyt blisko łączyła się w jej umyśle ze sprawą zerwanych zaręczyn i w ogóle nie wydawała się jej zabawna.

Tymczasem rzucona przez nią uwaga wywołała ogólne rozbawienie, chichoty oraz porozumiewawcze trącanie się łokciami. Lady Windermere, jako wdowa, a zatem niejako z urzędu pełniąca rolę przyzwoitki dla młodszych dam, zrobiła zakłopotaną minę, niepewna, czy może pozwolić na rozwijanie takiego tematu, i zirytowana myślą, że mogłaby zostać poproszona o wyrażenie opinii w tej sprawie.

Koniec końców została nieco z tyłu i zajęła się rozmową z lokajem.

- Młody człowieku, nie masz tam w koszyku butelczyny porto? - Uszu Cynthii dobiegło jej pytanie, zadane przyciszonym głosem. - Może byśmy się tak zatrzymali na chwilę i od razu ją otworzyli?

Wyglądało na to, że lady Windermere tak się nadaje na przyzwoitkę, jak Cynthia na zakonnicę. Podniosło ją to nieco na duchu.

- Jeśli o to chodzi... - Miles zatrzymał się i podniósł głos. Towarzystwo posłusznie ucichło, ponieważ Miles był znanym podróżnikiem i w dobrym tonie było słuchać go z zaciekawieniem. - Kiedy samiec gatunku *Pisauridae*, czyli łąkowego pająka, ma chęć na samicę, przynosi jej coś w prezencie, na przykład muchę. To zajmuje jej uwagę na odpowiednio długi czas, żeby mogło dojść do kopulacji. Ale samiec musi szybko załatwić sprawę, bo jeśli samica zje swój prezent, zanim on skończy ją zapładniać, odwraca się do niego i pożera bez skrpułów.

Zapadła kompletna cisza. Wszyscy byli wstrząśnięci.

- Ja zwykle przynoszę w prezencie dobrą brandy - dorzucił obojętnym tonem.

W odpowiedzi gruchnął tak gromki śmiech, że aż ptaki z pobliskich drzew i krzewów poderwały się w popłochu.

- Słodczyce! - kwiczał Argosy. - Ja daję słodczyce!

- Kwiaty! - upierał się Jonathan. - Cieplarniane kwiaty! Dla odwrócenia uwagi!

- Szybko załatwić sprawę! - Lady Windermere szczególnie zachwyił ten fragment. - Całkiem jak mężczyzna!

- Ale nie Redmond, z tego co słyszałam - powiedziała półgłosem lady Middlebough do lady Windermere i obie trąciły się łokciami.

Cynthia obrzuciła badawczym spojrzeniem przystojną mężatkę, ale ta znów się śmiała razem ze swoją towarzyszką. A jako że Cynthia się nie śmiała, wyłowiła uchem z ogólnego rozbawienia dźwięk, od którego ciarki jej przeszły po grzbiecie.

- Hrraaa! Hrraaa! Hrraaa!

Co u licha? Brzmiało to jak... niemożliwe... Dwa wściekle spółkujące osły? Energicznie otwierana i zamykana zardzewiała brama? Stado wron, nadlatujących, żeby wydziobać im oczy i wykraść z koszy jedzenie? Rozglądała się, szukając źródła tego przeraźliwego odgłosu.

- Hrraaa! Hrraaa! Hrraaa!

Zakryła głowę rękami na wypadek, gdyby jednak nastąpił atak z powietrza, a potem zaryzykowała zerknięcie do góry. Ale w gałęziach drzew nic się nie poruszało, bo ptaki odleciały, przestraszone gromkim wybuchem śmiechu. Obejrzała się w lewo, w prawo.

- Hrraaa! Hrraaa! Hrraaa!

I wtedy zobaczyła. Och. O nie. Ten... przeraźliwy dźwięk... Wydobywał się z ust lorda Milthorpe'a. Głowę odrzucił do tyłu, usta otworzył jak wrota od stodoły i wyrzucał z nich jedno „Hrraaa! Hrraaa! Hrraaa!” za drugim. Patrzyła jak urzeczona.

Milthorpe przerwał kakofonię śmiechu, żeby wziąć rzęzący oddech i ryknął:

- Brandy, Redmond! Na Jowisza, a to dobre! - Klepnął się po udzie i... - Hrraaa! Hrraaa! Hrraaa!

Z takim śmiechem spokojnie nadałby się do zdobywania murów Jerycha. Jozue nie potrzebowałby trąb, gdyby miał pod ręką Milthorpe'a. Wstrząśnięta, odwróciła wzrok, lecz powszechnie rozbawienie trwało dalej.

Zauważyła, że Miles patrzy na nią wymownie i śmieje się tak bardzo, że jego oczy zmieniły się w wąskie szparki.

Ciekawe, czy widział, jak zasłaniała głowę rękami. Przekląty.

Lady Georgina pod szerokim rondem kapelusika kryła zmieszaną twarzyczkę - patrzyła na lorda Milthorpe'a z niepokojem, podobnie jak wcześniej Cynthia. A może zawstydziła się, słysząc rubaszny dowcip. Albo go nie rozumiała. Lub też poraziła ją wizja Milesa Redmonda, który przynosi jej brandy i „szybko załatwia sprawę”.

- No, no, panie Redmond - upomniała go lady Windermere, ocierając oczy. - Chyba muszę panu przypomnieć, że nie jesteśmy w tropikach, tylko w Anglii i pewne tematy są niewskazane w mieszanym towarzystwie.

Bez przekonania próbowała wejść w rolę przyzwoitki.

- Ależ jestem zupełnie pewny, że brandy i pająki to całkiem stosowny temat w każdym towarzystwie - odparł trzeźwo Miles.

- Skoro tak pan to ujmuje. - Lady Windermere skapitulowała radośnie.

I w takim oto stanie dobrodusznego rozbawienia dotarli wreszcie nad wijącą się srebrną strugę, której brzegi porastały kępy wierzb, jesionów i olch.

W tym właśnie miejscu zaplanowano piknik.

Miles wydał jakieś polecenie służbie. Postawili swoje ciężary na ziemi, a jeden z lokajów uniósł pokrywę kosza, zanurkował w jego głębinach i wyciągnął złożony prostokąt materiału. Obrus wzdął się jak żagiel, kiedy kilku służących rozłożyło go i zaczęło rozprostowywać na ziemi. Miles podszedł, żeby wygładzić jeden z rogów tkaniny, dzięki czemu znalazł się tuż obok Cynthii.

- On uwielbia się śmiać - mruknął. - Prawie tak bardzo, jak uwielbia psy. I strzelanie.

Ledwo opanowała chęć nadeptnięcia mu na stopę. Chyba wyczuł jej złe zamiary, bo w samą porę się odsunął.

Wydobywanie jedzenia z koszy trwało dłuższą chwilę: wyciągano sterty talerzy i sztućców, ciemne butelki z cydrem i piwem, kurczaka na zimno i całe złociste bochny chleba zawinięte w lniane serwetki. Tempo rozpakowywania gwałtownie osłabło, kiedy jeden z lokajów zatoczył się pod ciężarem połowy olbrzymiego sera, ale czujny Miles szybko pospieszył mu z pomocą. Na talerzach rozłożono kawałki ciasta z kminkiem, a do miseczek wsypano truskawki, jagody i porzeczki.

Ponieważ dzień był upalny, a rozmowy o spółkowaniu i zabijaniu wyostrzyły wszystkim apetyty, rzucili się na jedzenie jak stado wygłodniałych jaguarów. Porównanie przytoczone przez Mileasa, prosto z dżungli Lacao. Co jakiś czas na obrusie pojawiali się skrzydlaci albo pełzający goście, których Miles przedstawiał, używając długich łacińskich nazw.

Trawniki dzielące dwór od rzeki były dość dobrze utrzymane, ale pozwolono na nich wyrosnąć miejscowym

gatunkom kwiatów. Błękitnofioletowe dzwonki i polne goździki chwiały się na swoich łodygach nad wodą niby widzowie obserwujący regaty. Szałwia i lawenda chowały się w wysokich trawach.

Połykliwe ważki patrolowały bieg strumienia i co jakiś czas podlatywały do nich, żeby sprawdzić, co to za zamieszanie. Obok w powietrzu zatoczył pętlę motyl. Miał skrzydła w kolorze lawendy, więc pasował do kwiatów na brzegu.

- *Polyommatus icarus* - oznajmił zebrany Miles. - Modraszek ikar.

- A czy w Lacao naprawdę spotyka się motyle, które są w stanie zjeść człowieka?

Jonathan zadał to pytanie głównie po to, żeby wywołać okrzyki przestachu.

- Nie, ale są za to mięsożerne rośliny, no i plemiona kanibali, którzy zjadają ludzi - odpowiedział młodszemu bratu Miles.

To rzeczywiście wywołało okrzyki przestachu. Nie minęła chwila, a już Miles, opowiadając o Lacao, skupił na sobie uwagę wszystkich. Cynthia patrzyła, jak zdejmuje frak i kapelusz, podwija rękawy i za pomocą słów przenosi się do świata, który badał i który ukochał, świata, który uczynił go sławnym.

Zaczęła słuchać nieco wbrew sobie, ale już po chwili opowieść ją oczarowała. Mówił im o węzach i kwiatkach, o pogodzie i zwyczajach, o psach (Milthorpe) i kanibalach, o truciznach i o różnych sposobach, na jakie można było zginąć z rąk tubylców albo w dzikiej głuszy. Wyczuła, że z delikatności pomija co bardziej przerażające lub nieprzyzwoite fragmenty, których musiało być całkiem sporo.

Zawstydzila się nagle: ten człowiek przejechał pół świata i bez żadnych ceregieli wziął się do odkrywania niezbadanych miejsc. Widział rzeczy, których nikt z tu obecnych nie będzie nigdy oglądał, w ciężkiej chorobie zajrzał śmierci w oczy, ale przeżył. Być może to właśnie sprawiło, że miał tak przekonujący głos, takie głębokie oczy, taką pewność siebie w postawie. Nosił w sobie całe światy. Lecz to mu nie wystarczało, chciał wiedzieć więcej.

Przez moment pomyślała, że mogłaby go tak słuchać bez końca. Ale już za chwilę uznała, że to upał miesza jej w głowie.

Po lunchu towarzystwo postanowiło zorganizować regaty - z braku łódek startować miały patyki. Cynthia właśnie miała dołączyć do pozostałych pań, kiedy zza wierzby wyłonił się Miles i odciął jej drogę. Ten człowiek poruszał się niebezpiecznie cicho i prawie niezauważalnie. Ani przez chwilę się nie łudziła, że to spotkanie jest przypadkowe. Miał wobec niej jakieś zamiary i pewnie zaraz się okaże, o co mu chodzi.

Tęsknie spojrzała nad brzeg strumienia, gdzie stłoczyli się pozostali.

- A więc chce pani mieć spaniela, panno Brightly? - zagadnął niezobowiązująco.

- Lord Milthorpe mówi, że spaniele przypominają mu o mnie.

- Bo ma pani zad pokryty jedwabistą kasztanową sierścią?

Przygryzła wargę, żeby się nie roześmiać. Kusilo ją, żeby powiedzieć panu Redmondowi, że kto jak kto, ale on akurat nigdy nie będzie miał okazji oglądać jej zadu.

Bądź grzeczna.

- I nazwie go pani lord Milthorpe?

- Ach, panie Redmond, widzę, że słuchał pan mojej wczorajszej rozmowy z lordem. Co każe mi podejrzewać, że pańska nie była zbyt ciekawa, bo inaczej nie zniżyłby się pan do podsłuchiwania.

- Wręcz przeciwnie. Lady Georgina i ja mamy podobne zainteresowania.

- Czyżby? Tak samo jak ja i lord Milthorpe? - rzuciła niewinnie.

To dało mu do myślenia.

- Czy pani w ogóle lubi psy?

Zastanowiła się.

- Chyba tak.

- Chyba?

Zerknęła na niego spod oka, ale nic nie odpowiedziała.

- Zgodziłaby się pani nawet na rozjuszonego dzika, gdyby to mogło pani zapewnić dwadzieścia tysięcy funtów rocznie, prawda, panno Brightly?

Spojrzenie, jakim go zmierzyła, zaskoczyło go i zdeorientowało: patrzyła z politowaniem i ledwo wyczuwalną nutką pogardy. Zamilkł, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Nigdy nie miałam zwierzątka - wyjaśniła.

- Jak to? Żadnego?

Skrzywiła się. Nie chciał, żeby to zabrzmiało, jakby jej nie wierzył. Po prostu zwierzęta - wszelkiego typu: z sierścią, kopytami, pancerzykami - były od zawsze nieodłączną częścią jego życia.

Wzruszyła ramionami i spojrzała wymownie w stronę rzeczki. Może zostawi ją w spokoju, jeśli nie będzie się odzywała. Cóż, przynajmniej w jego towarzystwie człowiek się nie nudził. Podobnie jak trudno byłoby się

nudzić podczas pożaru, trzęsienia ziemi czy trąby powietrznej.

- Lubię go - odezwał się znienacka. W jego głosie zabrzmiało ciche ostrzeżenie. - Milthorpe'a.

Poderwała głowę czujnie, nerwowo.

- Ja też go lubię.

Kolejna chwila ciszy. Odwróciła wzrok w kierunku pluskającego biegu strumienia. Sama chętnie puściłaby z nurtem łódkę z patyka.

- Czyżby? - Pytanie było pełne ironii.

Powoli odwróciła się do niego.

- O co panu chodzi, panie Redmond? - Starła się mówić znudzonym tonem. - Myśli pan, że jestem jak syrena, która zwabi go, by rozbił się o skały moich wdzięków? Jeśli tak, to przypisuje mi pan zbyt wielką moc. To dorosły człowiek. Wdowiec. Może po prostu dobrze się czuje w moim towarzystwie. Skąd pan wie, co go uszczęśliwi?

Miles milczał przez dłuższą chwilę. Oparł się po prostu o pień wierzby. To drzewo i on mogliby być bliskimi kuzynami: oboje stateczni i ponurzy.

- Milthorpe nie rozdaje swoich psów byle komu - powiedział wreszcie.

- Wobec tego będę to uważała za wielki zaszczyt, jeśli dostanę od niego psa - odparła spokojnie. - Jakiegokolwiek rasy.

Jej towarzysz znowu zamilkł na chwilę.

- Widzi pani, on jest dokładnie taki, na jakiego wygląda - wyrzucił z siebie wreszcie.

Teraz ją rozzłościł.

- Czyli ja nie jestem?

- Jest życzliwy. Uwielbia świeże powietrze, polowania, psy, konie i swoją ziemię. Nie gardzi sprośnymi żartami, lubi śmiać się za głośno z rzeczy, które nie są aż tak śmieszne. Kocha piwo i pomnażanie pieniędzy, dzięki czemu zaprzyjaźnił się z moim ojcem. To dobry człowiek. Prosty człowiek.

- Nie za bardzo pana rozumiem, panie Redmond. Czy któraś z tych rzeczy się panu nie podoba? A może ma pan wrażenie, że coś z tego, o czym pan mówił, mnie nie przypadnie do gustu? Zapewniam pana, że nie znajduję w tym nic złego. Proszę wyrażać się jaśniej.

Opuścił ręce, skrzyżowane wcześniej na piersiach. Cynthia patrzyła na brązowe umięśnione od wysiłku ramiona. Widać było na nich sprężyste rudawe włosy i delikatne błękitne linie żył.

Wyobraziała sobie, jak dotyka tych miedzianych włosków palcami. Znowu zobaczyła i poczuła jego dłonie na swoich plecach. Poruszona, podniosła oczy na jego twarz. Co okazało się jeszcze gorszym pomysłem.

- Ja się tylko zastanawiam, panno Brightly, kim pani jest. Cięży na mnie jako na gospodarzu pewna odpowiedzialność za pani obecność w Redmond House, a także za pani zachowanie względem innych gości. A że podałem pani Milthorpe'a na tacy, można powiedzieć, tym bardziej będzie mi przykro, jeśli on na tym ucierpi.

Twarz jej stężała i pobielała z gniewu. Jak on śmie...

- Och tak, niech pan jeszcze każe co wieczór liczyć srebra rodowe, panie Redmond. Przecież mogłabym je ukraść i uciec z Cyganami. Albo obrabować w nocy pańskich gości z naszyjników i zegarków.

Przez chwilę milczał przepraszająco.

- Pod Pennyroyal Green naprawdę jest obozowisko Cyganów. Zawsze się tu zatrzymują o tej porze roku. Nietrudno by było do nich dołączyć. - Próbował obrócić sprawę w żart.

Przewróciła oczami i zaczęła wachlować się wstążką od kapelusza, ale zaraz przestała, bo mógł to wziąć za oznakę jej zaniepokojenia.

- No i jest jeszcze kwestia mojej siostry.

- Pana siostra? Jest zabawna. Inteligentna. Znacznie bardziej interesująca niż większość kobiet z towarzystwa. Ją też lubię. Zaprosiła mnie tu, bo wie, że przy mnie nie będzie się nudzić. - Błysnęła zębami w szelmowski uśmiechu.

- Tego się właśnie obawiam - odparł.

Odwróciła się na pięcie, żeby odejść obrażona. Po czym zmieniła zdanie i znowu stanęła z nim twarzą w twarz.

- Dlaczego sądzi pan, że ma prawo obrażać jednego ze swoich gości, podając w wątpliwość pochodzenie i dobre maniery? Pan, który podobno tak się troszczy, by wszyscy dobrze się czuli w Redmond House.

Wciągnął ze świstem powietrze i wyprostował się gwałtownie. Patrzyła, jak pod wpływem oddechu jego piers unosi się i opada.

- Ma pani rację, panno Brightly. Tylko, widzi pani... Jest pani tutaj, można powiedzieć, niewiadomą. Nie wiem nic o pani, nie znam pani rodziny, a tu nagle okazuje się, że jest pani bliską przyjaciółką mojej siostry. A Violet potrafi być... samowolna. Ostatnimi czasy nawet bardziej niż kiedyś. Jestem za nią odpowiedzialny.

To ciekawe, nie powiedział „my”. Nie powiedział, że on i jego ojciec odpowiadają za Violet.

- Czy to znaczy, że nie ma pan do siostry ani odrobiny zaufania, panie Redmond?

Cisza.

- Nie - odparł. - Tego bym nie powiedział.

Przyznawał tym samym, że Cynthia nie jest całkiem źle widziana. Oboje zaczęli się uśmiechać.

- Czuję się zaszczycona.

Ale nie mogła jego trosce o siostrę odmówić zasadności. Właściwie nawet musiała niechętnie przyznać, że szanuje go za to. Wzięła w karby urażoną dumę.

- Jak mam pana przekonać, panie Redmond, że nie jestem złodziejką ani morderczynią?

- Skąd pani pochodzi? Z jakiej rodziny? - odpowiedział pytaniem.

Cynthia spojrzała na strumień, jakby wyobrażała sobie, że płynie po nim łódź, która mogłaby ją stąd zabrać. Wyścigi patyków wzbudzały wielkie emocje. Wyglądało na to, że Milthorpe dowodzi całym przedsięwzięciem, wykrzykiwał jakieś marynarskie komendy i machał rękami; Argosy i Jonathan klęczeli na brzegu, a panie zbiły się w gromadkę.

- Hodujecie tu jakieś psy? - zapytała nagle.

- Oczywiście. Czemu pani pyta? Chce pani poćwiczyć sympatię do psów?

Uśmiechnęła się znowu.

- Lord Milthorpe ucieszyłby się z towarzystwa psa.

- Naprawdę? Skąd ten pomysł?

Oboje się uśmiechnęli. A ta wymiana uśmiechów sprawiła, nie wiadomo czemu, że świat stał się wielki aż do zawrotu głowy i że każdy oddech boleśnie, cudownie rósł im w piersiach. Ale już w następnym momencie Miles miał wrażenie, że Cynthia znowu zamyka się w sobie.

Czekał cierpliwie. Wiedział, że nie zapomniała o jego pytaniu.

- Nie przyszło panu do głowy, panie Redmond, że mnie po prostu nie jest łatwo mówić o mojej rodzinie?

- Owszem - odpowiedział bez wahania. - Ale nigdy bym nie przypuszczał, że trudności mogą panią zniechęcić.

W uznaniu dla tego komplementu niewesoły uśmiech rozjaśnił jej oczy, a potem całą twarz. Ach, ten jej uśmiech. Odciskał mu się na sercu ostrym, lśniącem półksiężycem.

Rzucił okiem na lady Georginę, na jej bladość bez wyrazu i na jej łagodne kragłości, żeby sobie przypomnieć o tym, co go czeka, a także o życiowej pasji, ambicjach i obowiązku. Spojrzał jeszcze na lady Middlebough, żeby sobie przypomnieć, czego jeszcze niedawno pożywał. A wszystko po to, żeby odwrócić swoją uwagę od tej niewygodnej, zaskakującej, wszechogarniającej... ..radości.

Przestraszył się tego słowa. Nie. To niemożliwe. On przecież nie bał się niczego.

- No dobrze - westchnęła. - Pytał mnie pan o rodzinę... Moja matka nie żyje. Zmarła, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Ojca nie widziałam, odkąd skończyłam pięć lat. Zostawił nas. Pewnie też już nie żyje. Teraz mam dwadzieścia dwa lata. Podobno wśród moich dalekich krewnych był jakiś baron.

Tę uwagę podkreśliła ironicznym uśmiechem.

- Ale wiem tylko tyle, ile mi opowiedziano, i nie znam nazwiska tego barona. Pochodzę z Little Roxford, ale urodziłam się w Battersea w Londynie; wyprowadziliśmy się na wieś, pewnie uciekając przed długami albo z jakiegoś jeszcze mniej ciekawego powodu, bo wyjeżdżaliśmy ciemną nocą. Kiedy zmarła moja matka, przygarnął mnie pastor i jego żona. Byli dla mnie bardzo

dobrzy. Ja nie stroniłam od psot, ale pastorowa mówiła, że to dla niej miłe urozmaicenie. - Figlarnie uniesiona brew. - Niestety zmarła, kiedy miałam osiemnaście lat, a druga żona pastora... - Lekkie skrzywienie ust. - Nie chciała mieć ze mną do czynienia. Wyrzuciła mnie. Wtedy poznałam Standshawów. Zaprosili mnie do Londynu. - Rozłożyła ręce, jakby chciała powiedzieć: i to już wszystko.

Nie żyje, zmarła, zmarła. Każde z tych słów wymawiała bardzo wyraźnie, jakby chciała ukarać siebie - albo jego, za to, że się dopytywał. Był w nich ciężar i beznadzieja nieodwracalności.

Jak to się stało, że dziewczyna wyrzucona na bruk przez drugą żonę wiejskiego pastora wzięła szturmem miasto i zdobyła hrabiowskiego narzeczonego? I czemu to wszystko nagle się rozsypało? Na ile jej opowieść w ogóle była prawdziwa?

Obok nich zatrzepotał skrzydłami modraszek, zmierzający, jak podejrzewał Miles, po nektar lawendy, wśród której kwiatów stanie się praktycznie niezauważalny. Przyroda miała swoje sposoby. Była piękna, okrutna i praktyczna.

Przypomniał sobie ten moment, kiedy pierwszy raz zobaczył Cynthię. Stała z twarzą uniesioną do góry, a miękkie światło kandelabrow podkreślało zachwyt malujący się na jej twarzy. Teraz już mógł się domyślać, skąd brał się ten zachwyt. Jakaż ona musiała być zdeterminowana. Ileż zamieszania narobiła w tamtym sezonie wśród towarzyskiej śmietanki jedna uboga sierota. Podejrzewał, że nikogo dotychczas jeszcze popularność nie cieszyła tak bardzo jak jej.

Pod oczami miała sine obwódki. Prawie tego samego koloru, co skrzydła modraszka. Nie za dobrze sypia.

Miles niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

Ostre słońce przebijało się nawet przez korony drzew, czuł na ramionach jego ciepło. Kropelka potu zaczęła mu powoli spływać z obojczyka na pierś.

- Pastor? - powiedział to z cichym niedowierzaniem.

Postanowił, że zagadnie ją o tę część jej historii. Ale pytanie zabrzmiało ostrzej, niż zamierzał. Bo przejmował się bardziej, niżby chciał.

Uśmiechnęła się samymi ustami, ale oczy miała smutne.

- Może mnie pan przepytać z Biblii, panie Redmond.

- Ewangelia Łukasza, rozdział dwunasty, werset piętnasty. - Słowa Milesa przecięły powietrze jak rapier.

- Powiedział też do nich: „Uważajcie i strzeżcie się wszelkiej chciwości, bo nawet gdy ktoś opływa we wszystko, życie jego nie jest zależne od jego mienia”. Bardzo zabawne, panie Redmond, jak zwykle. Niczego innego się po panu nie spodziewałam. Ale gdybym chciała ubarwiać swoją przeszłość, to zmyśliłabym jakąś ciekawszą bajeczkę. Na przykład, że pochodzę z rosyjskiej arystokracji. Ale niczego nie ubarwiałam. Moja przeszłość jest dokładnie tak szara i bezbarwna, jak ją odmalowałam. Zamierzam za to mieć bardzo kolorową przyszłość. O czym już pan zresztą wie.

Patrzyła na niego spokojnie, ale w błękitnych oczach płonęło wyzwanie. Zamyślony, oparł się plecami o drzewo. Chwilę stali razem w milczeniu. Modraszek postanowił polatać wokół panny Brightly, być może biorąc ją za pełen smakowitego nektaru kwiat albo za innego motyla.

Uśmiechnęła się.

- Piękny kolor, zawsze go lubiłam. - Wyciągnęła rękę z nadzieją, że motyl na niej przysiadzie.

Niestety, on już zorientował się w pomyłce i odleciał pić nektar z kwiatów lawendy.

- Gdyby nie pewien motyl, w ogóle nie zwróciłbym na panią uwagi. - Wystrzelił tym oświadczeniem zupełnie bez ostrzeżenia, jakby wypuścił strzałę z łuku.

Poderwała głowę i wbiła w niego zaskoczone spojrzenie.

- *Morpho rhetenor helena* - powiedział z lekkim uśmiechem. Łacińska nazwa zabrzmiała jak zakłęcie. - Występuje w południowoamerykańskiej dżungli. Olbrzymi, lśniący, przepiękny, na skrzydłach ma błękit, zieleń, fiolety. Wtedy na balu u Malverneyów, dwa lata temu... Pani suknia... Pomyślałem sobie, że pani suknia...

Urwał, nagle speszony. Przyglądała mu się z takim zdumieniem. A on nie potrafił, nie chciał dalej mówić, skoro mógł po prostu spijać oczami błękit jej oczu. Oboje słyszeli szmer strumyka i głosy pozostałych gości, ale te dźwięki dobiegały ich jakby z innego wymiaru.

Tamtego wieczoru miała na sobie błękitną suknię. Kiedy ją pocałował, była ubrana na zielono. Tak nosiły się prostytutki w czasach Tudorów, żeby nie było widać na sukniach plam z trawy, kiedy ktoś brał je pod gołym niebem.

Pomyślał, że na swoje szczęście Cynthia ma w tej chwili na sobie sukienkę z białego muślinu. Pragnął się w nią zanurzyć. Pożądanie rozpało go do białości, odbierając oddech. Chcąc się uspokoić i odzyskać jasność umysłu, spojrział w bok na Georginę, klucz do jego innej namiętności, do jego przyszłego życia.

Nagle w ognistym spojrzeniu Cynthii zamigotała iskierka niepewności.

- Błękitna... suknia? Miałam wtedy błękitną suknię?

Widać było, że próbuje sobie przypomnieć tamten bal i jego. Szybko przybrał obojętną minę, niszcząc nastrój chwili.

- Miała pani narzeczonego? - zapytał bez ogródek.

Zamrugła, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Tak, panie Redmond, miałam narzeczonego - powiedziała cicho, z przekąsem.

- Mówiła mu pani o swojej przeszłości, o swojej rodzinie? - Docierało do niego, że ona traci pewność siebie, że czuje się osaczona, ale pytania same wychodziły mu z ust.

- Mówiłam.

- I dlatego się rozmyślił? A może to pani się rozmyśliła?

- Nie - odparła lakonicznie. - Nie dlatego. To nie miało dla niego większego znaczenia. - Zmierzyła go tym swoim nieodgadnionym spojrzeniem. Lekko uszczypliwym, z nutką politowania. - Chociaż zaręczyny rozpadły się z mojej winy, to nie ja je zerwałam. Czemuż, na miłość boską, miałabym to robić? Przecież to był spadkobierca hrabiowskiego tytułu. A do tego bardzo bogaty.

Omiotła wzrokiem rozległe trawiaste przestrzenie redmondowskiego majątku, jak gdyby porównywała go do posiadłości swojego byłego narzeczonego, z którym nie mógł się równać. Ten gest zadziałał dokładnie tak, jak się spodziewała. Miles natychmiast poczuł przyływ bojowego nastawienia.

- Więc co się stało, panno Brightly?

Westchnęła. Powolnym ruchem odwróciła się od niego, jakby męczyła ją ta rozmowa. Uniosła twarz do słońca, skuszona być może jego ciepłem albo

instynktownie szukając odrobiny przyjemności w tej niemiłej dla niej sytuacji.

Zaraz jednak zmieniła zdanie i opuściła głowę. Lepiej nie ryzykować opalonej skóry i piegów, zwłaszcza że uroda była jej głównym atutem.

- Nic, co by mogło o mnie dobrze świadczyć - powiedziała obojętnym, niemal drwiącym tonem. - Ale też nic, co mogłoby przynieść ujmę pańskiej rodzinie. Bardzo nieprzyjemna historia, ale nie było w niej nic nadzwyczajnego. Rozumiem, że to dla pana bardzo ważne: bezpieczeństwo i honor rodziny. Przysięgam panu, że nie kłamię. W ogóle rzadko mi się to zdarza. To pewnie wpływ wychowania na plebanii. Nie powinien pan przypadkiem zabawiać rozmową lady Georginy? Może się czuć zaniedbana.

Rzut oka pozwolił Milesowi stwierdzić, że Jonathan i Argosy właśnie pokazywali lady Georginie, jak zrobić fujarkę z trzciny, a Violet rozmawiała z lady Windermere, lordem Milthorpe'em i lady Middlebough.

Zastanawiał się, czy obie kobiety będą pamiętać, że Violet jest jeszcze panienką i powstrzymają się przed opowiadaniem niestosownych ciekawostek albo - w przypadku lady Middlebough - zdradzaniem krępujących sekretów.

- Minęła ledwo minuta, panno Brightly. Śmiem przypuszczać, że lady Georgina zniesie chwilowy brak mojego towarzystwa.

- Może i tak, ale nie wiem, jak długo jeszcze ja będę je w stanie znosić, panie Redmond. Jak pan wie, mam silny instynkt samozachowawczy.

Rozbawiło go to. Podniósł rękę do czoła, jakby chciał uchylić kapelusza, którego nie miał przecież na głowie, bo

zostawił go na kocu razem z kapeluszami pozostałych panów. Odwrócił się bez słowa i podszedł do siostry i lady Georginy, które powitały go uśmiechem. Cynthia oparła się plecami o litościwą wierzbę i westchnęła z ulgą.

Niedługo potem zaczęli się zbierać do powrotu, jako że coraz wyraźniej zanosilo się na deszcz. Służba zapakowała więc niedojedzone resztki do kosza i towarzystwo rażno pomaszerowało do domu. W drodze powrotnej Milthorpe przypadkiem wpadł w wielką pajęczynę. Cynthia zobaczyła żałosny, porwany strzępek powiewający na żywopłocie.

- Cholerne pajęczyska - przeklął pod nosem Milthorpe i ruszył dalej.

Cynthia wzdrygnęła się, tak jakby zniszczona pajęczyna była częścią jej samej. Zastanawiała się, co się stało z pajakiem. Stała bez ruchu, wpatrując się w zwisającą smętnie resztkę pajęczej sieci.

Nagle znalazł się przy niej Miles.

- Odbuduje ją - powiedział, prawidłowo interpretując jej zmartwioną minę. - Dla niej to żadna nowość. To po prostu część jej życia. Naprawa zniszczonej pracy; czasem musi to nawet robić codziennie.

Mówił do niej lekkim, pokrzepiającym tonem.

I o dziwo, rzeczywiście ją to pokrzepiło. „To po prostu część jej życia”. Brutalne zniszczenie czegoś, co wyglądało na olbrzymie przedsięwzięcie, sprawi, że praca zostanie podjęta na nowo i rano na krzaku pojawi się kolejna, skomplikowana i delikatna sieć. Taka już natura pająka.

Zerknęła w górę. Z tej pozycji widziała od spodu elegancką linię starannie ogolonej szczęki; widziała lśniąca ciemne włosy wystające spod kapelusza i sięgające ucha.

Powinien się ostrzec. Zalała ją gwałtowna fala czułości. Miała ochotę dotknąć jego włosów. Czy były szorstkie w dotyku? Czy może gładkie jak skrzydło ptaka? Albo jedwabiste jak u spaniela?

Nie bez wysiłku odwróciła głowę. Zirytowała się sama na siebie.

Przed sobą zobaczyła złociste pukle lorda Argosy, starannie ułożone w taki sposób, żeby sprawiały wrażenie niedbale zwichrzonych, podobne do precyzyjnie poprzycinanych żywopłotów w parku Redmondów albo smukłych, strzelających w niebo cyprysów.

Żywopłoty posadzono w taki sposób, żeby dzieliły teren na części, być może po to, by mieszkający tu ludzie mieli poczucie bezpieczeństwa i zarazem przepychu, jak arystokratyczne owce zamknięte w wyjątkowo luksusowej zagrodzie. Stwarzały wrażenie uporządkowania i jednocześnie wskazywały na pewnego rodzaju uwiązanie - skrepowani byli własnym majątkiem, nazwiskiem, rodową historią, poczuciem obowiązku.

- Będzie musiała zacząć od samego początku? - Cynthia ze zdziwieniem stwierdziła, że naprawdę zainteresowała się losem pająka.

- Skorzysta z tej części, która nie jest zniszczona, i dobuduje resztę, mocniejszą niż przedtem, chociaż nie tak symetryczną. Wie pani, że pajęczne nici są na swój sposób mocniejsze od stali?

Hm. A więc pajęczyny nie były jednak takie delikatne. Jeśli to prawda, żałowała, że pająki nie są szewcami. Zerknęła na swoje buty. I poczuła, jak znowu rośnie w niej determinacja. Spojrzała na oddalające się plecy Milthorpe'a. To obok niego powinna teraz iść. Albo obok Argosy'ego.

- Ale wygląda na bardzo wiotką, zwłaszcza gdy tak powiewa na wietrze. - Dalej szukała u niego pokrzepienia.

- Może w tym właśnie tkwi jej siła. W elastyczności. W delikatności. Pozory... - zawiesił głos. - ...często myślą.

Milczała. Czy to miały być przeprosiny? Czy może w tak zawoalowany sposób powiedział jej komplement? Ta myśl ją rozbroiła. Bo jeśli to rzeczywiście był komplement... To chyba najlepszy, jaki w życiu usłyszała. Nikt inny dotąd nie podziwiał w niej tego, co sama najbardziej w sobie ceniła. Bo bardzo starała się, żeby nikt tego nie dostrzegł.

A Miles Redmond nitka po nitce rozwijał ten kokon, który uwiła wokół siebie, posługując się spostrzegawczością, wdziękiem i ambicją. Było to absolutnie fascynujące i zupełnie nie fair. Wtedy przyszło jej do głowy, że może on po prostu traktuje ją tak samo jak małe, lśniąca egzotyczne stworzonko o licznych odnóżach.

Próbuje ją zrozumieć i ma nadzieję wycisnąć z niej jak najwięcej informacji i wskazówek. Był zmuszony do odgrywania roli gospodarza przyjęcia pod nieobecność rodziców, a Sussex, jakkolwiek by patrzeć, nie było tak ciekawe jak wyspy Mórz Południowych, prawda?

No to niech sobie raczej wsadzi pod swój mikroskop lady Georginę.

Dwa szybkie kroki pozwoliły jej zrównać się z lordem Argosy na tyle, żeby móc swobodnie rozmawiać. Ten osobnik należał do znacznie lepiej znanego jej gatunku. Londyński arystokrata.

- Czy pani tańczy, panno Brightly? - zapytał lord bez żadnych wstępów.

Jakby cały czas się jej spodziewał. Rzucił jej spojrzenie z ukosa i znowu odwrócił wzrok. Na jego ustach

pojawił się tajemniczy uśmieszek zadowolenia, przeznaczony tylko dla niej. Ten uśmiech mówił: „Oboje wiemy, że jesteśmy tutaj najatrakcyjniejszą parą. Cieszymy się naszą młodością i urodą”.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała swobodnie.

Jak gdyby wracali do przerwanej rozmowy.

- Grywa pani?

Zawahała się, niepewna, czy w tym słowie nie czai się jakaś aluzja.

- Na... pianinie? - domyśliła się ostrożnie.

- Tak! Proszę powiedzieć, że pani nie gra. Albo chociaż że nie będzie pani tu grała. Nie zniosę kolejnego odbębnionego recitalu, a jestem pewien, że to nas właśnie czeka, jeśli dziś wieczorem się rozpada. Mam pięć siostr, wie pani. Pięć - powtórzył ponuro.

- Och, nikt nie byłby w stanie tańczyć, gdybym zagrała. A raczej wszyscy tak by się krzywili, słuchając, że częściej mieliby oczy zamknięte niż otwarte i pozderzaliły się ze sobą. Gram bardzo, bardzo marnie.

- W takim razie już mi ulżyło. Chociaż może poproszę panią o jedną piosenkę dla czystej przyjemności posłuchania, jak ją pani maltretuje.

Cynthia roześmiała się na to. Lord Argosy również - na szczęście miał zupełnie zwyczajny śmiech: wesoły, głęboki, męski. Biło od niego samozadowolenie, ale nie przesadne; życie się do niego uśmiechało i pewnie tak było od zawsze. A poza tym spadkobiercy szlacheckich rodów zwykle bywali z siebie zadowoleni. Był czarujący.

Choć mógł się okazać jednym z tych lordów, którzy mieli wspierać tytuł, ale szukali fortuny, która pozwoli im utrzymać to, co stało za nazwiskiem: ziemie i zamki pełne łupów zdobytych w starożytnych bitwach.

Będzie musiała się dowiedzieć czegoś więcej o lordzie Argosy.

Zerknęła za siebie na człowieka, który był w stanie udzielić jej tych informacji. Z jakiegoś powodu chciała się przekonać, czy Miles słyszał jej śmiech i co o tym myśli. Lord Milthorpe mógł być komiczny, ale lord Argosy to zupełnie inna sprawa.

Zobaczyła dwie głowy pochylone ku sobie, pogrążone w swobodnej, cichej rozmowie: Miles Redmond i lady Georgina, która „miała podobne zainteresowania”. On ciemny, ona jasna. Zwolnił kroku, żeby dopasować się do jej tempa, i teraz szli ramię w ramię.

- Panie Redmond! Jakie to ciekawe! - zawołała entuzjastycznie lady Georgina.

I nagle Cynthię dopadło przemożne pragnienie, żeby się przekonać, jakie to uczucie: otwartość, swoboda, spokój. A nie flirty, intrygi, skradzione pocałunki, nerwowy śmiech.

Po prostu chciała, żeby znowu ktoś się starał o jej względy, a nie żeby sama musiała zabiegać o zalotników. Ale cóż, nie urodziła się w rodzinie Redmondów ani innych arystokratów. A kiedy pomyślała o tym, jak daleko zaszła o własnych siłach, przyszły jej na myśl pchły. Te maleńkie owady przeskakiwały olbrzymie odległości, wielokrotnie większe od nich samych. Powiedziała sobie, że też tak potrafi, a teraz tylko odpoczywa pomiędzy jednym a drugim skokiem.

Tylko czemu, na litość boską, nagle wszystkie jej porównania dotyczą owadów?

Wyprostowała plecy, jakby odrzucając za siebie tę myśl razem z człowiekiem, który ją sprowokował. A ponieważ obiecała sobie, że będzie grzeczna i uznała, że

dzisiaj bardzo dobrze jej to wychodzi, pozwoliła sobie w nagrodę na chwilową fantazję na temat odległej przyszłości, w której szła ramię w ramię ze swoim mężem przez jakąś wielką posiadłość. Oboje mieli siwe włosy, a wokół nich jak okiem sięgnąć rozciągały się trawniki i drzewa. W pobliżu zaś figlowała spanielka o imieniu lady Georgina.

Jeszcze przez dwa tygodnie mogła mieć nadzieję, że to marzenie kiedyś się spełni.

- Wydaje mi się, że lady Georgina gra bardzo dobrze - oświadczył lord Argosy.

Pewnie że tak, pomyślała Cynthia z przekąsem.

- W takim razie ona może grać, a my będziemy tańczyć - powiedziała przekornie.

Lord Argosy przeciągnął się leniwie i musnął palcami liście zwisającej nisko gałęzi jesionu. Zaszleściły jak banknoty. Równie dobrze mógłby tym gestem przeczesać długie kobiece włosy.

Cynthia ukryła uśmiech. Wiedziała, że zrobił to, by mogła podziwiać jego wysmukłą sylwetkę; po części też dlatego, że w jej obecności zmysły mu szalały, a przecież nie mógł jej dotknąć. Na razie.

Ach, ten język flirtu.

Argosy miał w brodzie dołek, co u mężczyzny z reguły ją po prostu rozbijało. Taki uroczy szczegół w rysach twarzy. Do tego porządna, angielska, kwadratowa linia szczęki, prosty nos, ciemne oczy, może nie jakieś nadzwyczajne, ale też nie zezowate ani nie schowane za okularami, a zęby miał idealne. Był z każdej strony symetryczny i widać było po nim bogactwo. Od wieków przystojni arystokraci łączyli się w pary z pięknymi

arystokratkami i dzięki temu mógł zaistnieć taki oto lord Argosy.

- A czy dobrze pani tańczy, panno Brightly?

- Tańczę doskonale - odparła.

Uśmiechnął się w odpowiedzi na oczywistą aluzję.

Po powrocie z pikniku Cynthia nie zastała listu z Northumberland. Poczowała jednocześnie ulgę i rozczarowanie. Wobec tego szykowała się na wieczór ze szczególną starannością: miedziany odcień brązu sukienki podkreślał czerwone refleksy w jej włosach, a mocno wycięty, ale nie skandalicznie głęboki dekolt ukazywał półksiężyc śnieżnobiałej skóry i spory kawałek bardzo ładnego biustu. Włosy upięła wysoko, żeby uwydatnić smukłość szyi, i wyciągnęła z koka kilka niedbałych kosmyków.

Pani Fanchette Redmond zaplanowała dwa prośzone obiady - jeden na powitanie, a drugi na pożegnanie swoich gości. Na każdy z nich zaprosiła ze dwa tuziny miejscowej arystokracji z Sussex. Pierwszy obiad odbył się zaraz po pikniku i wypadł bez zarzutu: służba chodziła jak w zegarku, a kucharz dał popis swojego talentu w licznych zaserwowanych daniach. Miles, Violet i Jonathan potrafili się znaleźć w roli gospodarzy, a poza tym znali zaproszonych gości od dzieciństwa. Nawet Violet wyjątkowo powstrzymała się od skandalicznych uwag.

Ale ponieważ usadzenie gości przy stołach zostało już wcześniej zaplanowane przez panią Redmond, Cynthii dostało się miejsce pomiędzy dwiema korpulentnymi starszymi wdowami, z których jedna drzemała nad talerzem zupy.

Kiedy obiad dobiegł końca, a panowie i panie najpierw rozeszli się do osobnych pomieszczeń, a potem na powrót spotkali, lady Georgina zasiadła do fortepianu, zaś

lord Milthorpe podjął się przewracania kartek z nutami. Na wodzireja wybrano lady Windermere.

Niestety, jedna z miejscowych panien od razu zajęła miejsce u boku Argosy'ego, ale dziewczę było przyszczate i miało mocno owłosione ramiona, więc Cynthia nie obawiała się konkurencji. Jej samej przypadło w udziale zatańczyć galopkę z Milesem; doprawdy, los miał wisielcze poczucie humoru.

Zagrała muzyka. Skoczna i nagląca.

Oboje naraz uświadomili sobie jedną rzecz: będą musieli się dotknąć. Dziwne, że coś tak zwyczajnego jak taniec nagle okazało się tak niebezpieczne. Przez jedną absurdalnie długą chwilę mierzyli się wzrokiem. Inne pary już zaczęły tańczyć. Wtedy Miles ujął jej ramię, jakby dotykał kruchej porcelany. Zmarszczyła brwi.

Delikatnie położył jej rękę na swoim ramieniu i zaczął ją prowadzić w rytm kroków podawanych przez lady Windermere. Żadne z nich nie wiedziało, co mówić. Jego ramię, które, jak wiedziała, było silne i pokryte brązowymi włoskami, parzyło ją przez dwie warstwy materiału - frak i rękawiczkę. Nie mogła się uwolnić od myśli, że obejmuje ją mężczyzna.

Co za absurd.

Wysłuchiwała się w muzykę. Lady Georgina grała naprawdę dobrze. Lady Georgina, kobieta, która poślubi Milesa Redmonda. Ach, wreszcie rozsądna myśl.

- Chcę wiedzieć więcej o lordzie Argosy - zażądała bez ogródek.

Rozdzielili się na komendę lady Windermere, a kiedy się spotkali w następnej figurze, Miles odpowiedział:

- Bardzo bogaty i kawaler. To chyba najistotniejsze?

Choć w całej sali tancerze rozeszli się na kilka kroków zgodnie z układem tanecznym, Cynthia miała wrażenie, że ją i Milesa rozdzieliła jego ironia.

Znowu zbliżyli się do siebie.

- Niech pan nie każe się prosić - przynagłała Cynthia.

Wykrzywił zaciśnięte usta w uśmiechu. Na komendę lady Windermere zaczęli krążyć wokół siebie jak dwa dzikie koty, niezdecydowane, czy mają rzucić się sobie w objęcia, czy też skoczyć do gardeł. Mierzyl się wzrokiem.

- Dobrze, panno Brightly. - Miles zaczął wyliczać kolejny zestaw użytecznych dla niej, choć dosadnych informacji. - Argosy ma trzydzieści tysięcy funtów rocznie. Jest spadkobiercą, jak pani zapewne słyszała. Nic mi nie wiadomo, żeby miał jakieś przesadne długi czy nałogi. W ogóle nie robi zbyt wiele poza szukaniem typowo męskich rozrywek: walki na pięści, wyścigi konne, polowania, kobiety, hazard. Nie wygląda na to, żeby w jakikolwiek sposób starał się zmienić na lepsze. Ale to przecież nie ma...

Rozeszli się na boki, bo tego wymagała figura taneczna. Każde z nich musiało postąpić kilka kroków do tyłu, więc Cynthia pozostała w dziwnym zawieszeniu w pół zdania, zanim znowu się do siebie nie przybliżyli.

- ...dla pani najmniejszego znaczenia. Więc proszę mi wybaczyć tę dygresję. Ma dwa tytuły szlacheckie, kilka olbrzymich posiadłości, które odziedziczy, i...

- ...pięć siostr - dokończyła Cynthia.

- Ach, widzę że już jesteście dobrymi znajomymi? - Ton jego głosu był dziwnie bezbarwny.

- Tego i owego zdążyłam się o nim dowiedzieć. Niech pan mówi dalej.

Ale następna figura wymagała, żeby Miles wziął ją za rękę. Oboje się zawahali. Jeszcze chwila, a zmyliliby krok w tańcu i wszyscy zwróciliby na nich uwagę. Poczwała na policzkach wypieki. Uniosła rękę i podała mu ją z obawą.

On jednak ujął jej dłoń, jakby właśnie wręczyła mu jakiś niezwykle artefakt. Delikatnie otoczył ją palcami, sprawiając wrażenie zdziwionego, że ktoś powierzył mu tak cenną rzecz. Po czym uchwycił ją mocno i zdecydowanie.

I poprowadził Cynthię zgodnie z krokami tańca.

Zapomnieli o rozmowie. Świat skurczył się do tego miejsca, w którym stykały się ich palce. Cynthia miała wrażenie, że pod nogami ma nie podłogę, lecz chmury. Wstrząsnęła nią ta myśl, więc czym prędzej zerknęła na lorda Argosy. To pomogło jej wrócić na ziemię.

Miles zauważył, oczywiście. Bo zauważanie należało do jego specjalności.

- Argosy'emu nigdy niczego nie brakowało - rzucił nieco ciszej, jakby ugodowo. - Dlatego wydaje mi się, że zainteresuje go coś, co będzie mu trudno zdobyć.

Cynthia skinęła głową. Zrozumiała od razu i wiedziała już, jak musi postępować.

- Ma może jakieś słabostki? Dziwaczne upodobania?

- Wykorzystałaby pani czyjeś słabostki, panno Brightly? - W jego głosie zabrzmiało autentyczne zaciekawienie. - W jaki sposób?

- Nigdy nie wiadomo, co się okaże przydatne, panie Redmond, o czym pan akurat powinien dobrze wiedzieć. A poza tym nie rozumiem, dlaczego tylko pan miałby zadawać pytania.

O Boże. Lady Windermere wywołała figurę, która wymagała, żeby tancerze położyli sobie dłonie na ramionach.

Czas dziwnie zwolnił, chociaż muzyka grała dalej. Cynthia przyglądała się, jak ich ramiona unoszą się do góry i jego dłoń opiera się na jej ramieniu. Jej własna wydawała się taka drobna. Spojrzała na nią. Gdyby podeszli do siebie jeszcze dwa kroki bliżej, mogliby się objąć. Pomyślała, że w tańcu jest pewna ironia: zbliżają się do siebie, ale jednocześnie zachowują dystans.

Wwiercał się w nią spojrzeniem ciemnych oczu. Ich ciała powoli obracały się w tańcu, a on mówił do niej cicho, z bardzo bliska, aż poczuła gęsią skórkę na karku.

- Panno Brightly, a czego pani najbardziej pragnie?

Zalał ją żar. Spuściła głowę, żeby nie widział jej oczu. Powieki same jej się zamykały, jakby chciała odciąć wszystkie inne wrażenia zmysłów prócz jego dłoni na swoim ramieniu, prócz zapachu jego ubrania i jego ciepłego ciała. Wyobrażała sobie jego dłonie dotykające ją w innych miejscach i przywołała wspomnienie jego twardej męskości, którą czuła przez cienki materiał sukni.

Ale nie była naiwną gąską. Wzięła głęboki oddech.

- Najbardziej pragnę tego, żeby pan odpowiedział na moje pytanie, panie Redmond - oświadczyła z przekonaniem.

Zmusiła się, by podnieść głowę i pozornie obojętnym ruchem odwróciła od niego twarz. Za linią tańczących par widać było lady Georginę, której palce podskakiwały na klawiszach fortepianu niby mali tancerze. Lord Milthorpe, odwracając kartkę, uniósł wzrok i napotkał spojrzenie Cynthii. W uśmiechu błysnęły mu zęby: ten pociemniały obok zdrowych.

Odruchowo odwzajemniła uśmiech.

Miles mocniej zacisnął dłoń na jej ramieniu. Poczowała, że jego mięśnie zadrżały z napięcia. Zbyt szybko przeniosła wzrok z własnej ręki na jego twarz i przeżyła wstrząs, kiedy odkryła, że wszystko w tej twarzy jest dokładnie takie, jak być powinno.

- Wiem o czymś takim - odezwał się nagle. - Argosy jest bardzo przesądny. Pociągają go rzeczy nadprzyrodzone. Słyszałem, że interesuje się mesmeryzmem, bywał też na seansach spirytystycznych i przysięgał, że nieraz rozmawiał z duchem swojej matki.

Wielkie nieba! „Nieba” to właściwe słowo, skoro Argosy najwyraźniej szukał kontaktu z mieszkańcami zaświatów.

- Jego matka nie żyje? - spytała cicho.

Przynajmniej to łączyło ją z Argosym.

- Wychowała go macocha. Przyjaciółka mojej matki. Miła kobieta, a przy tym piękna. Zresztą, nie wydaje mi się, żeby jego ojciec zadowolił się pospolitą urodą. Dla Argosy'ego z pewnością uroda też bardzo się liczy - dorzucił niby to pocieszająco.

- Sporo pan wie na jego temat, panie Redmond.

- Ludzie jakoś lubią mi się zwierzać, panno Brightly. Sam nie wiem czemu.

- Zapewniam pana, że dla mnie to taka sama tajemnica, panie Redmond.

Roześmiał się. Zaskoczyła go i rozbawiła. Jego śmiech był cudowny i Cynthia natychmiast odniosła wrażenie, że unosi się w powietrzu na bezkształtnej chmurze zachwyty.

Tańczyli jakby w zwolnionym tempie.

- Mam pytanie, panno Brightly. Gdyby mogła pani sobie wybrać partnera, według własnego gustu, jakich cech charakteru by pani w nim szukała?

Od razu się spięła.

- Takie gdybanie nie ma dla mnie żadnego sensu.

- Ale ja jestem ciekaw, czy...

- Tak, wiem: pan jest wszystkiego ciekaw, panie Redmond. Ale dla mnie takie rozważania to strata czasu. Jak sam pan wcześniej zauważył, małżeństwo to zwykła transakcja. Wybrałabym mężczyznę z charakterem...

- Z jakim charakterem?

- ...bo pomimo tego, że lubię muzykę i...

- Lubi pani muzykę? Jaką muzykę? - Chciał zaraz wiedzieć.

- ...i inne rozrywki, to w głębi duszy jestem bardzo rzeczowa i praktyczna, więc nie życzę sobie...

- Ale jaki charakter powinien mieć ten mężczyzna?

- ...dłużej o tym rozmawiać. Zwłaszcza z panem.

Znowu uniósł brwi. Jej rosnące zacietrzewienie oczywiście tylko pobudzało go do dalszej złośliwości. Filozoficznie pokiwał głową, jakby wiedział, że wydobyć wszystkich sekretów Cynthii to tylko kwestia czasu. Może opisze je w rozprawie naukowej i będzie podróżował po kraju, wygłaszając odczyty.

- Czemu tak pani spieszo do małżeństwa, panno Brightly? Czy są jakieś inne powody niż ambicja? Albo chciwość?

To był cios na odlew. Oznaka wzrastającej frustracji. Odparowała bez wahania.

- Widzę, że zbyt wysoko pana oceniłam, uważając, że wywiąże się pan z danego słowa, panie Redmond, kiedy... kiedy obiecał mi pan pomóc w zamian za... w zamian za...

- Za? - Kpiąco uniesione brwi pytały, czy odważy się wypowiedzieć to słowo.

Pokręciła głową.

- Niech pan sobie nie myśli, że łatwo mi to przyszło. „To” - czyli pocałunek, i to niejeden, w korytarzu.

Bardziej szczerzej i wyczerpującej odpowiedzi nie miała zamiaru mu udzielić. Utwór dobiegł końca. Tancerze zegnali się ukłonami i rozchodzili w poszukiwaniu nowych partnerów.

Teraz on milczał. Miał lekką zmarszczkę na czole jak zwykle, kiedy porządkował zdobyte informacje w laboratorium swojego umysłu i decydował, jakie mają dla niego znaczenie. Albo szykował się do zadania kolejnego pytania.

- Czemu to takie istotne, panie Redmond? - zapytała niemal błagalnie.

Na to pytanie, jak się zdawało, nie miał gotowej odpowiedzi. Patrzył na nią gniewnie i nadal milczał.

- Wszystko jest istotne - powiedział wreszcie oschłym tonem.

I odwrócił się od niej gwałtownie.

Akurat lady Middlebough zgodziła się zastąpić lady Georginę przy fortepianie. Georgina, uszczęśliwiona, że będzie mogła zatańczyć, klasnęła w dłonie. Jeszcze bardziej się ucieszyła, że jej partnerem został Miles Redmond.

A Cynthię wreszcie poprosił do tańca lord Argosy.

Stanął przed nią z tryumfującą miną: bez arogancji, ale z absolutnym, spokojnym przekonaniem, że ona życzy sobie jego obecności. Nie wyglądał na zmęczonego ostatnią figurą galopki, którą tańczył z lady Middlebough, policzki miał ledwo co zaróżowione. I znowu posłał jej porozumiewawczy uśmiezek.

Na szczęście Cynthia nigdy nie dawała się nabrać na porozumiewawcze uśmiezki, zwłaszcza że sama potrafiła ich używać. Co też właśnie zrobiła. On się skłonił, ona dygnęła, a w salonie rozbrzmiały dźwięki kolejnego tańca. Lady Middlebough nie grała tak dobrze jak Georgina, ale nie myliła taktu i brak talentu nadrabiała werwą.

Dziwnie się czuła, tańcząc z Argosym, szczuplejszym i drobniejszym niż jej poprzedni partner. Jakby musiała się przyzwyczaić do tego, że stojący przed nią mężczyzna jest subtelniejszej postury. Wydawało jej się, że byle wiatr na polu mógłby go zdmuchnąć.

- Jak się pani podoba u Redmondów, panno Brightly?

Ach. Więc zaczyna od uprzejmych błahostek.

- Bardzo mi tu przyjemnie, dziękuję. A panu?

- Mnie również. Nie ma to jak miłe otoczenie i jeszcze miłsze towarzystwo.

- Czy teraz pochwali pan moją suknię? Proszę mnie uprzedzić, żebym mogła przygotować stosowną odpowiedź - droczyła się z nim.

Roześmiał się.

- Proszę mi wybaczyć, panno Brightly, jeśli prawie banały. Brak mi wprawy w konwersacji. Widzi pani,

ostatnie miesiące spędziłem we Włoszech i Francji, a moja znajomość komplementów w tych językach jest dość ograniczona. Ale muszę panią o coś zapytać. Czy myśmy się już kiedyś nie spotkali? Jestem pewien, że zapamiętałbym panią, a mimo to nie mogę się oprzeć myśli, że pani nazwisko brzmi dziwnie znajomo.

O, nie.

- Och, nic dziwnego, że moje nazwisko wydaje się panu znajome, w końcu to popularny przysłówek* - rzuciła swobodnie. - Może kiedyś użył go pan w zdaniu? Na przykład: „Gwiazdy dziś świecą tak jasno” czy coś w tym rodzaju.

Znowu się zaśmiał.

- Przychodzi mi do głowy niejedno zdanie, w którym wystąpiłyby słowa „panna Brightly”, ale obawiam się, że mógłbym panią zawstydzić.

To było doprawdy doskonałe! W ubiegłym sezonie nie zawahałaby się, wychodząc od takiego stwierdzenia, zarzucić rozkosznej sieci półsłówek i dwuznaczności, może nawet wspomniałaby lorda Milthorpe'a, ot tak, dla czystej przyjemności wywołania rywalizacji.

Ale teraz już wiedziała, do czego to może prowadzić. I, niestety, obiecała sobie, że będzie grzeczna.

- Wobec tego, milordzie, niech pan ich lepiej głośno nie wypowiada. Ale myśleć panu nie zabraniam.

Roześmiał się, zachwycony. Świetnie! Zaintrygowała go. Wiedziała, że kogoś takiego jak Argosy nie wystarczy oczarować, trzeba go też zaintrygować. Posłusznie podskoczyli, klasnęli w ręce i obrócili się, jak kazał układ

* *Brightly* (ang.) -jasno (przyp. tłum.).

tańca, a kiedy znowu stanęli twarzą w twarz, zadał kolejne pytanie.

- Z taką urodą z pewnością zawróciła pani w głowie niejednemu kawalerowi?

Postanowiła udać, że źle go zrozumiała.

- Wielkie nieba, milordzie. Cóż za wspaniały komplement.

Znów się zaśmiał. Co dziwne, Cynthię zaczynało powoli irytować, że tak łatwo go oczarować. Przypominało to grę w tenisa kulką pierza zamiast piłeczki. Pragnęła większego wyzwania. Zerknęła w bok, na tego, który rzeczywiście był dla niej wyzwaniem, i napotkała jego spojrzenie. Szybko odwróciła głowę.

- To stwierdzenie jest jak najbardziej słuszne, bo w tym pomieszczeniu nie ma pani sobie równych, nawet biorąc pod uwagę Violet. - Argosy podjął grę z ujmującą galanterią, która bardzo jej się podobała. - Miałem raczej na myśli to, czy obiecała już pani komuś swoją rękę. Zapewne pod wpływem francuskiego i włoskiego tak niezręcznie to ująłem. Zakładam jednak, że nie jest pani po słowie. Nie byłem aż tak zuchwały, żeby rozpytywać o to innych, choć muszę przyznać, że... nie dawało mi to spokoju.

Zakończył przyciszonym, żarliwym tonem, który dobrze poznała, odnosząc tryumfy na londyńskich salonach. Nie dawało mu spokoju, rzeczywiście. Doskonale wiedziała, jak zareagować. Na krótką chwilę nieśmiało spuściła głowę, po czym posłała mu swoje popisowe spojrzenie spod opuszczonych rzęs.

Argosy otworzył usta, zafascynowany. Zaraz jednak je zamknął, zaciskając szczękę pod wpływem rodzącego się pożądanego.

Wspaniale!

- Wcale nie uważam, że to zuchwale pytanie, milordzie. Dla osób w wieku odpowiednim do małżeństwa to bardzo istotna kwestia, prawda? - Energicznie pokiwał głową. - Ale ja jeszcze z nikim się nie związałam. Obawiam się, że jestem wyjątkowo wymagająca.

Powiedziała to takim tonem, jakby była po prostu rozkapryszona.

- Rodzice wiążą z panią wielkie ambicje, panno Brightly?

Świetne, ostrożnie zadane pytanie. Lord Argosy był niegłupi.

- Widzi pan, w tym właśnie rzecz. Myślę, że tak by było, ale... moi rodzice... - Zaryzykowała. - Moich rodziców już nie ma na tym świecie. Straciłam matkę jako młodziutka dziewczyna, a ojca jeszcze wcześniej. Wiem, że matka życzyłaby sobie, bym wyszła za człowieka o wspaniałym charakterze i odpowiednim majątku, a tak trudno przecież orzekać o czyimś charakterze, nie znając go długo. Dlatego często marzy mi się, żeby móc zajrzeć w przyszłość. Gdyby tylko można się było dowiedzieć, co się w niej kryje! Tak bardzo brakuje mi rady mojej matki! Chciałabym z nią porozmawiać.

Lord Argosy zachwiał się lekko. Zapomniał klasnąć w rękę. Zagapił się na nią bez słowa. Zaraz jednak się otrząsnął i w kilku zgrabnych krokach odnalazł rytm tańca.

- Och, panno Brightly. Ja też... - mówił niemalże bez tchu. - Ja też chciałbym móc porozmawiać z matką.

- Naprawdę? - zapytała z zapartym tchem, tak jak on.

- Też straciłem matkę jako młody chłopak. Bardzo mi zależy, żeby się z nią skontaktować, bo kiedyś, gdy byłem

niegrzeczny, schowała przede mną jedną z moich ulubionych zabawek. Tak bym chciał ją odnaleźć.

No, pięknie. A ona już myślała, że lord Argosy tęskni za ciepłym słowem i serdeczną radą świętobliwej nieboszczki matki. Tymczasem rozpieszczony paniczek po prostu chciał odzyskać swoją ulubioną zabawkę. Po chwili jednak uznała, że ocenia go zbyt surowo, bo może ta zabawka symbolizuje dla niego jakiś utracony fragment dzieciństwa i wspomnienia o matce.

- Chodzi o taką drewnianą kaczkę do ciągnięcia na sznurku - mówił dalej. - Rodzinna plotka głosi, że w środku są drogocenne rubiny. Ja w to nie wierzę - stwierdził roztropnie. - Myślę, że dawno temu ukradł je pewien szubrawiec, który gościł u mojego wuja, ale przecież nie zawadziłoby sprawdzić, prawda?

Wspomnienia o matce, też coś.

- Ojej. Teraz już rozumiem, dlaczego tak panu zależy na tej kaczce. Wie pan co, milordzie... Być może pomyśli pan, że to głupi albo dziwaczny pomysł, ale... Ach, lepiej już nic nie powiem.

- Może mi pani bez obawy wyjawić, o czym pani pomyślała, panno Brightly. Sam w swoim czasie miałem niejednego głupiego i dziwacznych pomysłów - dorzucił z porozumiewawczym uśmiechem.

Cynthia z zaciekawieniem, ale i z lekką obawą przyjęła wiadomość o dziwacznych pomysłach lorda Argosy, lecz w samą porę powstrzymała się, żeby nie wciągnąć go w dwuznaczną rozmowę na ten temat. Koniecznie musiała się skupić na swoim celu.

A skoro mowa o skupieniu, to pewien ogromnie skupiony wysoki okularnik tańczył właśnie z drobną

jasnowłosą damą, poświęcając jej pełną zainteresowania uwagę.

Ciekawe, czy lady Georgina też znalazła się pod szkłem powiększającym jego ciekawości? Być może sam fakt, że nie miała żadnych widocznych wad - ani żadnych wyrazistych cech charakteru, za którymi mogły się chować jakieś sekrety czy też ciekawostki do odkrycia - sprawiał, że dla Milesa Redmonda jej towarzystwo było tak kojące, jak spacer po redmondowskich łąkach.

Ładna może i była. Ale straszliwie jednobarwna. Cynthia wzięła głęboki oddech i oderwała od nich wzrok.

- Widzi pan, milordzie, przysłała mi do głowy taka myśl - odezwała się poufnym tonem do Argosy'ego. - Dowiedziałam się, że pod Pennyroyal Green obozują Cyganie. A ja już od jakiegoś czasu marzę o tym... - urwała, bo taniec na chwilę ich rozdzielił. Kiedy jednak znowu się spotkali, powiedziała: - Och, nie! Weźmie mnie pan za niemądrą.

Spuściła głowę, udając nieśmiałość, i odwróciła od niego twarz. Akurat zobaczyła, jak Jonathan wyciąga rękę, stuka Violet w ramię i szybko zabierają z powrotem. Stał z poważną miną, a Violet zdezorientowana rozglądała się na lewo i prawo. Zmarszczyła czoło, ale zaraz je wygładziła, bo niczego się tak nie obawiała jak zmarszczek.

Cynthia uśmiechnęła się w duchu. Czegóż by nie dała za braci, z którymi mogłaby się droczyć i którzy opiekowaliby się nią.

- Nonsens! - Lord Argosy się ożywił. - Już chyba wiem, co pani chciała powiedzieć, panno Brightly. Chce pani dać sobie powróżyć! - oświadczył tryumfalnie, jakby mówił: „Może się pani pławić w blasku mojej przenikliwości”.

Zachwyciła się posłusznie.

- Och! Jak pan to odgadł?

- Widzi pani, ja też zawsze się zastanawiałem nad tym, co niesie przyszłość. A Cyganki wróżą z fusów i podobno widzą w nich różne oznaki. Słyszałem, że takie przepowiednie bywają zaskakująco prawdziwe. Mój serdeczny przyjaciel Geoffrey Woolsey był kiedyś u Cyganki, która zobaczyła koło w herbacianych liściach. A trzy dni później w jego powozie odpadło koło!

- Nie może być! - zachłysnęła się z wrażenia.

Argosy pokiwał głową.

- Cyganki mogą też postawić tarota, wie pani, to takie karty do przepowiadania przyszłości z różnymi symbolami, które mówią, co kogoś czeka, albo biorą dłoń i wyczytują z niej różności o zamorskich podróżach, małżeństwie i dzieciach czy zyskanym albo straconym majątku.

Tyle to akurat Cynthia wiedziała o Cygankach, ale pozwoliła Argosy'emu na popisywanie się wiedzą.

- Wygląda na to, że niejedno potrafią. I robią to wszystko tak z dobrego serca?

- Mój Boże, ależ skąd. Trzeba będzie im zapłacić. Nie wie pani, czy ci tutaj znają się na wróżeniu? Czy to raczej tacy, co to przemalowują zajeżdżone chabety i potem sprzedają je ludziom jako doskonałe wierzchowce? To w sumie tałatajstwo, ci Cyganie, ale świetni z nich kuglarze. Będziemy musieli być bardzo ostrożni. W razie czego obronię panią.

- Nazbyt pan łaskaw, milordzie. Nie jestem pewna, co to za Cyganie, ci z Pennyroyal Green. To znaczy, czy zajmują się wróżeniem. Może...

- Zapytam Milesa - oświadczył Argosy. - On wie wszystko o tych okolicach. Na pewno będzie umiał nam powiedzieć.

Cynthii niezbyt się ten pomysł podobał. Nie miała ochoty oglądać rozbawienia na twarzy Milesa Redmonda, kiedy ten usłyszy, że chcą się wybrać do wróżki. Od razu będzie wiedział, skąd się wziął ten pomysł. Poza tym Cynthia nie miała złudzeń co do prawdziwych umiejętności Cyganek w tej dziedzinie.

Ale bez wahania gotowa była zapłacić jakiejś Cygance swoje ostatnie pięć funtów, byle tylko się upewnić, że przepowiedziana przez nią przyszłość lorda Argosy'ego uwzględni również Cynthię.

- Może uda nam się wybrać do tego obozowiska, jeśli rzeczywiście przepowiadają przyszłość - powiedziała.

Kolejny krok do celu osiągnięty.

- Z prawdziwą przyjemnością wybiorę się z panią na taką wyprawę, panno Brightly. - Znowu się uśmiechnęła.

Miał taki uśmiech, który każdemu zdaniu potrafił nadać dwuznaczność. Być może taki się już urodził i nic nie mógł na to poradzić. Uniosła kąciaki warg. Dla Argosy'ego będzie musiała być miła, ale nie nazbyt miła.

Zastanawiała się, czemu martwił się o przyszłość. Może to, co go w życiu czekało, wydawało mu się tak oczywiste, że był ciekaw, czy kiedykolwiek przydarzy mu się coś niezwykłego.

- Uważam, że to doprawdy szczęśliwy zbieg okoliczności. Proszę spojrzeć, poznaliśmy się nieoczekiwanie właśnie tutaj, u Redmondów, i oboje pragniemy poznać przyszłość! I jeszcze dowiadujemy się, że klucz do tej przyszłości leży być może o kilka mil stąd,

ukryty w herbacianych fusach czy w naszych dłoniach. Zupełnie jakby nam to było pisane.

To ostatnie stwierdzenie sprawiło, że Argosy rozjaśnił się w niebiańskim uniesieniu.

- Jakby nam było pisane - powtórzył z uczuciem.

Kiedy lady Georgina dygnęła w tańcu, Miles stwierdził w duchu, że jej krawcowa bezwstydnie podkreśliła największe atuty jej sylwetki: głęboki, lamowany srebrem dekolot uwydatniał piersi tak pulchne, jak dwa bochny wyrośniętego chleba, a gorset dodatkowo wypychał je w górę. Niejeden mężczyzna byłby gotów całymi dniami podziwiać taki biust.

A jednak miał ochotę zaszyć się w kącie, żeby w samotności rozkoszować się wspomnieniem dotyku dłoni Cynthii na swoim ramieniu.

Odruchowo wykonywał kolejne figury tańca. Wyglądało na to, że Cynthia jest zatopiona w rozmowie z młodym paniczkiem; uśmiechała się zalotnie, a wesołość Argosy'ego było słychać pomimo muzyki. Całkiem przyjemny śmiech. Nie taki jak Milthorpe'a.

Ale w uszach Milesa był drażniący jak zgrzyt metalowego narzędzia o kamień.

- Świetnie pan tańczy, panie Redmond - powiedziała Georgina.

Bo on zupełnie zapomniał o podtrzymywaniu rozmowy.

- A pani doskonale kłamie - odparł. - Tańczę co najwyżej znośnie. Jestem na to stanowczo za wysoki.

- Och! - Georgina uroczo się zarumieniła, co Milesa zupełnie rozbawiło. - Niech się pan nie gniewa. Ja tylko chciałam powiedzieć panu coś miłego. Sama nie jestem wybitną tancerką.

- To ja przepraszam. Nie powinienem był tak sobie z pani żartować. A właśnie zażartowałem.

Na litość boską. Przecież oświadczył ojcu, że wie, jak się przypodobać młodej dziewczynie. I naprawdę to potrafił, zwłaszcza kiedy widział z przeciwnej strony jakiś odzew: błysk w oku, przechyloną głowę, sprytnie dobrane słówko... Ale dzisiaj podczas spaceru czuł się raczej nauczycielem niż zalotnikiem. Dziewczyna o tak uroczej buzi i z takim biustem powinna, na Boga, umieć flirtować.

Znowu dobiegł go śmiech Argosy'ego.

Nie wiedzieć czemu, opanowała go przemożna chęć, żeby tam podejść i wymierzyć mu kopniaka. Głowa sama mu się odwróciła, pociągnięta niewidzialną siłą jak igła kompasu. Cynthia obracała się w tańcu, plecami do niego, a Argosy trzymał ją w ramionach. Jej suknia opadała w doryckich fałdach. Włosy zaczesła wysoko do góry, pozostawiając na widoku prostokąt olśniewającej nagiej skóry ponad wycięciem z tyłu sukni, pozapinanej na maleńkie guziczki. Wyobraził sobie, jak by to było dotknąć językiem każdej kosteczki jej kręgosłupa, musnąć wargami jej kark, zobaczyć, jak dostaje gęsiej skórki, mieć pewność, że jej sutki twardnieją...

Matko Boska. Wciągnął powietrze przez zęby.

- Ma pan przepiękny dom, panie Redmond. Już zapomniałam, że jest taki piękny.

Z istic herkulesowym wysiłkiem zwrócił spojrzenie na Georginę. Zagapił się na nią zdumiony. Jak to możliwe, żeby ktoś prawil takie banały w chwili, gdy lord Argosy dotyka Cynthii Brightly?

- Kiedy ostatni raz pani u nas była?

- Pięć lat temu przyjechałam na trzy dni na wiosnę - odparła ze sztuczną swobodą. - O ile się nie mylę.

- Ach, tak. Teraz sobie przypominam. Miała pani długi warkocz puszczone luźno na plecy. - A nie zwinięty na głowie jak ślimak, dodał w myślach.

- Pamięta pan! - Zaróżowiła się. - Ścigał się pan z braćmi konno po parku. Pan był drugi. Wygrał Lyon. Pana koń był brązowy poza białymi skarpetkami.

- Ścigaliśmy się, mówi pani? - Zamyślił się.

Wtedy bardzo często się ścigali. To, że był drugi, pewnie też się zgadzało.

- Tak. Wspaniale pan jechał!

Powiedziała to z tak nieoczekiwanym zapałem, że nie wiedział, jak zareagować. Pomyślał, że może jest zakłopotana, bo życzenie ich ojców postawiło Milesa w całkiem nowym świetle. A może już wcześniej widziała go w takim świetle. Bardzo intrygująca możliwość.

Naprawdę będzie musiał nauczyć tę dziewczynę flirtu.

Argosy znów się zaśmiał.

Miles odwrócił głowę tak gwałtownie, jakby tamten go spoliczkował. Aż zamrugał, kiedy natrafił wzrokiem na parę lśniących błękitnych oczu. Przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie. Po czym oboje błyskawicznie odwrócili się z powrotem do swoich partnerów.

Lady Middlebough wyładowywała swoje zniecierpliwienie na klawiszach, uderzając w nie z całej siły. Jeszcze chyba nigdy galopka nie była grana z taką namiętnością i ekspresją. Podejdzie do niej, kiedy ten taniec się skończy, i jeszcze przed północą znajdzie się pomiędzy jej udami. Na tę myśl zły humor zaczął go opuszczać.

- Ostatnio bardzo mnie interesują ledibopreta, panie Redmond.

- W głosie Georginy zabrzmiała nutka desperacji.

Miles był tak zaskoczony, że natychmiast skupił na niej całą swoją uwagę. Nigdy w życiu nie słyszał tego słowa. Ach. Za chwilę domyślił się, o co chodzi.

- *Lepidoptera?* - odgadł.

Może wypła za dużo wina do obiadu?

- Motyle?

- Właśnie. Le-pi-dop-te-ra. - Powoli i ze skupieniem wymówiła każdą sylabę. - Motyle. - Jej oczy zajaśniały. - Dziś na pikniku opowiadał pan o nich. Kiedy przeleciał modraszek.

Nie mógł zaprzeczyć, że miło mu było, kiedy ktoś patrzył na niego takim rozmarzonym wzrokiem. Choć czuł się przy tym odrobinę skonsternowany.

W każdym razie chwila była odpowiednia na flirt.

- Och, w dżungli są przepiękne motyle, Georgino. - Przybrał poufały ton głosu. - Większe od pani wachlarza. Lśniące błękitem jak... - Oczy panny Brightly. - Jak niebo latem. Albo jak kwitnące dzwonki.

Zachichotała nerwowo.

Stłumił westchnięcie. Gdyby miał porównać Georginę do motyla, którym by mogła być? Na pewno nie tropikalnym okazem, tylko jakimś angielskim gatunkiem, może bielinkiem albo szarym strzępotkiem. Jednorodnej barwy, umiejącym wtopić się bez śladu w otoczenie.

- Mój ojciec też się tym bardzo interesuje - powiedziała.

Miles doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- Pani ojciec jest człowiekiem o wielkim intelekcie i wybornym guście - przypochlebił się bezwstydnie.

Gdybyż tylko udało mu się nauczyć flirtu córkę tego wspaniałego człowieka.

- Widziałam ostatnio w naszym ogrodzie motyla, którego nie rozpoznałam. Papa też nie wiedział, co to za gatunek. Pomyślałam, że może pan mi to powie.

Argosy znowu się roześmiał.

Wzrok Milesa zogniskował się na dłoni lorda obejmującej ramię Cynthii. Nieprzyjemny dreszcz przebiegł mu po plecach. Jak płomień przesuwany się wzdłuż lontu. W ustach poczuł metaliczny smak.

- Wobec tego może zechce mi go pani opisać? - powiedział z nienaganną uprzejmością.

Georgina już otwierała usta, kiedy lady Middlebough zakończyła utwór dramatycznym uderzeniem w klawisze. Miles nawet się nie uklonił. Po prostu zostawił zaskoczoną Georginę na środku parkietu i ruszył przez salon w stronę lady Middlebough.

Po czym, ku zdumieniu lady Middlebough, własnemu i wszystkich innych, którzy akurat na niego patrzyli, minął ją bez słowa i nie zatrzymał się, póki nie wyszedł przez frontowe drzwi domu.

Tańce skończyły się dobrze po północy. Sąsiedzi powiadali do swoich powozów zadowoleni, zaróżowieni i zmęczeni. Ale ponieważ Miles pełnił rolę gospodarza domu, jego nieoczekiwana ucieczka z przyjęcia nie przeszła bez echa.

- Możliwe, że... źle się poczuł - tłumaczyła Violet tym nielicznym, którzy ją o to dyskretnie pytali. - Widzicie państwo, ta tropikalna gorączka od czasu do czasu nawraca. Ale niedługo mu to przejdzie, zobaczycie.

Gorączka nie objawiła się w ten sposób ani razu, odkąd Miles powrócił do Anglii, ale wszyscy mądrze kiwali głowami i robili miny pełne współczucia. Jeśli już

ktoś miał chorować, to znacznie lepiej było mieć jakąś ekscytującą przypadłość.

Po odjeździe gości Cynthia i Violet poszły spać, a Jonathan, Milthorpe i Argosy zebrali się nad stołem bilardowym - Milthorpe zapewnił jeszcze Cynthię, że zdążył już porozmawiać z Milesem na temat jutrzejszego strzelania.

Cynthia zatrzymała się na moment w progu swojego pokoju. Podeszła jednak do okna i odważyła się zerknąć w narożnik. Poczowała dziwną ulgę na widok nietkniętej pajęczyny. Jakże kruche było życie pająka podtrzymywane cienką, wątlą nicią, którą sam dla siebie prządl.

Z drugiej strony, niewiele się różniło od jej własnego życia.

Dmuchnęła delikatnie; pajęczyna zadrgała. Pająk wybiegl na środek, tam się zatrzymał i zaczął wymachiwać na nią dwoma górnymi odnóżami, zupełnie jak podróżny zatrzymujący dorożkę albo sklepikarz, który opęda się od złodziejaszka.

- Wybacz, że cię niepokoję, Susan. - Przyjemnie było nadać pajęczycy jakieś ładne imię. - Dobranoc.

Pajęczycza Susan uspokoiła się i przez chwilę Cynthia miała wrażenie, że stworzonko przygląda się jej. Później wycofało się do swojego kącika i chyba zapadło w sen. Trudno było to stwierdzić w przypadku pająka.

Miles Redmond pewnie by wiedział.

Tego wieczoru, patrząc, jak wymaszerował z salonu, poczuła niemal namacalne szarpnięcie, jakby ciągnął ją za sobą na niewidzialnej nici. Przypomniała sobie, jak wcześniej w ciągu dnia ostrzegał ich na spacerze, żeby nie weszli w wielką pajęczynę.

I naraz zamarła, wstrzymując oddech, bo pojęła, że dla Milesa Redmonda cały świat składał się z mniejszych, zawartych w nim światów. Wszystkie istoty - pająki, ludzie, owadożerne rośliny - były odrębne, ale jednocześnie splecione w jedną wielką sieć skomplikowanymi, czasami zachwycającymi, a czasami brutalnymi więzami życia.

To właśnie dlatego nawet wtedy, kiedy się nie odzywał, wydawało się, że mieści w sobie cały świat. Ogromne przestrzenie.

„Wszystko jest istotne”, powiedział. I zniemacka odszedł.

Cynthia pokręciła głową, żeby uwolnić się od myśli o nim. Nie miał prawa jej tak wypytywać, nie miał prawa być na nią zły ani dotykać jej w taki sposób, jakby była czymś drogocennym, cudownym, płomiennym; i nie mogła sobie pozwolić na to, żeby jej ciało go pragnęło, bo miała swoją dumę i wiedziała, że ulegając temu pragnieniu, może wszystko stracić i zaprzepaścić swoje marzenia.

Żeby się przywołać do porządku, podeszła do szafy, wyciągnęła sakiewkę i potrząsnęła nią. Niestety, w środku ledwo co brzęczało. Włożyła do niej rękę, żeby dotknąć swoich ostatnich paru funtów. To jej pomogło wziąć się w garść.

Wyprostowała plecy, usiadła na łóżku i niczym generał obmyślający plany kampanii zaczęła w myślach zestawiać Argosy'ego, jego fortunę, jego żarliwy zachwyty, idealną urodę i ich wspólne plany wycieczki do obozowiska Cyganów z majątkiem, szczerością i oślim śmiechem Milthorpe'a, a także z tym nieszczęsnym jutrzejszym strzelaniem, które w jakiś sposób udało jej się sprowokować.

Cóż, minął dopiero jeden dzień przyjęcia, stwierdziła optymistycznie. Zostały jej jeszcze prawie całe dwa tygodnie. Chyba uda jej się usidlić przynajmniej jednego z nich. W końcu złowiła przecież Courtlanda. Najbardziej wziętego kawalera w Londynie.

A ponieważ przez cały dzień była grzeczna i bardzo się starała, pozwoliła sobie na chwilę nieszkodliwej słabości.

Zamknęła oczy i rozpamiętywała dotyk rąk pewnego dżentelmena, który obejmował ją dzisiaj w tańcu. Jego dłonie były gniewne i poufałe zarazem, i nieskończenie delikatne, pełne jednocześnie precyzji i zdumionego zachwytu. Miała wrażenie, że całego siebie - to jaki był, to jak myślał i czuł - zawarł w tym dotyku. I we wcześniejszym pocałunku.

O Boże.

Oparła dłoń na ramieniu, wyobrażając sobie, że czuje ciepło jego dłoni. Chciała się przekonać, co on czuł, dotykając jej. Zapłonęło w niej pragnienie, jakiego dotąd nie zaznała i wiedziała, że nigdy, przenigdy nie może mu ulec.

Zdjęła dłoń ze swojego ramienia delikatnym, stanowczym ruchem, jakby rzeczywiście ta ręka należała do niego. Potem przebrała się w koszulę nocną i schowała pod kołdrę. Podejrzewała, że i tak nie zmruży oka tej nocy.

Miles był równie zaskoczony, jak wszyscy inni tym, że nagle wyszedł z przyjęcia. Szedł przecież w stronę lady Middlebough z konkretnym zamiarem - czy on w ogóle uklonił się Georginie, podziękował jej za taniec albo coś w tym rodzaju? Nie mógł sobie teraz przypomnieć, a dosłownie parę chwil później był już na dworze, w głowie zaś miał zupełnie inne plany.

Żwir zgrzytał mu pod stopami, kiedy przemierzał rozległy półkolisty podjazd przed gankiem, na tyle duży, że mógł pomieścić cały batalion powozów - jego matka miała wizję balu nad balami, który wyprawi, kiedy Violet w końcu wyjdzie za mąż, a w młodości widywał już ten podjazd wypełniony różnymi karocami i kolasami przy różnych okazjach: na dwudziestopięciolecie małżeństwa rodziców czy podczas balu z okazji pełnoletniości Lyona. Herby największych rodów ciągnęły się wtedy jak okiem sięgnąć, lśniły wypolerowane boki powozów i wyczesana odświętnie sierść koni, były w oczy liberie lokajów we wszystkich kolorach tęczy.

Kiedy on będzie się żenił z Georginą, pewnie też urządzi bal.

Spojrzał w górę. Chmury deszczowe już się pozbyły swojego ciężaru i teraz rozsuwały się niby kurtyna w teatrze, odsłaniając granatowe niebo gęsto usiane gwiazdami. Natychmiast pomyślał o błękitnych oczach, które w gniewie przybierały barwę północnego nieba, i o przejrzystym tiulu pokrytym iskrzącymi się rozbłyskami. I o zwykłej szarej pelerynie. O niej.

Wszystko, do jasnej cholery, przypominało mu o niej.

Wziął haust nocnego powietrza z nadzieją, że zimno go otrzeźwi. Ilekroć zaczynał myśleć o Cynthii Brightly, oddychanie stawało się jednocześnie rozkoszą i torturą.

Poświęcił chwilę lady Middlebough, ale nie był w stanie skupić na niej myśli, bo przynaglał go do działania impuls, którego nie rozumiał; był całkowicie skoncentrowany na jednym celu.

Do zabudowań gospodarczych trzeba było przejść niemały kawałek, więc służący pewnie z niesmakiem pokręci głową, zobaczywszy, w jakim stanie są jego buty.

Ulewny deszcz zamienił ziemię w grząski muł i Miles podejrzewał, że sporo tego błota przyniesie na podszwach do domu. W stajni, rzecz jasna, było ciemno. Ze składziku na narzędzia dobiegało ciche posapywanie i pochrapywanie chłopca stajennego - pewnie przysnął, nacierając tłuszczem siodła i popręgi.

Spaniel - o nakrapianej, nie rudej sierści - który powinien był zaszczekać na jego widok, leżał jak mały chrapiący dywanik na słomie pomiędzy dwoma rzędami boksów. Pies wyczuł go przez sen, podniósł kształtny łeb, trzy razy postukał radośnie o ziemię pędzlem na końcu ogona i opadł z powrotem, wzdychając z zadowoleniem.

Miles postanowił nie skreślać psa z góry, być może zwierzę po prostu go rozpoznało: przecież był tu dziś rano. Spaniel przypomniawszy mu o Milthorpie i o tym, jaka Cynthia była dla niego miła, ale zaraz odsunął od siebie te myśli, bo przez nie ogarniało go niewytłumaczalne uczucie zaborczej czułości.

Stwierdził, że jutro da psu szansę, żeby się pokazał z lepszej strony.

Przy drzwiach stajni wymacał po ciemku lampę oliwną, która, jak pamiętał, wisiała na haku wbitym w ścianę. Skrzesał ognia i zapalił knot, który natychmiast rozżarzył się jasnym płomieniem. Osłonił światło ręką, żeby nie pobudzić stajennych.

Ramsay cicho zarżał. Miles podniósł lampę, oświetlając delikatną głowę konia i jego szeroko rozstawione oczy; wyszeptał powitanie i poklepał zwierzę po smolście czarnym boku. Ale nie przyszedł tutaj na przejazdzkę w środku nocy.

Interesował go stryszek.

Przy swoim wzroście musiał wspiąć się tylko na dwa pierwsze szczeble drabiny, żeby zajrzeć na górę. Wbił wzrok w stertę siana i oddał się temu, co wychodziło mu najlepiej: cierpliwie czekał, słuchał i obserwował. Miles był prawdziwym mistrzem w słuchaniu, czekaniu i obserwacji. Najbardziej fascynujące rzeczy można było dostrzec wtedy, kiedy człowiek patrzył w absolutnej ciszy, udając, że wcale nie patrzy.

Widował zwierzęta i owady wykonujące codzienne czynności, poznawał ich zachowanie i zwyczaje. A raz dostrzegł pewien szczególny wyraz twarzy - tak ulotny, że mógłby się wydawać złudzeniem, ale wiedział, że tak nie było - u swojego ojca, kiedy ten spojrział w kościele na Isoldę Eversea. Kobieta, która była matką wrogich Eversea łącznie z Colinem, którego omal nie powieszono za rzekome zabójstwo kuzyna Redmondów.

Twarz ojca wyglądała na ściągniętą bólem. Wtedy nie wiedział, co o tym myśleć. Teraz wydawało mu się, że rozumie.

W końcu usłyszał szelest. Wstrzymał oddech; zamarł w całkowitym bezruchu i rozglądał się za źródłem dźwięku. Przez chwilę nie było słyhać nic prócz jego oddechu i sennego posapywania zwierząt w ciemnościach. Aż wreszcie dojrzał, że siano lekko się poruszyło.

Nachylił się i rozgarnął je delikatnie. Spojrział. I się uśmiechnął.

Włożył rękę w szeleszczące legowisko i wyciągnął z niego to, po co przyszedł.

Po przebudzeniu - a obudziła się już drugi raz w ciągu nocy - Cynthię powitał widok pokojówki rozpalającej ogień w kominku i zapach gorącej czekolady. Pamiętała, że kiedy ocknęła się w środku nocy, leżała zaplątana w kłęb pościeli. Łups.

Koszmar o spadaniu nawiedził ją tej nocy z wyjątkową siłą. Obudził ją łomot własnego serca i tak przeleżała jakiś czas w ciemnościach, zlna potem i zrezygnowana, oddychając głęboko w nocnej ciszy i czekając, aż serce zwolni rytm. Wściekła, że wszystkie lęki, które tak wspaniale udaje się jej kontrolować za dnia, w nocy mają do niej swobodny dostęp.

Służąca, która zdołała już rozniecić ogień, zawahała się przed wyjściem z sypialni.

- Proszę pani... Muszę powiedzieć, że... jest tu coś dla pani... pod drzwiami. Koszyk.

Sądząc po głosie, była lekko zaniepokojona i chyba niezbyt zachwycona, co Cynthię od razu zastanowiło.

- Możesz go wnieść do środka?

Pokojówka wniosła niewielki koszyk z uchem i pokrywką na zawiasach, postawiła go trwożnie na środku dywanu i dygnawszy byle jak, wycofała się szybko z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Cynthia zsunęła się z łóżka i sięgnęła po filiżankę z czekoladą. Podmuchała, żeby ostygła, i jednym haustem wypila połowę. Aż oczy przymknęła z rozkoszy, ale cudowny smak słodkiego napoju rozbudził ją ledwie odrobinę. To będzie musiało wystarczyć, póki nie zejdzie na dół i nie napije się prawdziwej, mocnej kawy.

Odsunęła z czoła włosy posklejane od potu po nocnym koszmarze. Postanowiła, że poprosi dziś o kąpiel. Powyleguje się w wannie, zużywając najlepsze mydło pani Redmond.

Leniwie zmierzyła wzrokiem koszyk. Odstawiła filiżankę i uklękła na dywanie obok niego. Wyciągnęła rękę, żeby uchylić pokrywkę...

Ze środka wystrzeliła czarna, włochata... łapa. Cynthia wrzasnęła, straciła równowagę i przewróciła się do tyłu.

- Święta Maryjo, Matko...

No, to ją przynajmniej obudziło. Serce znowu dudniło jej nieprzyjemnie. Włochata łapa wymachiwała w powietrzu, jak gdyby szukając jej dłoni. Cynthia przyjrzała jej się podejrzliwie. Potem podpełzła do koszyka i zerknęła z bliska. Straszna łapa okazała się raczej łapką. Maleńką. Ciemnoszarą, delikatną, z małutkimi półksiężycami pazurków na końcu.

Włochata łapka pomachała jeszcze trochę, po czym schowała się z powrotem w koszyku. Niechętnie, jakby rozczarowana, że niczego nie udało się złapać. Cynthia uniosła pokrywkę i zajrzała do środka.

Okazało się, że patrzy prosto w różowe gardziołko małego kotka.

- Miii! - wrzasnęło zwierzątko.

Odskoczyła, puszczając z zaskoczenia pokrywkę. Co u licha? Znowu otworzyła kosz, żeby się przyjrzeć maleństwu.

- Miii!

- Wielkie nieba, ależ jesteś hałaśliwy - powiedziała do niego. - Zawsze mi się wydawało, że koty mówią „mi-au”. Tam powinny być dwie sylaby.

- Miii! - poprawił ją kociak, zawzięcie i z wielką stanowczością.

Ostrożnie wyjęła go z koszyka. Cztery łapki zamachały rozpaczliwie w powietrzu, zanim usadowił się w jej dłoni. Kociak miał maleńki, krągły jak kulka brzusek i żebra delikatne jak u ptaka - czuła je pod skórą, kiedy muskała palcem jego ciało. Futerko miał mięciutkie i puszyste jak pierze pisklaka; cały był w kolorze burzowych chmur, z wyjątkiem oczu - szaroniebieskich okrągłych paciorków.

Naprawdę zabawne było z niego stworzonko: dwa trójkąciki uszu, śmieszna stercząca kitka zamiast ogona, maciupęńkie perelki ząbków i miniaturowe pazurki, którymi łaskotał ją w dłoń.

- Ojej - powiedziała do niego cicho.

Ciało kotka natychmiast zawibrowało od zadowolonego pomruku. Trzymała go tak w dłoni, czując te wibracje całym ciałem. Widać ten kociak do wszystkiego podchodził z zaangażowaniem.

Była nim całkowicie oczarowana. Zachwycona aż do utraty tchu.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytała go.

Ale zaraz uświadomiła sobie, że właściwie już to wie. Bo tylko jednej osobie powiedziała, że nigdy nie miała zwierzątka.

- Miii! - wyjaśnił kotek. I znowu zaczął mrużyć. I rozczulił ją niemal do łez.

Jednym palcem niepewnie musnęła kociaka po główce. Pogładziła miękkie futerko, a kotek przymknął oczy. Najpierw odrzuciła zupełnie nieprawdopodobne możliwości: Milthorpe przecież nie dałby jej kota. Argosy nie wpadłby na to... prawda? Może to jakiś żart Violet?

Nie wiedziała, kto to. Zajrzała jeszcze raz do koszyka, na dnie którego leżała złożona kartka papieru.

Postawiła kotka na podłodze i drżącymi palcami rozwinęła papier.

Panno Brightly,

Jako że niestety nie mamy w stajni rozjuszonych dzików, zmuszony byłem poprzestać na tym kotku. Proszę zauważyć, że jego zadek pokrywa jedwabiste szare futerko. To samiec. Bardzo hałaśliwy.

*Szczerze oddany
M. Redmond*

Wzięła liścik w drżącą dłoń i bezmyślnie pogładziła kciukiem słowo „oddany”.

Kociak zaatakował brzeg jej koszuli nocnej, odskoczył w bok z wyprężonym ogonem i nastroszoną sierścią, po czym znowu rzucił się na koszulę, próbując się pod nią dostać. Podniosła skraj materiału, żeby mu to ułatwić, i przez chwilę pokryte miękkim futerkiem ciało ocierało się o jej kostki. Kot świetnie się bawił, zaplątany w koszulę i nogi Cynthii.

Ale zaraz jęknęła i czym prędzej wyciągnęła go stamtąd, zanim na dobre zaczął się wspinać po jej udzie za pomocą swoich ostrych pazurków. Wystawiony na światło dzienne kociak zamrugał okrągłymi oczami. I znowu zaczął mrużyć jak szalony.

Och. Była w nim zakochana. Miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce.

- Pająk - powiedziała do niego zdecydowanym tonem.
- Będziesz się nazywał Pająk.

Była oszołomiona i poruszona. Po pierwsze tym ciepłym i mruczącym prezentem, a po drugie tym, co ów prezent oznaczał. Można powiedzieć, że to całkowite przeciwieństwo psa. Być może właśnie o to chodziło. I należał do niej.

Oczywiście, był to zupełnie absurdalny podarunek. Ale tak wspaniały, że głupio zapiekły ją oczy i znowu się na siebie rozzłościła. Czyżby Miles Redmond chciał wzbudzić w niej miłość? Choćby do żywego stworzenia? Czy chodziło mu o to, żeby Cynthia, patrząc na coś, co kocha, myślała o nim?

Jak on śmie. Nie miał prawa dawać jej prezentów. Nie miał prawa przypominać jej o tym, jak bardzo jest samotna, jednocześnie sprawiając, że samotność nie będzie już tak dotkliwa. Nie miał prawa sprawdzać, czy Cynthia ma serce. Nie miał prawa się do niej zalecać ani sprawiać jej przyjemności czy też cokolwiek innego miał na myśli, dając jej tego kotka.

Podniosła zwierzątko do twarzy i wbiła w nie zagniewany wzrok. Zupełnie jakby miała przed sobą Milesa Redmonda. Kociak dotknął łapką jej nosa.

Cynthia nie od razu zeszła na śniadanie. Po prostu nie miała ochoty w tej chwili oglądać Milesa Redmonda ani nikogo innego. Chciała pobyć sama ze swoim kotkiem. Swoim własnym.

Poprosiła, żeby przyniesiono jej na górę kawę i przygotowano kąpiel, wzięła kostkę pachnącego lawendowego mydła pani Redmond i z rozkoszą zanurzyła się w wodzie. Powoli, leniwie umyła całe ciało, każdą smukłą wypukłość i zagłębienie, potem wyszorowała swoje gęste, długie i ciemne włosy, delektując się każdą chwilą

kąpieli. Za jakiś tydzień być może to ona będzie nosiła komuś wodę do wanny.

Och, na miłość boską. Potrząsnęła głową jak narowista klacz opędzająca się od muchy. Nie można tak myśleć. Przecież nie jest w końcu byle kim, tylko Cynthią Brightly. Da sobie radę.

Czekając, aż promienie słońca wpadające przez okno i ogień z kominka wysuszą jej włosy i zmieniają je w puszystą szope, bawiła się z kotkiem. Okazało się, że jego zdaniem wszystko może służyć do zabawy, zwłaszcza jej palce. Później ujarzmiła burzę włosów, przeciągając przez nie rękami - kociak też miał w tym swój udział - i umiejętnie podpięła je wszystkie do góry, po czym ubrała się bez pomocy pokojówki. Na strzeleckie popisy wybrała białą muślinową suknię.

Zabawne, mimo że obiecała sobie unikać kłopotów i psot nawet przy nadarzających się okazjach, mimo że postanowiła być grzeczna i nie ryzykować zanadto - w ciągu zaledwie dwóch dni zdążyła już pocałować spadkobiercę gospodarzy, dostać w prezencie kota, a teraz wybierała się na wyprawę strzelecką, żeby zrobić wrażenie na innym bogatym mężczyźnie, choć o strzelaniu nie miała bladego pojęcia.

Tak po prostu było: przyciągała ryzyko.

Wyciągnęła z szafy brązowe skórzane buty i zaczęła je wsuwać na nogi, ale zawahała się. Ostrożnie obróciła je podeszwami do góry i delikatnie dotknęła palcem miejsca, gdzie jeden z nich już się przecierał.

Na karku znowu poczuła ukłucie strachu. Do jasnej cholery. To, co robi, ma tyle samo sensu, co potrząsanie prawie pustą sakiewką. Zdecydowanym ruchem odwróciła się do lustra i spojrzała na siebie jak generał dokonujący

przeгляdu wojsk przed bitwą: jedwabście gładka cera, lśniące włosy, piękne, smukłe ciało z bujnym biustem, widocznym w dekolcie niewinnej muślinowej sukienki. Długie białe ramiona. Teraz, co prawda, podrapane przez kociaka. Ale i tak bardzo zgrabne.

Wyprostowała się dumnie. Zejdzie na dół i stawi im wszystkim czoła. Nawet Milesowi. Ale co zrobić z Pajakiem, kiedy nie będzie jej w pokoju?

Zadzwoiła na pokojówkę.

- Och, pan kazał się zająć tym kotkiem, panno Brightly - powiedziała służąca.

Zerknęła niepewnie na zwierzątko, które właśnie skakało jak pchła po łóżku, atakując jakąś niewidzialną zdobycz. Bez wątpienia była zdziwiona, że pan Miles Redmond, głowa domu pod nieobecność ojca, wydał jej takie polecenie. Zdaniem służącej miejsce kotów było w stajni. I dobrze wiedziała, co powiedziałyby pani Redmond na wieść o tym, że w jej domu mieszka kot.

Cynthia też była tego świadoma. Ale to tylko przydawało całej sytuacji dreszczyku przyjemności.

Wszyscy oprócz Milesa byli jeszcze w jadalni, kiedy Cynthia zeszła na śniadanie, i na ten widok ogarnęło ją dziwne uczucie, na poły rozczarowanie, na poły ulga, tak silne, że na moment aż przystanęła. Ale przy stole zauważyła nowego gościa, który sprawił, że chwilowo zapomniała o Milesie i jego podarunku.

Co więcej, wszyscy pozostali przyglądali się nowo przybyłemu z niechęcią.

Był to przystojny mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie nienaganny brązowy frak i biały fular. Rysy twarzy zdradzały, że nie jest już najmłodszy, ale pasowało to do niego. Niewiele włosów zachowało się na jego

wysoko sklepionej, szlachetnej czaszce - zaledwie kępka wielkości dłoni na samym czubku, zupełnie jak dywanik na środku wypolerowanej podłogi.

Jego twarz miała spokojny, nieobecny wyraz z odrobiną... politowania? Jak gdyby szczycił się posiadaniem mądrości niedostępnej pozostałym gościom i nie miał nadziei, że któryś z nich kiedykolwiek wespnie się na te wyżyny oświecenia.

W tym momencie zauważył Cynthię. Wśród obecnych panów zapanowało lekkie poruszenie i wszyscy mimowolnie zaczęli straszyć piórka.

- Pan Goodkind. - Jonathan wziął na siebie przedstawienie Cynthii nieznanego dzentelmena. - Partner mojego ojca w interesach. Panna Cynthia Brightly, panie Goodkind.

Mężczyzna wstał i uklonił się Cynthii, która z kolei uroczo dygnęła, usiadła na krześle podsunętym jej przez lokaja i z wdzięcznością sięgnęła po nalaną dla niej filiżankę gorącej kawy.

- Przyjechałem porozmawiać z panem Redmondem o pewnej inwestycji wydawniczej i właśnie się dowiedziałem, że nie ma go w domu - wyjaśnił Cynthii pan Goodkind. - Wstyd mi, że tak się państwu narzucam w trakcie przyjęcia, ale muszę przyznać, że towarzystwo jest naprawdę miłe.

No, no. Zabrzmiało obiecująco.

Chociaż Cynthia mogłaby przysiąc, że Violet w tym momencie przewróciła oczami. Zerknęła na nią szybko, ale twarz Violet była już maską obojętności.

- Ojciec mówi, że książki nie przynoszą dużych zysków - odezwał się nieuprzejmie Jonathan. Nie

pamiętając widocznie, że jego brat, Miles, zbił na wydaniu własnej książki małą fortunę.

Ojejku. Cynthia spojrzała zdziwiona na najmłodszego z Redmondów. Widocznie Goodkind powiedział coś, co sprawiło, że Jonathan zapomniał o swoich nienaganych manierach. Od razu ją to zaintrygowało.

Pan Goodkind w odpowiedzi tylko się uśmiechnął pobłaźliwie, adresując ten uśmiech jednocześnie do wszystkich naraz i do nikogo konkretnego.

- Pan Goodkind właśnie nas uświadamiał, że picie to najprostsza droga do piekła - niepytany wyjaśnił Cynthii Jonathan.

Ach. Teraz wszystko jasne.

- I że wojsko zrobiłoby ze mnie mężczyznę - dorzucił zdawkowo Argosy. - Skoro z niego zrobiło.

Co sugerowało, oczywiście, że Argosy dopiero musi stać się mężczyzną. Jako że jeszcze nim nie jest. Cóż to musiało być za interesujące śniadanie. Szkoda, że jednak nie przyszła wcześniej.

Uśmiechnęła się porozumiewawczo do Argosy'ego, żeby go zapewnić, że ona jak najbardziej uważa go za mężczyznę, ale nie odważyła się zająć stanowiska po żadnej stronie, póki nie dowie się czegoś więcej na temat pana Goodkinda i stanu jego majątku. Zwyczajnie nie mogła sobie pozwolić na wyeliminowanie żadnej możliwości.

- I... że strzelanie to płocha rozrywka. - Milthorpe miał w głosie niedowierzanie. Siedział sztywno wyprostowany, zbulwersowany. Z oburzenia omal nie zaczął się jękać.

Goodkind zdawał się niewzruszony tym, że wokół niego narasta krąg antypatii.

- Myślę, że poczytam sobie coś inspirującego, podczas gdy państwo będą sobie... strzelać - powiedział to uprzejmie, ale w taki sposób, że słowo „strzelać” nabrało jednocześnie komicznego i żalosego wydźwięku.

W tym momencie wszystkie krzesła ze zgrzytem odsunęły się od stołu. Nikomu się nie uśmiechało pozostawać w towarzystwie Goodkinda.

To nieszczęsne, przekłete, bezsensowne i głupie strzelanie - jak z upodobaniem zaczął o nim myśleć Miles - miało się odbyć na południowym trawniku za domem. Ponieważ jako gospodarz odpowiadał za bezpieczeństwo i rozrywkę swoich gości, kazał paru lokajom i stajennym ustawić cele - jabłka na drewnianych skrzyniach - do których goście, łącznie z panną Brightly, mieli strzelać, marnując dobre kule i równie dobre jabłka, z których zostanie zapewne tylko miazga.

Cały ten absurd wziął się z tego, że Milthorpe chciał zrobić wrażenie na Cynthii, która rzekomo lubiła psy i polowania, a Cynthia chciała zrobić wrażenie na Milthorpie, biorąc do ręki strzelbę, choć Miles szczerze wątpił, żeby udało jej się w coś trafić. Zaś on sam musi się zatroszczyć o zorganizowanie całej tej farsy.

Powoli przestawał lubić Milthorpe'a za to, że tak łatwo i w tak oczywisty sposób stracił głowę dla kobiety. I przestawał lubić samego siebie za to, że z takiego powodu traci sympatię do człowieka, którego na ogół lubił.

Złego humoru nie poprawiał mu wcale fakt, że się nie wyspał ani to, że nigdy przedtem nie podarował żadnej kobiecie kociątka.

Kociątko. Czemu, na Boga?...

Po prostu nagle ogarnęła go przemożna chęć, żeby podarować jej coś, cokolwiek. I chciał, żeby miała jakies

zwierzątko. A teraz czuł się niepewnie, czuł się bezbronny, zbity z tropu i śmieszny; nie pamiętał, kiedy ostatnio przeżywał coś podobnego. Skalpel jego umysłu zwykle bezlitośnie ucinął w zarodku wszelkie absurdalne pomysły. A pobyt na Morzach Południowych dał mu granitową pewność siebie.

Maszerując z powrotem do domu na spotkanie z gośćmi, uznał, że może jednak niegłupio będzie zrobić z czegoś miazgę, choćby tylko z jabłka.

Czekali już na niego, panie zwiewne jak chmurki w swoich muślinowych sukienkach, w kapelusikach z powiewającymi wstążkami. Była lady Windermere, lady Middlebough...

O Boże, lady Middlebough!

Zauważyła jego zaskoczone spojrzenie. Nie była głupia. Dobrze wiedziała, że wczoraj w nocy zupełnie o niej zapomniał. Miał tylko nadzieję, że weźmie go za roztrzepanego naukowca i nie rozpuści wśród innych londyńskich dam plotki o jego zaniedbaniu.

Rzucił jej szybki uśmiech, w którym kryły się przeprosiny i obietnica. To, czego się po niej spodziewał, zdecydowanie poprawiło mu humor. Zrozumiała jego uśmiech. Uniosła jedną brew do góry, lekko wygięła śliczne usteczka i jak gdyby nigdy nic odwróciła się z powrotem do lady Windermere, z którą najwyraźniej dobrze jej się rozmawiało.

Cynthia stała za Jonathanem, który też mógł się poszczycić charakterystycznym wzrostem Redmondów. Zupełnie jakby się chciała schować. Miles zeszytywniał na jej widok. Poczuł, że się rumieni. Och, na miłość boską. Zobaczyła go i też zamarła.

Z jakiejś niedorzecznej przyczyny nie był w stanie wydusić ani słowa. Spojrzał na nią gniewnie. Po chwili jednak się opamiętał. Nie był przecież tchórzem, tylko człowiekiem prawdy i konkretności, więc będzie w stanie rozmawiać o tym, co zrobił. Wytłumaczy się, przeprosi czy jeszcze inaczej się do tego odniesie. Chodzi przecież o kota.

- Będziemy strzelać na południowym trawniku - powiedział swobodnym tonem do wszystkich zebranych.

I ruchem ręki pokazał kierunek. Kiedy już ruszyli, zrównał się z Cynthią. Nie umawiając się, oboje zwolnili kroku, zostając w tyle za innymi.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Dał mi pan kota, panie Redmond - odezwała w końcu łagodnie. I dosyć cicho.

Przechylił głowę do tyłu, udając, że nie może sobie przypomnieć, czy rzeczywiście coś takiego zrobił.

- Ach tak, istotnie.

Uśmiechnęła się. Był to prawdziwy uśmiech najczystszej radości i rozbawienia. Nagle wydało mu się, że unosi się w powietrzu.

I szli dalej, nie mówiąc ani słowa. Po raz pierwszy w życiu Miles nie miał pojęcia, co powiedzieć. Będąc z tyłu, mogli oglądać plecy różnych osób idących przed nimi: zmysłowe ruchy bioder lady Middlebough, dziarskie i energiczne kroki lady Windermere; Violet i Georgina, obie równie wdzięczne; dumnie wyprostowani Argosy i Jonathan, którzy pewnie przywykli do rozrywek znacznie mniej przyzwoitych niż strzelanie do jabłek, jak to młodzieńcy w ich wieku.

- I jak się pani podoba ten kot? - mówił swobodnie, ale serce waliło mu jak brazylijski bęben surdo.

Wyciągnęła przed siebie ręce. Były pokryte drobnymi zadrapaniami.

Oddech zamarł mu w piersi. Czyżby w ten sposób chciała mu dać do zrozumienia, że jego podarunek jej się nie...

- Och - powiedziała z rozmarzeniem. - To naprawdę wspaniały prezent. - Podniosła na niego oczy rozjarzone jak gwiazdy. - Nie wiem nawet, co powiedzieć... To... to chyba najlepszy prezent, jaki w życiu... - urwała gwałtownie. Widać z nadmiaru emocji zabrakło jej słów.

Bijąca od niej radość zalała go falą.

- Nieczęsto zdarza mi się dawać prezenty, które ranią do krwi.

Roześmiała się.

- Wiele tej krwi nie straciłam - zauważyła rozsądnie. - Poza tym to wcale nie boli. Szkoda, że pan nie widział, jak on wygina grzbiet! I ma takie mięciutkie futerko. A jak mruczy... Mój Boże, robi tyle hałasu. Coś niesamowitego.

- Rzeczywiście, jest dosyć hałaśliwy. - Miles był tak dumny, że wybrał dla niej akurat tego kotka, jakby co najmniej już został mianowany prezesem Królewskiego Towarzystwa Nauk. - I raczej uparty, z tego co zauważyłem. Jak go pani nazwała?

Zawahała się.

- Tylko niech się pan nie śmieje - ostrzegła.

- Niczego nie obiecuję.

Umyślnie odwróciła wzrok.

- Pająk.

Czuł, że uśmiech sam powoli wypływa mu na twarz.

- Naprawdę? Nazwała go pani Pająk?

Zmarszczyła brwi, co pewnie miało oznaczać, że uśmiech też nie jest mile widziany.

- To dlatego, że wydaje się, jakby miał dwa razy więcej łap niż zwykły kot. I skrada się bokiem, zanim na coś skoczy. Wygląda... jak pajak - powiedziała to, jak gdyby usprawiedliwiając się przed nim.

- Ma cztery łapy - orzekł stanowczo Miles. - Policzyłem, zanim go dla pani wybrałem. Chciałem mieć pewność, że dostanie pani kompletny egzemplarz.

Znowu się zaśmiała tym śmiechem, który brzmiał jak muzyka i który poruszał ludzi wokół. Kilka głów odwróciło się w ich stronę.

Miles pomyślał, że jeśli wyciągnie teraz ręce w bok, wiatr uniesie go do góry. Znow te przekłete poetyckie metafory. Ale w tej chwili nie brzmiało to wcale niedorzecznie.

Szli dalej, nic nie mówiąc. Wokół nich opadały i wznosiły się dźwięki rozmów rozbawionych gości. Ale do nich nie docierało ani jedno słowo. Cisza pomiędzy nimi narastała i gęstniała jak powietrze przed burzą.

Wreszcie Cynthia przerwała milczenie.

- Dlaczego dał mi pan kotka? - Słowa wybiegły z jej ust pospiesznie, zdyszane.

- Bo kiedy pierwszy raz panią zobaczyłem, pomyślałem, że pani twarz przypomina głowę małego kociątka.

Powiedział to równie gwałtownie jak ona, cicho i ze wzburzeniem. Ktoś słuchający ich rozmowy mógłby pomyśleć, że się kłóca. Znowu zapadła głucha cisza. Przystanęła. On też się zatrzymał. Jak gdyby byli związani, jakby nie mógł iść dalej, kiedy ona stała w miejscu.

Cynthia patrzyła na niego uważnie wielkimi, pociemniałymi ze zdumienia oczami. Otworzyła lekko usta. Poruszenie sprawiło, że gwałtowny oddech unosił jej piersi.

Na moment podniosła rękę do twarzy, a potem oszołomiona opuściła głowę.

Spojrzał w miejsce, na które padł jej wzrok. Zauważył, że jej brązowe buty mają zdarte obcasy. Na ten widok poczuł nagły niepokój. Dłonie zacisnęły mu się w pięści, jakby rozpaczliwie chciały jej dotknąć i równie rozpaczliwie próbowały do tego nie dopuścić.

Podnosząc wzrok, zobaczył, że Violet i lady Georgina oglądają się na nich. W oczach Violet błysnęło zdziwienie. Wręcz promieniowało z całej jej twarzy.

A kiedy Cynthia wreszcie uniosła głowę, znowu padło pytanie, którego się obawiał. Każde słowo wypowiedziała ostrożnie, jakby sama bała się tego, co może usłyszeć w odpowiedzi i nie chciała go przestraszyć.

- Czemu to właśnie pan dał mi kotka?

On też ważył każde słowo. Choć jego odpowiedź zabrzmiała gniewnie i oskarżycielsko.

- Nie... mam... pojęcia.

Jej policzki zalał gorący rumieniec. Gwałtownym ruchem odwróciła od niego wzrok. Cienkie, ciemne brwi zbiegły się na środku czoła w grymasie zaskoczenia. Znowu schowała dłonie w fałdach sukni.

Ten gest natychmiast przypomniał mu moment tuż po ich pocałunku.

I wtedy nagle ją zostawił.

W trzech energicznych krokach zrównał się z Georginą i swoją siostrą, które z zadowoleniem przyjęły jego towarzystwo. Violet wzięła go pod rękę i poczuł, że wraca na ziemię. Tłumaczył sobie, że to wcale nie była ucieczka. Przecież on nigdy w życiu przed niczym nie uciekał.

Cynthia patrzyła za odchodzącym Milesem, a w głowie miała zamęt, była poruszona i nagle z jakiegoś powodu zła, kiedy zobaczyła, jak łatwo przyszło mu dołączyć do Georginy i siostry.

Był tak wysoki, że obie mogły się schować w jego cieniu.

„Nie mam pojęcia”. Takie wyznanie na pewno sporo go kosztowało. W końcu słychać z tego, że dużo wie na różne tematy. Wzięła głęboki oddech, wypełniając płuca czystym, świeżym wiejskim powietrzem i czekając, aż rytm jej serca się uspokoi.

Mogła się tylko pocieszać, że i on wydawał się wytracony z równowagi.

Ale to, że się na nią zdenerwował, było rzecz jasna niczym nieuzasadnione i niesprawiedliwe. Odrzuciła głowę do tyłu. Miała przed sobą cel do osiągnięcia, i to bardzo pilny. Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby jakiś uparty i niezrozumiały mężczyzna odwracał jej uwagę.

Zaraz dołączyła do Jonathana, Argosy'ego i Milthorpe'a, którzy szli z przodu; wszyscy trzej byli zachwyceni jej towarzystwem. I tak właśnie być powinno, powiedziała sobie w myślach. Ich prostota i podziw podniosły ją na duchu; znowu poczuła się sobą. A o ile tylko się na tym nie skupiała, to właściwie prawie nie czuła nierówności pod stopami przez przetarte podeszwy butów.

Południowy trawnik okazał się morzem zieleni, monotonnym i skrupulatnie, starannie przyciętym. Od zachodniej strony, za przygotowanymi celami do strzelania - a były to błyszczące, czerwone jabłka leżące na ustawionych w jednej linii skrzyniach - widniało kilka marmurowych rzeźb.

Kopia *Dawida* dłuta Michała Anioła stała w towarzystwie Herkulesa, Merkurego i, nomen omen, bogini polowania Diany. Wszystkie postacie zastygły w wyszukanych pozach i jarzące się bielą w słońcu.

Kiedy goście dotarli na miejsce, zebrali się wokół Milesa, czekając na instrukcje. Milthorpe nie posiadał się ze szczęścia, że ma w rękę muszkiet, to było jasne jak słońce.

- O czym tak pani rozprawiała z Redmondem, panno Brightly? - spytał Cynthię. - Czyżby serwował pani opowieści z Mórz Południowych?

W jego pytaniu zadźwięczała interesująca nutka zaborczości. Ale będzie musiała być bardzo ostrożna, jako że wszyscy obecni mężczyźni mieli w rękach broń.

- O kotach - odparł krótko Miles, wyręczając ją od odpowiedzi. Trzymał swój muszkiet tak, jakby to była maczuga.

Cynthia zerknęła na niego uważnie. Pozostali też zaczęli mu się przypatrywać, zdziwieni jego marsowym spojrzeniem i szorstkim tonem.

- Koty? Koty nie nadają się do towarzystwa dla człowieka. - Milthorpe uznał, że to zabawne. - Dobrze są tylko do łapania myszy.

I jakby na potwierdzenie jego słów z oddali dobiegło ich donośne ujadanie.

Wszyscy się obejrzeni. Na skraju trawnika zgięty w pół lokaj walczył, żeby utrzymać za obrozę długowłosego spaniela ze stajni, który najwyraźniej rwał się do ludzi, sądząc po tym, jak wyrывał się lokajowi i jak szaleńczo machał ogonem.

Milthorpe zamarł, po czym dosłownie się rozpromienił na ten widok. Czystą przyjemnością było patrzeć na jego zachwyty.

Cynthia odwróciła się powoli w stronę Milesa. Była oszołomiona. Wiedziała, że zrobił to dla Milthorpe'a. A więc w pewnym sensie i dla niej. Słuchał jej. Zapamiętał. I w ten sposób podarował jej jakby kolejny prezent.

W tej chwili pies wyrwał się służącemu i rzucił naprzód, prawie nie dotykając ziemi. Zahamował gwałtownie za plecami Cynthii, żeby wsadzić jej nos między pośladki.

- Oj! - pisnęła.

Ten i ów spośród gości nie był w stanie powstrzymać chichotu. Pies usiadł na tylnych łapach i spojrzał na nią uśmiechniętym psim pyskiem.

- Dobry piesek, nie trykaj tej pani! - Milthorpe nie okazał śladu skrepowania. Poklepał się po udzie, żeby przywołać psa do nogi. - Wie pani, jak to jest z psami, panno Brightly. Czasem trzeba schować dumę do kieszeni.

- Oczywiście. - W każdym razie teraz już to wiedziała.

Milthorpe mówił do psa burkliwym tonem ziemianina z zaścianka, co zwierzęciu najwyraźniej się podobało. Zadowolenie obydwu, Milthorpe'a i spaniela, było zaraźliwe i szybko udzieliło się reszcie towarzystwa.

Cynthia rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Milesa. Ale on przybrał zaborczą pozę obok lady Georginy, stojącej w grupce pań, z których żadna nie była na tyle nierozsądna, żeby prowokować mężczyzn do zawodów w strzelaniu. Georgina spojrzała w górę i splonęła nieśmiałym rumieńcem zadowolenia.

Daleko na horyzoncie wśród marmurowych posągów znaczących brzeg trawnika ukazał się pan Goodkind, idący

tak wolno, że sprawiał wrażenie, jakby brodził w kisielu. Pochylał głowę nad małą książeczką, która nawet z daleka wyglądała pobożnie. Być może chciał dać strzelającym dobry przykład. I wzbudzić trochę poczucia winy.

- Patrzcie, Goodkind - oschłym tonem zauważył Argosy

- Pewnie czyta psalmy - orzekł ponuro Milthorpe. - Może ty będziesz strzelał pierwszy, Redmond? Jako gospodarz.

Milesowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zrobił krok naprzód, podniósł strzelbę do ramienia i mruknął pod nosem:

- Proszę się odsunąć, panno Brightly. Ma mocny odrzut. Ale przecież pani o tym wie, prawda? Skoro taki z pani doświadczony strzelec.

Posłusznie zrobiła krok w tył i zaraz rozległ się huk i pojawiła chmura dymu, a w wypolerowanej lufie błysnęło słońce, kiedy siła wystrzału odrzuciła muszkiet. Małe czerwone jabłuszko rozpadło się na milion kawałków.

Ruch ręki Milesa wydawał się taki szybki i niedbały. Płynny, naturalny i śmiertelnie precyzyjny. Cynthia była wstrząśnięta. Co za niezwykła umiejętność. Człowiek chodzi sobie po świecie, wiedząc, że potrafi jednym strzałem roznieść coś na kawałeczki.

Chwilę trwało pełne podziwu milczenie.

I zaraz wszyscy zaczęli klaskać z entuzjazmem. Miles wysoko ustawił poprzeczkę. Rzucił jej zagadkowe spojrzenie, cofnął się do szeregu i sprawnie zaczął przeładowywać muszkiet. Rozerwał papier zębami, wepchnął pocisk do lufy i zabezpieczył zamek.

- Twoja kolej... Monty - powiedział, nie patrząc na Milthorpe'a.

Milthorpe spojrział ze zdziwieniem, ale w tej chwili był w doskonałym usposobieniu, a poza tym całą uwagę poświęcał Cynthii.

- No cóż, panno Brightly. To znaczy, drogie panie. Może teraz ja pokażę, co potrafię?

- Och, tak! - zawołała Cynthia z promiennym uśmiechem. - Jestem pewna, że wiele pan potrafi.

Milthorpe tylko się uśmiechnął. Podobnie jak wcześniej Miles, oparł broń na ramieniu, namierzył cel i w chwilę później rozległ się wystrzał, w powietrze znowu uniosła się chmura gryzącego dymu, a kolejne czerwone jabłko rozpadło się na kawałeczki.

Milthorpe obejrzał się i potoczył po zebranych rozpromienionym wzrokiem. Zatrzymując się zwłaszcza na Cynthii. Znowu rozległy się oklaski. Ci mężczyźni. Tak się cieszą z tego, że coś ustrzelili, pomyślała z rozpaczą Cynthia.

- Może pani spróbuje, panno Brightly - zaproponował Milthorpe uradowany sukcesem i powszechnym aplauzem.

Zawahała się. Ale Miles z ironiczną kurtuazją już podawał jej muskiet, który wcześniej naładował. I powolutku uniósł jedną brew. Niepewnie wzięła broń do rąk i omal jej nie upuściła.

Od strony pań rozległo się kilka okrzyków przestachu i stłumione „ojej!”

Mój Boże, kto by pomyślał, że strzelby są takie ciężkie. W rękach panów wyglądały jak leciutkie zabawki.

Milthorpe przyglądał jej się zmartwiony.

- Chwyta pani kolbę... właśnie tak? - powiedział uprzejmie, jakby się krępował przypominać jej o czymś, co ponoć dobrze wiedziała.

Na migi pokazał, jak podnieść muszkiet na właściwą wysokość. Oczy wszystkich zebranych wpatrywały się w nią z absolutną fascynacją. Co wcale nie poprawiało sytuacji.

- Złapię panią, moja droga, jeśli straci pani równowagę - zadeklarował Milthorpe. - Ten akurat mocno rzuca. Proszę uważać na ramię.

Perspektywa łapania przewracającej się Cynthii zelektryzowała panów. Wszyscy - z wyjątkiem Milesa - zaczęli się przepychać, walcząc o miejsce za nią. Z dołu dobiegało posapywanie zziąjanego spaniela, który za bardzo lubił się spoufalać. Milthorpe widocznie wypuścił go w trakcie przepychanki za jej plecami.

Panie zupełnie zamilkły. Nie mogła się oprzeć pokusie zerknięcia w tamtą stronę. Miles przybrał pozę obrońcy dam, ręce skrzyżował na piersi, nogi rozstawił szeroko, a połyskujące zza okularów oczy zdawały się mówić: „Bardzo proszę, panno Brightly, sama sobie pani nawarzyła tego piwa”.

Cóż, doskonale o tym wiedziała.

Wzięła głęboki oddech. Podniosła broń do ramienia. Zamknęła jedno oko, żeby namierzyć tę małą, błyszczącą czerwoną kulkę w oddali. Zatrzymała się w tej pozycji przez moment, żeby się przyzwyczaić i z każdą chwilą nabierała większej pewności siebie. Może jednak się nie zbłąźni.

Znowu odetchnęła.

I pociągnęła za cyngiel dokładnie w chwili, kiedy pies wsadził jej nos pomiędzy pośladki. Podskoczyła z piskiem, dał się słyszeć wybuch, a zaraz potem głośny stuk, kiedy kula odstrzeliła marmurowy penis **Dawida**, który poleciał w stronę Goodkinda.

- Goodkind, padnij! - wrzasnął Miles.

Goodkind natychmiast rzucił się na ziemię - jako były wojskowy, komendy miał we krwi.

Penis *Dawida* trafił go w kapelusz, a siła uderzenia zmiotła mu go z głowy i rzuciła dalej na trawnik. Dobiegł ich zdławiony okrzyk. Cynthia zachwiała się pod wpływem odrzutu i sześć dłoni natychmiast wyciągnęło się, żeby ją podtrzymać.

Goodkind nie ruszał się, leżał na ziemi, osłaniając rękami gołą głowę. O Boże, pomyślała Cynthia. Zabiłam człowieka marmurowym penisem. Może i jest w tym jakaś przewrotna logika. Starła się zrobić wrażenie na jednym mężczyźnie i przy okazji zabiła innego. Jestem okropna, mówiła sobie, okropna.

Wszyscy zamarli bez ruchu, podobni do marmurowych posągów, wpatrzeni w Goodkinda. W ciszy wesoło zaszczebiotał jakiś ptak.

Na szczęście po chwili Goodkind poruszył ręką, żeby pomacać czaszkę, sprawdzając, czy jest cała. Dźwignął się z ziemi na kolana, a potem wstał i pomachał do nich, dając znać, że jest cały i zdrowy. Na koniec wziął się pod boki i powoli, ze smutkiem pokręcił głową, jak gdyby chciał powiedzieć: „Widzicie? Gdybyście się wszyscy zajęli czymś tak przyzwoitym, jak czytanie psalmów, to nikt by nie odstrzelił posągowi penisa”.

Choć wątpliwe, żeby Goodkind orientował się, co dokładnie strąciło mu z głowy kapelusz. I może lepiej, żeby nie wiedział.

- Wspaniały strzał, panno Brightly - powiedział z całą powagą Argosy.

Milthorpe odwrócił się i zmierzył Cynthię zasmuconym spojrzeniem. Sądząc po tym, jak paliły ją

policzki, zrobiła się szkarłatna ze wstydu. Rzuciła okiem na Milesa. Ten nie posiadał się z uciechy. Uśmiech zamienił mu oczy w maleńkie szparki.

Cynthia odchrząknęła.

- Ja... jeszcze nigdy nie strzelałam z tak zacnej strzelby. - Zająknęła się. - Nie przywykłam do celowania w taki sposób.

Co akurat było zgodne z prawdą.

- Uważam, że to był bardzo dobry strzał. - Lady Georgina jak zwykle była pełna zachwytu. - Sama nigdy do niczego nie strzelałam.

- Cynthio, a z jakiego rodzaju strzelb dotąd strzelałaś? - niewinnie zapytała Violet.

Cynthia posłała jej rozdrażnione ostrzegawcze spojrzenie.

Lord Milthorpe nadal wyglądał na zmartwionego. Oparł jedną rękę na głowie spaniela i patrzył osłupiałym wzrokiem na okaleczony posąg, jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś był w stanie aż tak fatalnie spudłować.

Daleko przed nimi Goodkind odszukał swój kapelusz i nasadził go z powrotem na głowę, a teraz krążył pochylony, wypatrując w trawie tego, co w niego trafiło. Znalazł to wkrótce i podniósł z ziemi; z daleka widać było, jak lśni bielą w jego dłoni. Ujął marmurowy fragment w dwa palce i z zainteresowaniem obracał go na wszystkie strony.

- Cóż, to tylko dowodzi, że kiedy ma się w rękę broń, to w każdych okolicznościach trzeba zachować zimną krew i pewną rękę - odezwał się wreszcie Milthorpe. - Nawet jeśli...

Z delikatności przemilczał ciąg dalszy, który brzmiał: „Nawet jeśli spaniel wetknie ci nos w tyłek”. Cynthia nie

wiedziała, co powiedzieć. Wokół widziała łyż serdecznego rozbawienia.

- Ale praktyka czyni mistrza, panno Brightly - żartobliwie pocieszył ją Milthorpe.

- Nie w każdej dziedzinie - mruknęła lady Middlebough.

Lady Windermere parsknęła cynicznie.

Cynthia uznała, że najlepiej będzie po prostu uśmiechnąć się do Milthorpe'a. Pomysł okazał się doskonały. Przez moment wręcz pławił się w jej uśmiechu; nie mógł nic na to poradzić. Przykro jej było, że go rozczarowała. Wyraźnie miał nadzieję, że wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu i w najmniej spodziewanym miejscu spotkał kobietę swoich marzeń: piękną, oddaną, czarującą, miłośniczkę psów i zarazem wyborowego strzelca.

W tym momencie podszedł do nich Miles i wyjął z jej dłoni muszkiet. Ostrożnie podniosła na niego oczy, ale niewiele mogła wyczytać z wyrazu jego twarzy.

- Obawiam się, że muszę wykluczyć drogie panie z dalszego strzelania - powiedział stanowczo. Błysnął ciemnym okiem w stronę Violet, jakby czekał, czy zaprotestuje. - Pewnie dziś na obiad będziemy mieli kuropatwę lub coś w tym rodzaju. - Panowie pokiwali głowami ze znanstwem. Jeśli idzie o zabijanie, lepiej robić to w zamkniętym męskim gronie. - Lady Windermere, czy będzie pani tak uprzejma, żeby bezpiecznie odprowadzić pannę Brightly gdzieś, gdzie będzie się mogła zająć innymi rozrywkami? Odradzałbym zabawy z użyciem broni.

W tym ostatnim zdaniu zabrzmiała nutka wytrawnej ironii.

Uchylił paniom kapelusza, a do lady Georginy uśmiechnął się przepaszająco, choć ona akurat pewnie i tak przenigdy nie wzięłaby do ręki muszkietu. Panowie i damy rozeszli się w dwóch przeciwnych kierunkach, panie do domu, a panowie - zabijać pyszności na obiad.

- Miles, a strzelałeś na tych Morzach Południowych do tygrysów? - Cynthia usłyszała pytanie Argosy'ego, pełne ciekawości i ociekające żądzą krwi.

- Po co miałbym strzelać do tygrysów, Argosy? - Miles tłumaczył z udawaną cierpliwością. - Skoro jabłka, jak widać, to o wiele groźniejszy przeciwnik.

Za ich plecami gruchnęła salwa męskiego śmiechu.

- Violet, co wiesz na temat pana Goodkinda? - zapytała przygnębiona Cynthia w drodze powrotnej do domu. Skoro udało jej się rozczarować Milthorpe'a, to może lepiej poszerzyć krąg poszukiwań.

- Goodkinda ciężko polubić - orzekła Violet stanowczo. - To były wojskowy, ale po wojnie zrobił się... no cóż, taki jak widać. Nieznośnie świętoszkowaty. Ojciec toleruje go, bo jest bardzo szanowany i majątny, przynajmniej tak bogaty, jak Milthorpe, z tego co mi wiadomo. Musi być niegłupi, bo należy do Klubu Merkuriusza, a wiem, że tam przyjmują tylko takich, co mają pełny portfel i głowę na karku. No i... jest niebrzydki, prawda?

To ostatnie zdanie dodała jakby życzliwie. I nie patrząc na Cynthię.

Cynthia zerknęła na nią ukradkiem, ale Violet nadal patrzyła niewinnie przed siebie. Nie powiedziała jej, w jak bardzo rozpaczliwej sytuacji się znajduje. Czyżby Violet to wyczuła?

Duma nieprzyjemnie ścisnęła jej serce.

Jak to jest należeć do klanu Redmondów i móc przebierać w możliwościach? Zawsze czuć się bezpiecznie i pewnie? Mieć oparcie w braciach i znosić ich uszczypliwość? Cynthia stłumiła w sobie nieszlachetny odruch zazdrości, bo wiedziała, że Violet naprawdę chce okazać jej życzliwość.

- Nie - zgodziła się. - Brzydki nie jest.

Uśmiechnęły się obie.

- Cynthia, dokąd się wybierasz po wyjeździe od nas? - zapytała Violet tonem udawanej obojętności, co tylko jeszcze bardziej podrażniło zadraśniętą już dumę Cynthiai.

- Och, zostanę damą do towarzystwa pewnej okropnej staruszki, pani Mundi-Dickson w Northumberland - odparła lekko.

Violet na moment straciła mowę.

- Nigdy do tego nie dojdzie. - Była tak poruszona, że kiedy wreszcie się odezwała, mówiła szeptem.

Cynthia roześmiała się sztucznie.

- Żartowałam, Violet. Wyobrażasz sobie mnie w takiej roli?

- Ani przez sekundę. - Violet aż się wstrząsnęła.

Przed nimi dwie cyniczne mężatki wzięły między siebie lady Georginę i plotkowały w najlepsze o wspólnych znajomych z Sussex. Byle tylko nie zaczęły rozmawiać o znajomych z Londynu, pomyślała Cynthia.

Ona i Violet przez chwilę szły w milczeniu.

- Zastanawiam się, czy Miles nie ma czasem nawrotu tej swojej gorączki - powiedziała w końcu Violet odrobinę zmartwiona. - Te tropikalne choroby tak mają, czasem wracają znienacka i równie nagle znikają. Tak w każdym razie słyszałam. Dziwnie się ostatnio zachowuje. Mam nadzieję, że nie był znowu dla ciebie niegrzeczny. Widziałam, jaką miał minę, kiedy dzisiaj z tobą rozmawiał. Wiesz, on bywa bardzo zasadniczy. Pozycja społeczna bardzo się dla niego liczy. - Violet nieświadomie trafiła w jej bolesny punkt. - Jak dla każdego Redmonda. A odkąd... - urwała, jakby to słowo wciąż jeszcze trudno przechodziło jej przez gardło - Lyon odszedł, papa bardzo polega na tym, że Miles robi to, co do niego należy. Miles zawsze robi to, co do niego należy.

Miles był dla niej niegrzeczny? Cynthia nie była pewna, czy to właściwe słowo.

- Może po prostu rozmyśla o swojej następnej wyprawie - zasugerowała.

- Och! - Violet ściszyła głos. - Możliwe, że masz rację. No i pewnie jeszcze niepokoi się przyszłym małżeństwem. To chyba aż za wiele jak na nerwy mężczyzny - stwierdziła lekko.

- Oczywiście - zawtórowała jej beztróska Cynthia. Ale poczuła się tak, jakby jej serce przygniótł kamień.

Zerknęła na lady Georginę. Czy to możliwe, że Miles z własnej woli spędzi resztę życia w towarzystwie tej bezbarwnej panny? Na miłość boską. Bądź rozsądna. Cynthia wzięła głęboki oddech. Kotek czy nie, musi pozostać rozsądna.

- Chyba powinnam przeprosić pana Goodkinda - powiedziała do pozostałych pań, na co Violet dla zachęty puściła do niej oko.

Cynthia ruszyła więc z powrotem przez trawnik w stronę spacerującego Goodkinda. Starła się lekko stawiać stopy, żeby oszczędzać buty.

Pozostali panowie już dawno zniknęli z pola widzenia. Z oddali dobiegł głuchy huk wystrzału. Cynthia dojrzała smużkę dymu wznoszącą się do góry i wyobraziła sobie jakąś martwą kuropatkę spadającą bezwładnie na ziemię. Odsunęła od siebie tę myśl, żeby nie psuć sobie apetytu na obiad.

Pan Goodkind stał bez kapelusza przed rabatą damasceńskich róż o ciężkich główkach. W powietrzu unosił się ich oszałamiający zapach. Trzeba będzie niedługo poprzycinać te róże, pomyślała. Jeszcze tydzień i

koniec z nimi. Zupełnie tak samo jak ze mną, dorzuciła z wisielczym humorem.

Kiedy podeszła bliżej, zorientowała się, dlaczego Goodkind stał z gołą głową. Kapelusz, który trzymał w ręku, miał na czubku głębokie wgniecenie. Odwrócił się wyraźnie zdziwiony na jej widok, ale równie wyraźnie ucieszony.

- Ależ to panna Brightly! - Ciemna kępka włosów na czubku głowy uniosła się i opadła, jak klapka w drzwiach poruszona psotnym podmuchem wiatru.

- Przyszłam przeprosić za ten nieprzyjemny wypadek, który pana spotkał, panie Goodkind. Mam nadzieję, że nic się panu nie stało.

- Wszystko w porządku. W największym porządku. Dziękuję za troskę, panno Brightly. Ale czemu to pani mnie przeprasza?

- Obawiam się, że to ja jestem temu winna. Widzi pan, nigdy nie strzelałam z tak zacnej strzelby i spudłowałam. - Doszła do wniosku, że roztropniej będzie pominąć epizod z psem i nie wspominać o tym, co dokładnie uderzyło go w głowę.

- Cóż, nic mi nie jest, więc możemy z tego zajścia wyciągnąć naukę. Kobietom nie należy dawać do ręki broni. Nie wiem, co ten Redmond sobie wyobrażał. Będę musiał o tym pomówić z jego ojcem.

Rozmowa z ojcem dorosłego mężczyzny na jego temat wydała się Cynthii kompletną niedorzecznością, a poza tym słyszała, że w Ameryce uzbrojone kobiety to częsty widok. Uznała jednak, że nierozsądnie będzie się o to sprzeczać.

- Możliwe, że ma pan rację - przyznała dyplomatycznie.

Zadowolony pokiwał głową.

- Nie wie pani przypadkiem, co straciło mi z głowy kapelusz? Wygląda jak kawałek posągu. - Podniósł do góry biały odłamek.

W pański kapelusz trafił biały marmurowy penis.

- Tak, wydaje mi się że to fragment *Dawida*. Ale pan Redmond zapewniał, że posąg nie jest zbyt cenny. To chyba jakaś pośledniejsza kopia.

- No cóż. Zniszczenie pozostanie przestrogą, żeby nie dawać kobietom broni.

Raz już pan o tym wspominał, powiedziała sobie w duchu Cynthia. Zaczynała się obawiać, że Violet rzetelnie oceniła jego charakter. Podczas gdy Argosy był zapatrzony w siebie, a Milthorpe na zmianę nieśmiały i chełpliwy, pierwsze słowo, które przychodziło na myśl, żeby opisać Goodkinda, brzmiało... pompatyczny. Takie ładne, soczyste słowo, pełne podskakujących „p”, podobne do sprężystej poduszki w połączonej karcie koronacyjnej.

Z drugiej strony, przyznała, wojna każdego może zmienić nie do poznania. Jak jej mówiła Violet, pan Chase Eversea, z tego zachwycająco kontrowersyjnego klanu z Pennyroyal Green, wrócił okulały i pił znacznie więcej, niż powinien. Z ponurą satysfakcją opowiadała, że ilekroć ktoś z nich zaglądał Pod Świniaka i Oset, można go było zobaczyć zaszytego w kącie sali. Czasem siedział przy stoliku całkiem sam. Niewypowiedziany morał brzmiał: oto kolejny Eversea, który się stacza. I czy to nie zabawne, że człowiek, który ma na imię Chase*, nie potrafi już biegać?

Kiedy szło o rodzinę Eversea, Violet potrafiła być bardzo złośliwa.

* *Chase* (ang.) - gonić, ścigać (przyp. tłum.).

Ale Cynthia przypomniała sobie też przypadek sławnego poety znanego jako Libertyn, hrabiego Rawdena, który po powrocie z wojny zaczął pisać wiersze. Postanowiła dać Goodkindowi szansę. Tak będzie uczciwie i z korzyścią dla nich obojga.

- Kiedy strzelaliśmy, zauważyłam, że z wielkim zainteresowaniem czytał pan jakąś książkę, panie Goodkind.

- A pani dużo czyta, panno Brightly? - W jego głosie pojawiła się domieszka pobłażania i lekkiej rezygnacji, jakby się spodziewał, że ona zaraz zapyta: „A cóż to znaczy czytać?”

- Och, kiedy tylko czas mi na to pozwala. - Co po części było prawdą, jako że w ciągu ostatnich lat jej czas był wypełniony wszelkiego rodzaju rozrywkami i niewiele go pozostawało na czytanie.

Pan Goodkind wydobyl z kieszeni fraka małą książeczkę w ciemnej oprawie. Wyglądała jak wytarty od częstego używania modlitewnik. Najwyraźniej pobożność wymagała systematycznej pielęgnacji.

- Pytam, bo sam wydaję, własnym kosztem, chyba że uda mi się zdobyć skądś fundusze, ale też we współpracy z bardzo szanowaną firmą drukarską z Londynu, Withnail i Syn, zbiorok rozpraw o właściwym zachowaniu dla młodych dam i kawalerów. Pracuję nad nim już od jakiegoś roku i wydaję mi się, że temat jest bardzo na czasie. Spędziłem ostatnio trochę czasu w Londynie i panuje tam... rozpasanie - wymówił to słowo z wielką satysfakcją. - Istne rozpasanie wśród naszej młodzieży. Te objęcia w tańcu, te wyścigi konne, ten hazard.

Przyglądała mu się niepewnie.

Poruszona wiatrem kępka włosów zafurkotała wesoło. Każdy mężczyzna ma w sobie coś atrakcyjnego, powiedziała sobie stanowczo. Trzeba tylko dobrze poszukać.

- Być może taka już natura młodości - odparła ostrożnie. - I cenniejsze wydają się przestrogi kogoś, kto faktycznie ścigał się powozem, grał w karty i tak dalej, a później żałował takiego zachowania.

Spojrzał na nią z nagłym zachwytem. Być może tak go porwało słowo „żałować”.

- Przedstawiła pani interesującą teorię, moja droga. Zechce pani kontynuować?

Miała wrażenie, że zaraz zacznie robić notatki do swojej książki.

Nagle przyszedł jej na myśl Miles Redmond i pająk, który odbudowuje porwaną sieć, tak żeby była mocniejsza niż przedtem. Już wiedziała, jakiego użyć porównania.

- No cóż, czy nie mówi się, że kiedy... natniemy korę drzewa, to gałąź w tym miejscu będzie silniejsza? Jeśli człowiek sam sobie robi krzywdę przez to, że świetnie się bawi, że w nieumiarkowany sposób korzysta z błahych rozrywek, a później szczerze żałuje i zmienia swoje postępowanie, czy nie oznacza to, że jego dusza jest silniejsza niż wcześniej? Czy nie trzeba większej siły wewnętrznej do przezwyciężenia grzesznych skłonności i przemienienia ich w coś dobrego niż do pozostania dobrym, gdy się już takim jest z natury?

Pomyślała o lady Georginie. Ta dziewczyna w ogóle nie potrzebuje się wysilać, żeby postępować właściwie, pomyślała z lekką zazdrością.

Pan Goodkind stanął jak wmurowany. Zwrócił się w jej stronę. Wydawało się, że słowa uwięzły mu w gardle. Patrzył na nią, jakby doznał nagłego objawienia.

Powoli zrozumienie rozjaśniło mu twarz.

- Chodzi mi o to, że... odrobina grzechu raz na jakiś czas może być dla duszy wielkim pożytkiem, panie Goodkind.

Zdumiony odchylił głowę do tyłu. Nie spuszczał z niej wzroku. Włosy powiewały mu teraz na lewo i prawo; wiatr zmieniał kierunek.

I wtedy uśmiechnął się bardzo powoli, aż w końcu uśmiech przerodził się w śmiech, coś w rodzaju: „o-ho!” Ten dźwięk wydobył się z jego ust nie bez oporów, ale brzmiał szczerze. I o wiele mniej pompatycznie niż przedtem.

Odzwajemniła uśmiech. Jemu rozjarzyły się oczy. Były bladobłękitne, a w kącikach miał kurze łapki, przez co jego uśmiech stawał się sympatyczniejszy.

Skromnie splotła dłonie z tyłu. W pełni świadoma, że ten gest przy okazji unosił jej piersi w górę... ot tak, odrobinę. Nieznaczny ruch, który przykuwał uwagę każdego mężczyzny z krwi i kości. To miał być test.

Aha. Więc jednak był mężczyzną z krwi i kości.

Błękitne spojrzenie przeskoczyło z biustu z powrotem na twarz. Nie zarumienił się ani nie sprawiał wrażenia zawstydzonego, co przypomniało jej, że ma do czynienia z żołnierzem, który poznał co to krew i bitewny pył, więc na pewno miał też do czynienia z niejedną markietanką.

- Mogę pani powiedzieć komplement, panno Brightly?

Po raz pierwszy w życiu ktoś pytał ją o pozwolenie na coś takiego. Lekko ją to rozbawiło. Ale daleka była od

tego, żeby zakazywać mężczyźnie prawienia komplementów.

- Komplement z pańskich ust będzie dla mnie zaszczytem, panie Goodkind - powiedziała poważnym tonem, ale z błyskiem w oku.

- Pani zdołałaby nawet pobożnego człowieka przywieść do grzechu.

Och! Doprawdy, doskonały komplement.

- Nie należy się obawiać pokus, panie Goodkind. Jak przed chwilą ustaliliśmy, odrobina grzechu może tylko duszy wyjść na dobre.

Na to roześmiał się szczerze i serdecznie, a ona mu zawtórowała. I znowu pomyślała, że każdy mężczyzna potrafi być ujmujący, jeśli się go odpowiednio zachęci.

Po powrocie do domu Cynthia czuła się niezwykle zmęczona, choć nie zrobiła dziś w zasadzie nic, poza tym że spudłowała z muszkietu, odbyła rozmowę z przystojnym, choć pompatycznym jegomościem - zdołała go przekonać, że grzech mógł być drogą do cnoty, co samo w sobie było nie lada wyczynem - i pozwoliła, żeby wysoki, ciemnowłosy mężczyzna wprowadził zamęt w jej uczuciach i myślach tym, że podarował jej kotka, nie wiedząc, czemu to zrobił i w dodatku wydawał się zły z tego powodu.

Raczej żadne z tych wydarzeń nie przybliżyło ją do zamążpójścia. A ponieważ była osobą praktyczną, od razu zapytała lokaja, czy nie dostarczono dla niej poczty.

- Przykro mi, panno Brightly - usłyszała w odpowiedzi. - Jeśli będzie do pani jakiś list, dopilnuję, żeby natychmiast dostała go pani do pokoju.

Zeszła więc na dół i spędziła przykładną godzinę w towarzystwie dam, szyjąc opieszale i nie udzielając się w

rozmowie. A kiedy już dłużej nie mogła tego znieść, wróciła do pokoju, żeby się pobawić z kotkiem; miała ochotę porozmyślać, a może nawet - co jej się rzadko zdarzało - poużalać się nad sobą. Zsunęła buty, usiadła na łóżku i wzięła Pająka na kolana, żeby ją pocieszył.

Pająk odmówił współpracy. Wyśliznął się z jej rąk, jakby był z mydła, i zaatakował jej palce u nóg. Cynthia bardzo się starała, ale naprawdę trudno wytrwać w przygnębieniu, kiedy trzeba bronić palców u nóg.

Do obiadu odzyskała humor i gotowość podjęcia kampanii.

Panowie rzeczywiście upolowali kuropatwy. Przy wyśmienitym obiedzie rozmawiano o strzelaniu, ale na szczęście wszyscy mieli na tyle taktu, że nikt nie uświadomił Goodkinda, co takiego trafiło go w głowę. On sam zachowywał się odrobinę przystępniej niż dotąd, w dużej mierze dzięki wysiłkom Cynthii. A Miles znowu dał się namówić na opowieści o Lacao.

Po obiedzie Jonathan poprosił Argosy'ego, żeby przeszedł się z nim Pod Świniaka i Oset, gdzie organizowano turniej gry w rzutki, który Jonathan zamierzał wygrać. Argosy rzucił Cynthii krótkie, lecz należycie tęskne spojrzenie przez ramię, ona zaś uspokoiła go wdzięcznym uśmiechem, który jednak niczego nie obiecywał, bo przecież Milthorpe i Goodkind zostawali w domu na cały wieczór.

Lady Middlebough wcześniej poszła do siebie.

- Bardzo lubię mieszkać na trzecim piętrze - oświadczyła, żegnając się z nimi. - I w dodatku mieszkam w czwartym pokoju, licząc od klatki schodowej, a czwórka to moja ulubiona liczba.

Cynthia spojrzała na nią ze zdumieniem. Jej ulubioną liczbą było chyba dwadzieścia tysięcy. Funtów.

- A gdzie są pokoje twojej rodziny, Violet? - dopytywała się lady Middlebough.

Violet wyglądała na zaskoczoną, ale dobre wychowanie nakazywało odpowiedzieć uprzejmie.

- Też na trzecim piętrze. Tylko w innym skrzydle. To znaczy, Jonathana i mój. Bo Miles mieszka na drugim piętrze. On jeden z całej rodziny ma pokój na tym piętrze.

- Musi się czuć samotny, skoro mieszka tam sam jeden.

Z tymi słowami lady Middlebough poszła do swojej sypialni.

Violet orzekła, że będą grać w karty, więc wszyscy zasiedli do stolika. Wszyscy z wyjątkiem Milesa i lady Georginy.

- Może dołączymy za parę minut - powiedział Miles. - Mamy do obgadania mrówki i *Lepidoptera*. - Poprowadził Georginę w kierunku prążkowanej sofy, gdzie zasiedli i zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami. Zachowując bardzo przyzwoitą odległość.

- Och, panie Redmond! Jakie to ciekawe! - cichym głosikiem powiedziała parę minut później Georgina. Cynthia nie była zaskoczona.

Przypuszczała, że Miles traktował zaloty z taką samą starannością i sumiennością, jak wszystko inne, do czego się zabierał. Czy to był właśnie jego rytuał godowy? Te spacerunki i rozmowy z Georginą? Skąd będzie wiedział, że już ją zdobył? A może decyzja o wyborze partnera już została podjęta i to, co teraz robią, to czysta formalność?

Znowu myślała o nich jak o owadach.

Rozdano karty i zaczęła się nudnawa partyjka wista; Cynthia próbowała nie podsłuchiwać rozmowy na prążkowanej kanapie, ale szybko się poddała. Nad brzegiem wachlarzyka swoich kart widziała precyzyjnie zawinięty płowy warkocz Georginy i czuła, jak wzbiera w niej demon złościwości.

- Och, panie Redmond - sparodiowała ją pod nosem. - Jakie to ciekawe!

Lady Windermere spojrzała na nią z zaskoczeniem.

- Co takiego, panno Brightly?

- Nie zauważyliście... - Cynthia urwała.

Bądź grzeczna, upomniała się surowo. Znów wywołasz jakąś katastrofę, jeśli zaczniesz broić. Wszystko, cała twoja przyszłość zależy od tego, czy będziesz się stosownie zachowywać, mądrze wybierać i czy nie będziesz się bawić ludźmi.

Niespokojnie poruszyła się na krześle. Ale przecież lady Windermere zadała jej pytanie. Niegrzecznie byłoby nie odpowiedzieć, prawda?

- Nie zauważyliście... - Raz kozie śmierć. - No cóż, nie zauważyliście, że lady Georgina bardzo często mówi - tu przybrała ton zdyszanego podziwu - „Och, panie Redmond. Jakie to ciekawe!”?

- Naprawdę? - zainteresował się Goodkind.

Osiągnął już ten etap, że wszystko, co mówiła Cynthia, wydawało mu się interesujące. A ponieważ oberwał marmurowym penisem po głowie, towarzystwo było dla niego bardziej wyrozumiałe.

- Posłuchajcie - szepnęła Cynthia, spuszczać oczy.

Wszyscy posłusznie wstrzymali oddech, jakby nasłuchiwali głosu jakiegoś wyjątkowo rzadkiego ptaka. W cichej melodii rozmowy na kanapie - w której poważny

głos Milesa był jak basowy podkład do wznoszącej się i opadającej muzyki - padło słowo „lepidoptera”, a po nim śmiech. Może opowiedział jakiś dowcip o motylach.

Cynthia machnęła ręką jak dyrygent, a lady Georgina w tym samym momencie zaszczebiotała:

- Och, panie Redmond! Jakie to ciekawe.

Przy stole rozległy się ciche śmiechy, a ten i ów zasłonił usta wachlarzykiem z kart.

- Bardzo pani spostrzegawcza, panno Brightly - pochwalił ją pan Goodkind.

Lord Milthorpe obruszył się, że to nie on wykorzystał okazję do powiedzenia Cynthii komplementu. Pozostało mu jedynie zgodzić się z Goodkindem.

- Właśnie! Wyjątkowo spostrzegawcza.

Violet spojrzała na Cynthię i przewróciła oczami.

Mężczyźni walczący o jej względy i pomysł na psotę. Cynthia znowu zaczęła czuć się sobą.

Wszyscy gracze przyglądali się ukradkiem Milesowi i Georginie, zaniedbując rozpoczętą partię. Niski głos Milesa Redmonda znowu przybrał pełne zapалу tony. Dwoma palcami pokazał w powietrzu coś pełzającego. Później drugą ręką zamachał gwałtownie. Wydawał się szczęśliwy.

A rozmowa wyglądała bardziej na monolog. Typowy mężczyzna.

Lady Georgina była ucieleśnieniem skupionej uwagi. Siedziała pochylona w stronę Milesa, jak gdyby wciągnięta w orbitę jego znakomitego umysłu, z otwartymi ustami, spijając każde jego słowo. Poruszała nawet wargami, zachęcając go do mówienia siłą swojej fascynacji.

Cynthia zastanawiała się, czy lady Georgina rzeczywiście słucha, czy może przypatruje się - co było bardzo kuszące - ognikom w głębi jego ciemnych oczu,

które zapalały się, kiedy mówił. A może śledziła wzrokiem zniewalający kształt jego ust, choć wcale nie musiało tak być, zaś jej przypuszczenia brały się stąd, że znała już smak i dotyk tych warg i...

Błyskawicznie skierowała wzrok z powrotem na swoje karty. Violet chyba nie dowierzała obserwacjom Cynthii. Nachyliła się do niej.

- Niemożliwe, żeby to powtarzała bez przer...

- Och, panie Redmond - westchnęła Georgina. - Jakie to ciekawe.

Wokół stolika rozległy się ciche okrzyki zbiorowego zaskoczenia i stłumione śmiechy. Cynthia, sama rozbawiona, zaczęła ich uciszać. Miles Redmond i lady Georgina odwrócili się w ich stronę z pobłażliwymi uśmiechami. Po czym wrócili do rozmowy. Czy też raczej do odgrywania swoich ról mówcy i publiczności.

Cynthia przez moment poczuła wyrzuty sumienia. Ale doprawdy, nawet jeżeli lady Georgina rzeczywiście miała słabość do Milesa Redmonda, to czy musiała się zachowywać jak papuga?

Tymczasem Georgina przechyliła głowę, wpatrując się w twarz swojego rozmówcy. Papugi też tak robią, przypominało się Cynthii. Mają oczy z boku głowy, a nie na przodzie, więc kiedy chcą się czemuś przyjrzeć, muszą odwrócić głowę. Proszę bardzo. Niech nikt nie mówi, że Cynthia Brightly nie zna się na przyrodzie.

- No dobrze. Ale chyba nie aż tak często, jak mówiłaś... prawda? - Violet najwyraźniej przywiązywała wagę do ścisłości.

Widać to rodzinne u Redmondów.

- Mam pomysł - powiedziała powoli Cynthia.

Uwaga Violet ledwo do niej dotarła, bo w głowie układała już plan. Nie, nie, nie. Sumienie, jak surowa guwernantka, tupało nogą. Ale wiedziała, że Violet da się namówić do psoty. Więc uległa nieszlachetnej pokusie, żeby nieco zszargać redmondowską doskonałość.

- Pomysł jest taki: ilekroć lady Georgina powie... - ściszyła głos - ...sami wiecie co... wszyscy będą musieli się napić.

Zapadła cisza pełna zgrozy i zachwytu.

- Herbaty? - Violet, choć miała na koncie rozmaite wybryki, tego akurat nie знаła.

- Mój Boże, oczywiście że nie, ty głuptasku. - Lady Windermere zwróciła na nią szeroko otwarte oczy, przejęta, że reguły gry mogłyby ulec niekorzystnej zmianie. - Sherry.

- Otóż to - przytaknęła radośnie Cynthia. - A jak skończy się sherry, poprosimy o szampana.

Było to bardzo optymistyczne założenie, bo nie miała zielonego pojęcia, czy Redmondowie byliby w stanie podać gościom szampana przy okazji innej niż bal, ale głęboko wierzyła, że Violet będzie w stanie przekonać służbę do wszystkiego.

- Może zgodzicie się nagiąć zasady, żeby panowie mogli zamiast sherry pić porto albo brandy - zaproponował przebiegle pan Goodkind. Jako człowiek interesu uważał, że każdą umowę można udoskonalić.

Milthorpe skinął głową z aprobatą, a Cynthia uśmiechnęła się zachęcająco.

- Zgoda - powiedziała zwięźle, wczuwając się w rolę osoby wyznaczającej reguły gry.

- A kto zwycięży? - chciała wiedzieć Violet.

- Ten, kto jako ostatni nie spadnie pod stół - orzekła z lubością lady Windermere.

Wszyscy spojrzeli na Violet z politowaniem, bo przypuszczali, że przegra już po drugim czy trzecim „Och, panie Redmond!”

- Dobrze. Niech zatem wszyscy dopełnią sobie kieliszki. Szybko, żebyśmy nie stracili żadnej okazji - cicho zakomenderowała Cynthia.

Każdy uniósł pod światło swój kieliszek, oceniając poziom zawartości. Violet klasnęła w ręce i przy stoliku oszalałymi prędkością pojawił się lokaj w błękitno-złotej liberii, żeby dopełnić braki, nalewając alkohol z kryształowej karafki. Wszystko zaczęło się iskrzyć: oczy, kieliszki, uśmiechy, humory.

- Bardzo dobrze. Zaczynamy zabawę. Może jeszcze jedną partyjkę kart? - zaproponowała słodko Cynthia, sięgając po talię.

Deszcz ciągle zaciął ukosem o szyby, tylko że teraz już się ściemniło. Miles generalnie lubił rozprawiać o modraszkiach i mrówkach z rodziny *Formicidae* czy o swoich pierwszych wrażeniach z fascynującej lektury *Zwyczajów mrówek w Anglii* wielebnego Williama Goulda, ale teraz zaczynał się irytować. Nie raz i nie dwa opowiadał dokładnie o tym samym na posiedzeniach Królewskiego Towarzystwa Nauk.

Miał przed sobą kobietę. Przyjemnie byłoby z nią poflirtować.

Można by powiedzieć, że Georgina w pewnym sensie z nim flirtowała. Te wlepione w niego oczy, te łagodnie otwarte usta, ten dekolt, który domagał się podziwu dla swojej zawartości - i Miles posłusznie, acz dyskretnie ową zawartość podziwiał. Pewnie gdyby mu się chciało, mógłby

obrócić rozmowę o zwyczajach godowych owadów w serię smakowitych dwuznaczności. Ale mu się nie chciało.

Był znudzony.

Myślami odpląnął na trzecie piętro, do czwartego pokoju od lewej. Biedna lady Middlebough. Doprowadził ją chyba do ostateczności, bo jej zachowanie stawało się wręcz jednoznaczne.

Jedyne, do czego ją doprowadzi dziś w nocy, to ekstaza, postanowił nieodwołalnie. I będzie z daleka omijał Cynthię Brightly, bo z jej strony czekało go tylko niebezpieczeństwo i niepewność. Ale ponieważ w jej obecności zwykle postępował dokładnie odwrotnie, niż powinien, oczywiście podniósł oczy, żeby zobaczyć, co ona robi.

Jego wzrok padł na przemykającego obok lokaja.

I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Lokaje zaludniali rezydencję Redmondów. Cały ten milczący batalion ludzi w perukach i liberiach do spółki z licznymi pokojówkami utrzymywał dom w czystości i pilnował, żeby niczego nie brakowało. Ale patrząc na tego konkretnego lokaja, Miles doznał dziwnego uczucia déjà vu.

Całkiem zrezygnował ze słuchania lady Georginy i zaczął po prostu obserwować. Lokaj niósł tacę wypełnioną kryształowymi karafkami do stolika w rogu, przy którym królowała zaróżowiona na twarzy Cynthia Brightly, lśniąca i promienna w swojej sukni koloru szampana, przewiązanej pod biustem brązową tasiemką. Oczywiście przy stoliku siedzieli też inni goście, a także jego siostra, i wszyscy byli podejrzanie zarumienieni.

Lokaj nalał im brandy i sherry, po czym oddalił się pospiesznie.

Kiedy przechodził obok, Miles zauważył, że służący też ma rumieńce na twarzy - z wysiłku. Czoło miał lśniące od potu. Nawet trochę sapał.

- Nie sądzi pan, panie Redmond? - zaszcebiotała lady Georgina. I nie czekając na jego odpowiedź, ciągnęła dalej: - Za to nasze mrówki tutaj, w Sussex, są...

- Georgino, nie zauważyła pani, ile razy ten lokaj przechodził obok nas w ciągu ostatniej godziny? - przerwał jej Miles.

- Ja... ojejku, nie zwróciłam uwagi. Rozmowa z panem jest taka ciekawa.

Wszystkie głowy przy karcianym stoliku wyciągnęły się w ich stronę jak świstaki wyskakujące z norek.

- To też się liczy? - syknął czyjś głos. Chyba Goodkinda.

Gracze zaczęli konferować między sobą półgłosem. Nachylili się tak blisko siebie, że prawie stykali się głowami. W pewnej chwili dyskusja stała się dość burzliwa - ktoś nawet zaczął wymachiwać ręką. Po czym wszyscy usiedli prosto i jednocześnie pociągnęli z kieliszków.

Kiedy karty znalazły się z powrotem w ich rękach, ten i ów rzucił okiem w jego stronę, czym prędzej odwracając wzrok, napotkawszy jego niewzruszone spojrzenie. Widział, że pochylają głowy, żeby ukryć uśmiech.

- Lady Georgino, proszę o wybaczenie. Muszę panią na chwilę przeprosić, dobrze? - odezwał się ponuro.

- Oczywiście...

Ale Miles już był na nogach i zmierzał w kierunku stolika. Grających oświetlały dwie gazowe lampy - ojciec uwielbiał nowoczesne wynalazki i jako jeden z pierwszych je stosował, bo miał na to fundusze. Dzięki temu Miles mógł dostrzec, że oczy jego siostry są zupełnie szkliste.

Siedzący zwrócili się w jego stronę z ostrożną uprzejmością.

- Och, Miles! - zawołała serdecznie Violet. Zupełnie jakby się spotkali po stuleciach niewidzenia. - Tak się sieszę, że przyszedłeś. Nie wiesz, gdzie papa... - urwała i zmarszczyła brwi. Potem nachyliła się w stronę lady Windermere i objęła ją po przyjacielsku. - O so miałam zapytać Milesa? - szepnęła.

- O szampana - odpowiedziała lady Windermere równie donośnym szeptem.

- Ach! - rozpromieniła się Violet. - Miles, gdzie papa trzyma... szampana?

Miles nigdy dotąd nie widział Violet w takim stanie, i chociaż jakaś jego część - ta braterska, którą Jonathan, sam pewnie w tej chwili nie całkiem trzeźwy, wykorzystałby bez skrpułów - uważała, że to przezabawny widok, to jednak pozostała część była wściekła. Odpowiadał za siostrę, a ona była za dobrze wychowana, żeby sobie na coś takiego pozwolić; powinna była zachować się rozsądniej, lecz Miles wiedział, był pewien, że wie, kto za tym stoi.

- Czemu o to pytasz, Violet? - odpowiedział ze spokojem.

Cynthia Brightly uparcie nie patrzyła w jego stronę. Wpatrywała się w swoje karty, zupełnie jakby spodziewała się wyczytać w nich sekret ocalenia; przygryzała z boku dolną wargę, na próżno usiłując zachować powagę.

Violet przywołała go bliżej, machając kartami tak zamasyście, że wszyscy mogli je obejrzeć. Milthorpe i Goodkind nachylili się, żeby lepiej widzieć. Choć wiedział, że nie powinien tego robić, Miles również pochylił się nad siostrą.

Złapała go za rękaw, pociągnęła w dół i zaszeptała mu do ucha poufale, z pewnym zmartwieniem w głosie.

- Bo jess nam poszszeszny, Miles. Ten szampan. Jeśli będziesz dalej rozmawiać z lady Georgią, to szampan będzie nam poszszeszny. Bo sherry prawie się skończyło.

Miles delikatnie wyswobodził się z uścisku siostry i wyprostował akurat w chwili, kiedy lokaj znowu zbliżał się do stolika z karafką. Ale na widok mrocznego, rozjuszonego spojrzenia Milesa obrócił się na pięcie i wrócił tam, skąd przyszedł.

Pan Goodkind rozpiął sobie kilka guzików od kamizelki, żeby nie uciskała go w pękaty brzuch. Milthorpe miał nos jak pomidor, a policzki poznaczone czerwonymi żyłkami. Lady Windermere od dekoltu wzwyż dostała szkarłatnych plam, których kolor potwornie gryzł się z jej śliwkową suknią i dobranym do niej turbanem. Sam turban był teraz zawadiacko przekrzywiony, choć Miles dobrze pamiętał, że na początku wieczoru znajdował się na czubku głowy.

Wetknięte w niego piórko łaskotało Goodkinda w ucho, ilekroć właścicielka turbanu przekreśliła głowę w bok. Pan Goodkind za każdym razem drapał się po uchu i uśmiechał z miną jednocześnie zadowoloną i zdezorientowaną, ale zanim zdążył spojrzeć w bok, pióro już zniknęło.

Miles zaobserwował ten cykl dwukrotnie w ciągu paru sekund.

- Dobrze się państwo bawicie? - zwrócił się do całej grupy.

Wszyscy razem knuli coś złośliwego.

Nie lubił czuć się wykluczony. Nie lubił nie orientować się w sytuacji. A przy okazji miał wrażenie, że

cała sprawa ma z nim jakiś związek, więc zamierzał się dowiedzieć, o co chodzi.

- O, tak! - rozległ się chór niewinnych głosów. I cisza.

- A w co gracie? - uprzejmym tonem zwrócił się do Cynthii.

Po układzie kart na stole i liczbie tych, które mieli w rękach, nie mógł się zorientować. Ale Cynthia nie odpowiedziała, bo ubiegła ją Violet.

- A ty dopsze się bawisz, Miles? - Jej oczy zaszczyły łzami siostrzanej troski. - Powieś! Powinieneś się dopsze zabawić raz na jakiś szas. I nie tylko z dzikuskami.

Zgorszona własnymi słowami, zasłoniła usta dłonią i popatrzyła na niego z udawaną niewinnością. A potem ostrożnie odsunęła rękę.

- Hep - powiedziała.

Wewnętrzny barometr Milesa wskazywał ciśnienie burzowe. Był wściekły na Violet, wściekły na Cynthię, wściekły ze względu na okoliczności, w jakich się znalazł, wściekły z tego powodu, że nudziła go lady Georgina, i wściekły na samego siebie, bo przecież z reguły się nie wściekał.

- Wybasz mi, Miles - przeprosiła Violet ze smutkiem.
- Wypsnęło mi się, nis nie mogłam na to poradzić.

Miles wolno odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Cynthię Brightly. Trzęsa się z tłumionej wesołości niczym listek na wietrze. Oczy miała zaczerwienione w kącikach i pełne łez rozbawienia. Teraz zakrywała usta obiema dłońmi, które zachodziły na siebie jak liście palmowe na dachu porządnie zbudowanej tubylczej chaty: Taki dach, jeśli się go położy prawidłowo, potrafił się oprzeć naporowi tajfunu. Tak mu przynajmniej mówiono. A ona

właśnie wyglądała, jakby próbowała powstrzymać w sobie tajfun śmiechu.

- Więsjak, dopsze się bawisz, Miles? - naciskała Violet, teraz już lekko zaczepnym tonem, jako że wcześniej jej nie odpowiedział.

- Tak, Violet, bardzo sympatycznie sobie rozmawiamy z lady Georginą. Opowiadała mi o koloniach mrówek, a ja mówiłem trochę o swoich przygodach na Morzach Południowych.

Zapadła natychmiastowa, namacalna wręcz cisza. Wszystkie te zarumienione twarze i szkliste oczy na znacząco długą chwilę zwróciły się w jego stronę z wyrazem diabolicznej uciechy.

Wreszcie powiedział to Goodkind. I to falsetem:

- Och, panie Redmond! Jaki pan jest ciekawy!

Wybuch śmiechu był tak ogłuszający, że Miles aż odskoczył do tyłu. Cynthia Brightly położyła głowę na blacie, a plecy trzęsły jej się z uciechy tak gwałtownej, że zaczęła kaszleć. Śmiech Milthorpe'a przypominał rzenie przerażonego osła, który ucieka przed pasterzem, trzymającym rozżarzone żelazo do znakowania: „hrraaa, hrraaa, hrraa-aa, hrraaa!”

Goodkind odrzucił głowę do tyłu, a usta złożył w idealnie okrągłe O, z którego wydobywały się długie, donośne radosne pohukiwania. Walił ręką w stół, przez co turban lady Windermere wreszcie całkiem zleciał jej z głowy i pióro wpadło mu na oczy. Jego huczący śmiech raptownie umilkł, Goodkind w panice zaczął wymachiwać rękami, po czym stracił równowagę i runął z krzesła na podłogę, pociągając za sobą obrus, wszystkie kieliszki z sherry, a w końcu również lady Windermere, której się rozpaczliwie uchwycił tuż przed ostatecznym upadkiem.

Lady Windermere z przestrachu wybałuszyła oczy, wyrzuciła ramiona w górę i zniknęła pod stołem, zupełnie jakby rekin wciągnął ją pod wodę. Wypuszczone przez nią karty rozprysnęły się niczym morska piana i opadły.

Był to najzabawniejszy widok, jaki Miles kiedykolwiek w życiu oglądał.

A jednak równocześnie nie posiadał się z wściekłości. Stał tak, rozdarty na pół pomiędzy dwie skrajne emocje i nie był w stanie wydusić ani słowa. Pozostali wciąż pokładali się ze śmiechu. Wreszcie Cynthia uznała, że wypada się zainteresować losem powalonych na ziemię towarzyszy, ale kiedy się schyliła, sama zaczęła tracić równowagę.

Miles wkroczył z pomocą. Sięgnął w dół, pilnując, żeby w zamieszaniu uchwycić właściwą kończynę - rękę, a nie nogę, ze względu na lady Windermere - i pomógł im usiąść na krzesłach, w których osunęli się bezwładnie niczym marionetki. Musiał też szukać na podłodze turbanu lady Windermere. Pióro całkiem się połamało. Za to kępka włosów Goodkinda sterczała w tej chwili zupełnie pionowo, jakby sam wystroił się w pióropusz.

- Szyntia jess taaaaaka mądra! - powiedziała niewyraźnie Violet. - Bogu dzięki za Szyntię. No, gdzie ten lokaj z sherry?

Miles wiedział, że najlepszym sposobem na zdobycie informacji jest udawana obojętność.

- Czemuż to panna Brightly jest taka mądra, Violet? - wycodził przez zęby.

Cynthia Brightly, posiadaczka nieomylnego instynktu samozachowawczego, naraz przestała się śmiać i zaczęła dawać jego siostrze jakieś nerwowe znaki rękami. Ale

Violet była pełna podziwu i pragnęła pochwalić przyjaciółkę za to, co jej zdaniem zasługiwało na pochwałę.
- Bo wymyśliła tę zabawę.

Cynthia ulotniła się sprytnie, gdy tylko Miles na moment odwrócił wzrok. Jeszcze ją dopadnie, pomyślał ponuro.

Najpierw musiał się postarać, żeby wszyscy udali się na spoczynek, co wymagało pewnej umiejętności negocjacji. Okazało się, że Milthorpe lubi sobie pośpiewać po kielichu, zaś Goodkind robi się płaczliwy i męczący. Do tego jeszcze Jonathan i Argosy właśnie w tej chwili wrócili spod Świniaka i Ostu, obaj równie wstawieni. Ucieszyli się ogromnie, zobaczywszy, że Milthorpe i Goodkind są w podobnym stanie, po czym wszyscy czterej poszli sobie pośpiewać do sali bilardowej. Goodkind zasnął, opierając brodę o dłoń, którą z kolei trzymał na czubku kija bilardowego.

Miles zatrudnił lokajów, żeby przetransportowali wszystkich do sypialni; jego osobisty służący musiał pakować do łóżek kilku rostrych mężczyzn i ściągać im buty. Miles kazał też pokojówce, żeby postawiła nocnik obok łóżka Violet, ale wiedział, że jego siostra zasługuje na cierpienie, jakie zapewne przyjdzie jej znieść następnego dnia.

Lady Georgina otrzymała powierzchowne wyjaśnienie całego zajścia. Miała w domu ojca i braci, więc takie wybryki nie były dla niej żadną nowością. Posłusznie udała się do swojego pokoju.

Miles, wyszedłszy z sali bilardowej, miał zrobić to samo. Kiedy później się nad tym zastanawiał, nie mógł sobie przypomnieć, co go skłoniło do tego, żeby się zatrzymać przy drzwiach biblioteki po drodze do czwartej

sypialni na trzecim piętrze. Kiedy już odzyskał zmysły, spekulował, rzecz jasna, na temat właściwości fizycznych -magnetyzmu, przyciągania, zaburzeń atmosferycznych i tym podobnych rzeczy - bo jego zdaniem analiza nadawała życiu sens i pozwalała utrzymać nad nim kontrolę.

Tak czy inaczej, zatrzymał się.

W ciemnym pomieszczeniu widać było dwie lśniące rzeczy: ledwo żarzący się ogień na kominku i odbijające jego blask włosy osoby siedzącej na szeszlunku. Trudno było pomylić ją z kimś innym.

Przez chwilę stał bez ruchu i podziwiał, tak jak mógłby podziwiać światło księżyca: mimowolnie, obiektywnie. Te wszystkie połyskliwe odcienie...

Och, na Boga. Brązu. Jej włosy były brązowe. Jej sukienka też miała jakiś odcień brązu. A skoro Cynthia wciąż miała ją na sobie, to oznaczało, że nie była jeszcze w swojej sypialni. Siedziała skulona na szeszlunku, cała pochylona w stronę ognia, z twarzą w dłoniach. Coś w ułożeniu jej ramion mówiło mu, że... Czy to możliwe... Czyżby ona... płakała?

Zamarł pełny niepokoju i przestachu. Zrobił krok naprzód. I krok w tył.

Po chwili Cynthia wyprostowała się, jak rozwijający pąki kwiat, opuściła jedną rękę na kolana i...

Na litość boską. Pochyliła się do ognia, żeby sobie przypalić od żaru cholerne cygaro. Uchwyciła je wargami z zaskakującą wprawą i właśnie miała się zaciągnąć, kiedy Miles przemówił:

- Gdzie pani znalazła cygaro?

Błyskawicznie odwróciła głowę w jego stronę i jednocześnie szeroko zamachnęła się ręką, w której trzymała cygaro. Wyglądała jak niewinna dziewczica, która

broni się przed napastliwym zalotnikiem. Zastygła w takiej pozie, z oczami okrągłymi jak spodki.

Miles próbował zamaskować śmiech kaszlem, ale bez powodzenia.

Cofnęła rękę.

- Przez pana prawie połknęłabym to cygaro - stwierdziła z irytacją. - A musiałam przeszukać cały dom, żeby je znaleźć.

- Szukała pani... właśnie... cygara?

Wbiła w niego wyzywające spojrzenie, lekko uniosła głowę i ściągnęła brwi. Po czym ostentacyjnie i powoli - bezwstydnie powoli - włożyła sobie cygaro do ust i ciasno objęła je wargami. Wciągając powietrze, aż czubek rozżarzył się do czerwoności.

Miles nie wiedział, czy powinien czuć fascynację, czy wstręt. W każdym razie na pewno odczuwał podniecenie. A oprócz tego z czystej ciekawości chciał się przekonać, czy będzie kaszleć, czy może pociekną jej łzy. Ona tymczasem wdzięcznym ruchem osunęła się na wygięte oparcie szeszlona, odrzuciła głowę w tył i wypuściła pod sufit wąską smuzkę dymu.

Wdzięczne osuwanie sprawiło, że uwięzione w gorsie sukienki piersi przesunęły się nieco i teraz w blasku kominka wyraźnie widać było ich kształt - przepiękny, miękki, kuszący. Miles nie był w stanie oderwać od nich wzroku.

I w ułamku sekundy jego członek stwardniał jak skała.

- Przeszukałam cały dom i w końcu znalazłam trzy w tym pokoju. Na szczęście już i tak pachnie tutaj cygarami.

- Strzelanie z muszkietu, sherry i pokój pachnący tytoniem. Każda młoda dama o tym marzy.

- Cygaro pozwala mi się odprężyć.

- Jak widać, polowanie na bogatego męża może zszargać człowiekowi nerwy.

Na jego złośliwy docinek Cynthia tylko pochyliła głowę i przybliżyła cygaro do oczu, w skupieniu obserwując żarzący się czubek.

- Widzi pan... Rzecz w tym, że kiedy przez cały czas jestem taka... przyzwoita i miła... czuję się dziwnie zmęczona. A że po ślubie nie będę mogła sobie pozwolić na słabostki czy raczej honor nakazuje mi pozostać taką, jaką dałam się teraz poznać, naszła mnie pokusa nie do odparcia.

Miles milczał. Nie wiedział, do której części tego wyznania się odnieść.

- Honor, panno Brightly? - zdecydował wreszcie.

Gwałtownym ruchem odwróciła ku niemu głowę.

- Może pan być pewien, panie Redmond, że mam więcej honoru niż niektórzy z przebywających w tym domu.

Zmierzyła go tak wyniosłym spojrzeniem, że zaczął się zastanawiać, czy i jego nie miała na myśli. Przypomniał sobie o lady Middlebough. Trzecie piętro, czwarty pokój od lewej. Miejsce, w którym w tej chwili powinien się znajdować.

Cynthia domyślnie uznała jego milczenie za przeprosiny.

- Na czym dokładnie polegała wasza dzisiejsza zabawa? - Naprawdę chciał to wiedzieć.

- Wszyscy mieliśmy się napić, ilekroć lady Georgina powie: „Och, panie Redmond. Jakie to ciekawe”.

Zamurowało go. Że też zwróciła uwagę na coś takiego. Po raz drugi tego wieczoru nie był pewien, co

czuje: złość czy rozbawienie. Georgina faktycznie ciągle to powtarzała.

- Może naprawdę uważa, że jestem ciekawym człowiekiem - powiedział oschłym tonem.

- Być może - potaknęła sceptycznie panna Brightly.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ale kiedy ona znowu zmieniła pozycję na szeslongu, przez co suknia ciaśniej opięła jej piersi, uśmiech zniknął mu z twarzy i zaczęło mu brakować tchu.

- Jest bardzo miła - dodała.

Zabrzmiało to prawie jak oskarżenie.

- To nie jej wina - odparł szybko Miles.

Co oboje uznali za zabawne, więc się uśmiechnęli. Cynthia znowu wypuściła smużkę dymu, który zawisł w powietrzu jak sieć mogąca w każdej chwili na nich opaść.

Wydź w tej chwili, cholerny idioto, powiedział głos w głowie Milesea.

- Nie pomyślała pani o tym, panno Brightly, że po ślubie do końca życia będzie się pani czuła „dziwnie zmęczona”, jak to pani określiła?

Odwróciła ku niemu twarz.

- Zmęczona, ale bogata - powiedziała powoli, dobitnie.

Znieruchomiał. I nagle wściekłość spadła na niego jak grom z jasnego nieba, pojawiła się znikąd i zewsząd. Popchnęła go do wnętrza biblioteki i rzuciła na kolana obok Cynthii tak błyskawicznie, że dziewczyna nie miała nawet czasu się zachłysnąć. Złowił wzrokiem obraz jej szeroko otwartych błękitnych oczu i ognistego czubka cygara, jarzącego się w jej palcach jak trzecie oko, które wpatrywało się w niego oskarżycielsko.

Wyjął je z jej ręki i wrzucił do ognia. Oboje popatrzyli w ślad za nim, w miejsce, gdzie zniknęło w płomieniach, sycząc i strzelając. Siedzieli w milczeniu. Miles przyglądał się, jak żar nieubłagane zamienia się w popiół, i czuł, jak uchodzi z niego energia. Po jakimś czasie zaczął wyławiać uchem dźwięk oddechu Cynthii na tle jęków, trzasków i posykiwania płonących szczap, które zdawały się skarżyć, że ogień je pożera.

Powoli odwrócił twarz w jej stronę. Nie patrzyła na kominek.

Patrzyła na niego, z dziwnym wyrazem twarzy, który zniknął, gdy tylko na nią spojrział. Odbicie płomieni drgało na jej szyi, jakby i ją ogarnął ogień. Jego ręka z własnej woli zaczęła się wyciągać w jej stronę, jak gdyby chcąc sprawdzić, czy rzeczywiście jej skóra płonie. Musnął palcami jej policzek.

Jej oddech zmienił rytm. Jego również.

Nie był w stanie się teraz zatrzymać. A ona wcale go nie powstrzymywała. Powoli, stanowczo, ale delikatnie przesunął dwa palce wzdłuż linii szczęki, na niewyobrażalnie miękką skórę pod brodą, zachwycając się różnicą w dotyku.

Obserwował swoje palce z czujnością przyzwoitki, a one przemieszczały się cały czas coraz niżej i niżej. Jej szyja była jedwabista i gorąca, przerażająco delikatna. Pod skórą wyczuwał oszalały puls, który mówił o tym, że krew w jej żyłach krąży coraz szybciej i rozgrzewa jej skórę, a żar przenosi się na jego dłoń. Miał wrażenie, że trawi go gorączka. Każda komórka jego ciała była rozpalona pragnieniem.

A palce przesunęły się dalej i dalej. Zakreśliły fantazyjną ósemkę u podstawy szyi.

- Wcale pana nie chcę - powiedziała ochryłym szeptem.

Miles, wieczny poszukiwacz prawdy, postanowił to sprawdzić. Niżej, jeszcze odrobinę niżej, tuż ponad miękką wypukłością piersi wyczuł uderzenia tętna. Zatrzymał palce w tym miejscu, napawając się tym, że szaleńcze tempo jej pulsu potwierdzało jego przypuszczenie. Podniósł oczy, żeby zmierzyć ją wzrokiem.

Było to jedyne ostrzeżenie, jakie jej dał, zanim zsunął palce w ten kuszący rowek między piersiami. Szarpnęła głową w tył, jej wargi rozchyliły się w niemym westchnieniu, klatka piersiowa drgnęła ledwo wyczuwalnie.

- Ja pani też nie chcę - odpowiedział szeptem.

Szept nadawał się na język ciemności, język, którego używa się, dotykając nagiej skóry. Uśmiechnęła się leciutko, czyli kłamstwa mieli już za sobą.

Wtedy Miles wydobył palce z jedwabistego zagłębienia, czując przebiegający po plecach dreszcz pożądania; nie był w stanie się ruszyć i cały drżał z żądy. Ale też był człowiekiem metodycznym i dlatego pozwolił, żeby jego palce pokonały z powrotem tę samą ścieżkę przez klatkę piersiową, po szyi, ku twarzy.

Gdzie w końcu odwrócił je do góry, tworząc jakby kołyskę dla jej policzka. Cynthia złożyła w niej swoją twarz. Tak jak kiedyś podejrzewał, pasowała idealnie, jak gdyby została specjalnie do tego celu ukształtowana.

Powieki same jej się zamknęły.

Przesunął kciukiem po jej policzku. O Boże. Nie miał słów, żeby oddać cudowną miękkość jej skóry. To, co robili, było niebezpieczne i głupie i nie mogło się dobrze

skończyć. Przyjemne - być może. Właściwe - na pewno nie.

Ale za bardzo przypominało to podchody. A Miles nie lubił w ludziach tej cechy. Nie lubił wyrachowania. Budziło skojarzenia z ojcem. Zły był, że przez Cynthię tak się zachowuje, zły, że trzęsą mu się ręce, a do tego czuł się naiwnym głupcem, bo wiedział teraz, jak bardzo się mylił, nazywając požądaniem to, co wcześniej odczuwał w stosunku do innych kobiet. Teraz wiedział, że wcześniej czuł jedynie... apetyt. Taki, który mógł zaspokoić, kiedy przyszła mu ochota.

To... to doznanie całkowicie nim zawładnęło. A razem z nim przyszedł lęk, że już nigdy się od niego nie uwolni. Do diabła z podchodami. Miles wołał grę w otwarte karty. Bez uprzedzenia cofnął dłoń podtrzymującą jej twarz, przesunął ją na kark i wymacał palcami rząd guziczków, na które zapinała się jej suknia.

W kilka sekund rozpiął pierwszy z nich.

Cynthia zeszywniała zszokowana. Rozpiął następny. Przecież umie mówić, tłumaczył sobie. W każdej chwili może mi powiedzieć, żebym przestał. Mogła też w świętym oburzeniu zerwać się z szeslonga albo wymierzyć mu siarczasty policzek.

Nie zanosilo się na żadną z tych rzeczy.

Jednak czuł się w obowiązku dać jej możliwość zaprotestowania, więc uniósł brwi w niemym pytaniu.

Ale ona w tym momencie odwróciła głowę. Podejrzewał - a właściwie był pewien - że chciała trwać w złudzeniu, że nie dał jej wyboru. Kiedy to sobie uświadomił, żądza wezbrała w nim jak fala. Co do jego męskości... cóż, może nie była to poezja najwyższych

lotów, ale przychodziło mu do głowy określenie „trzonek od siekiery”.

Szybko i sprawnie rozprawił się z pozostałymi guziczkami. Dziurki wyrobiły się przez dwa lata bezustannego zapinania i rozpinania przy okazji licznych balów i przyjęć. Te wyrobione dziurki od guzików były symbolem niewesołej sytuacji życiowej Cynthii. Ale nawet to go nie powstrzymało.

Bo pragnął. Pragnął jej. A kiedy już rozpiął je wszystkie i materiał sukni opadł luźno, przełknęła ślinę. Znowu zwróciła twarz w jego stronę. Migoczące płomienie zniekształcały obraz - przez moment wydało mu się, że widzi w jej spojrzeniu niepewność. Ale zaraz schował twarz w zagłębieniu jej szyi, żeby nie musieć się nad tym zastanawiać.

Kilka kosmyków jej włosów wysunęło się z upięcia i łaskotało go w policzek. Wciągnął w nozdrza jej zapach: dym i słodycz. Pomyślał, że może powinien zacząć od ust, ale tak naprawdę bał się, że w jej ustach może się całkowicie zatracić. Już sama myśl o tym przyprawiała go o zawrót głowy.

Zamiast tego, nie wiedzieć czemu, w następnej chwili polizal ją. Zamarła bez ruchu, równie jak on zaskoczona. Ale skoro już zaczął, wypadało dokończyć. Jego język podążył ścieżką wzdłuż szyi. Cynthia wciąż się nie poruszała, napięta jak struna.

Poczuł się odrobinę nieswojo. Czy była... wstrząśnięta? Wystraszona? Przerażo...

Z jej ust wydarł się stłumiony chichot. Świetnie. Czyli powstrzymywała się od śmiechu.

- Na miłość boską, Redmond. Przecież nie jest pan psem. A ja nie jestem kością, więc nie musi pan mnie oblizywać, jakby...

Wysunął język i leciutko musnął płatek jej ucha. To ją natychmiast uciszyło. Wiedział dlaczego; obietnica zawarta w tej drobnej pieśczoce zrobiła swoje - znał jej ciało lepiej niż ona sama i potrafi sprawić, by poczuła coś, o czym dotąd nawet nie śniła. Wystarczyło jedno muśnięcie ucha językiem, żeby obudzić w niej nienasycone pragnienie nowych doznań.

Miles nie składał obietnic bez pokrycia.

Wsunął język do jej ucha. Delikatnie. Raz, drugi. Dmuchnął ciepłym powietrzem, a potem ujął płatek jej ucha wargami. Cynthia westchnęła cicho, wzięła głębszy oddech i mimowolnie przesunęła się na szeszlunku, zaciskając i rozluźniając pięści. Jej ciało uczyło się przyjmować nowy rodzaj przyjemności.

Zostawił w spokoju ucho i podmuchał w miejscu, gdzie na jej szyi pozostał wilgotny ślad języka.

- Och... och.

Jedno „och” oznaczało zrozumienie, a drugie - wypowiedziane ochryłym szeptem - podniecenie. Ręka Cynthii poruszyła się niezdecydowanie, po czym uniosła się powoli i objęła go za kark, wplatając mu palce we włosy.

Odczytał ten gest jako całkowitą zgodę.

I uświadomił sobie, że sam do tej pory trzymał ręce zaciśnięte w pięści przy udach, jak gdyby w geście solidarności z trzonkiem od siekiery uwięzionym w jego spodniach. Idiotycznie zadowolony z odkrycia, że ma dwie wolne ręce, użył ich do zrobienia tego, co zamierzał od początku - zsunęcia jej sukni.

Z zaangażowaniem całował jej szyję, używając na zmianę warg, języka i zębów, żeby ją oszołomić i odwrócić jej uwagę od tego, że jego ręce właśnie zsuwają materiał sukni z ramion i za parę sekund uwolnią spod niego piersi. Wygięła szyję, poddając się pocałunkom, gładziła jego kark, od czasu do czasu leciuteńko drapiąc go paznokciami, co pod skórą Milesa wyzwalalo istne wyładowania elektryczne. Słodki, miłosierny...

W końcu suknia poddała się sile grawitacji i sama opadła pod własnym ciężarem. Cynthia Brightly była naga od pasa w górę i Miles raptownie przerwał całowanie, żeby ją objąć pełnym podziwu spojrzeniem. Jej piersi sterczały zuchwale, kształtne i całkowicie bezbronne. Zanim jednak ich właścicielka zdołała się zorientować, że ją rozebrał, objął dłonią jedną od spodu i pochylił głowę, umiejętnie pieszcząc językiem.

Cynthia wydała z siebie coś pomiędzy westchnieniem a jękiem.

Aksamitny żar jego ust był dla niej szokiem. To doznanie, niewymownie cudowne, było jednak czymś obcym, przed czym podświadomie się broniła. Przytłoczył ją ogrom tego, co czuje, i przestraszyła się.

I przecież obiecywała sobie, że będzie grzeczna.

Jego język wciąż wyczyniał niesamowite rzeczy z jej stwardniałym sutkiem, a palce dotykiem lekkim jak piórko muskały pierś od spodu, wywołując w ciele Cynthii jedno wyjątkowe doznanie po drugim.

- Miles.

Chciała, żeby przestał.

Nie zniosłaby, gdyby przestał.

Przestał.

Ale tylko na chwilę, żeby się podnieść z podłogi i jednym płynnym ruchem wyciągnąć obok niej na szezlongu. Delikatnie i wprawnie ułożył ją sobie w ramionach, jakby w ogóle nie spodziewał się z jej strony protestów, jakby chciał ją przed czymś chronić, choć to przecież on był tym, który jej zagrażał. Nie wyrywała się, nie protestowała. Odszukał jej usta wargami; podała mu je z ulgą, pożądliwie.

Rozchyliła wargi i pozwoliła, by ich języki się splotły, wpiła się w jego usta chciwie, zachłannie. Takich pocałunków dotąd nie знаła, pocałunków, które prowadziły dalej i miały drugie dno, ale nie przejmowała się tym zupełnie. Pocałunek zamienił się w zmaganie - gorące, pozbawione kunsztu, głębokie, mroczne i oszałamiające. Całując go, uczyła się, jak to robić. Dawała to, czego chciał, i sama pragnęła coraz więcej.

A więc to tego było jej trzeba - jego języka w jej ustach i cichego jęku, który dobiegał z głębi jego gardła, przenosząc wibracje na całe jej ciało.

To ja tak na niego działałam.

Język Milesa zanurzał się, smakował, poruszając ją do głębi, której istnienia w sobie dotąd nie podejrzewała, i wprawiał w drżenie cały świat; w tym samym czasie jego palce delikatnie, jakby ze czcią, prześlizgiwały się po jej odsłoniętych plecach. Muskały łopatki, naznaczały linię kręgosłupa aż po miękkie włoski na jej karku, pozostawiając na jej skórze niewidoczny mrowiący ślad. Czowała się jednocześnie pochłaniana i wielbiona.

Oczy miała gorące i wilgotne, bliskie łez.

Raptownie przerwała pocałunek i zdecydowanie oparła rękę o jego pierś.

- Ja nie... - szepnęła gorączkowo przerażonym, nieswoim głosem.

Jego dłonie zamarły w pół ruchu; spojrział na nią z góry. Ciemne oczy nawet w półmroku zdawały się lśnić spod opadających mu na twarz włosów. Co się stało z okularami? Musiał je w którymś momencie zdjąć. Szerokie ramiona pod jej dłońmi uniosły się i opadły.

O czym myśli? Co czuje? Nie śmiała o to zapytać.

Wreszcie mocno pokręciła głową, niezdolna wymówić ani słowa, nie pamiętając nawet, co chciała wcześniej powiedzieć. Nim się zorientowała, jej dłonie już obejmowały jego twarz, przyciągając go w kolejnym pocałunku.

Zaczynała się bać samej siebie.

Przestała go całować i sięgnęła do guzików jego koszuli, przyglądając się w oszołomieniu własnym palcom, które jak gdyby obdarzone własną wolą rozpinają pierwszy z nich. Czowała na sobie spojrzenie Milesa Redmonda; zignorowała je i zmarszczyła brwi w skupieniu, póki cztery pierwsze guziki nie zostały rozpięte. Rozsunęła kołnierzyk i wygięła tułów w górę, żeby dotknąć piersiami jego nagiej skóry.

Poczuła nad sobą poruszenie, kiedy gwałtownie wciągał oddech. Zamknął oczy. Wypuścił powietrze.

- Właśnie tak - szepnęła do siebie, zdziwiona i usatysfakcjonowana, jakby rozwiązała jakąś zagadkę.

Skąd jej ciało wiedziało, czego chce? I czy mogła mu pozwolić sobą kierować?

Wsunęła ręce pod koszulę Milesa i oparła je na rozgrzanej, lepkiej od potu skórze; zdumiało ją to, że pod gęstwiną jedwabistych włosów, pod silnymi mięśniami męskiej piersi wyczuła bicie serca. Jego gwałtowny rytm

dowodził, że Miles, mimo kostiumu naukowca, jest przede wszystkim mężczyzną.

I jak gdyby chciał to podkreślić, złapał ją za nadgarstek. I pociągnął, przytrzymując, powoli w dół.

- O, tak.

Ten szorstki nakaz przestraszył ją i podniecił. Zrobiła tak, jak jej właśnie pokazał, a on z rozkoszy wciągnął przez zęby powietrze. Mój Boże, ależ był tutaj twardy. Ciekawość wzięła górę. Cynthia instynktownie zaczęła badać dłonią kontury jego męskości.

- Jeszcze - szepnął łamiącym się z podniecenia głosem. - Jeszcze.

Więc zrobiła to jeszcze raz; rozchylił uda, pozwalając jej dłoniom błądzić swobodnie.

- Matko boska - wyjęczał.

Zsunął dłonie w dół po jej plecach i złapał ją za pośladki, gwałtownym ruchem przyciągając do siebie. Był tak twardy i sztywny, że zabolalo ją w tym delikatnym miejscu, gdzie łączyły się jej nogi. Ale chciała go tam poczuć, więc przycisnęła się do niego mocniej i aż się zachłysnęła od nieznanej dotąd przyjemności. Poczula na łydkach powietrze - to Miles zaczął podciągać jej suknię. Szybko. Jej ciało było napięte jak struna, dygotała, pragnąc spełnienia, którego nie rozumiała, ręce i nogi miała jakby nie swoje, sztywne, niezgrabne. Wiedziała tylko, że pragnie, by on był bliżej, coraz bliżej. Rozchyliła nogi, przyciągając go do siebie.

Owinęła mu ramiona wokół szyi.

- Proszę - szepnęła drżącym głosem.

Nie wiedziała dlaczego, nie wiedziała, o co prosi ani czego tak naprawdę chce. To przemówiło jej ciało, nie umysł.

Teraz jego palce dotykały jej łydek i przesuwały się wyżej.

- Cynthio... - Jego szept był niski i gardłowy. Wymówione tym tonem jej imię brzmiało jak przestroga i jak pieśń uwielbienia. - Cynthio...

Jej własny oddech był jak huraganowy wiatr.

Palce Milesa muskały już nogi powyżej rąbka pończoch. Wsuwając się pod nie, ślizgając się po chłodnej, nagiej skórze jej ud. Blisko, coraz bliżej źródła jej pragnienia.

- Boże - jęknął.

Przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej. Wsunął udo między jej nogi i przycisnął do niej lędźwie.

- Miles... - Głos jej drżał. - Ja...

- Chryste... - wymruczał.

Rytmicznie poruszał się nad nią oparty na łokciach, przyciskał biodra do jej łona, a ona przywarła do niego z jękiem. Sięgnął do guzików od spodni i odpiął dwa. Zatrzymał się.

- Cynthio... nie możesz... nie możemy...

I z nagłym przekleństwem oderwał się od niej.

Byli tak ciasno spleceni, że Cynthia czuła się, jakby oderwał część jej samej, kiedy tak nagle usiadł pochylony i oparł się dłońmi o uda. Jego plecy przypominały miech kowalski.

Zastygł w tej pozycji na dłuższą chwilę. Słysząc było tylko jego urywany oddech. Potem oparł czoło na dłoni. Leżąc na szezlongu, półnaga, z rozsuniętymi nogami, w pomiętym ubraniu, porzucona, patrzyła, jak Miles walczy z samym sobą, walczy o zachowanie zdrowego rozsądku. Miała ochotę wyciągnąć rękę, żeby go dotknąć, ale nie śmiała tego zrobić.

Postąpił tak, jak należało.

W końcu odwrócił się twarzą do niej. Sztywno, niemal z bólem. Nawet w panującym wokół półmroku widziała w jego oczach zachwyty pomieszany z tą dziwną złością, którą oboje wzbudzali w sobie nawzajem.

- Może być jeszcze lepiej, panno Brightly.

W okamgnieniu otrzeźwiała, zupełnie jakby uderzył ją w twarz. Wiedział, jak rozpaczliwie go pożądała, znał pragnienia jej ciała, których ona sama do końca nie rozpoznawała. Potwierdził to, co podejrzewała.

I zostawił ją nienasyconą. Zaintrygowaną. Świadomą, że już nigdy nie będzie z nim w taki sposób. Trzeźwe myślenie przyniosło ze sobą wstyd.

Skrzyżowała ramiona na piersiach, niezgrabnymi palcami próbowała podciągnąć w górę gors sukienki, nie spuszczać wzroku z człowieka, który przed chwilą stoczył walkę z samym sobą i próbował odzyskać spokój, atakując ją. Ale nie mogła za bardzo być na niego zła. Bo czuła jego cierpienie jak własne.

Na stoliku przed kominkiem znalazła jego okulary. Pochyliła się, a on siedział nieruchomo, kiedy wsuwała mu je na nos. Naturalność tego gestu zaskoczyła ich oboje. Z ust wyrwał mu się krótki dźwięk. Podobny do śmiechu. Siedzieli tak w milczeniu: razem, ale osobno.

Nagle on sięgnął do pudełka z cygarami, wyjął jedno i pochylając się do przodu, przytrzymał je w żarze, jakby częstował małego kotka jakimś smakołykiem. Płomień obudził cygaro do życia.

Podał jej zapalony tytoń.

- Pomyślałem, że przyda się pani chwila odprężenia.

Spojrzała na cygaro tępym wzrokiem. Wzięła je z jego dłoni trzęsącymi się palcami i przyglądała mu się z taką miną, jakby zapomniała, co to takiego.

- Odpręża znacznie bardziej, jeśli się pani zaciągnie, panno Brightly.

Błyskawicznie odwróciła do niego twarz. Ten przeklęty człowiek domyślał się od początku. Uśmiechał się nieznacznie. Ten żart miał im obojgu pomóc wrócić do rzeczywistości.

Czy on wie wszystko? Uznała, że to wyjątkowo niesprawiedliwe. Był taki spostrzegawczy i dociekliwy. Z drugiej strony, on też nie był obojętny na to, co się między nimi działo.

Miała ochotę schować głowę w dłoniach. Choć raz pozwolić sobie na słabość. Ale nie mogła dopuścić do tego, żeby oglądał ją w takim stanie. Więc zrobiła dokładnie odwrotnie: uniosła brodę do góry i spojrzała mu wyzywająco w oczy.

Po chwili Miles wstał, szybko, sprawnie pozapinał guziki koszuli i wepchnął jej długie poły w spodnie; przeczesał też włosy palcami - były zdumiewająco rozczochrane. Są miękkie i o wiele za długie, pomyślała, obserwując go. Potarła dwa palce, jakby wciąż czuła je między nimi.

Przez moment Miles stał tak, niezdecydowany. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz pokręcił gwałtownie głową.

Potem, nie wiedzieć czemu, uklonił się jej. I wyszedł.

Następnego dnia we czwórkę pojechali do obozowiska Cyganów. Goodkind aż wstrząsnął się na myśl o tym, że ktoś mógłby mu przepowiadać przyszłość, lady Windermere i lady Middlebough wybrały się w odwiedziny do któregoś z sąsiadów, a Milthorpe pojechał rozmówić się w sprawie konia, którego zamierzał kupić.

Miles Redmond i lady Georgina zostali w domu. Jonathan porozumiewawczo uniósł brwi.

- Coś mi się zdaje, że nasz Miles już niedługo powiedzie kogoś do ołtarza.

Nikt nie podjął tematu. Violet mruknęła coś pod nosem, bo wczorajsze sherry jeszcze dawało o sobie znać, zaś Argosy rzucił Cynthii bardzo wymowne i tajemnicze spojrzenie.

Cynthia wsiadła rano do powozu osowiała, milcząca i zamyślona, ale bardzo się starała, żeby nie dać tego po sobie poznać, bo Argosy był pełen entuzjazmu z powodu czekającej ich eskapady i wyraźnie okazywał jej swoje zainteresowanie.

Za dnia Pennyroyal Green okazało się urocze: gospoda nosząca miano trzody chlewnej i chwastu oraz mały kamienny kościółek stały naprzeciw siebie, jakby radośnie pogodzone z faktem, że mają tych samych klientów. W samym środku miasteczka rosły splecione ze sobą dwa olbrzymie drzewa, a w oddali na wzgórzu wznosiła się szacowna budowla Akademii dla Młodych Dam panny Endicott, którą wszyscy dość otwarcie przezywali szkołą dla krnąbrnych pańienek. Prowadziła do niej ścieżka wśród jaskrawo kwitnących maków.

- Już dawno powinniśmy byli tam posłać Violet - powiedział Cynthii Jonathan.

- Zorganizowałabym bunt - odparła lekko Violet. - To nie byłoby zbyt rozsądne z waszej strony.

- Pewnie masz rację - zgodził się, ziewając.

Późno w nocy grał jeszcze w bilard z Milthorpe'em i Argosym, a wypił poprzedniego wieczoru znacznie więcej niż jego siostra czy Cynthia.

Violet, wciąż blada z powodu wczorajszej sherry, z dumą wyznała Cynthii, że tylko raz miała torsje. Cynthia też czuła się lekko otepiała, ale nieobce jej były nocne hulanki i dobrze znosiła sherry. Była markotna, ale z zupełnie innego powodu.

- W każdym razie spodziewam się usłyszeć od Cyganki, że spotkam wysokiego bruneta i że czeka mnie zamorska podróż - oświadczyła Violet.

Jonathan się roześmiał.

- Mogę sobie tylko pomarzyć, żebyś wybrała się w zamorską podróż.

Kopnęła go.

- Dzieciaki - powiedziała Cynthia.

Tak naprawdę jednak fascynowała ją ta swoboda, ta beztroska, ta oczywista, a niewypowiedziana więź między nimi, za którymi stały historia rodzinna i majątek. Pragnęła tego samego. Dla siebie i dla swoich dzieci.

Bo chciała mieć dzieci. Chciała mieć rodzinę.

Argosy ciepło się do niej uśmiechnął. Jego udo dzieliły od jej nogi ledwie trzy cale. Cynthia patrzyła dziś na swoje uda w zupełnie innym świetle, od kiedy poprzedniej nocy rozchyliła je i oplótła nimi Milesa Redmonda. Zacisnęła dłonie na materiale sukienki, żeby się

opanować, bo wspomnienie wczorajszej nocy sprawiło, że osłabła z pożądania.

- Miles wybrał się w zamorską podróż - mówił dalej Jonathan. - Ale wrócił.

- Miles zawsze wraca - stwierdziła Violet z zadowoleniem. - Na nim można polegać.

Kiedy wczoraj Cynthia wyplątała się już z ramion Milesa, na którym można było polegać, wróciła do pokoju otulona chmurą zmysłowości. Życzyła dobrej nocy pajęczycy Susan oraz kotkowi Pająkowi i spodziewała się, że nie będzie mogła zasnąć z powodu podniecenia i zażenowania, które w niej narosły, a kiedy jej się w końcu to uda, dręczona koszmarami, będzie się budzić i zasypiać na przemian, aż pokojówka przyjdzie rozpaścić w kominku.

Tymczasem, co dziwne, pomimo tej historii z Milesem czuła się teraz w swojej sypialni dobrze i bezpiecznie. Nie, to właśnie ze względu na niego. To przecież on dał jej tego małego kotka, który mruczał dziko, leżąc to na jej brzuchu, to na kolanach, to wreszcie - kiedy się obudziła - na jej głowie.

Przespała całą noc. Kolejny cud.

„Może być jeszcze lepiej, panno Brightly”. Pożądanie natychmiast przeszło ją jak strzała; zaczęła szybciej oddychać.

Argosy posłał jej porozumiewawczy uśmiešek. Czemu akurat jego bliskość, jego przystojna twarz nie wywoływała u niej słabości? Czemu nie wyobrażała sobie, że to w objęciach jego szczupłych ramion omdlewa, że to wokół jego ud oplata...

- Cyganie zatrzymują się tutaj co roku? - zapytała czym prędzej, żeby pozbyć się widma Milesa z powozu, z rozmowy, ze swoich myśli.

- O tak, odkąd pamiętam - powiedział Jonathan. - Rodzinę Heronów znam od lat. Gdy byliśmy mali, pozwalali nam niekiedy przychodzić na swoje tańce. Nawet ich lubię, chociaż to złodzieje i łotry spod ciemnej gwiazdy. Ale nie są źli. Tylko to całe wróżenie to kompletna bzdura.

Znowu ziewnął.

Cynthia i Argosy wymienili między sobą pobłażliwe spojrzenia, które mówiły: „Co on tam może wiedzieć?”

Konie ciągnące powóz zatrzymały się na skraju łąki. Rozpościerała się falującą przestrzenią jak koc rzucony bezładnie na łóżko. Przed nimi wznosił się łagodny pagórek, który zasłaniał im widok, a zza niego dobiegały intrygujące odgłosy: męskie śmiechy, tętent kopyt i okrzyki po romsku, w języku Cyganów.

Dało się rozróżnić imię „Samuel” zawołane ostrym tonem. I znowu śmiech.

Ponad tuzin namiotów stało w kręgu wokół obozowego ogniska, które wypaliło się już prawie do żaru i popiołu. Wisiał nad nim kociołek, z którego dolatywał kuszący zapach. Gładkowłosy pies o płowej sierści śpiący u wejścia do jednego z namiotów uniósł czujnie głowę, ale zaraz ją opuścił z powrotem, uznając widocznie, że nie są warci podnoszenia alarmu. Może już od tygodni widywał tu Gadji, którzy przychodzili w nadziei, że dowiedzą się czegoś o swojej przeszłości.

Zaciekawieni odgłosami dobiegającymi zza wzgórza, nie umawiając się, wszyscy skęcili w tamtą stronę, zanim weszli do obozu. Spojrzeli ze szczytu pagórka w dół.

Cynthii zapało dech w piersiach.

Przez łąkę w pełnym galopie biegł koń o miedzianym umaszczeniu. Ten obrazek sam w sobie nie byłby wcale

szokujący, gdyby nie to, że na grzbiecie rumaka stał - stał! - szczupły młody mężczyzna. Wyglądał jak ptak unoszony prądami powietrza i nawet poruszał wyciągniętymi w bok rękami do rytmu falujących mięśni konia, zupełnie jakby miał skrzydła. Widok był tak niezwykły, że mieli wrażenie, jakby wszyscy nagle doznali zbiorowej halucynacji.

Wtedy usłyszeli głęboki śmiech. Odwrócili głowy w stronę, skąd dobiegał, i dopiero teraz zauważyli drugiego mężczyznę, niższego i szerszego w barach, który trzymał za wędzidło raczej narowistego brązowego konia w eleganckich białych skarpetkach. Coś wesoło zawołał po romsku do balansującego na końskim grzbiecie jeźdźca; znowu wychwycili imię „Samuel”. Zabrzmiało to jak pochwała. I wyglądało na to, że młodzieniec na koniu to właśnie Samuel.

Potężniejszy mężczyzna również wskoczył na swojego wierzchowca, cmoknął, uderzył go kolanami i ruszył galopem.

- To woltyżerka, akrobacje na koniach - mruknął Jonathan. - Jeżdżą z występami po całym kraju. A najwięcej zarabiają na targach koni w Cambridge.

Mężczyzna na brązowym koniu też stanął na grzbiecie swojego rumaka. Oba konie, kierowane teraz tylko stopami jeźdźców i ich okrzykami, rażno pobiegły sobie naprzeciw.

Violet złapała Cynthię za ramię.

- Co oni wyprawiają? Nie mogę na to patrzeć!

Ale oczywiście nie dość, że patrzyła, to wręcz napawała się tym widokiem. Promieniowało od niej podniecenie. Jonathan i Argosy, jako mężczyźni - a więc z natury skłonni do fascynacji wszystkim co mogło się skończyć śmiercią lub kalectwem, jak się Cynthii wydawało - też zastygli w bezruchu.

Zwierzęta zrównały się ze sobą i w tym momencie obaj jeźdźcy wyskoczyli w górę. Czworo widzów wstrzymało oddech, a Violet mocniej ścisnęła ramię Cynthii. Wydawało się, że mijają się w powietrzu całą wieczność, choć w rzeczywistości pewnie trwało to sekundę. Krępy mężczyzna wylądował zgrabnie na grzbiecie wierzchowca Samuela, kucnął i wyprostował się do pozycji stojącej.

Szczupły młodzieniec uderzył ciałem w bok brązowego konia, próbował się go uchwycić, a w końcu osunął się bezwładnie na ziemię. Violet wybuchnęła śmiechem, którego nie zdołała stłumić, zakrywając dłońmi usta.

Śpiący płowowłosy pies ożywił się i machając jak oszalały ogonem, podbiegł, żeby polizać leżącego Cygana, jakby tylko czekał na taką okazję. Samuel usiadł na ziemi, zaś brązowy koń odbiegł nonszalanckim truchtem. Bez jeźdźca. Z miną wyraźnie zrezygnowaną.

Młody Cygan zwany Samuelem podniósł głowę, osłaniając oczy od słońca, i skrzywił się w kierunku Violet, która nadal śmiała się perliście.

- Cieszę się, że cię rozbawiłem, Gadji.

- Ja też się cieszę - odparowała beztrąsko Violet.

Brat posłał jej ostrzegawcze spojrzenie - Redmondowie nie flirtowali z Cyganami - które Violet oczywiście zignorowała.

- Mogłem sobie zrobić krzywdę.

- Ale przecież nic ci się nie stało - zauważyła rzeczowo Violet. - W każdym razie nic poważnego. Prawda?

Samuel podrapał psa za uchem i odezwał się do niego po romsku, na co pies jeszcze gorliwiej zamachał ogonem.

Powiedział też coś do swojego partnera, sądząc po głosie - coś znacznie bardziej nieuprzejmego, a tamten w odpowiedzi wyrzucił ręce do góry i zatrajkotał z rozbawieniem. Też się śmiał z upadku Samuela.

- Ale na początku bardzo dobrze ci szło - zawołała Violet, chcąc udobruchać chłopaka.

Cynthia ścisnęła ją za ramię. Nie była jednak pewna, czy Violet weźmie to za przestrożę, czy zachętę.

- Tak myślisz, Gadji? A może sama zechcesz spróbować? - Ton jego głosu był uprzejmie sarkastyczny.

- Mogę?

- Violet - rzucił ostrzegawczo Jonathan. - Miles cię zabije.

Samuel gwizdnął na konia, który teraz spokojnie skubał trawę. Koń podbiegł do niego, a Samuel złapał go za wędzidło i podciągnął się na nogi. Potem podprowadził wierzchowca do nich.

Miał niesamowite oczy: błyszczące, intensywnie zielone. Niezwykle czystej barwy, jakby nikt z jego przodków nigdy nie wziął sobie żony lub męża o oczach w innym kolorze. Nos miał wąski, lekko garbaty, wargi pełne, złożone w kształt przypominający serce. Ciemne, połyskujące brązem włosy zakładał za uszy. Cerę miał w kolorze wypolerowanego miedzianego garnka, o ton jaśniejszą niż sierść jego konia.

Innymi słowy, przystojny gagatek. Młody, szczupły, o egzotycznej urodzie.

Cynthia natychmiast zrozumiała, na czym polega urok egzotyki. A poza tym sama nie była odporna na wdzięki przystojnych gagatków. Ale ten akurat nie miał oczu dla nikogo poza Violet. Która, ku wielkiej konsternacji jej brata, wcale nie wydawała się urażona tym, że skupiła na

sobie uwagę Cygana, wręcz przeciwnie, odwzajemniała jego zainteresowanie.

- Masz oczy jak Cyganka, Gadji - powiedział do niej, jakby odpowiadając na pytanie, którego nie zadała. - Prawie tak samo piękne.

Na taką zuchwałość Violet aż się zachłysnęła. Jonathan i Argosy przysunęli się bliżej i stanęli po obu jej stronach. Krępy Cygan powiedział coś do Samuela po romsku. W jego głosie zabrzmiało wyraźne ostrzeżenie. Samuel drgnął i dopiero teraz uważniej przyjrzał się obu mężczyznom.

- Ależ to pan Jonathan Redmond! - Skłonił się przed Jonathanem. - Przepraszam, nie poznałem. To ten kapelusz. Zakrywa twarz. - Uśmiechnął się i przyłożył dłoń do czoła, chcąc obrócić wszystko w żart.

Jonathan przyjął nieco mniej obronną pozycję.

- Co słyhać, Samuelu? Dawnośmy się nie wiedzieli, będzie już...

- Dwa lata. Wyjechałem z wujem. - Wskazał na krępego mężczyznę. - Uczył mnie koni.

Cisza.

Lecz zaraz Jonathanowi wyrwała się gorączkowa prośba.

- Nauczysz mnie jeździć tak samo jak...

- Dobry Boże, nie, Gadji, ja nie jestem wariatem, a ty nie jesteś Cyganem. My to robimy dla zarobku, nie dla przyjemności - powiedział rzeczowo. Wydawał się rozbawiony. - Połamałbyś sobie kości. A wtedy twój brat by mnie zamordował.

- Cyganie wszystko robią dla zarobku - wtrącił Argosy.

Aż kipiał z zazdrości i podziwu.

- Twój przyjaciel się nie myli - odparł pogodnie Samuel i spojrzął z ciekawością na Argosy'ego.

- Anthony Cordell, lord Argosy - dokonał prezentacji Jonathan, zaś Argosy skłonił się majestatycznie.

Samuel odwzajemnił ukłon, tak niski i teatralny, że wyglądał na parodię.

- A to moja siostra, panna Violet Redmond, i nasza przyjaciółka, panna Cynthia Brightly. - Słowo „siostra” miało w ustach Jonathana lekko ostrzegawcze brzmienie.

Cygańskie oczy Samuela na krótką chwilę rozwarły się szeroko, po czym skinął im głową.

- Jeszcze nie miałem przyjemności poznać pańskiej siostry. - Znowu przybrał oficjalny ton. - A jest to prawdziwa przyjemność... Co was tu sprowadza, przyjaciele? Jutro już wyjeżdżamy. - Machnął ręką w stronę taboru, który jednak wcale nie wyglądał, jakby jego mieszkańcy szykowali się do odjazdu.

- Chcieliśmy poznać swoją przyszłość - wyjaśniła Cynthia. Obdarował ją promiennym uśmiechem, zatrzymując zaciekawione spojrzenie na jej twarzy.

- Ach! Chcecie, żeby wam ktoś powróżył, Gadji? Zabójczy uwodziciel. Lecz Cynthia takich lubiła. Argosy poruszył się niespokojnie obok niej jak drapieżny ptak straszący ostrzegawczo pióra.

Doskonale. Ale będzie musiała być bardzo ostrożna.

Violet zrobiła się dziwnie milcząca. Wygłodniałym wzrokiem wpatrywała się w cygańskiego chłopaka, ale on wydawał się nie zwracać na nią uwagi po tej pierwszej zalotnej wymianie zdań. A może wolał nie flirtować z córką Redmondów w obecności jej brata, bo nie chciał skończyć nadziany na redmondowski pal.

- Dobrze - powiedział Samuel. - Chodźcie ze mną. Jestem pewny, że moja ciocia postawi wam kabałę, to znaczy powróży, o ile zapłacicie.

Czworo gości ruszyło za utykającym nieznacznie Cyganem, który prowadził brązowego konia, i za płowym psem.

- Koń pewnie kradziony - mruknął pod nosem Argosy.

- Pewnie tak - zawołał pogodnie przez ramię Samuel.

- Nie pamiętam.

Zniknął w wejściu do trzeciego z brzegu namiotu, a kiedy wyszedł, towarzyszyła mu blada romska dziewczyna ubrana w beże i brązy. Ponure kolory jej stroju były jak zadośćuczynienie za fryzurę - burzę sprężystych loków. Cynthia naliczyła w tej masie dziewięć spinek do włosów, ale lśniące ciemne spirale i tak bezładnie opadały jej na oczy. Twarz miała okrągłą, w kolorze zabielenaj herbaty; oczy blade jak dwa księżycy w pełni.

- Ja wam powróżę, Gadji - powiedziała. - Ale najpierw pokażcie pieniądze.

- Marta! Idź stąd.

Głos besztający dziewczynę należał do wysokiej kobiety, która właśnie wyszła z sąsiedniego namiotu. W jej ciemnych włosach odznaczało się długie pasmo siwizny.

- Jeszcze nie jesteś gotowa wróżyć, dobrze wiesz. Masz dużo roboty. Zmykaj.

Dodała jeszcze coś po romsku, na co dziewczyna zachnęła się i wbiegła z powrotem do namiotu.

Kobieta westchnęła i surowym głosem odezwała się do Samuela po romsku. On odpowiedział coś pokornie, zerkając z ukosa na Cynthię. Kobieta skinęła głową.

Wtedy Samuel wycofał się, machając im na pożegnanie i poświęcając ostatnie spojrzenie Violet, która patrzyła za nim, jak odchodził.

- Chodźcie, moi drodzy - zagruchała przymilnie kobieta. - Jestem Leonora Heron, ciotka Samuela. Ale zanim wam powróżę, muszę zobaczyć wasze pieniądze.

- Ile? - rzucił lakonicznie Jonathan.

Cyganka jednym rzutem oka oceniła zamożność towarzystwa: błyszczące buty i guziki, nienagannie czyste ubrania, skrojone na miarę i uszyte z kosztownych materiałów. Zadbani, więc mieli służbę. Gładkie twarze i delikatne dłonie w rękawiczkach nie znały ciężkiej pracy.

- Sześć szylingów - powiedziała. I uśmiechnęła się dobrodusznie.

Cynthia aż się zakrztusiła. Tyle kosztował przejazd dylizansem z Londynu do Edynburga. Ta kobieta miała tupet. I była bardzo bystra.

Argosy wzruszył ramionami. Wyjął sześć szylingów z sakiewki, którą nosił w kieszeni fraka, i wręczył je Cygance, a ona każdą monetę poddała drobiazgowym oględzinom. Nie znalazła w nich nic podejrzanego.

Zaprosiła więc czworo arystokratów do namiotu, wypełnionego duszącym zapachem suszonych ziół i oświetlonego jedynie lampą olejną, która dawała krąg rozproszonego światła i rzucała wokół niesamowite cienie.

Cynthia przyjrzała się ich sylwetkom widocznym na ścianie namiotu i zauważyła, że Argosy i Jonathan stojący blisko siebie razem rzucają cień, który mógłby należeć do Milesa Redmonda. Wyprostowała się i odrzuciła głowę w tył. Argosy był przystojny, w jego sakiewce nie było widać dna, a przede wszystkim był tu z nią, uśmiechnięty, gotów

dać się przekonać siłom nadprzyrodzonym, że Cynthia Brightly ma być częścią jego przyszłości.

Miles bardzo źle spał tej nocy. Jednak dzbanek mocnej kawy i poranna korespondencja znacznie poprawiły mu nastrój. Otworzył dziś rano pół tuzina listów od różnych członków Towarzystwa Naukowego. Sześciu błyskotliwych, żadnych przygód ludzi wyrażało w nich wielki entuzjazm i obiecywało poświęcić czas i pieniądze na jego następną wyprawę.

W ciszy napawał się tym sukcesem; satysfakcja była bardzo głęboka. Nigdy nie wątpił, że wróci do Lacao z większą, poważniejszą ekspedycją, bo zawsze do tej pory osiągał wszystko, co sobie zaplanował.

Ale realizacja tego przedsięwzięcia mogła mu zająć lata, bo przecież wyprawa wymagała ogromnych funduszy. A teraz... cóż, teraz marzenie o powrocie do Lacao było jedynie tak odległe, jak jego ślub. Wyobrażał sobie, z jaką satysfakcją ogłosi, że ma środki na pokrycie wszelkich kosztów ekspedycji.

Pomyślał o pasji i namiętności, i różnych formach, jakie mogą przybierać.

Pomyślał o Cynthii Brightly, zamkniętej razem z Argosym w ciasnym powozie w drodze do cygańskiego taboru; nic tak nie sprzyjało intymności jak ciasnota i zamknięcie. A za chwilę znajdą się razem w ciasnym namiocie, jeśli zdecydują się na przepowiadanie przyszłości. Jonathan i Violet oczywiście też tam będą, więc intymność nie przekroczy granic przyzwoitości. Poza tym Argosy był dżentelmenem.

Ale na samą myśl o tym, że Cynthia znajdzie się w ciasnym, ciemnym miejscu z innym mężczyzną, który

pewnego dnia będzie miał przywilej i prawo pieścić ją, kiedy tylko przyjdzie mu ochota...

Błyskawicznie skierował myśli w stronę swojej drugiej namiętności, w stronę wyprawy naukowej i Lacao. I dziewczyny, która była dla niego kluczem do tego świata. Jej także, powiedział sobie, wypada poświęcić trochę pasji. Logiczny umysł nie godził się na to, żeby rządziły nim szalone popędy ciała.

Wstał i pobiegł w stronę schodów, jako że już był prawie spóźniony na umówione spotkanie z lady Georginą, której obiecał spacer. Zaproponował jej to wczoraj, kiedy się okazało, że wszyscy pozostali znaleźli sobie inne zajęcia. Poza tym Miles był bardzo sumienny.

Georgina stała skromnie w bawialni na parterze, ubrana w muślinową suknię w żółte pasy, idealnie w kolorze jej włosów. Obserwował ją ukradkiem ze szczytu schodów. Widział, że nerwowo zaplata ręce w białych rękawiczkach; twarz już ukryła pod szerokim kapelusikiem ozdobionym kolorowymi jedwabnymi kwiatami.

Nie było w niej niczego takiego, co sprawiałoby, że zaczynał myśleć kwiecistymi metaforami. Że brakowało mu tchu albo że wpadał w złość. Właściwie jej obecność czy nieobecność nic nie zmieniały; umysł Milesa funkcjonował dokładnie tak samo: bez zarzutu.

Patrzył na nią z góry i próbował sobie wyobrazić, jak po ślubie Georgina przyjmuje gości w ich domu. Wyobraził ją sobie w swoim łóżku, jak całym sobą nakrywa jej bujne białe ciało, jak te szare oczy spoglądają na niego, a te krągłe piersi...

Nie był w stanie wytworzyć w myślach żadnego z tych obrazów. W ogóle nie chciały przyjmować realnych kształtów. Samo myślenie o tym wydawało się zdradą. Co

oczywiście było kompletnie absurdalne, irytujące i niezrozumiałe.

Przynajmniej szczerze go podziwiała. Widział to w jej oczach i w tym, jak jej twarz rozjaśniła się teraz na dźwięk jego kroków na schodach. Nie rozumiał jej zachwyty, ale bardzo mu to pochlebiało.

Może to oznaczało, że dziewczyna ma jednak trochę oleju w głowie. Gorzej by o niej świadczyło, gdyby robiła maślane oczy do Jonathana. Albo do Argosy'ego. Który właśnie siedział zamknięty w ciasnym powozie z...

- Piękny dzień na przechadzkę, lady Georgino.

Czemu zawsze zaczynał od rozmowy o pogodzie? Pewnie dlatego, że w towarzystwie przyjęło się prawienie banałów.

- O, tak! - zgodziła się.

- Może lediboptera znowu się dziś pokażą. -
Zażartował, specjalnie przekręcając to słowo.

- Miejmy nadzieję - przytaknęła żarliwie.

Stłumił westchnienie. Wydawało się, że jego żarty odnoszą przeciwny skutek: spłoszona Georgina brała je na poważnie. Nie brakowało jej przecież inteligencji. Możliwe, że kiedy przyswoi sobie czyjeś myśli i opinie, to wreszcie zacznie formować własne, jak bywa w przypadku nowych gatunków, które powstają w odmiennych warunkach laboratoryjnych.

W tym momencie przyszła mu do głowy praktyczna, choć niezbyt miła myśl. Nie żał mu będzie zostawić jej w domu, kiedy pojedzie na nową wyprawę. I może to właśnie był doskonały powód, żeby ją wziąć za żonę.

Kiedy spacerowali po ogrodzie i Miles wypytywał Georginę o jej zainteresowania, obok nich przeleciał modraszek, trzepocząc skrzydłami. Nie zwrócił jej uwagi

na motyla. Nie wiedzieć czemu, wolał to zachować dla siebie.

W namiocie, do którego weszli, zastali ową młodą Cyganekę o bujnych lokach, która przy akompaniamencie różnorakich szczęków i szelestów pakowała rzeczy do wielkiego kufra. Jak powiedział Samuel Heron, tabor szykował się do odjazdu.

- Siadajcie, proszę, moi drodzy. - Leonora Heron zrobiła ręką nieokreślony gest.

W namiocie nie było żadnych krzeseł. Violet, która nie zносиła się brudzić, sceptycznie popatrzyła na podłogę. Ale wyglądało na to, że jest wyjątkowo czysta. W dodatku cały namiot pachniał jak pracownia aptekarza czy gabinet doktora.

Jej brat westchnął z ubolewaniem, wyciągnął chusteczkę i rozpostarł ją na ziemi. Violet uklękła na niej. Pozostali też uklękli w kręgu światła lampy.

- Jak pani zagląda w przyszłość? - zapytał Argosy z zapartym tchem.

Zajął miejsce tuż obok Cynthii. Jego kolano dość śmiało otarło się o jej nogę, cofnęło się, znowu wróciło na miejsce. Pewnie dlatego brakowało mu tchu. Cynthia klęczała nieruchomo. Przyglądała się, jak na przeciwległej ścianie cienie ich dwojga łączą się w jeden kształt, kiedy nachylili się w stronę pani Heron, i ogarnęło ją dziwne uczucie osaczenia.

Ale wtedy ich cienie znowu się rozłączyły, gdy Argosy odwrócił się do niej z tym swoim swobodnym, poufałym uśmiechem, pokazując białe zęby w symetrycznej twarzy.

- Powróżę wam z dłoni, a potem z herbacianych fusów, bracie - powiedziała Cyganka. - Marta, przynieś mi czajnik.

Dziewczyna wstała i wyszła z namiotu, ale przedtem rzuciła obu mężczyznom spojrzenie spod opuszczonych powiek. Jonathan nie pozostał nieczuły na to spojrzenie. Uśmiechnął się do niej. Argosy jednak był całkowicie skupiony na tym, co ich czekało.

- Będzie pani każdemu z nas czytać z dłoni, a potem z fusów?

- Za wrózenie z fusów dodatkowe sześć szylingów - oznajmiła pogodnie Leonora.

- Pani Heron... - oburzył się Jonathan.

Ale Argosy już sięgał do sakiewki.

- Mogę dać trzy szylingi.

- Sześć szylingów za wrózenie z fusów wszystkim państwu - powtórzyła pani Heron łagodnie, ale stanowczo.

Argosy spojrział na Jonathana, który wzruszył ramionami i odwrócił dłonie do góry, by pokazać, że nie ma przy sobie pieniędzy.

- A za trzy szylingi powróży pani tylko mnie i pannie Brightly? - Argosy znowu uśmiechnął się ukradkiem do Cynthii.

- Oczywiście. - Pani Heron rozpromieniła się w uśmiechu. - Widzi pan, tyle kosztuje herbata. Nie mogę wróżyć za darmo - dodała, jakby chcąc się usprawiedliwić.

- Rozumiem - zgodził się zduszony Argosy.

Cynthia wątpiła, żeby kiedykolwiek zastanawiał się nad tym, ile coś kosztuje. Pewnie nawet nie znał ceny herbaty. Ale Cyganka była nie w ciemną bita. To, co sobie policzyła za wrózenie, nie miało nic wspólnego z ceną herbaty.

Marta przyniosła czajnik i zatrzymała się w świetle lampy, żeby Argosy i Jonathan mogli sobie na nią popatrzeć. Leonora Heron powiedziała coś po romsku, na co dziewczyna zrobiła obrażoną minę i wycofała się do kąta namiotu.

Leonora wsypała liście o ziemistym zapachu do dwóch płytkich, białych filiżanek i zalała je wrzątkiem. Cynthia patrzyła zahipnotyzowana, jak woda powoli zamienia się w ciemny herbaciany napar.

- Zanim herbata naciągnie, powrócę wam z rąk. Odwróć rękę, Gadji, o tak - zwróciła się do Jonathana, pokazując mu, jak ma ułożyć dłoń.

Jonathan wykrzywił się do siostry i wyciągnął rękę. Argosy z zapartym tchem nachylił się, żeby lepiej widzieć.

- Masz przed sobą długie życie - mruzczała Leonora obojętnym, lekko rozkojarzonym tonem. Przesuwała palec po jego dłoni. - Widzę złamane serce. Możliwe, że twoje, trudno powiedzieć...

- Ho, ho! - skomentował nerwowo Jonathan.

Pozostali też poruszyli się niespokojnie. Uważnie obejrzała jego mały palec.

- Będziesz miał dziesięcioro dzieci...

Jonathan wyrwał jej dłoń, zupełnie jakby mu w nią napluła.

Leonora Heron niewinnie otworzyła oczy. Cynthia podejrzewała, że kobieta trafnie oceniła charakter Jonathana i wiedząc, jak zareaguje na taką rewelację, wykorzystała okazję do łatwego zarobku.

- Mnie już wystarczy - oświadczył Jonathan.

Pani Heron wzruszyła ramionami.

- Teraz powrócę pannie Redmond.

Violet wyciągnęła rękę dostojnym gestem królowej, która pozdrawia wieśniaków. Leonora Heron przez dłuższą chwilę wpatrywała się w jej dłoń ze zmarszczonymi brwiami.

- Widzę daleką podróż przez ocean. - W jej głosie brzmiało zaskoczenie.

Violet przewróciła oczami.

- Tak, tak... daleko stąd... Jest też jakiś wysoki mężczyzna... ciemnowłosa...

- Lavay! - wykrzyknęła Marta ze swojego kąta.

Zapadła nagle, absolutna cisza. Wszyscy odwrócili się do dziewczyny, zszokowani.

- O co chodzi, bibi? - zapytała ostrym tonem jej matka.

Marta nie podeszła do nich.

- Słyszałam to słowo w głowie, mamó. W każdym razie myślałam, że je słyszę. - Sama była zaskoczona, głos miała drżący. - Po prostu usłyszałam. „Lavay”.

- Kto to jest Lavay? Ten wysoki brunet? - Na Violet niełatwo było zrobić wrażenie, ale teraz naprawdę się zaciekawiła. - Znacie kogoś, kto się tak nazywa? - To ostatnie pytanie skierowała do wszystkich zebranych.

Wzruszyli ramionami.

- Nie wiem. - Marta się zachmurzyła. - Lavay. Tylko tyle - umilkła.

Teraz Violet nerwowo wyrwała rękę pani Heron.

- Może powróży pani lordowi Argosy'emu - powiedziała.

Złożyła ręce i oparła je na kolanach, jakby nie chciała, żeby ktokolwiek jeszcze coś więcej w nich wyczytał. Pani Heron uspokajającym tonem odezwała się do Marty po romsku i dziewczyna znowu zaczęła szeleścić pakowanymi

rzeczami. Lord Argosy skwapliwie wyciągnął rękę. Cyganka ujęła ją, rozwarła jego palce i zaczęła się uważnie przyglądać.

- To twoja linia serca, Gadji... - Wskazała na linię, która dzieliła dłoń Argosy'ego prawie dokładnie na pół. - I widzę tu... - urwała, żeby się przyjrzeć dokładniej. - No, no, myślę, że za dwa miesiące czeka cię ślub.

Usilnie udawała zaskoczenie.

- Widzę... To jest... - Cmoknęła z namysłem. - Ależ tak. Jest dziewczyna. Widzę dziewczynę. Ciemnowłosa. Ma jasne oczy. I jest... urocza. Dosyć śmiała.

Podniosła wzrok na Argosy'ego.

- Ale musisz działać szybko, jeśli chcesz ją zdobyć. Niejeden jej przagnie.

Argosy wyglądał na zdenerwowanego. Odwrócił głowę i zmierzył Cynthię namiętnym spojrzeniem. Uśmiechnęła się uspokajająco. Miała ochotę wycałować tę Cyganke.

Argosy odwzajemnił uśmiech, już uspokojony.

- Widzi pani coś jeszcze? - zapytał, jako że początek okazał się taki obiecujący.

- Widzę wiele przyjemnych i podniecających chwil - oznajmiła, przesuwając palec wzdłuż innej linii.

Jego głos zamienił się w przymilny pomruk. Argosy rzucił Cynthii spojrzenie z ukosa. Lubiał takie dwuznaczności. Odchrząknął.

- Czy zechciałaby pani, pani Heron, powiedzieć coś więcej o tym, jakie to będą przyjemności...

- Kaczka! - wrzasnęła Marta.

- Co, co? - Leonora Heron zmarszczyła brwi i odwróciła się do córki.

- Kaczka jest... pusta. - Marta zawahała się, jakby zawstydzona tym, że wyrwało jej się coś tak absurdalnego.

Zapadła pełna zdumienia cisza.

- Cholera - mruknął Argosy. - Tak podejrzewałem.

- Argosy, co u licha? - zapytał gniewnie Jonathan.

Argosy tylko pokręcił głową, przenosząc spojrzenie na Cynthię, która teraz już zaczęła się naprawdę niepokoić.

Leonora odwróciła się do córki i wyrzuciła z siebie kilka słów po romsku. Na twarzy miała niepokój. Marta w swoim kącie wzruszyła ramionami; dało się zauważyć błysk białych zębów. Teraz już się nie wstydziła, raczej była zadowolona, że wszyscy zwracają na nią uwagę.

Ale posłusznie wróciła do pakowania. Z głośnym stukiem opuściła pokrywę kufra i hałaśliwie zamknęła go na zasuwkę.

- A ty, Gadji? - Pani Heron zachęcająco pokiwała do Cynthii.

Cynthia podała jej rękę, a kobieta ujęła ją w swoją dłoń i zaczęła po niej wodzić palcem. Trwało to niepokojąco długo. Potem podniosła na nią wzrok, w którym Cynthia wyczytała zaciekawienie, zdumienie i współczucie.

Natychmiast ogarnęła ją panika. W jej oczach pojawiło się nieme błaganie.

Leonora Heron zareagowała bez wahania.

- Widzę... - zaczęła pospiesznie. Urwała niepewnie, ale zaraz podjęła wróżbę. - Czeka cię wesele. Czy to twoje wesele, Gadji? Wydaje mi się, że tak. - Argosy poruszył się niespokojnie; znowu otarł się kolanem o nogę Cynthii, tym razem bardziej zdecydowanie. Jego kolano było zaskakująco kościste, czuła to nawet przez materiał swojej

sukni i jego spodni. - Nie widzę, czy pan młody ma włosy jasne, czy... no, ale to na pewno silny mężczyzna...

Argosy namiętnie spojrział Cynthii w oczy. Silny mężczyzna. W pamięci stanęły jej pewne dłonie. Pewne ramiona. Pewne ciemne oczy ukryte za szklami okularów. Więc uśmiechnęła się lekko do Argosy'ego. Na co on odpowiedział gorącym, zmysłowym uśmiechem.

- I widzę też...

- Krew! - krzyknęła Marta.

Wszyscy podskoczyli. Violet złapała się za serce. Cynthia wyrwała Leonorze dłoń, w jednej chwili zimną i spoconą. Parząca się herbata przelała się przez brzeg filiżanki i z bulgotem pociekła na podłogę.

Leonora sprytnie usiłowała zignorować zamieszanie.

- Och, patrz! - powiedziała pospiesznie do Argosy'ego. - Tu, w twojej filiżance, Gadji. Fusy utworzyły serce. - Wszyscy zajrzeli do środka, marszcząc brwi - resztki liści równie dobrze mogły być sercem jak cokolwiek innym - po czym Argosy odwrócił się i zmierzył Martę ostrym spojrzeniem.

Koniec końców, był przecież arystokratą. Oczekiwał wyjaśnień i spodziewał się je uzyskać.

Teraz już Cynthia naprawdę wpadła w panikę. Ta dziewczyna rzeczywiście miała jakiś przerażający dar fragmentarycznych, nieskładnych wizji. Marta Heron była jak chodzący chaos. „Jeszcze nie jesteś gotowa wróżyć” - istotnie. Za to gotowa była wykrzykiwać jakieś słowa bez związku, przez które przyszłość Cynthii mogła lec w gruzach.

Młoda Cyganka osunęła się dramatycznie na ziemię i zaczęła się kiwać z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Och! Pistolety! Strzelają! On pada! Krew! Ile krwi! A to wszystko przez... - Zwróciła oskarżycielskie spojrzenie na Cynthię, a za jej wzrokiem podążyli wszyscy inni. - Ona jest...

Marta urwała. Dłuższą chwilę przyglądała się Cynthii ciekawie. Żołądek Cynthii był wzburzony jak morze podczas sztormu. Cisza w namiocie stała się wręcz namacalna. Argosy wyraźnie wstrzymywał oddech.

- Wielkie nieba - powiedziała w końcu Marta z podziwem, jakby do tej pory obejrzała w głowie całą historię życia Cynthii. - Ale z ciebie szelma, Gadji.

Trudno się dziwić, że podróż powrotna do rezydencji Redmondów nie należała do przyjemnych. Każdy z pasażerów powozu zachowywał się, jakby prowadził bardzo jednostronną rozmowę. Z samym sobą.

- Dziesięcioro dzieci! - mruczał wzburzony Jonathan. - I złamię komuś serce. Phi!

- Co to może znaczyć „Lavay”? - powiedziała w przestrzeń Violet, nie zwracając się do nikogo konkretnie. - Kto to, u licha, jest Lavay? Albo co to jest Lavay?

- Wiedziała, że kaczka jest pusta - dumiał Argosy.

Jego kolano było wyjątkowo niezdecydowane. To ocierało się o nogę Cynthii, to znów się cofało, to wracało, żeby jej dotknąć. W każdym razie nabrał do niej większego dystansu i był bardzo zamyślony.

- Powiedziała mi, że wyjdę prędko za mąż! - odezwała się Cynthia ze sztuczną pogodą w głosie, rozpaczliwie próbując zaangażować pozostałych w rozmowę na swój temat. - Pani Heron. I była wtedy przy zdrowych zmysłach. Nie tak jak jej córka.

- Nie miałabym nic przeciwko dalekiej podróży - zamyśliła się Violet. - Ale ciekawe, kto to jest Lavay?

Argosy odwrócił się do Cynthii.

- Jak pani myśli, czemu nazwała panią szelmą? I o co chodziło z tą krwią i...

- Może miała wizję tego wypadku z posągiem *Dawida* - zasugerował Jonathan. - Cynthia odstrzeliła mu co nieco w delikatnym miejscu.

Cynthia rzuciła mu wdzięczne spojrzenie. Co za doskonała teoria. Kompletnie nietrafiona, ale niemniej doskonała.

- I myślała, że chodzi o postrzelonego mężczyznę? - powątpiewał Argosy. - Ale mówiła coś o krwi. Posągi nie krwawią.

Jonathan opadł z powrotem na siedzenie.

- Dziesięcioro dzieci.

I tak to wyglądało przez całą drogę do domu.

Kiedy wreszcie dojechali, wszyscy wysypali się z powozu i rozeszli do swoich pokojów, może po to, żeby ochłonąć po tej niezwykłej wizycie. Cynthia wspinała się na schody z nadzieją, że na toaletce znajdzie ratunek w postaci listu od nieprzyjemnej staruszki z Northumberland.

Ale blat toaletki świecił pustkami.

Za to kot Pająk oszalał z radości na jej widok. Więc pobawiła się z nim przez godzinkę czy dwie, odsuwając od siebie strach, zanim wreszcie odważyła się zejść na dół. Liczyła na to, że spotka Milesa i jednocześnie miała nadzieję, że go nie spotka. Oczywiście, pierwszą osobą, którą zobaczyła po zejściu na dół, był Miles.

Popołudnie zrobiło się tak parne, że nie było sensu wychodzić na dwór, toteż goście zostali pod dachem, podzieleni na mniejsze grupki. Goodkind siedział w swoim pokoju, gdzie podobno pracował nad książką o

odpowiednim zachowaniu. Niewątpliwie podczas tej wizyty wiele się dowie na temat walorów grzechu.

Cynthia rozejrzała się po salonie. Argosy i Jonathan siedzieli rozparci w fotelach, wyciągając przed siebie nogi, a naprzeciwko nich lady Georgina i Violet pilnie coś haftowały. Lady Windermere i lady Middlebough grały w tryktraka przy stoliku. Milthorpe jako jedyny nie zraził się upałem i pojechał w odwiedziny do znajomego hodowcy psów z sąsiedztwa.

Cynthia zastanawiała się, czy przywiezie dla niej szczeniaka, czy też może stwierdził, że na żonę dla niego nadaje się tylko taka kobieta, która jest w stanie trafić w jabłko nawet wtedy, gdy spaniel wetknie nos w jej tyłek.

Obok drzwi, blisko niej, przy małym biurczku z widokiem na piękne, gęsto pokryte liśćmi drzewo siedział Miles pochylony nad korespondencją. Przydługie włosy dotykały mu kołnierzyka; odgarnął je z czoła na bok. Lśniły na tle jego jasnej cery. Naszła ją ochota, żeby ich dotknąć; wiedziała już, jakie są miękkie. Pióro ze skrzypieniem przesuwano się po arkuszach papieru.

Szybkim ruchem podniósł głowę znad listu. Pewnie wyczuł jej obecność. Zapatrzył się na jej twarz. I powoli odwrócił głowę. Jego dłonie znieruchomiały. Pióro, które przedtem poruszało się w jego ręku jak żywa istota, teraz wydawało się nienaturalnie beczynne.

- Dzień dobry, panno Brightly - powiedział ostrożnie. Wciąż nie patrząc na nią.

- Dzień dobry, panie Redmond.

Słowa najbardziej niewinne z możliwych. Bo jakimi słowami powinna się teraz do niego zwracać? Po tym, jak ocierała się pierściami o jego tors, jak chciwie oplatała jego język swoim?

Ledwo widoczny niewesoły uśmiech uniósł w górę jeden z kącików jego warg, na co i ona nieznacznie się uśmiechnęła, bo jak zwykle odgadł, o czym teraz myśli.

- Odpisuje pan na listy? - Co za idiotyczne pytanie.

Równie dobrze mogła powiedzieć: „Oddycha pan?”

- Tak. Mam się dziś wieczorem spotkać z jednym z członków Królewskiego Towarzystwa Nauk, którego chcę przekonać, żeby wziął udział w mojej wyprawie. To genialny naukowiec. Sąsiad z Sussex. Szczerze liczę na to, że ze mną pojedzie. Właśnie piszę do niego, by potwierdzić swoją wizytę.

Zastanowiła się.

- Chce pan tam wrócić? Do Lacao?

Odchylił się na oparcie fotela. I odetchnął głębiej.

- Och, nie ma pani pojęcia, jak bardzo. Tam jest jeszcze tyle do zobaczenia. To coś wspaniałego. Poprzednim razem ledwie prześlizgnąłem się po powierzchni. Mógłbym tam spędzić całe życie na badaniach. Gdyby tylko mogła pani zobaczyć, jak... - urwał, nie mogąc znaleźć słów i tylko gestem rozłożonych rąk próbował w powietrzu nakreślić ten ogrom, tę wspaniałość.

- Chciałabym to zobaczyć - powiedziała z zapalem.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Naprawdę chciałaby pani znaleźć się w miejscu, gdzie rośliny jedzą mięso?

Uśmiechnęła się.

- Mój Boże, ależ tak. Nigdy nie wyjeżdżałam z Anglii. A to, co pan opowiada, brzmi tak cudownie i jest takie... inne. Niesamowicie ekscytujące. Chciałabym poznać jakiś zupełnie inny świat.

Patrzył na nią tak, jakby jej usta były ósmym cudem świata. I sam zaczął się lekko uśmiechać. Wiedział, że każde z jej słów było szczerą prawdą. Nieobce jej były mocne wrażenia, niewygody i pasja odkrywania, wszystko to bardzo lubiła. Może z wyjątkiem niewygód.

Powiedz to, pomyślała gwałtownie, rozpaczliwie, irracjonalnie. Powiedz, że kiedyś pojedę do Lacao. Z tobą. Powiedz to, Miles.

Spojrzała na jego mocno zbudowaną szyję, na jedwabiste ciemne włosy opadające na kark. Nagle zafascynowały ją płatki jego uszu. Miała ochotę dotknąć językiem miejsca tuż pod nimi, gdzie pewnie mogłaby wyczuć puls. Uświadomiła sobie, że takie ukryte, niewidoczne miejsca musiały się znajdować wszędzie na jego ciele: zakamarki i zgięcia, delikatność i siła, które można było odkrywać, tak jak on odkrywał krainę Lacao.

Dlaczego ten człowiek ma zamiar poślubić kogoś takiego jak lady Georgina?

- Kiedy pan planuje wyjazd? - zapytała cicho.

Zastanowił się.

- Muszę jeszcze zebrać fundusze, a potem będę mógł w spokoju dokończyć plany. Mam nadzieję, że uda się wyruszyć w ciągu roku.

- Czy to Klub Merkuriusza sfinansuje wyprawę? A może pana ojciec?

Zaskoczony podniósł oczy.

- Skąd pani zna Klub Merk... Ach.

Oczywiście, że znała. Przynależność do Klubu Merkuriusza oznaczała, że mężczyzna miał pieniądze. A to było coś, co Cynthię żywo interesowało. Wzruszyła ramionami. Nie było sensu zaprzeczać.

- Mój ojciec... cóż, ojciec nie zamierza wyłożyć ani grosza na moją wyprawę. Uparcie nie chce pojąć, czemu to robię, więc nie przedstawi ekspedycji inwestorom z Klubu. Ale ojciec lady Georginy jest zapalonym przyrodnikiem amatorem. A jeśli wstąpi do Klubu Merkuriusza...

Powiedział to z lekkim wahaniem i z pewną ostrożnością, która u Cynthii wywołała niepokojące mrowienie karku. W ułamek sekundy później prawda dotarła do niej z osłepiającą do bólu jasnością.

- Ojciec lady Georginy sfinansuje pana ekspedycję, jeśli będzie pan członkiem jego rodziny.

Milczenie Milesa wystarczyło jej za odpowiedź. Próbował spojrzeć jej w oczy. Miał dziwne, nieodgadnione spojrzenie i zaciśniętą szczękę. Wreszcie odwrócił wzrok i na chwilę opuścił głowę. Potem wyrzwał za okno.

Cynthia czuła się tak, jakby straciła grunt pod nogami. Kręciło jej się w głowie. Przez chwilę nie była w stanie nic powiedzieć, bo dojmujący, wszechogarniający ból zatykał jej usta. Wzięła głęboki oddech.

- Muszę się czegoś dowiedzieć na temat Goodkinda. - Pewniej się poczuła, słysząc swój opanowany głos, choć mówiła bardzo cicho.

W końcu oboje mieli do osiągnięcia jakiś cel. Nieważne, czego pragnęły ich ciała.

Miles wpatrywał się w gęste listowie za oknem. Na jego ustach pojawił się nieprzyjemny uśmieszek. Kiedy znów na nią spojrzwał, odpowiedział cichym, bezbarwnym głosem, z nutką rozdrażnienia.

- Nie ufa pani własnemu, że tak powiem, wdziękowi, panno Brightly? Przecież kokietuje pani już dwóch dżentelmenów? Czy to nie powinno wystarczyć każdej kobiecie?

Cóż to jest dwóch dżentelmenów do kokietowania? Miała ochotę tak mu odpowiedzieć, ale uznała, że nie warto wyprowadzać go z równowagi tylko dlatego, że sama była rozdrażniona.

- To dla mnie bardzo ważne.

I było. Czowała się już tak pewnie, czuła, że robi postępy, ale Argosy się wystraszył przez tę przeklętą Cyganicę. Milthorpe'a rozczarowała, bo nie radziła sobie ze strzelbą, a z Northumberland w dalszym ciągu nie było żadnych wiadomości...

Miles spojrzął na nią uważnie, ale nic nie wyczytał z jej twarzy.

Zerknął w stronę lady Georginy, pochylonej nad tamborkiem do wyszywania, może po to, żeby sobie przypomnieć własne pasje i cele. A może chciał tylko uspokoić myśli, tak samo jak patrzenie na łagodny krajobraz uspokaja duszę.

Cynthia zdawała sobie sprawę, że przy niej Miles raczej nie zaznaje spokoju.

Wreszcie roześmiał się niewesoło.

- A co pani o nim wie?

- Wiem to, co pan mi powiedział i o czym on sam ze mną rozmawiał. Był żołnierzem, a teraz czuje, że ma misję od Boga. Pisze książkę na temat właściwego zachowania dla młodych mężczyzn i kobiet.

- Doprawdy? - Milesowi zaświeciły się oczy, a rozbawiony uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Czyżby czytał pani wczoraj fragmenty swojego dzieła, kiedy go pani przepraszała? Z nadzieją, że panią nawróci?

A niech go szlag, jego wesołość była zaraźliwa.

- Pamięta pan, co mi pan opowiadał o pajęczynach, kiedy Milthorpe jedną zniszczył? Ze pająk tak potrafi

odbudować podartą sieć, by była mocniejsza niż poprzednio?

W oczach znowu błysnął mu uśmiech.

- Pamiętam każde wypowiedziane przez siebie słowo, panno Brightly, i pochlebia mi, że mnie pani słuchała. Ale bardzo jestem ciekaw, jak to się ma do Goodkinda i jego książki.

- Powiedziałam mu, że wystawianie się na pokusy wzmacnia duszę, bo więcej wewnętrznej siły potrzeba, żeby przemóc skłonność do złego i stać się dobrym, niż tylko pozostać dobrym, nigdy nie odczuwając pokusy. A więc oddanie się grzechowi ostatecznie tylko umacnia duszę.

Wpatrywał się w nią oniemiały.

- Mój Boże, co za szatańska logika.

- Dziękuję.

- Czy to dlatego zalał się wczoraj brandy? - Miles był szczerze rozbawiony i zaintrygowany.

Rozkoszowała się jego podziwem.

- Myślę, że faktycznie mogę sobie przypisać tę zasługę. Poza tym, trochę się nudził.

- To ciekawe. - Miles w zamyśleniu postukał piórem o blat; piórka na końcu zadrżały od uderzenia. Dotychczas nie widziała u niego żadnych nerwowych gestów; bardzo ją to zainteresowało. - Byłaby pani nie najgorszym przyrodnikiem, panno Brightly, gdyby kiedyś przyszła pani na to ochota. I pomyśleć, że Goodkind na co dzień jest takim osłem.

- Być może „osioł” to trochę za mocne określenie, nie sądzi pan? Potrafi być ujmujący. Każdy mężczyzna to potrafi, jeśli da mu się pole do popisu.

Na to Miles oniemiał. Zapatrzył się na nią z niedowierzaniem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i zaraz je zamknął. A potem odłożył pióro z taką siłą, że niemal uderzył ręką w blat. Wzdrygnęła się.

Kiedy się odezwał, mówił cicho, szybko i ze wzburzeniem.

- Nie, Cynthio. Milthorpe to chełpliwy prowincjusz, Goodkind to napuszony osioł, a Argosy to niezdecydowany, arogancki dzieciuch. Żaden z nich tak naprawdę nie jest ujmujący. To pani, pani sprawia, że tacy się stają. Opowiadała pani Goodkindowi o pajęczynach? To ja pani opowiem o reakcjach chemicznych.

Kompletnie ją zaskoczył.

- Przepraszam, ale ja...

- Pani jest tym... tym... składnikiem, który wywołuje iskrzenie. Pani ich przemienia, Cynthio. Swoimi... staraniami. Słucha ich pani, uśmiecha się, schlebia, rozmawia. Poza tym ci wszyscy mężczyźni są dokładnie tacy, jak ich przed chwilą opisałem.

Te końcowe słowa wymówił z jakąś dziką gwałtownością. Jakby nosił je w sobie już od dłuższego czasu.

Cynthia poczuła, że robi jej się gorąco. Zerknęła w stronę, gdzie siedzieli Violet, Argosy - „arogancki dzieciuch” - i Jonathan z Georginą. Na szczęście nikt nie patrzył w ich kierunku.

- Czy mi się wydaje, czy też ostatnio wspominała pani, że czuje się zmęczona? - Głos Milesa wciąż brzmiał natarczywie.

Cynthia odrzuciła głowę w tył, zupełnie jakby ją uderzył. Bo „ostatnio” znaczyło ubiegłej nocy. Wczoraj w nocy, w ciemnościach, przy świetle kominka, płynnym

ruchem ułożył swoje długie, ciepłe ciało obok niej, wziął ją pólnagą w ramiona i wyciskał na jej ustach gorączkowe pocałunki, jego duże dłonie objęły jej piersi, a potem jego usta zamknęły się wokół...

Nie miał prawa jej o tym przypominać. Nie miał prawa.

- Bogata - poprawiła go chłodnym tonem. - Będę się czuć bogata.

Z wolna odwrócił głowę do okna. Liście w kształcie leżek wypełniały prawie cały widok.

- Niemożliwe, żeby byli aż tak okropni - szeptała sama do siebie z rozpaczą w głosie. - Niemożliwe. - Musiała uwierzyć, że to nieprawda. Chciała go o tym przekonać. Chciała, żeby się z nią zgodził.

Nie zrobił tego. Nadal milczał.

- No dobrze - powiedział w końcu obojętnym tonem. - Oto co mi wiadomo na temat Goodkinda. Wiem, że jest bogaty, pobożny i pompatyczny. I łatwo nim manipulować - dorzucił kwaśno. - Jest wdowcem z dwójką dzieci. Ma już spadkobiercę, ale nie miałby chyba nic przeciwko kolejnemu potomkowi. Był dobrym żołnierzem. Ma słabą głowę do alkoholu, z tego co słyszałem. Ale... - Zawahał się nieoczekiwanie. - Czy mam zakładać, że jest pani zainteresowana słabostkami, które mogłaby pani... jakby to powiedzieć... wykorzystać?

- Zrobić z nich użytek - poprawiła sztywno. - To brzmi znacznie lepiej.

- Jak pani woli. - Podniósł pióro i zaczął je delikatnie gładzić palcami, jakby przeprasząc za to, że wcześniej cisnął nim o stół. - W ogóle nie chciałem o tym wspominać... jako że to może panią do niego całkiem zniechęcić. A rozumiem, że zależy pani na szerokim

wachlarzu możliwości. - Kolejna kąśliwa uwaga. - Jest to coś, o czym wie bardzo niewielu ludzi. Być może tylko ja i... jeszcze jedna albo dwie inne osoby.

Zabrzmiało niepokojąco.

- Czy on jest... zdeprawowany? - To był co prawda bardzo ogólny domysł, ale w przypadku Goodkinda wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne.

- Wszystko zależy od tego, jak pani rozumie to słowo.

Coraz gorzej.

- Lepiej niech już pan po prostu powie, o co chodzi.

- Powiedzmy, że wiem z pewnego źródła, od... jakby to rzec... jednej znajomej, która pracuje w miejscu o wątpliwej reputacji... że pan Goodkind...

Urwał.

- Proszę mówić - syknęła.

- ...lubi od czasu do czasu ubierać się w damskie fatalaszki. Podobno go to podnieca.

Cynthia osłupiała.

- Mnie też podniecają damskie ubrania - wyznał radośnie Miles. - Ale nie lubię się w nie przebierać. Za to uwielbiam zdejmować je z kobiet. Jedno... po... drugim.

Obserwował ją uważnie. Cynthia zdawała sobie sprawę, że musi mieć wiśniowe wypieki na policzkach, bo żar czuła aż na powiekach. Ukradkiem wymacała puls na nadgarstku i przekonała się, że bije jak oszalały. Obawa z powodu Goodkinda i nagły przyływ pożądania sprawiły, że w jej brzuchu szalał istny chaos.

Wciągnęła powietrze.

- Ale on... chyba nie... nie robi tego przy ludziach? - wyjąkała, zastanawiając się, czy nie powinna udawać bardziej światowej, niż była. I szukać dobrych stron tej sytuacji.

- Oczywiście, że nie. Tylko prywatnie. I nie cały czas.
- Brzmiało to zupełnie, jakby ją pocieszał. - Tylko gdy przyjdzie mu ochota.

Zapadła cisza.

A Cynthia... cóż, Cynthię dręczyła ciekawość.

- A jakie konkretnie damskie ubrania? - Błagam, tylko nie pantofelki i wieczorowe suknie.

- Och, pończochy. Podwiązki. Rękawiczki, jeśli się uda. Kiedyś nawet kapelusz. Tak mi mówiono - odpowiedział rzeczowo.

Miles Redmond widział w życiu wiele dziwnych rzeczy, rośliny, które jadły mięso, i ludzi, którzy jedli ludzi; widocznie to nie było aż tak niezwykle dla niego.

Spróbowała to sobie wyobrazić.

- O... mój... Boże. - Tyle tylko była w stanie powiedzieć.

Nie mogła się zdecydować, czy jest zgorszona, czy nie. Podwiązki. Rękawiczki. Kapelusze. Wszystkie te rzeczy same w sobie wydawały się nic nieznaczące i niewinne. Ale Goodkind ubrany w to wszystko? W dodatku w... intymnych sytuacjach? Tak intymnych jak... wczoraj w nocy?

- Czy to go w pani oczach dyskwalifikuje, Cynthio? - zapytał Miles z ciekawością.

Boże dopomóż. W tej chwili nie mogła sobie pozwolić na to, żeby kogoś zdyskwalifikować. No i przecież... same w sobie... te wszystkie rękawiczki, podwiązki, kapelusiki...

- Cóż, powiedział pan, że nie robi tego ciągle, prawda? - Próbowała przekonać samą siebie. - Na pewno doceni wyrozumiałą żonę. Która będzie miała bogatą garderobę - dorzuciła desperacko. Ale stanowczo.

Miles przyglądał jej się dłuższą chwilę, a w jego oczach błysnęło niedowierzenie. Wytrzymała jego spojrzenie i nie pokazała po sobie wstydu. Miles nigdy nie będzie wiedział, jak to jest być na jej miejscu. On, który mógł użyć pieniędzy swojego przyszłego teścia, żeby popłynąć do krainy egzotycznych czarów i niebezpieczeństw, bo taki miał kaprys.

Nie musiał każdego dnia walczyć o przeżycie, tak jak ona. Nie urodził się na granicy bankructwa.

Opuścił głowę i patrzył na swój arkusz papieru. Na to znieruchomieiałe pióro.

Mogła tylko żałować, że zapytała o słabostki Goodkinda. Chociaż z drugiej strony, wcześniej ostrzeżony, wcześniej uzbrojony. Może już teraz będzie w stanie jakoś okazać Goodkindowi zrozumienie.

Miles podniósł wzrok.

- Jak tam kot Pająk?

To był jej ulubiony temat.

- Dziki. Nieustraszony. Przymilny. W nocy kładzie mi się na głowie.

Uśmiechnął się, ale uśmiech nie sięgnął oczu. Były teraz rozkojarzone, zniknęły z nich skupienie i ciepło. Skierował spojrzenie gdzieś w bok.

- Nie ma już pani podkrążonych oczu. Lepiej pani sypia?

Z zaskoczenia zapało jej dech. Mimowolnie dotknęła palcami powiek. Oczywiście, musiał zauważyć, że jest niewyspana. Odwróciła się na moment. Czy to dlatego podarował jej kotka?

- Ja... - zająknęła się. Zupełnie nie była przyzwyczajona do tego, że ktoś się o nią troszczy i nie wiedziała, jak się zachować. Jej równowaga została

zachwiana. - A pan... dobrze spał... wczoraj? - spytała niepewnie.

Wcale nie chciała się przejmować. Niczym, co on powiedział albo zrobił. Ale przejmowała się jego najdrobniejszym gestem. Każdym jego słowem i oddechem. Znowu na chwilę odwrócił wzrok, a kiedy znów na nią popatrzył, jego twarz była maską obojętności.

- Nie - powiedział w końcu.

I spojrział jej spokojnie w oczy. Nie było w tym słowie ani oskarżenia, ani ciepła. Ale wypowiedział je w taki sposób, jakby ona wiedziała, co ma z nim zrobić, jakby wiedziała, jak je rozumieć.

Tylko że ona nie wiedziała.

„Może być jeszcze lepiej”, powiedział wczoraj w nocy. A ona go tego pozbawiła.

- Ja... Bardzo mi przykro. - Nie wiedziała, czemu to mówi.

Było jej przykro głównie dlatego, że nie rozumiała jego dziwnego nastroju. I dlatego, że oboje najwyraźniej cierpieli, chociaż nie bardzo wiadomo, z jakiego powodu.

Pobiegła wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem. Nie kierowało się wcale w stronę lady Georginy. Tylko w stronę lady Middlebough. Której wzrok powoli odwracał się od niego jak w tańcu: z ukosa, subtelnie. Wymownie. Wyraz twarzy przystojnej brunetki ani trochę się nie zmienił. A lady Windermere, jej partnerka do gry w tryktraka, nawet się nie zorientowała.

Ta wymiana spojrzeń była tak nieuchwytna. Tak szybka i dyskretna. Z łatwością można ją było przegapić. Ale teraz Cynthia przypominała sobie wszystkie wypowiedane pod nosem komentarze lady Middlebough. Nieobecność jej męża, który miał się zjawić za dzień czy

dwa. Te jej wczorajsze niedwuznaczne, niedorzeczne wskazówki, jak trafić do jej sypialni.

Serce Cynthii, które stopniało przed chwilą w promieniach troski Milesa, na powrót zmieniło się w bryłę lodu.

Minęła chwila ciszy. Miles spojrzął jej w oczy - wiedziała, że ma na twarzy wypieki - po czym niedbałym ruchem wskazał na swój papier i pióro. Wymownie unosząc brwi. I nie mówiąc ani słowa.

Cynthia zrozumiała, że w ten uprzejmy sposób daje jej do zrozumienia, że jest zajęty. Uśmiechnęła się zdawkowo i niedbale dygnęła.

Podeszła do Georginy i Violet, które siedziały naprzeciwko siebie, całkowicie pochłonięte spokojnym, typowo kobiecym zajęciem - haftem. Wbijanie igły w tkaninę wydało się naraz Cynthii bardzo kojącą czynnością. Tworzenie czegoś pięknego za pomocą małych, starannie zaplanowanych ściegów na pewno pomoże jej się uspokoić. To całkiem jak praca pająka. Snucie sieci dzień po dniu, wciąż na nowo.

Młodzież powitała ją z uśmiechem. Argosy nawet wstał i się uklonił. Usiadła obok niego, co sprawiło, że aż się rozpromienił. Ten jego promienny uśmiech dodał jej nieco otuchy. Przeciągnął się zalotnie. Ten rodzaj męskiej kokieterii Cynthia знаła i rozumiała. To też podniosło ją na duchu. Wypuściła powietrze. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że do tej pory wstrzymywała oddech.

- Ona była jakaś pomyłona - odezwał się ponuro Jonathan. - Dziesięcioro dzieci! Co za...!

Ach. Więc nadal rozmawiają o Cyganach. A Jonathan nadal się wścieka.

- Pomyłona, tak. - Cynthia z ulgą uchwyciła się tej teorii. - Sama trochę się jej przestraszyłam.

- A ja nadal nie rozumiem, o co jej chodziło z tymi pistoletami i krwią. - Argosy nie dał sobie niczego wmówić. - Nazwała panią szelmą. Wcale mi się to nie podobało.

Cynthia na te słowa trochę się zmartwiła. Ale zerknęła na jego twarz: miał bardzo bojową, męską minę. Przypomniała sobie, że Argosy ma pięć siostr i uznała, że po prostu poczuł się urażony w jej imieniu.

Uśmiechnęła się, a on odpowiedział jej tym samym. Ale nadal nie miała pewności, czy niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

- Trzeba do niej podejść wyrozumiale, jeżeli rzeczywiście jest chora na umyśle - powiedziała łagodnie, w myślach przepraszając obdarzoną prawdziwym talentem, choć nieznośną cygańską dziewczynę. - To musi być dla niej okropne.

- Tak, coś okropnego! - wtrąciła się Georgina, chociaż jej tam przecież z nimi nie było. - Wykrzykiwać coś bez sensu i nie móc się powstrzymać!

- Ja tam myślę, że to rozpuszczona dziewczucha, która lubi zwracać na siebie uwagę. - Taka była opinia Violet.

- A ty coś o tym wiesz - dogryzł jej Jonathan.

Violet wykrzywiła się do niego, ale zaraz przestała, żeby nie nabawić się zmarszczek. Spróbowała za to wymierzyć mu kopniaka. Jonathan jednak zwinnie się odsunął.

- Ale wiedziała o kaczce. - Argosy nie dawał za wygraną.

Usiadł sztywno, jakby jeszcze raz przeżywał w pamięci cały ten epizod. Cynthia zauważyła, że poświęca

tej sprawie niepokojąco dużo uwagi. A ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, było to, żeby zaczął prowadzić dociekania na jej temat.

Zastanawiała się, jak dużo wie o niej Jonathan. Wymienili spojrzenia. Było w nim coś uspokajającego. Z jakiegoś powodu Jonathan ją lubił, a poza tym przypominał trochę brata. Jego pierwszym odruchem - no dobrze, drugim z kolei odruchem, tuż po szukaniu okazji do zabawy - było chronić słabszych.

- Nadal uważam, że to zbieg okoliczności - oświadczyła Cynthia.

Taką strategię postanowiła przyjąć. Podkreśliła swoje zdanie ujmującym uśmiechem.

- A pusta kaczka? - dociekał Argosy.

Pozostali zrobili zdziwione miny, lecz Argosy spojrzał na Cynthię znacząco. Widocznie tylko jej zwierzył się z sekretu. Poczula się wyróżniona.

- Może po prostu potrafi wyczytać, o czym ktoś w danej chwili myśli. Gdzieś słyszałam o takiej umiejętności.

- Ach tak! - Otworzył szeroko oczy i ze znanstwem pokiwał głową. - Ja też o tym słyszałem. Możliwe, że ma pani rację, panno Brightly.

Znów obdarowała go uśmiechem.

- Ciekawe, jak to jest tak podróżować - zastanawiała się głośno Violet. W jej słowach zabrzmiała nuta rozmarzenia. - Cyganie są ciągle w drodze. Zwiedzają różne miejsca. Poznają nowych ludzi. Powiedziała mi, że czeka mnie zamorska podróż. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby wyjechać gdzieś daleko.

- Cyganie śpią w namiotach - uświadomił ją brat. - A w takim namiocie może być brudno. I jedzą, siedząc na ziemi wokół ogniska.

- Jak na pikniku - stwierdziła radośnie lady Georgina.

- Bynajmniej - rzucił lakonicznie Argosy.

Georgina się zawstydzila.

- Ale za to ci cygańscy chłopcy... - wtrąciła Cynthia. -
Te ich zielone oczy... - Zerknęła z ukosa na Violet.

Argosy spochmurniał. Cóż, odrobina zazdrości wyjdzie mu na zdrowie, uznała Cynthia. Jonathan spojrział na nią szeroko rozwartymi oczami. Pokręcił lekko głową, jakby chciał powiedzieć: „Nie zachęcaj jej”.

Za późno.

- Czemu nie miałby mi się podobać jakiś Cygan? -
zachnęła się Violet. - Miles, gdy był w tropikach, poznał
niejedną dzikus... - urwała, przypominając sobie o
obecności Georginy.

Cynthia obejrzała się na mężczyznę, który ponoć
poznał niejedną dzikuskę. Całkiem darował sobie pisanie.
Siedział nieruchomo, wyglądając przez okno. Czym
prędzej odwróciła się z powrotem.

Jonathan i Argosy zaczęli rozmawiać o woltyżerce i
już po chwili pół żartem, pół serio kłócili się, który z nich
lepiej by sobie radził z końskimi akrobacjami, biorąc pod
uwagę obecne umiejętności jeździeckie.

- Cyganie wyjeżdżają już jutro - szepnęła Cynthia do
ucha Violet. - I ten chłopak też. Cóż ja bym dała za to, żeby
móc pojechać z nimi! Chociaż na trochę.

Kątem oka zauważyła, że Miles odkłada pióro, wstaje
i podchodzi do drzwi, a lady Middlebough w tym samym
momencie leniwie wstaje od gry w tryktraka. Ich kroki
przecięły się pośrodku salonu. Zatrzymali się, wymieniając
kilka ledwo dosłyszalnych zdań, z pozoru obojętnych i
znudzonych.

Ale Cynthia je dosłyszała, bo rozpaczliwie chciała wiedzieć, a słuch miała bardzo dobry. Między innymi: „jutro” i „o północy”, a także „Mam przynieść zdechłą muchę?” i wreszcie „Sama trafię”.

To ostatnie zdanie lady Middlebough podkreśliła cichym śmiechem. Po kilku sekundach rozeszli się, każde w swoją stronę, jak gdyby nigdy nic.

Na następny ranek nie zaplanowano nic szczególnego, ale wieczorem wszyscy się umówili, że przejdą się po ogrodzie, a ogrodnik opowie im o rosnących w oranżerii roślinach, z których niestety żadna, ku ogólnemu rozczarowaniu, nie żywiła się mięsem. Cynthia właśnie dopięła spacerową suknię i wsuwała stopy w pantofle, żeby zejść na śniadanie, kiedy ktoś załomotał do drzwi. Kotek błyskawicznie zniknął pod łóżkiem.

- Pan Miles Redmond chce natychmiast z panią porozmawiać, panno Brightly - powiedziała pokojówka, kiedy Cynthia otworzyła drzwi. - Czeka na panią w bibliotece. Mówił, że pani będzie wiedziała, gdzie to jest.

Pewnie, że wiedziała, gdzie jest biblioteka. Palila tam cygaro - no, prawie - i wiała się w jego ramionach. A dziś w nocy on będzie się wił w ramionach lady Middlebough. Na trzecim piętrze, za czwartymi drzwiami od lewej.

O ile dobrze zrozumiała ich rozmowę. Poczula, jak sztywnieje jej kręgosłup. Ogarnęły ją zimna furia i bunt, nie miała ochoty stawić się na to wezwanie. Ale sądząc po twarzy pokojówki, Miles nie był w pogodnym usposobieniu, kiedy ją wysłał po Cynthię. Powiedziała przecież „natychmiast”.

Więc Cynthia poszła.

W bibliotece nadal pachniało cygarem, stwierdziła, pociągając nosem. Miles, który stał bez ruchu pośrodku pokoju, odwrócił się, kiedy weszła. Nawet się nie przywitał.

- Violet zniknęła.

Coś było zdecydowanie nie tak. Jego głos brzmiał... zbyt spokojnie. Delikatne włoski na karku Cynthii uniosły się ostrzegawczo. Gdyby była polnym gryzoniem, już szukałaby schronienia przed nadciągającą burzą. Miles był dziwnie blady na twarzy. Pewnie późno wrócił ze spotkania z sąsiadem przyrodnikiem, ale ta bladość nie wynikała z niewyspania.

- Violet zniknęła? - powtórzyła jak papuga. Zaczynała podejrzewać coś nieprzyjemnego. - Jak to zni...

- Nie ma jej, panno Brightly - mówił dalej tym spokojnym, zbyt spokojnym głosem. - Od kolacji nikt jej nie widział.

Spojrzała na niego ze skupieniem.

- A szukaliście...

- Ja i mój brat Jonathan popytaliśmy dyskretnie kogo trzeba i wiemy, że nie ma jej nigdzie w domu ani w ogrodzie. Szukaliśmy. Zniknęła.

No cóż. A więc Violet to zrobiła. Uciekła z Cyganami. Jest naprawdę szalona, pomyślała Cynthia na poły ze zgrozą, na poły z podziwem. Pomimo lęku, jaki budził w niej zbliżający się coraz bardziej potężny mężczyzna. Bo właśnie się do niej zbliżał.

Walczyła z chęcią ucieczki, widząc, jak bardzo jest rozgniewany.

- Zastanawiałem się, czy może mi pani coś powiedzieć na temat tego, dokąd Violet się wybrała? - zapytał gniewnie.

Cynthię ścisnęło w gardle. Płuca przestały działać. Wreszcie bez tchu zdołała coś z siebie wydusić.

- Wydaje mi się, że mogła pojechać do obozowiska Cyganów... Tam był taki chłopak...

Miles miał w oczach śmierć - i właśnie skutecznie pozbawił życia resztę tego zdania.

- A dlaczego - warknął tonem, który byłby w stanie przemóc nawet najbardziej niezłomnego ducha - sądzi pani, że pojechała do obozu Cyganów?

- Bo my... Bo ja chyba coś wspomniałam o tym, że Cyganie dużo podróżują... a ona mówiła, że chciałaby gdzieś wyjechać... że coś ją tak gna i jeszcze... tamten chłopak... Ja naprawdę nie wiedziałam, że ona...

- Nie wiedziała pani?! - W końcu podniósł głos. Roześmiał się krótkim, nieprzyjemnym, pełnym niedowierzania śmiechem. - Nawet na sekundę nie uwierzę, że pani nie miała pojęcia, jak to się może skończyć. Violet najpierw działa, a potem myśli, panno Brightly. Jest bardzo impulsywna. Ale nie muszę tego pani tłumaczyć, bo pani obserwuje ludzi, wie, jak nimi manipulować, rozumie konsekwencje. A mimo to zachęcała ją pani do tego. Co z pani za przyjaciółka?

Teraz już jego słowa miotały iskry jak młot uderzający w kowadło. Jego wściekła furia wypełniła całe pomieszczenie. Wściekłość. To dlatego był taki blady. Z wściekłości i ze strachu. Umierał ze strachu o siostrę.

Och, jak ona go w tej chwili nienawidziła. A jednocześnie, gdyby tylko mogła, podeszłaby do niego i położyła mu rękę na ramieniu, żeby zdjąć z niego część tego okropnego strachu. Ale miał rację. Dobrze ją ocenił. W pewnym sensie dokładnie wiedziała, co robi, kiedy wspomniała Violet o Cyganach. Ten przekłety Miles zawsze miał rację.

Ale nie poczuwała się do wyłącznej winy, a jego wściekłość wspaniale pobudziła jej własną. Więc i ona ruszyła naprzód. Zaskoczony cofnął się o krok.

- Wiem, że się pan o nią martwi, Miles. Ale ona jest znudzona. To inteligentna, żywa dziewczyna, ale jest rozpieszczona i znudzona. Nie ma pojęcia, co ze sobą zrobić. Wszystkie jej wybryki wynikają właśnie z tego. I wydaje mi się, że tęskni za bratem.

Cała wściekłość zeszła z niego tak nagle, jakby dostał pięścią pod żebra. Teraz został tylko ból. Ach tak, Lyon: pięta achillesowa tej rodziny. Zapomniała o Lyonie i o znikających Redmondach. O tym, że Miles nigdy nie zastąpi swojego brata. I o tym, jak musiał się poczuć, kiedy kolejny członek rodziny przepadł bez śladu.

O Boże. Była podła, naprawdę podła.

W rozpaczy usiłowała przeprosić go wzrokiem. Przez chwilę milczeli we dwoje. Miles jakby zawstydzony, że odkryła jego słabość. Kiedy znowu się odezwał, w jego głosie nie było już tej iskrzącej furii. Ale pozostała znużona zaciekłość.

- Panno Brightly, ciąży na nas większa odpowiedzialność. Wiemy więcej, dostrzegamy więcej i rozumiemy więcej niż ci, których kochamy. I dlatego mamy obowiązek się o nich troszczyć. Czy pani mnie rozumie?

Cynthia nagle zdała sobie sprawę, że ma zdrętwiałe palce. Przez cały czas zaciskała je w fałdach sukienki. Odruchowo rozprostowała dłonie, podnosząc na niego wzrok. Próbował ją przekonać tym swoim mrocznym spojrzeniem, które, tak jak noc, pokazywało i ukrywało wiele rzeczy jednocześnie.

Powiedział „my”.

Mówiąc o niej jako o jednej z tego zastępu rzekomo silniejszych ludzi, którzy widzieli więcej, rozumieli więcej. Mimowolnie potwierdzając to największe być może

podobieństwo między nimi: oboje byli silni. Silniejsi niż większość ludzi dookoła. Z natury. I z konieczności.

Kiedy zdała sobie sprawę, że on właśnie tak ją widzi, zaparło jej dech w piersiach i nie mogła oderwać od niego oczu. Sama nigdy nie uważała się za wyjątkowo silną. Po prostu starała się przeżyć z dnia na dzień. Troszczyła się o siebie samą, jak zwykle. A kto się troszczył o Milesa?

Wczoraj była świadkiem, jak umawia się na schadzkę z zamężną kobietą. I planował kupić swoją przyszłość, tak samo jak ona chciała kupić swoją.

Bez względu na wszystko, miała ochotę wziąć go w ramiona tu i teraz i przytulić, aż gniew stopnieje, aż bladeść wywołana strachem zniknie z jego twarzy. Zrobiłaby w tej chwili wszystko, żeby go uwolnić od bólu, od lęku, od frustracji. Odwrócił się od niej. Jakby zdawał sobie sprawę, że tym wyznaniem się przed nią odsłonił. A więc ten poukładany, odważny i zdecydowany człowiek też mógł się czuć bezbronny.

Ach, jak oni potrafili odkrywać w sobie nawzajem słabości.

- Wie pan, Miles... w pewnym sensie... to jest coś wspaniałego.

Gwałtownie odwrócił ku niej głowę, nie dowierzając własnym uszom.

- Wspania... - wybełkotał. - O czym pani, na Boga, mówi?

- O tym. - Zniecierpliwiona machnęła rękę, mając na myśli jego upartą siostrę, która uciekła z domu, jego złość, jego boleśnie uczciwą, ale niezaprzeczalnie słuszną ocenę jej własnego charakteru. - O tym wszystkim. Pan naprawdę bardzo kocha Violet, prawda?

Niecierpliwie zmarszczył brwi.

- Zrobiłbym dla niej wszystko.

Zauważyła nikły uśmiech na jego twarzy.

- Właśnie.

Mówiąc to, odwróciła się od niego w stronę okna. Żeby nie widział jej twarzy, bo nie była pewna, czy zdoła przed nim ukryć swój żal.

Po czym wyprostowała się dumnie.

Minęła chwila ciszy. No i dobrze. Odebrało mu mowę. Odwróciła się z powrotem i zobaczyła, że on nadal stoi nieruchomo, bacznie ją obserwując,

- Jeśli coś w tej sytuacji jest moją winą, to szczerze żałuję. Naprawdę - szepnęła.

Skinął głową, nie spuszczać z niej wzroku. Na jego twarzy wciąż malowało się oszołomienie.

- Przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą - rzucił oschle.

Zauważyła, że nie przepasza jej za żadną z tych rzeczy, które powiedział podczas swojego wybuchu złości. Nie miał zamiaru obrażać jej takimi przeprosinami. Bo każde z tych stwierdzeń na jej temat było prawdziwe i oboje o tym wiedzieli.

- Nie jestem pewna, czy rzeczywiście pan tego żałuje. Ja w każdym razie nie żałuję. - I obdarowała go uśmiechem. Zrobił zdumioną minę, ale nie dała mu czasu na pytania. - Na pana miejscu pojechałabym do obozowiska Cyganów, panie Redmond - powiedziała z lekkim naciskiem. - Mieli opuścić Pennyroyal Green dziś rano.

Otworzył usta, zamknął je z powrotem i zmarszczył brwi. Przygryzł wargę. Wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale chyba nie wiedział, jak to ująć w słowa. Cynthię zalała dziwna tkliwość wobec niego, a jednocześnie ogromna

satysfakcja, że przez nią ten mądry człowiek stracił oto zdolność wystawiania się.

- Dziękuję - powiedział wreszcie.

Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Kiedy Miles dojechał w pełnym galopie do obozowiska, zobaczył, że cały tabor uwija się żwawo, kończąc przygotowania do odjazdu. Jakieś inne miasto ucieszy się, że przyjechali akrobaci, wróżki i znachorki. Do Sussex Cyganie wrócą za rok albo za miesiąc; nigdy nie było wiadomo. Ale na pewno stanowili już nieodłączny element krajobrazu i historii miasteczka tak jak kościół, karczma i pensja panny Endicott na wzgórzu.

Nie dało się nie zauważyć Violet: przysiadła na dużym głazie pośrodku tego całego zamieszania. Miles zsiadł z konia, uwiązał Ramsaya do zwisającej nisko gałęzi jesionu i ruszył w stronę siostry, a w jego sercu ulga mieszała się ze złością.

Przez moment mierzyli się wzrokiem w milczeniu.

Wiedział, że jego siostra uważana jest za brylant pierwszej wody i tym podobne. Ale dla niego była po prostu Violet. Widział w niej małą dziewczynkę o rozczochranych ciemnych lokach i jasnych oczach, która śmiała się, psociła, potrafiła bystro odpowiedzieć i chodziła wszędzie za nim i za pozostałymi braćmi. Widział kogoś, z kim się bawił i droczył, kim się opiekował i kogo kochał przez całe życie.

- Okazuje się, że nie tak łatwo uciec z Cyganami, jak by się to mogło wydawać - rzucił obojętnym tonem.

- Nie chcę mnie zabrać - wyznała ponuro.

- Wyobrażam sobie!

- Do czegoś na pewno mogłabym się im przydać - zachnęła się.

Miles zauważył, że Leonora Heron zerknęła na niego spod oka i mruknęła coś pod nosem po romsku. Zabrzmiało to według niego jak zdecydowany protest.

- Siedziałaś tu całą noc?

- Nie. Przyjechałam rano - powiedziała Violet. - Pani Heron przez jakiś czas pozwoliła mi posiedzieć w swoim namiocie.

Miles zwrócił się do Cyganki.

- Dziękuję, że się pani nią zajęła, pani Heron.

- Nie ma za co, panie Redmond. Widzi pan, ja też mam takie utrapienie. - Posłała mu cierpiętnicze spojrzenie kogoś, kto sam musi znosić wybryki krnąbrnej dziewczyny.

Za nimi stadko lśniących cygańskich koni radośnie wstrząsało grzywami, wystawiając je na łagodne podmuchy wiatru, zadowolone, że niedługo znów wyruszą w drogę, by zachwycać ludzi w innych częściach kraju, że znowu usiądą na nich jeźdźcy jak ptaki na grzbietach morskich fal. Miles uznał, że konie Cyganów widocznie same też mają cygańską duszę.

Pobiegł wzrokiem za spojrzeniem Violet. Samuel Heron bardzo wydorósł i wyprzystojniał, był przy tym wyraźnie dumny z jednego i drugiego. Samuel rzucił Violet ciepłe spojrzenie, ale wzdrygnął się na widok bezwzględного wzroku Milesa. Jakby trafił na rząd zaostrzonych pali.

I pospiesznie wrócił do koni.

- Wiesz, że Cyganie uważają Gadji za nieczystych? - poinformował Miles spokojnym tonem. - To nic osobistego. Po prostu tak każą ich zwyczajem.

Violet spoglądała za odchodzącym Samuelem.

- Co za ironia - powiedziała ponuro. - A ja jestem taka czysta.

Miles schylił się i usiadł na ziemi obok przygnębionej siostry. Odrzucił poły fraka w tył, wsparł się na łokciach i westchnął.

- Dlaczego? - zapytał po prostu.

W przypadku Violet pytanie „dlaczego?” bywało najczęściej retoryczne, ale stało się już między nimi tradycją, że Miles i tak zawsze je zadawał.

- Dlaczego? - Odwróciła się do niego z niewinną minką. - Zupełnie nie wiem, o co ci cho...

- Wystarczy, Violet - powiedział to tak stanowczo, że prawie krzyknął. Zamrugła w zaskoczeniu. - Powiedz prawdę, czemu uciekaś. Czy ty w ogóle wiesz, dlaczego to zrobiłaś? Chodziło o Samuela Herona?

Violet otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, zawahała się, spojrzała mu w twarz i zmarszczyła brwi. Po czym złapała się na marszczeniu brwi i wygładziła czoło. Zawsze pilnie przestrzegала tego, żeby nie dać okazji zmarszczkom do zeszcpecenia jej uroczej twarzyczki.

- Wyglądasz na zmęczonego, Miles.

Rzucił jej gniewne spojrzenie. Ale zaskoczenie w jej głosie zabrzmiało autentycznie, to nie była gra na zwłokę. Cóż, to przez nocne spotkania z Cynthią Brightly.

- Może powodem jest moja siostra, która nagle zniknęła bez śladu.

Wzdrygnęła się. Zwrot „znikać bez śladu” źle się kojarzył u nich w rodzinie.

Znowu umilkli.

- Nie - powiedziała wreszcie stanowczo. - To nie miało nic wspólnego z Samuelem Heronem. Chociaż naprawdę jest przystojny. Jest inny. Już ty coś wiesz o tym, że odmienność zachwyca. - Jej spojrzenie z ukosa miało wypaść oskarżycielsko, ale zabrakło mu przekonania. -

On... - westchnęła, a potem odgarnęła z czoła niesforny lok.
- To nie miało z nim nic wspólnego. Sama nie wiem, czemu to zrobiłam Miles. To jest cała prawda.

Miał ochotę nią potrząsnąć.

- Violet... Przypuścimy, że naprawdę uciekłabyś z Cyganami. Po prostu byś... odeszła w siną dal i nigdy byśmy cię już nie zobaczyli. Masz pojęcie, jak by się czuli matka i ojciec? I my wszyscy? Czy naprawdę chcesz powiedzieć, że to cię nic nie obchodzi?

Rozpłakała się. Najpierw cicho, tak żeby Miles nie widział, że płacze, i dlatego że Violet nie znosiła brzydko wyglądać, a poza tym nie należała do osób sentymentalnych. Ale były to szczerze, prawdziwe łzy. I szybko zmieniły się w nieopanowany płacz, ten, od którego ma się zapuchnięte oczy, wzbogacony o pociąganie nosem i bulgotliwe łkania.

Cierpiał razem z nią. Odkąd się urodziła, nie mógł znieść jej płaczu. Ale nie powiedział: „No dobrze, już dobrze”, nie poklepał jej po plecach ani nie utulił. Łzy, prawdziwe łzy smutku i bezsilności, wyjdą Violet na zdrowie. Łzy, które nie miały na celu zmiękczenia kogoś - zwykle jakiegoś mężczyzny - po to, żeby zrobił wszystko, czego tylko ona sobie zażyczy.

Więc pozwolił jej płakać. A każda z jej łez bolała tak, jakby sam ją uronił. W końcu wyciągnęła nieskazitelnie czystą chusteczkę i wytwornym gestem przyłożyła ją do oczu. Violet była zawsze i nieodmiennie nieskazitelnie czysta. Zastanawiał się, jak to możliwe, przecież wiecznie była w ruchu.

- Przykro mi, że się przeze mnie martwiłeś, Miles.

- Wiem - powiedział łagodnie.

- Ja po prostu... bardzo za nim tęsknię. Za nim, czyli za Lyonem.

- Ja też za nim tęsknię.

- Nienawidzę go za to, że odszedł. I nienawidzę jej - powiedziała to takim tonem, jakby Olivia Eversea była demonem i samo wymówienie jej imienia mogło ją przywołać z piekielnych czeluści. - Za to, że odszedł przez nią. Było tak pięknie, a teraz wszystko się popsuło. Popsuło się i jest jakoś tak dziwnie.

Miles nie uważał, żeby wszystko się popsuło. Jako rodzina dali sobie radę; życie w domu Redmondów toczyło się dalej na różne sposoby, te przyziemne i te głębokie. Nadal w ich domu brzmiał śmiech i kłótnie, nadal oddawali się rodowym waśniom i pomnażaniu majątku. Zgadzał się natomiast, że jest „jakoś tak dziwnie”. Nie wiedział, czyjego brat rzeczywiście odszedł, czy też coś złego mu się przytrafiło i nie miał pojęcia, kogo za to winić. To było rzeczywiście dziwne uczucie, jakby człowiek spadał, nie wiedząc gdzie i kiedy, i czy w ogóle wyląduje. Grawitacja w ich rodzinie zaczęła funkcjonować inaczej.

- Nie wiemy, co się tak naprawdę stało, Violet. - Już tyle razy wypowiadał te same słowa, że w końcu zdawały się tracić sens i brzmiały dziwacznie w jego własnych uszach, jak każde słowo, które za wiele razy się powtarza. Przyznał sam przed sobą, że i on miewał takie chwile, kiedy nienawidził Lyona.

Ale dość miał już podporządkowywania się zachciankom Violet. Dzięki pewnej osobie, którą gościli na przyjęciu, zaczął sobie cenić szczerą do bólu. Siostra pozwalała sobie na niejedno, bo wiedziała, że i tak zawsze może liczyć na ich miłość i opiekę. Spodziewała się, że ktoś ją zbeszta i ukaże, ale też uratuje i będzie hołubił

niezależnie od tego, co zrobi, a rodzice i bracia jeszcze nigdy jej nie zawiedli. Co oznaczało, że jej brawura nie miała w sobie ani krzty prawdziwej odwagi. Były to po prostu, jak to określiła Cynthia, kaprysy znudzonej, samowolnej dziewczyny, która nie miała pojęcia, jak spożytkować swoją energię.

I w ten sposób pokazywała, że... że coś straciła. Straciła członka rodziny, straciła pewność, straciła równowagę.

- Naprawdę myślisz, że Olivia Eversea byłaby w stanie zmusić Lyona do czegokolwiek, Violet? Lyona? Przecież go znasz.

- Złamała mu serce. - W ustach Violet zabrzmiało to jak najcięższa zbrodnia i jakby złamane serce było przypadłością, która tłumaczy wszelkie najdziwniejsze zachowania.

- Tego też nie wiemy na pewno. To tylko domysły. - Te słowa również mówił wcześniej już z tysiąc razy.

Patrzyli razem, jak Cyganie, a wśród nich Samuel Heron, cmokają na konie, siodłają te, na których będą jechali, i zakładają uprząż pozostałym. Za chwilę namioty opadną na ziemię jak przekwitające kwiaty.

- Miles... - W głosie Violet zabrzmiał osobliwy lęk. Nabrała powietrza. - Chodzi o to... że czasami... wydaje mi się, że to wszystko nie wystarcza.

To go lekko zaniepokoiło. Odwrócił się w jej stronę.

- Co nie wystarcza?

Umilkła nagle. Jakby sama się przestraszyła tego, co powiedziała. Jakby miała nadzieję, że on zaraz zapomni jej słowa.

Podejrzewał, że przynajmniej po części rozumie, o co jej chodzi. Było dokładnie tak, jak powiedziała Cynthia:

Violet była inteligentną, ale znudzoną dziewczyną i nie było w całym Sussex ani nawet w Londynie nic takiego, w czym by znalazła upodobanie.

Nie wiedział, co ma jej odpowiedzieć. Była kobietą. I pochodziła z Redmondów. To dość konkretnie określało, czego się może w życiu spodziewać.

- Ja też tęsknię za Lyonem, Violet. Ale jego tu nie ma. Wiem, że ci go nie zastąpię. Nigdy nie będę taki jak on. Chciałbym bardzo, ale nigdy nie uda mi się sprawić, żeby...

Gwałtownie odwróciła do niego twarz i spojrzała mu w oczy z takim zdumieniem, że urwał.

- O co chodzi? - zirytował się.

- Miles, czy ty nie wiesz, że bez ciebie nigdy byśmy tego nie przetrwali? - Wyglądała na szczerze zaskoczona.

- My?

- Nasza rodzina - wyjaśniła takim tonem, jakby mówiła do nierozgarniętego dziecka. Nikt nigdy tak do niego nie mówił. - My wszyscy.

- No tak, przecież ja teraz... jestem spadkobiercą rodu. Skoro Lyon zniknął, to moja rola się zmieniła i będę musiał...

- Nie, Miles. - Teraz już była naprawdę zniecierpliwiona. - Na miłość boską. To zawsze byłeś ty. Pamiętasz... kiedyś próbowałeś mi wytłumaczyć jakąś nudną naukową teorię... o tym jaka siła sprawia, że księżyc świeci nad ziemią, a nie odlatuje w kosmos?

- Przypuszczam, że pewnie chodzi ci o grawitację - odpowiedział z przekąsem, nadal nie wiedząc, do czego zmierza.

- Być może, skoro tak mówisz - zgodziła się z powątpiewaniem. - Ale to właśnie jesteś ty, Miles. Zawsze tym dla nas byłeś. Gdybyś to ty odszedł, wszyscy byśmy

się rozpiechli po całym Układzie Słonecznym. Papie zależy tylko na robieniu pieniędzy, na tym, żeby Eversea nie byli górą i żeby wszyscy go podziwiali. Mama myśli tylko o nas, o domu i o zakupach. I to jej wystarcza. Nie zrozum mnie źle, bardzo ich oboje kocham. Lyon był zawsze zaabsorbowany tym, jaki to jest wspaniały, tym że jest dziedzicem, że musi się uczyć rodzinnych interesów i starać, żeby wszyscy byli z niego dumni. A Jonathan to Jonathan, w każdym razie chodzi mi o to, że nawet jeśli Lyon był naszym słońcem, to ty jesteś jak ziemia. Każdy z nas może być tym, kim jest, dzięki temu, jaki ty jesteś. Niewzruszony. Troskliwy. Można zawsze na tobie polegać. Wszyscy myślą tak samo. Wydaje mi się, że nawet ojciec o tym wie. I nawet kiedy pojechałeś w te swoje tropiki, choć było to oczywiście bardzo egzotyczne i niebezpieczne, mimo że cała twoja wyprawa była bardzo skrupulatnie przygotowana i z góry wiedzieliśmy, dokąd jedziesz, to ja ani przez moment nie wątpiłam, że do nas wrócisz. Ani przez moment. Bo taki właśnie jesteś.

Miles zastygł bez ruchu. Czuł się nadzwyczaj zakłopotany. Pomyśleć tylko, że Violet była zdolna wygłosić taką przemowę. Nie wiedział, co ma o tym sądzić. I nie do końca był przekonany, że podoba mu się to, co usłyszał. Zaczął się wiercić nerwowo.

- Czyżby Cyganie w ciągu jednej nocy nauczyli cię przenikliwości?

- A widzisz, zawstydziłam cię. - Była z siebie bardzo zadowolona. Wygładziła suknię na kolanach i uśmiechnęła się. Niezmiernie rzadko komukolwiek udawało się przegadać Milesa.

Milczeli we dwojkę.

- Jak mnie tu znalazłeś? - zapytała po chwili.

- Nie musisz się martwić, szukałem bardzo dyskretnie. Innymi słowy, nie oznajmiłem wszystkim gościom, że próbowałaś uciec z Cyganami. Jeśli ich zdanie w ogóle cię obchodzi. Panna Brightly zasugerowała mi, że cię tu znajdę.

Violet skinęła głową.

- Lubię ją - powiedziała z nutką przekory w głosie. Celowo, jakby chciała go sprowokować do gwałtownej reakcji. - Naprawdę. Lubię Cynthię.

- A dlaczego ją lubisz? - W Milesie znowu odezwał się naukowiec. Chłodna obojętność, dystans, ciekawość. Ale jego serce załomotało niespokojnie. Wystarczyło, że choćby słuchał, jak ktoś inny o niej mówi.

Violet zastanowiła się nad tym.

- Jest bardzo bystra. I taka... żywa. Bardzo ładna. I zabawna. Myślę też, że ona niczego się nie boi. A poza tym nasi rodzice zdecydowanie jej nie tolerują. Dlatego ją lubię.

- Violet uśmiechnęła się złośliwie.

Miles stłumił uśmiech. Nie wspomniała nic o dobrym wychowaniu, uprzejmości czy innych tego typu wdzięcznych przymiotach, które młode damy powinny cenić u siebie nawzajem. Przymiotach, które w obfitości posiadała lady Georgina. I które on sam cenił. Ale nie wspomniała też o uczciwości. Czy pasji. Albo prawdziwej odwadze. O skomplikowanym charakterze. Albo... o dobroci.

Ale to chyba nie miało znaczenia, jakich słów użyła Violet. Wiedział, że żaden język nie zna określeń, którymi można by było opisać to, co się z nim dzieje, kiedy jest w towarzystwie Cynthii Brightly.

Violet spojrzała na niego.

- Ty też jej nie tolerujesz, prawda? - drażyła. - Szkoda, że sam siebie teraz nie widzisz. Masz takie mroczne spojrzenie. Zawsze kiedy ona jest gdzieś w pobliżu, robisz się taki nachmurzony. A przecież nie bywasz niegrzeczny. Obserwowałam was, gdy rozmawialiście wczoraj, Miles. Wyglądałeś na... zniecierpliwionego. Nigdy cię takim nie widziałam. Ale pamiętaj, że ona jest moim gościem. Nic nie poradzi na to, że nie ma na świecie nikogo. Powinniśmy być dla niej mili.

Ze też Violet coś takiego dostrzegła. I jeszcze go za to łaja.

Nieproszony pojawił się w jego myślach obraz ramion prostujących się dumnie na tle okna. Jakby chciała poprawić ciężar, który jej się przesunął na plecach. Znowu poczuł to dziwne ukłucie bólu za mostkiem, ten sam niepokój.

Kto się troszczył o Cynthię Brightly? Cynthia Brightly.

Nie uważał, że ona niczego się nie boi. Ale to właśnie czyniło ją prawdziwie odważną.

Ciekawe, co ona teraz robi. Pewnie porównuje wszystkich kawalerów do wzięcia i zastanawia się, na który front rzucić swoje wdzięki, żeby zdobyć to, o czym marzy. Miał rację od początku: pod tym względem oboje zbyttno się od siebie nie różnili. Każde z nich gotowe było zrobić wszystko, co trzeba, żeby osiągnąć zaplanowany cel.

- Jeszcze nie zdecydowałem, co mam o niej myśleć - powiedział zwięźle.

Nie było to kłamstwo. I zabrzmiało bardzo w jego stylu, więc Violet przyjęła to bez mrugnięcia okiem.

- Georginę też lubię - dodała wielkodusznie. - Jest bardzo miłutka. Zawsze taka była. Ożenisz się z nią,

prawda? Będziecie do siebie pasowali - orzekła pojednawczym tonem. - I papa na pewno się ucieszy.

Miles poczuł, jak wzbiera w nim nagła irytacja na wszystkie znane mu kobiety, nawet na lady Middlebough, która okazywała mu anielską wręcz cierpliwość i którą, Bóg mu świadkiem, obejrzy wreszcie dziś w nocy - w całej jej nagiej wspaniałości.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie siostry, podniósł się z ziemi.

- No dobrze, Violet. Czy mogę liczyć na to, że następnym razem pomyślisz, zanim zrobisz coś tak nierozważnego?

- Nie wiem, czy mogę to obiecać, Miles. Myślenie jest takie męczące. Zresztą ty myślisz wystarczająco dużo za nas wszystkich.

Nonszalancko rzucona uwaga była pełna rozbawienia. Pewnie się spodziewała, że Miles wybuchnie śmiechem. A jego nagle znowu ogarnęła furia.

- Na litość boską, Violet. Chcesz mi złamać serce? - wyrwało mu się, zanim zdążył pomyśleć, co mówi.

Jego siostra otworzyła usta i wytrzeszczyła na niego oczy.

- Co... co ty wygadujesz, Miles! Jeszcze nigdy nie słyszałam, żebyś mówił o złamanym sercach.

A więc poetyckie metafory miały jeszcze inne zastosowania: na przykład można było za ich pomocą zamknąć buzię krnąbrnej siostrze. Zabawnie było patrzeć, jak się jąka, ale pod jego rozbawieniem wciąż wrzało rozdrażnienie. Ja też mam serce, miał ochotę powiedzieć. Nie jestem tylko i wyłącznie źródłem grawitacji. Ja też potrafię się zezłościć. Ja też mógłbym zrobić coś nierozważnego. Ja też cierpię.

Violet nie odzyskała jeszcze mowy. Odchyliła się do tyłu i przyglądała mu się spod zmrużonych powiek, jakby chciała się przekonać, czy ta osoba, z którą rozmawia, to aby na pewno Miles.

- Po prostu zastanów się dobrze, kiedy jakiś niedorzeczny pomysł wpadnie ci znów do głowy, Violet. Masz przecież mózg, na Boga, bo nieraz mnie zaskakujesz, kiedy go używasz. Pamiętaj, że mózg nie służy tylko do tego, żeby wiatr nie gwizdał ci między uszami. Innymi słowy myśl.

- Bo inaczej... złamię ci serce? - Violet powtórzyła po nim z niedowierzaniem.

Westchnął. Nie był w stanie wyobrazić sobie mężczyzny, który da sobie radę z Violet i uczyni z niej tę wspaniałą kobietę, jaką jego zdaniem mogła się stać. Violet łączyła wszystkie najlepsze cechy redmondowskiego charakteru, ale u niej były zwielokrotnione i w stanie kompletnego chaosu.

- To całkiem możliwe - powiedział w końcu. - Właśnie tak. Bardzo możliwe, że złamiesz mi serce następnym razem, kiedy zrobisz coś głupiego. Chcesz mieć na sumieniu moje złamane serce?

Wciąż wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, a w pewnej chwili nawet zmarszczyła brwi. Może usiłowała go sobie wyobrazić jako człowieka ze złamanym sercem, który miota się bez celu, pogrążony w wewnętrznym chaosie z jej winy. Odruchowo uniosła rękę do czoła, żeby wygładzić zmarszczkę pomiędzy brwiami.

W końcu westchnęła zrezygnowana i odwróciła wzrok w stronę widnokregu.

- No dobrze, Miles. Spróbuję następnym razem pomyśleć. Ale robię to tylko dla ciebie. - Uszczypliwy ton

zupełnie nie był w stanie zatuszować faktu, że Violet mówiła to absolutnie szczerze.

Miles ukrył uśmiech zadowolenia. Jego niepoprawna siostra naprawdę go kocha.

- Zaczekaj. - Violet przyjrzała mu się uważnie. - Spójrz no tylko. Guzik od fraka ci się odrywa. - Pstryknęła dwoma palcami w wiszący na kilku nitkach srebrny guzik. - Powinieneś poprosić służącego, żeby się tym zajął. Zaraz, zaraz, czy to nie jest czasem frak od Westona? Przecież ich guziki zazwyczaj trzymają się jak przygwożdżone. Coś ty robił w tym fraku?

Tarzałem się na szezlongu w towarzystwie irytujących kobiet, które palą cygara.

To właśnie była cała Violet - dostrzegą takie rzeczy, jak odpruwający się guzik. W pewnym sensie oboje mieli podobne spojrzenie na świat: uważne, drobiazgowe. Tyle że ich uwagę zwracały zupełnie inne szczegóły.

- Dziękuję ci bardzo. Zajmę się tym jak najszybciej, żeby nie urazić twojego zmysłu estetyki.

Jej twarz zaczął rozjaśniać uśmiech, lecz nagle ustąpił miejsca wyraźnemu lękowi. Odchrząknęła.

- Nie powiesz papie... o tym?

- Nie. I Jonathan pewnie też będzie trzymał język za zębami. Ale miej świadomość, że twój młodszy brat będzie wiedział o tym, że próbowałaś uciec z Cyganami. Co oznacza, że ma nowy powód do szantażu.

Violet prychnęła.

- Mam na niego znacznie więcej niż on na mnie.

A to ciekawe. Kiedyś będzie musiał wyciągnąć z niej szczegóły. Ale nie dziś.

Wstał i otrzepał z tyłu frak. Zrobiło mu się zimno od siedzenia na ziemi. Wyciągnął rękę i bezceremonialnie

postawił Violet na nogi. Począł, aż otrzepie sukienkę, po czym wziął jej dłonie w swoje i mocno potarł. Były lodowate.

Wypuścił je, na nowo zdenerwowany.

- Jak ty się tu dostała, Violet?

- Część drogi przeszłam na piechotę, a potem zapłaciłam szylinga jakiemuś rolnikowi, który jechał w tę stronę, żeby mnie podwiózł. Nie chciałam brać konia, bo wiedziałam, że Cyganie zaraz by go sobie przywłaszczyli, a wtedy papa by się wściekł i kazał ich wszystkich po cichu aresztować. Ty przyjechałeś konno, tak? - Violet z nadzieją zerknęła na Ramsaya.

Potem wymownie popatrzyła w dal, gdzie hen, hen, widać było ich dom, i znowu zwróciła na niego kryształowo niewinne spojrzenie.

Miles przewrócił oczami. Bardzo udana próba, ale on nie był tak podatny na jej sztuczki jak Lyon czy ojciec.

- Oczywiście że przyjechałem konno i tak samo mam zamiar wrócić. Za to ty zrobisz sobie spacer. Przynajmniej się rozgrzejesz. Pojadę obok ciebie, więc będziemy mogli porozmawiać o grawitacji i innych właściwościach planet.

Koniec końców była to najlepsza kara dla Violet.

Reszta dnia upłynęła w spokojnym nastroju. Violet, milcząca i skruszona, kilka godzin przesiedziała w swoim pokoju, po czym zeszła na dół i oznajmiła, że ma ochotę na przechadzkę po ogrodzie. Wszystkie panie zdecydowały się pójść razem z nią, żeby poszkicować kwiatki i tym podobne błahostki.

Cynthia nie miała szczególnego talentu w tej dziedzinie, więc bardzo się niecierpliwiła, bo uważała, że mogłaby znacznie lepiej wykorzystać ten czas, kokietując panów, którzy też wyszli z nimi do parku.

Wszyscy z wyjątkiem Milesa. Ten zniknął na całe popołudnie, zasłaniając się interesami do załatwienia i pilną korespondencją. Taki przynajmniej był oficjalny powód.

W końcu w miłej i wesołej atmosferze Cynthia omal nie zapomniała, że jej czas w domu Redmondów powoli dobiega końca, że podeszwy jej butów się przecierają, a sakiewka chudnie i że z Northumberland nie przyszedł jeszcze żaden list. Oraz że Miles Redmond tej właśnie nocy będzie spał w ramionach lady Middlebough.

Lady Middlebough bardzo ładnie rysowała. Choć nieco zbyt ekspresyjnie.

Dopiero po zmroku, kiedy wróciła na noc do swojego pokoju, Cynthia przypomniała sobie o tym wszystkim. Wezbrał w niej dziwny impuls, który po chwili stał się zupełnie nie do przewidzenia.

W końcu mu uległa. Wsunęła się z pościeli, bo stwierdziła, że musi się przekonać na własne oczy. No i wiedziała, dokąd ma iść.

Gdyby Miles miał być wobec siebie całkiem szczerzy, powiedziałby, że właściwie lepiej by było, gdyby lady Middlebough zrezygnowała ze schadzki, po tym jak się wobec niej zachowywał. Ale teraz, na miłość boską, spędzenie z nią nocy stało się niemal sprawą honorową.

Tak więc czekał, przywołując w myślach jej sylwetkę, wyobrażał sobie, co będzie z nią robił, a także co ona może z nim zrobić, i w końcu naprawdę nabrał na to ochoty. Zatracić się, wyczerpać w bezmyślnym, niezobowiązującym dawaniu i braniu rozkoszy - tego właśnie mu było trzeba, żeby odzyskać spokój umysłu. Przynajmniej tak to sobie tłumaczył.

Kiedy nadeszła umówiona godzina, bardzo powoli otworzył drzwi swojej sypialni i wyjrzał na korytarz. Na wypadek gdyby lady Middlebough miała zapukać do niewłaściwego pokoju.

- Co u diabła?

Pod jego drzwiami stała Cynthia Brightly. Gdzie każdy, kto by akurat tędy przechodził - czy raczej przemyczał się w drodze na schadzkę - mógł ją zobaczyć.

Złapał ją za nadgarstek i wciągnął do środka, zanim zdołała się odezwać. Spojrzał na nią, stojącą boso na dywanie i...

Przecież nie mogła zostać w jego pokoju, na Boga. Bez namysłu wypchnął ją z powrotem na korytarz tak gwałtownie, że włosy pofrunęły za nią jak kometa. Mój Boże. Tyle tych włosów, takie długie i takie gęste.

Wciąż niezdecydowanie trzymał ją za nadgarstek, a ona w tym słabo oświetlonym korytarzu i w swojej białej koszuli nocnej wyglądała jak duch. Włosy opadające jej na pierś lśniły nawet w mdłym świetle lamp. Lada chwila zjawi się lady Middlebough, zobaczy ją tutaj i...

Miles szarpnął ją za rękę i wciągnął z powrotem do pokoju. Uświadomił sobie przy tym, że to, co robią, przypomina najbardziej absurdalny taniec świata.

- Dobrze się pan bawi, panie Redmond? - zagadnęła Cynthia szeptem.

Spojrzał na nią, co okazało się dużym błędem. W świetle kominka jej koszula nocna zrobiła się niemal przezroczysta.

- Przeklęta baba.

Stanowczym ruchem znowu wystawił ją za drzwi. I ciągle trzymał za rękę. Pomyślał, że może wcale nie chce jej puszcząć. Jej nadgarstek był szczupły, chłodny i gładki w dotyku, a kiedy przypomniał sobie, jak delikatna była jej skóra na... Nie, nie będzie myślał o jej skórze.

- Co, u diabła, pani tutaj robi? - syknął wreszcie.

- A co? Czyżby spodziewał się pan kogoś innego? - Głosik niewinny jak polna stokrotka. W oczach pewnie miała diabelskie błyski, ale nie mógł tego dojrzeć w ciemnościach.

Pozwolił, żeby długa chwila pełnej niedowierzania ciszy potwierdziła jej domysły.

- Może lady Middlebough? - dopytywała się natarczywym szeptem.

- Jak... - to jedno słowo urosło w jego ustach do rozmiarów pomnika sarkazmu - ...się pani wydaje, panno Brightly?

Na chwilę umilkła. Widocznie bijąca od niego fala złości i rozdrażnienia, a przede wszystkim jego górująca nad nią sylwetka w końcu przemówiły jej do rozsądku.

- To może ja już lepiej sobie pójdę - odezwała się niepewnie.

- Pewnie że lepiej, jak pani sobie już pójdzie - przytaknął ponuro. I rzucił nerwowe spojrzenie w korytarz za jej plecami.

Ale ona stała nieporuszona na miejscu. Sparaliżowały ją nerwy i jego groźny wygląd. Czuła się jak owad zatopiony w bursztynie. Miles zmełł w ustach przekleństwo, jeszcze raz wciągnął ją do pokoju, zamknął drzwi tak cicho, jak się dało i zasunął zasuwkę.

Był to najbardziej ostateczny dźwięk, jaki którekolwiek z nich słyszało.

- Proszę mi powiedzieć, panie Redmond, co pan robi, kiedy zjawi się lady Middlebough? Wykręci się pan migreną?

Powoli zwrócił na nią spojrzenie.

- W tej chwili, Cynthio, w ogóle mnie pani nie bawi.

Znowu popełnił ten sam błąd, spojrzawszy na nią. Jego oczy już się przyzwyczyły do tego, że rozbierają ją w pomieszczeniach oświetlonych tylko ogniem z kominka. Jego ciało chciało pójść w ich ślady i zdecydowanie zaprotestowało, kiedy na siłę odwrócił wzrok.

Odsunął się o pięć kroków. Jakby tych pięć kroków mogło go uchronić przed jego własnymi niezbyt dogodnie ulokowanymi pragnieniami.

Oto, co zamierzał zrobić: zaczeka do przybycia lady Middlebough, odprawi ją, szepcząc, że bardzo żałuje, i obieca jej schadzkię któregoś wieczoru w Londynie, a potem stanowczo wystawi pannę Brightly za drzwi i zamknie je na zasuwkę, żeby się odizolować od wszelkich możliwych kobiet.

- Zaczekamy, aż zapuka, przeproszę ją, a potem pani sobie pójdzie - powiedział zdecydowanie. Ale nadal nie ufał sobie na tyle, żeby na nią spojrzeć.

Cynthia nic nie odpowiedziała. Z ciekawością rozglądała się po jego pokoju. Powinien czuć się przy niej pewniej. Przecież już nie była w jego oczach taką tajemnicą: poznał gładkość, ciepło i zapach jej skóry, wiedział, jak słodkie i gorące są jej usta. Ocierała się o jego pierś stwardniałymi sutkami, przeczesywała mu włosy palcami...

Przeszło go pożądanie. Uchwycił się kolumienki przy łóżku jak ostatni pozostały przy życiu rozbitek chwytając się szczątków rozbitego statku. Albo jakby to była włócznia, którą mógł cisnąć prosto w ziejącą paszczę żądz, ogarniającą go na widok Cynthii Brightly.

Przekłęte metafory. Znowu zaśmiecają mu umysł. Oczywiście, wszystko to z winy panny Brightly, której samo nazwisko było jak z poezji. Była jak lotne piaski. Im bardziej usiłował się od niej uwolnić, tym głębiej się zapadał.

Gdyby to lady Middlebough zamiast niej weszła do jego sypialni, przywitałby ją gorącym pocałunkiem, poczęstował brandy, rozebrał skwapliwie i w tym momencie właśnie byłiby na etapie wzajemnego, entuzjastycznego odkrywania swoich talentów. Zrobiłby wszystko, by ją przekonać, że plotki, jakie o nim słyszała, są prawdziwe.

Tymczasem musiał się chować we własnym pokoju. A Cynthia stała przed kominkiem i otulała się rękami jak szalem. Zostawił frak na fotelu przy łóżku, żeby rano służący się nim zajął. Wyciągnął rękę i z trudem go dosięgnął. Mógł wprawdzie podejść te dwa kroki, ale miał wrażenie, że w ten sposób wystawi się na jakieś niebezpieczeństwo.

- Niech pani to włoży.

Rzucił jej frak. Ubranie zafurkotało w powietrzu jak wielkie ptaszysko, a ona złapała je, zanim wylądowało jej na głowie. Z wdziękiem i opanowaniem okryła nim ramiona. I posłała mu zaskoczone spojrzenie.

- Dziękuję - powiedziała niepewnie.

- Proszę być cicho - szepnął ze złością.

Na to ona, nie wiedząc czemu, tylko się uśmiechnęła.

Zapadła cisza. Zastanawiał się, co też ona sobie myśli o jego pokoju: proste, ciemne kolory, olbrzymie, wygodne i wysiedziane fotele, dywan miękkiej jak trawa na łące, łóżko, w którym spokojnie zmieściłaby się cała rodzina. Miles był duży, więc lubił duże meble, a kiedy spał, zwykle zajmował całe łóżko.

- Czy lady Middlebough nie jest przypadkiem mężatką?

To zdanie zabrzmiało tak, jakby chciała coś przez to powiedzieć, a Miles ledwo trzymał nerwy na wodzy. Odezwał się, chociaż przed chwilą sam kazał jej być cicho.

- To dorosła kobieta. Może robić, co chce. I dobrze wie, co robi. Chodzi jej tylko o jedno, tak samo jak mnie.

Chwila milczenia.

- Ja bym tak nie zrobiła - odezwała się cicho. - Nie mogłabym.

Westchnął.

- I ona, i ja jesteśmy dorośli. A skąd pani wie, Cynthio? Skąd pani, u licha, może wiedzieć, co by pani zrobiła, a czego nie, jako męża...

Usłyszeli trzy ciche stuknięcia o framugę. Miles zamarł.

Nienawidził kłamać. Wychodziło mu to fatalnie. Ale jeśli powie, że cierpi na przykrą niedyspozycję, to nie minie się zbyt z prawdą. Wyszedł ze swojego ciemnego

kąta pokoju, odsunął zasuwkę i uchylił nieco drzwi. W ciemnościach zobaczył dwoje lśniących oczu i początki zmysłowego uśmiechu. Niestety, uśmiech pewnie zaraz zniknie, kiedy jego właścicielka usłyszy, co ma jej do powiedzenia.

- Victorio... proszę, nie bądź na mnie zła... - zaczął uniżenie. Kąciki jej warg zastygły w połowie drogi do uśmiechu. - Czuję się dzisiaj fatalnie... niedysponowany. Obawiam się, że mógłbym... nie dać rady...

Nie dokończył zdania, licząc na to, że będzie domyślna. I wyrozumiała.

- Być może będę mogła coś na to poradzić - szepnęła z zaskakującą pewnością siebie. Bez żadnego wahania.

To go zaskoczyło. Ale tylko na moment.

- Obawiam się, że to wyjątkowo... - Odchrząknął, szukając gorączkowo w myślach czegoś, co by ją skutecznie zniechęciło. - Wyjątkowo nieprzyjemny... rodzaj niedyspozycji.

Nastąpiła chwila absolutnej ciszy.

Jego słowa zawisły w powietrzu jak trujące wyziewy, w miarę przedłużającej się ciszy nabierając tajemniczości i grozy. Miles i lady Middlebough trwali w milczeniu po dwóch stronach uchylonych drzwi. Miles czuł, że policzki mu płoną ze wstydu.

W duchu soczyście i dosadnie przeklinał Cynthię Brightly.

- W takim razie mam szczerą nadzieję, że szybko wrócisz do zdrowia - powiedziała w końcu lady Middlebough, bo tak nakazywało jej dobre wychowanie.

- Dziękuję za wyrozumiałość, Victorio. - Głos Milesa był jedwabiście przymilny. - Zapewniam cię, że jest mi wstyd i ogromnie żałuję, zwłaszcza że już jutro

wyjeżdżasz. Proszę, obiecaj mi... Spotkamy się jeszcze kiedyś?

Przynajmniej ta ostatnia prośba zabrzmiała szczerze i lady Middlebough potrafiła to rozpoznać. Uśmiechnęła się do niego niepewnie, ale zaraz dotknęła palcami warg, posyłając mu w powietrzu pocałunek. Miles udał, że go łapie.

Odsunęła się od drzwi, odwróciła i odeszła z powrotem do swojego pokoju, skradając się na paluszkach i unosząc ze sobą wszystkie uroki swojego bujnego ciała. Miles zaczekał, aż zniknie za rogiem, po czym zamknął drzwi, także na zasuwkę i odwrócił się, żeby spiorunować spojrzaniem Cynthię.

Która krztusiła się z tłumionego śmiechu.

- Może trzeba było od razu wyjaśnić, na jaką przypadłość pan cierpi. Wtedy nie musiałyby pan o niej dyskutować.

- To pani jest moją przypadłością - wycedził.

- Ja?! - oburzyła się.

Przyłożył palec do ust i groźnie zmarszczył brwi.

- Powiem pani, gdy już będzie można wyjść.

Znowu na chwilę zapadła cisza.

- Ja bym tego nie zrobiła - szepnęła, zupełnie jakby podejmowali rozmowę, przerwana przybyciem osoby, którą Miles zaprosił. - Bo to nie jest coś, co kiedykolwiek przestałabym szanować. Jeśli będę miała tyle szczęścia, że wyjdę dobrze za mąż, będę postępować honorowo.

- Powtórzę to, co mówiłem. Skąd, u licha, może pani wiedzieć, jak się pani zachowa? A może to trudniejsze niż się pani zdaje?

- Czy właśnie nie o to chodzi w honorze? Żeby zachować go wtedy, kiedy to najtrudniejsze?

Złość sprawiła, że miał ochotę uznać ją za naiwną, głupią gąskę. Ale jeśli miał być ze sobą szczery, to musiał przyznać, że złości się po części dlatego, że ona ma rację.

Prawdę powiedziawszy, nie sądził, że byłby w stanie pójść do łóżka z lady Middlebough. I to niekoniecznie ze względu na honor.

- Może chodzi o to, że wszystkim tak zależy na zawieraniu odpowiednich związków, że już nikt nie patrzy na to, czy małżonkowie pasują do siebie charakterem i temperamentem. Skąd bierze się wiele nieszczęśliwych małżeństw.

- Ach tak. Więc pan z czystej dobroci serca przynosi takim damom jak lady Middlebough... ulgę w nieszczęściu?
- zapytała uprzejmym tonem.

Miles pomyślał w tej chwili o naiwnych szarych oczach lady Georginy. Ciekawe, czy gdyby za niego wyszła, miałyby romans z którymś z jego znajomych albo z jakimś innym londyńskim arystokratą. On na pewno. Na pewno miałby romanse. Ta myśl wprowadziła go w dziwne przygnębienie.

- Po co pani tu przyszła? Chciała mnie pani powstrzymać, coś mi udowodnić? - rzucił oschle.

- Myślałam... myślałam, że jest pan uczciwym człowiekiem. - To nie było oskarżenie. Powiedziała to w taki sposób, jakby chciała mu delikatnie przypomnieć, kim był, bo właśnie to się dla niej liczyło. Dosłyszał w jej głosie bolesne zdumienie.

- Nie było wcześniej innych mężatek - powiedział po chwili cicho. - Z tą też w zasadzie jeszcze do niczego nie doszło. Właśnie pani widziała, jak odchodzi. - To wyznanie sporo go kosztowało. Ale opłacało się, bo z jej twarzy

zniknął wyraz rozczarowania, a w tej chwili to było dla niego najważniejsze.

- Czy... - Przełknęła. - Zrobiłby to pan... gdybym nie przyszła?

Zawahał się. Ale w końcu odpowiedział zgodnie z prawdą, choć sam się tej prawdy wystraszył.

- Nie wiem - wyrzekł cicho.

To stwierdzenie zawdzięczał właśnie jej. Bo jeszcze parę dni temu odpowiedź brzmiałaby zdecydowanie „tak”.

Cynthia otworzyła szeroko oczy, a potem spuściła wzrok. Ach tak. Czyli zrozumiała.

„To nie jest coś, czego bym nie uszanowała”. Przyjrzał się jej uważnie. O Boże. Zdał sobie sprawę, że ta kobieta jest nieskończenie fascynująca. Jej włosy... jej włosy miały w sobie cały wszechświat barw. Widział ją już w połyskliwej sukni, przez którą wziął ją za tropikalnego motyla, i w skromnej zielonej sukience, która nasunęła mu myśl o elżbietańskich prostytutkach, a teraz miała na sobie koszulę nocną, szeroką, luźną i bez żadnych falbanek, która odkrywała spory skrawek jasnej skóry tuż nad dekoltem. Widać ją było spod fraka, który przytrzymała sobie na ramionach. Jakżeby chciał położyć tam dłonie, dotknąć językiem tego wgłębienia u podstawy szyi...

- No dobrze, już może pani iść - powiedział natychmiast.

Jej obecność w połączeniu z tematem rozmowy sprawiła, że poczuł się przyparty do muru. Był w stanie prowadzić negocjacje z kanibalami, ale ta kobieta go przerastała, bo poruszała w nim struny, których istnienia dotąd nie podejrzewał, ukazywała mu pragnienia, o których nawet nie śnił, stawiała pytania, na które jego logiczny

umysł nie znał odpowiedzi. Nie miał pojęcia, jak jej w tym przeszkodzić.

Ani jak się przed tym bronić. A Miles Redmond najbardziej na świecie nie znosił jednego: nie wiedzieć.

W dwóch krokach stanął przy niej z zamiarem odebrania swojego fraka. Coś w wyrazie jego twarzy musiało jej powiedzieć, że Miles zupełnie poważnie chce ją wyrzucić za drzwi, bo zsunęła frak z ramion i wzięła go do ręki. Miał go jej odebrać, naprawdę. Zamiast tego pozwolił, by frak opadł na podłogę. A sam przyglądał się, jak jego dłoń zanurza się w jej włosach - powoli, ostrożnie.

Co się z nim, do diabła, dzieje? Kilka dni temu polizał ją jak pies, a dzisiaj przepychał ją przez drzwi swojej sypialni to w jedną, to w drugą stronę, jakby się bawił jo-jo. A teraz jeszcze ciągnie ją za włosy.

No, może nie ciągnął jej za włosy. Ale trzymał je dość zdecydowanie w garści i wcale nie miał ochoty wypuścić. Oszalała go ich jedwabista gęstość i znowu poczuł jednocześnie zachwyt i złość, że jest wobec niej taki słaby. Uniósł powoli dłoń, patrząc, jak przez palce przelewa mu się wielobarwny wodospad jej włosów - wśród ciemnych brązów migotały nitki ognistej czerwieni i lśniącej miedzi. Jeszcze raz przecesał je palcami.

Cynthia stała nieruchomo. Być może tak podziałał na nią jego zachwyt, a może po prostu całkowicie ją zaskoczyło kolejne niezrozumiałe zachowanie szalonego Milesa Redmonda, który właśnie spoglądał jej w oczy. Łagodnie zamglone, o wielkich, ciemnych źrenicach i półprzymkniętych powiekach.

Wsunął drugą rękę we włosy, co teraz czyniło ją jego niewolnicą. Lekko pociągnął, odchylając jej głowę do tyłu. I delikatnie dotknął ustami jej warg.

Usłyszał ciche westchnienie. Ulga? Rezygnacja? Czy może jedno i drugie?

Całkiem zamknęła oczy. Na jej szyi widać było maleńką pulsującą żyłkę. Dotknął językiem kącika jej warg, tego niewidocznego, zaskakująco wrażliwego miejsca, żeby jej przypomnieć, że zna tajemnice kobiecego ciała, a więc także i jej. A potem pocałował ją naprawdę, ale nadal niespiesznie, delikatnie, wsysając zmysłową poduszeczkę jej dolnej wargi pomiędzy swoje. Powoli, rozkoszując się jej cudowną miękkością, czując na języku drażniący smak jej ust.

Jeden pocałunek wystarczył, żeby go odurzyć. Zakończył go tak powoli, jak zaczął. Ale jego wargi nadal nie chciały się od niej oderwać.

- Czego pragniesz, Cynthio? - szepnął tuż przy jej ustach.

Nie zabrzmiało to władczo, chociaż taka była jego intencja. Bo wcale nie był w tym momencie mniej rozdrażniony czy zdezorientowany niż przed chwilą. Ale powiedział to wyjątkowo łagodnie, bo naprawdę był ciekaw. Ciekaw był, co ona o tym myśli. Bo może, jeśli ona będzie wiedziała, czego chce albo dlaczego tu przyszła, albo czym jest to coś między nimi, albo czego tak naprawdę od siebie na-wzajem pragną, to uda im się z tym skończyć. Załatwią sprawę raz na zawsze i może uda mu się wrócić do tego w miarę spokojnego życia, jakie wiódł, zanim ją poznał.

Jej powieki podniosły się z wolna, jakby odzwyczajone od unoszenia ciężaru rzęs. Żrenice zwały się w jedno z błękitnymi tęczówkami. Miał wrażenie, że spogląda w serce nocy. Popatrzyła mu w oczy, a jej spojrzenie było zagadkowe, tajemnicze, bezbronne, jakby

chciała coś powiedzieć... lecz nie była w stanie. Jej nierówny oddech muskał jego usta.

Podniecenie wzmagalo podniecenie. Jego własne i jej.

- Chyba wcale nie mnie pragniesz - podjął bezlitośnie, dręcząc samego siebie logiką tych słów.

Jego głos opadł do niskiego pomruku, a palce zsuwały się w dół poprzez lśniąca gęstwinę jej włosów, po plecach, aż na pośladki. Wyczuwał materiał jej muślinowej koszuli, od znoszenia prawie tak gładki jak jej skóra, miejscami zimny, bo stała w wyziębionym korytarzu, miejscami ciepły, tam gdzie rozgrzał się już od kominka. Boże. Tyle niezwykłych wrażeń mieściła w sobie ta jedna kobieta.

- Myślę, że niechcący pokazałem ci, czego pragnie twoje ciało - mówił dalej. - I teraz wydaje ci się, że czegoś ci brakuje. Co więcej... - znowu zniżył głos. - Myślisz, że ja mogę ci pokazać to, co chcesz poznać. Czemu nie potrafisz się oprzeć. I wydaje ci się, że ze mną będziesz... - szepnął ledwo dosłyszalnie - ...bezpieczna.

W pół słowa ich wargi znowu się połączyły. W pocałunku tak miękkim jak szept.

Choć pocałunek był niemal platoniczny, Cynthia czuła na wargach płomień. Uplół ze swoich słów pajęczynę, z tego głosu, który był jak nocne niebo i jak jedwab. Bezpieczna? Czuła się tak bezpieczna jak mucha w sieci. Wolałaby, żeby już przestał mówić, bo wydawało jej się niesprawiedliwe, że on cały czas włada mową, a ona już dawno straciła zdolność formułowania zdań.

Istniała tylko po to, by jej dotykał i wszystko inne - słowa, oddychanie - wydawało się w tej chwili zupełnie zbędne. Jak on mógł tego nie dostrzec?

Znowu zamknęła oczy. Na próżno broniąc się przed jego przenikliwością, dzięki której mógł czytać w jej myślach.

Ten okularnik z okazałym nosem, szerokimi ramionami i ciepłą skórą, ten delikatny, dociekliwy mężczyzna był zdecydowanie zbyt domyślny. Bo oczywiście znowu trafił w sedno. Jak zawsze. Czuła się przed nim obnażona; właściwie powinna się obrazić. Ale właśnie jego duże, ciepłe dłonie objęły ją w talii, a ona z niecierpliwością pragnęła je poczuć na skórze. Co było niewątpliwie bardzo, bardzo niebezpiecznym pragnieniem.

Więc po co tutaj przyszła? Skoro na szali leżała jej przyszłość? Skoro nie miała do zaoferowania przyszłemu mężowi nic więcej poza urodą, wdziękiem i cnotą?

Nagle ręce się cofnęły, ciepło zniknęło, zniknął też jego oddech na jej wargach. Odsunął się.

Dopiero teraz, kiedy się zachwiała i omal nie przewróciła, zorientowała się, że zmiękły jej nogi. Dlaczego? Dokąd? Zdezorientowana, otworzyła oczy i

zobaczyła, że Miles odsunął się o kilka kroków i usiadł w fotelu przy kominku. Z ulgą opadł na siedzenie i wbijając plecy w oparcie, prawie się na nim rozłożył. Palcami ścisnął podłokietniki. Tylko po tym można było poznać, że jest spięty. Nie wiercił się, nie stukał nogą, nie mruczał. Nie. Wszelkie szalejące w nim burze uwidaczniały się dopiero wtedy, kiedy jej dotykał.

A może i wtedy, kiedy dotykał kobiet takich jak lady Middlebough?

Czy z innymi kobietami czuł się tak samo? Czy zawsze tak samo to przeżywał? Jak to w ogóle możliwe? Przecież gdyby tak było, to chyba by tego nie przetrwał.

Nagle Cynthia zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem i jemu nie zmiękły nogi, i czy dlatego właśnie nie osunął się bez sił na fotel.

A teraz otworzył oczy, które lśniły żarem. Na jego twarzy widać było zmaganie nad jakąś decyzją, którą właśnie podejmował w swoim imponującym umyśle. Cisza się przeciągała, a od ognia rozpalonego niedawno na kominku - jasne płomienie tańczyły w nim żywo - w sypialni robiło się coraz cieplej.

W każdym razie Cynthia wolała zrzucić winę na ogień w kominku za to, że zrobiło jej się nagle tak gorąco.

- Dobrze. Pokażę pani, panno Brightly.

Omali nie podskoczyła.

Mówił zmysłowym, niepewnym szeptem. Kiedy się odezwał, miała wrażenie, że ten głos dobiega z jej własnego wnętrza. Co dziwne, usłyszała w nim... rezygnację. Zabrzmiało to jak werdykt, którego nie miał ochoty ogłaszać, bo nie był pewien jej reakcji. Ani nawet tego, czy postępuje właściwie.

Kiedy już to powiedział, jego usta drgnęły w kąciuku. Teraz czekał na jej decyzję. Bogu niech będą dzięki, miała ochotę powiedzieć. Gdyby tylko była w stanie coś z siebie wydusić. Musiał to wyczytać z jej twarzy, bo roześmiał się krótko ponurym śmiechem pożądania.

- Niech pani stanie przede mną, Cynthia.

Miała ochotę nie posłuchać, udowodnić sama sobie, że ma wolną wolę. Ale jej ciało miało inne plany. Podeszła do niego natychmiast jak za pociągnięciem sznurka. Stała przed nim ze spuszczoną głową, bijącym sercem i kolanami prawie dotykającymi jego kolan.

Miles podniósł na nią oczy i na długą chwilę zagubiła się w tym mrocznym, gorącym, tajemniczym świetle, który mieściły w sobie jego źrenice. Dopiero gdy poczuła na nogach podmuch powietrza, zauważyła, że on już nie wpija palców w oparcia fotela. Obok trzaskania ognia na kominku dał się słyszeć cichy szelest muślinu, kiedy podnosił do góry jej koszulę nocną.

Materiał powodował gęsią skórkę, ocierając się delikatnie o słabo widoczne złociste włoski z tyłu jej ud; Cynthia ledwo była w stanie ustać na nogach. Przez głowę przemknęła jej myśl, że to nie w porządku, by jej własna koszula stawała się narzędziem uwodzenia.

Ale tu przecież nikt nikogo nie będzie uwodził, przypomniała sobie. Nie można do tego dopuścić.

Powiedział: „Pokażę pani”.

Powiedział: „Może być jeszcze lepiej”.

A teraz stała przed nim, niezdolna głębiej nabrać powietrza. Miała wrażenie, że w jej żyłach płynie czysty ogień.

Spojrzała w dół. Koszula ułożyła się na jej biodrach w barokowe fałdy, przytrzymywana rękami mężczyzny,

którego znała raptem od kilku dni. Jej nagie uda w półmroku pokoju wydawały się szokująco blade i delikatne. Zastanawiała się, czemu dopiero teraz zaczęło do niej docierać, że chyba oszalała, pozwalając mu na takie rzeczy.

Bezpieczna, powiedział. Czy naprawdę tak się właśnie czuła?

I skąd on to wiedział?

Ufała mu. Zresztą wydawało się, że wszyscy ufają Milesowi Redmondowi. Spięła się, bo nagle rozsądek zaczął się przebijać przez ten stan rozkosznego oszołomienia, w jakim się znajdowała. Miles musiał to wyczuć, podobnie jak wyczuwał napięcie u zwierząt, z którymi miał do czynienia. Uniósł brew w niemym pytaniu. Dał jej w ten sposób czas na podjęcie decyzji. Czuła, że lekko drżą mu palce; słyszała jego nierówny oddech - to nerwy czy pożądanie? I pojęła, że jemu też nie jest łatwo.

Bezpieczna. Chyba rzeczywiście czuła się przy nim bezpieczna. Przyznając to sama przed sobą, powoli opuściła powieki i oddała się zmysłowemu doznaniu.

Miles nie tracił czasu. Jego dłonie rozpoczęły powolną, subtelną wędrówkę ku wewnętrznej stronie jej ud. Nakłaniając ją tymi ciepłymi palcami, żeby rozsunała nogi. Nie trzeba było jej zresztą zbyt długo zachęcać.

- Jaka gładka - wyszeptał, a w jego głosie usłyszała nutę dziwnego cierpienia, agonii pożądania. Ten głos był równie zmysłowy, jak dotyk.

Objął dłońmi jej pośladki i przyciągnął bliżej, aż jego kolana znalazły się pomiędzy jej nogami.

- Usiądź - szepnął.

- Mam usiąść? Na...

- Na mnie - dokończył swobodnie. Cicho. Jakby to było coś zupełnie normalnego.

Więc usiadła.

Objęła nogami jego uda i usiadła mu na kolanach. Poczwała, że drgnął; dojrzała, jak w jego źrenicach rozjarzył się płomień, a na szyi napięły mięśnie w chwili, gdy ich ciała się spotkały. A przez spodnie wyczuwała i widziała jego szokująco długą, sztywną męskość.

Kiedy przywarła do niego łonem, ogarnęła ją gwałtowna żądza. Tak wielka, że nagle poczuła się bardzo słaba.

Cały czas jednak jego dłonie zachowywały się bardzo przyzwoicie. Spoczywały lekko na jej biodrach, w tym miejscu, do którego podniósł koszulę. Ale jego pierś poruszała się szybko, nierówno.

- Może zsuniesz koszulę, Cynthio?

Znowu była to tylko propozycja, złożona miękkim, jedwabistym głosem. Ale ten głos miał w sobie nieugiętość stali i nie można mu było odmówić.

Tak więc jej dłonie, oddane w niewolę tego głosu podobnie jak reszta jej ciała, sięgnęły do góry. Ponieważ nie była w stanie oderwać wzroku od jego twarzy, więc nie patrząc, odszukała palcami wstążkę, która wiązała koszulę pod szyją.

Miles czekał. Oczarowany. Z dłońmi spoczywającymi nieruchomo na jej biodrach. Biorąc kolejne wdechy i wydechy, czując, jak jego ciało płonie od żaru jej nagich ud, który palił go nawet przez spodnie.

Ciągnęła za wstążkę, aż wreszcie zdołała ją rozwiązać. Dekolt rozluźnił się i opadł, poczuła na skórze chłodniejsze powietrze. Cały czas rozkoszowała się tym, jak nieporuszenie się w nią wpatrywał. Zatrzymała się,

sprawdzając, jaką ma nad nim władzę, wypróbując jego cierpliwość.

Zaraz jednak w przyływie nieśmiałości opuściła głowę i ramiona. Góra koszuli zsunęła się z nich.

Ale Milesowi to nie wystarczało. Odczuła tryumf, kiedy przegrał z własną niecierpliwością i bez wysiłku całkiem zsunął z niej materiał koszuli. Już po chwili obejmował jej piersi. Miał ciepłe dłonie, szorstkie od jazdy konnej i od tego, kim po prostu był. Dotykał jej niecierpliwie. Przesunął kciuki na sterczące już sutki.

- Boże.

Westchnęła prosto w jego usta, które szykowały się do pocałunku. Wpiła się w nie z ulgą, z radością powitała gorący język, podczas gdy jego ręce pieczołowicie odnawiały znajomość z jej piersiami.

Pocałunki przewędrowały na jej szyję, na ucho i za nie, żeby polizać to wrażliwe miejsce z tyłu. Odwróciła głowę, żeby ułatwić mu dostęp z każdej strony, do każdego skrawka skóry; zalewała ją rozkosz, jaką dawał jej ustami, językiem, rękami.

Kiedyś jako dziecko przeżyła chorobę z wysoką gorączką. Pamiętała to dziwne uczucie, nie do końca nieprzyjemne, kiedy świat składał się tylko z żaru.

A to... to właśnie było jak gorączka. W takim świecie mogłaby pozostać na zawsze.

W końcu jego usta wróciły do jej ust, otwartych, rozgrzanych, spragnionych, i Cynthia zanurzyła się w pocałunek, rozkoszując się dotykiem zębów i giętkiego języka. Na chwilę oderwał usta i przeciągnął po jej wargach dwoma palcami, podsuwając je do polizania. Cofnął dłoń, kiedy były już wilgotne.

I bez zapowiedzi wsunął mokre od pocałunku palce między jej nogi.

- Och. - Drgnęła.

Ten intymny dotyk był dla niej szokujący. I nie była w stanie opisać tego uczucia, chyba że jednym słowem: Jeszcze.

- Za chwilę sprawię, że eksplodujesz z rozkoszy, Cynthio. - Jego słowa brzmiały szorstko, fascynująco i niewiarygodnie zmysłowo - Bo wydaje mi się, że właśnie po to tutaj przysłaś.

Palce prześlizgnęły się jeszcze raz do przodu, rozsuwając jej wilgotne kędziorki, rozsuwając jej szczelinę, aż do... Dobry Boże... niesamowite...

- Ja... - wykrztusiła.

Bo co mogła na to powiedzieć? „Proszę uprzejmie?”

Ich spojrzenia się spotkały. W jego oczach Cynthia ujrzała tryumf, zdecydowanie i łagodną wyrozumiałość. Rozumiał jej udrękę; sam jednocześnie ją wywoływał i koił.

Palce znowu się poruszyły. Teraz już ociekała wilgocią i pulsowała gorącem. Skąd wiedział, gdzie dokładnie ma jej dotykać? Westchnienie rozchyliło jej wargi; oddech przyspieszył.

- Jak? - Znów ten zmysłowy szept. - Jak chcesz, żebyś cię dotykał?

Bezwolnie odchyliła głowę w tył. Przywarła ciałem do jego dłoni. Dotykaj mnie jeszcze.

- Nie wiem... - Jej słowa miały postać poszarpanych westchnień bez tchu. Była zła, że ją o to pyta. Przecież sam dobrze to wie, pomyślała; więc czemu po prostu jej tego nie da? - Proszę... po prostu... jeszcze... - Otarła się o jego dłoń.

- Jak? - nalegał ten bezwzględny, jedwabisty szept. - Jak mam cię dotykać?

Przełknęła ślinę. Podły był, że kazał jej w tej chwili myśleć i szukać odpowiednich słów.

- Mocniej...

Skąd jej to przyszło do głowy?

Pieszczota stała się dokładniejsza, skoncentrowana i właśnie... mocniejsza. Przeszyła ją błyskawica rozkoszy. Z jękiem odrzuciła głowę do tyłu.

- Ach - mruknął zadowolony z tego odkrycia.

- Jeszcze - załkała bez tchu. Jej głowa bezwładnie osunęła się najpierw w tył, a potem do przodu i oparła się o jego podbródek, gdzie gorący oddech wpadał jej prosto do ucha. Poruszała ciałem, ocierając się o jego dłoń. - Błagam... Jeszcze...

Na wpół świadomie dostrzegła, że Miles się uśmiecha.

- Teraz już wiemy, jak mam to robić - mówił cichym, głębokim głosem. - Jeszcze tylko pokaż mi, gdzie. Pokaż swoim ciałem. Ono będzie wiedziało.

- Błagam, ja tylko... Jeszcze... - Prawie płakała. Podniecenie było bolesną męką. - Proszę... Rób tak... - Znowu się wyprężyła, błagając całą sobą.

- Dobrze, już dobrze. Dobrze, kochana - uspokajał ją łamiącym się szeptem.

O cudzie nad cudami, dotknął ją dokładnie tak, jak potrzebowała, mocniej przesuwając palce. Zataczając zdecydowane kółka.

Wyrwał jej się jęk. Gardłowy, pierwotny. Odgłos rozkoszy, taki sam jak przed wiekami. Nawet nie wiedziała, że potrafi wydać z siebie taki dźwięk. Ale wciąż jej było za mało.

Oparł głowę o jej szyję, równie poruszony jak ona.

Poczuła chłód w miejscu, gdzie padał na nią jego oddech; zorientowała się, że cała jest pokryta warstwą potu.

Wydawało jej się, że dłużej tego nie zniesie. Powinna go powstrzymać. W tej chwili. Bała się; to wszystko było zbyt nowe, zbyt nieznanne i nie wiedziała, dokąd ją zaprowadzi. Oplotła mu szyję ramionami, wsunęła palce we włosy i schwyła go mocno za głowę.

Szepnęła mu prosto do ucha:

- Nie przestawaj.

Drgnął lekko - możliwe że się zaśmiał.

Znowu odnalazł jej wargi. Wymusił na niej pocałunek, wsuwając język do ust, a jego cudowne, wytrwałe palce spełniały swoją obietnicę, pieszcząc, zataczając kółka, a raz nawet, o mój Boże, wsuwając się głęboko do jej wnętrza. Poddała się instynktowi. Zaczęła się poruszać, z początku niepewnie, a potem coraz śmieiej, szybciej, bez tchu, bo rozkosz wzbierała w niej boleśnie.

Przerwała pocałunek, żeby ukryć twarz w zagłębieniu jego szyi.

- Miles... Błagam... Ja muszę...

To podniecenie czegoś od niej żądało, a może to ona sama czegoś chciała, choć nie była pewna, czy ma z tym walczyć, czy na łeb na szyję wybiec temu czemuś naprzeciw ani nawet - jak to zrobić. A on dalej poruszał dłonią w tym wytrwałym, dręcząco cudownym rytmie, coraz szybciej. Bo on wiedział.

- Zaufaj mi - szepnął.

Nie miała wyboru. Poddała mu się całkowicie. Kołysali się oboje, aż nagle w całym jej ciele rozlał się żar, a w uszach usłyszała ogłuszający huk ich zmieszanych oddechów jak huk morskich fal. Resztką świadomości czuła, że pot przyklepił jej nocną koszulę do pleców.

- Miles...

Buchnął w niej płomień; jego imię wyrwało jej się w bezdźwięcznym okrzyku. Spełnienie przyszło tak nagle, że wyprężyła się jak struna; wstrząsnęło nią i szarpnęło do przodu i do tyłu, a on trzymał ją mocno, gdy przepływała przez nią niewypowiedziana rozkosz, fala po fali.

W tej chwili wszystko przestało się liczyć. On, ona sama.

Istniała tylko ekstaza.

I już było po wszystkim. Osunęła się bezwładnie odprężona.

Wracając do rzeczywistości, uświadomiła sobie, że Miles znów trzyma ręce na jej biodrach. Brodę opierał delikatnie na czubku jej głowy. Oczy Cynthii były na poziomie jego szyi, na wprost miejsca, gdzie spod rozpiętego kołnierzyka koszuli wyglądał kawałek lśniącej od potu skóry. Jego pierś unosiła się i opadała, unosiła się i opadała. Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

Ale zaraz to zrobiła.

Podniósł rękę, żeby odgarnąć jej włosy z twarzy; potem opuścił ją ciężko. Zobaczyła, jak z jego twarzy znika dziwny jakiś wyraz. Jak gdyby cierpienie, ale nie do końca.

„Skąd pani wie?” - pytał ją wcześniej, kiedy wyniośle twierdziła, że po ślubie nie będzie się skradać po korytarzach. Mógłby ją teraz wyśmiać, zasłużyła sobie na to. Dobrze wiedziała, jaką władzę nad ludźmi daje pociąg fizyczny, czuła też pociąg do władzy; umiała wykorzystać obie skłonności i sama nie była na nie obojętna.

Ale dopiero teraz pojęła, dlaczego ludzie byli gotowi wiele zaryzykować dla takiej przyjemności. Czemu czasem zachowywali się głupio, skandalicznie albo narażali się na niebezpieczeństwa.

Mysłała, że jest taka doświadczona. Ależ była naiwna.

Trudno, tego musi się trzymać. Nie miała nic innego na świecie prócz honoru. I była już zmęczona, zmęczona ciągłym graniem. Jeśli nawet nigdy więcej nie zazna takiej rozkoszy, zawsze pozostanie jej to jedno: ta chwila, ten człowiek, ten moment olśnienia.

Milczała. Podniosła na niego oczy, a on musiał chyba to wszystko wyczytać w jej twarzy - zachwyt, wdzięczność, podziw, zawstydzenie - bo uniósł kącik warg w uśmiechu.

Nabrała powietrza, żeby się opanować. I sięgnęła do jego guzików od spodni. Gwałtownym ruchem nakrył jej dłoń swoją.

- Lepiej nie. - Głos miał zachrypnięty.

Brzmiało w nim zaskoczenie, ale i przestroga.

- Ale...

- Nie - powtórzył stanowczo.

- Dlaczego? - Chciała wiedzieć.

Zaczerpnął powietrza i wypuścił je niecierpliwie. A kiedy się odezwał, jego słowa były jak świst bata.

- Cynthio, na Boga. Czy ty nie widzisz, jak na mnie działasz? Może ci się wydaje, że jestem taki opanowany, ale jestem tylko człowiekiem. I w tej chwili bardzo niewiele powstrzymuje mnie od tego, żeby cię przewrócić na podłogę i brutalnie pojąć. Odkąd cię poznałem, cały czas mam na to ochotę. Nie bądź głupia. Na miłość boską, nie wystawiaj mnie na próbę.

Widać było, że jest wściekły. Naraz odgadła, dlaczego. Dotąd bywała przy nim zupełnie bezbronna, całkowicie zależna od niego. To on nadawał ton każdemu ich spotkaniu. Zawsze zachowywał nad wszystkim kontrolę.

Podjejrzała, że boi się poczuć bezbronny. Boi się stracić kontrolę. A nade wszystko boi się być zdany na jej łaskę. Bo do pewnego stopnia tak się właśnie czuł, odkąd się poznali.

- Nie bój się - powiedziała cicho. - Ze mną jesteś bezpieczny.

Rozszerzył źrenice w zdumieniu.

- Cynthia...

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Spróbuj mnie powstrzymać.

I zanim zdołał drgnąć, przeciągnęła dłonią po długiej wypukłości, wygiętej w stronę brzucha. Nawet przez spodnie wyczuwała pod palcami krągłą główkę jego męskości. Tam się zatrzymała.

Odchylił głowę do tyłu i z sykiem wciągnął powietrze.

- Słodki przenajświętszy...

A potem inne, bardziej niecenzuralne, soczyste i dosadne słowa. Zrobiła to jeszcze raz, a on cały drgnął pod jej dotykiem. Zgrabnymi ruchami rozpięła mu guziki od spodni.

- Więc pokaż mi - szepnęła. - Jak mam cię dotykać?

- Cynthia... - wyszeptał ochryple. - Przysięgam ci, że niewiele mi trzeba, żeby... O Boże.

Jego członek uwolnił się ze spodni i Cynthia natychmiast objęła go dłonią. Był ogromny i gruby; to, co czuła pod palcami, zdawało jej się potężne, dziwne i bardzo niebezpieczne.

Spojrzała w dół: wyglądał obco i przerażająco, brzydko i pięknie zarazem. Z trudem przełknął ślinę. Znowu wbił palce w oparcia fotela.

- Jak? - powtórzyła. - Pokaż mi.

Jeszcze raz przesunęła dłonią.

On złapał jej rękę i przez chwilę trzymał ją mocno; oczy mu płonęły, usta zacisnął w wąską kreskę. Na skroni pojawiła się kropelka potu i spłynęła po policzku. Udzieliło jej się jego napięcie, i mimo że chwilę przedtem była kompletnie wyczerpana, teraz podniecenie zaczęło w niej narastać równoległe ze strachem.

Namacalnie czuła energię, którą w sobie tłumił. Nagle uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, co on za chwilę może zrobić. Ale to tylko wzmagало jej podniecenie.

Te jej przeklęte skłonności do hazardu.

I wtedy się poruszył. Przytrzymał jej rękę, a potem powoli, ale zdecydowanie przesunął w dół. I do góry. Mocno. Wciąż patrząc jej prosto w oczy.

Ostrożnie cofnął swoją rękę.

- Tylko, na miłość boską, nie przestawaj - jęknął.

Cynthia poczuła, jak tryumf miesza się w niej z lękiem. Osunęła rękę w dół. Mocno. I z powrotem do góry. Miles walczył z własnym ciałem; jego pierś unosiła się i opadała gwałtownie, palce z całej siły wpijały się w podłokietniki fotela.

Znowu przeciągnęła dłonią. I znowu. A nabrzmiały członek w jej pięści stał się jeszcze większy, jeszcze bardziej naprężony.

Powoli, ociężale uniośł ręce, żeby je wpleść w jej włosy. Jakby potrzebował się czegoś uchwycić, żeby nie stracić równowagi. Głowa opadła mu w tył, powieki miał półprzymknięte. Ściągnął na szyi nabrzmiałe. To był niesamowity widok: patrzeć, jak zмага się z obeszładniającą przyjemnością, i wiedzieć, że to ona jest jej źródłem - napełniało ją to nieopisanym zachwytem.

- Cynthio... - wykrztusił z niedowierzaniem. - Boże dopomóż... Pragnę cię...

„Przewrócić cię na podłogę i brutalnie posiąść”, mówił wcześniej. W tej chwili ona sama niczego innego nie pragnęła. A to by przecież dla niej oznaczało koniec wszystkiego - koniec wszelkich nadziei. Bo cnota była jedną z niewielu rzeczy, które mogła dać swojemu przysłusznemu mężowi.

Pewnie dlatego ją ostrzegał. „Czy nie widzisz, jak na mnie działasz?”

Jaka była głupia, ślepo wierząc w jego zdolność panowania nad sobą. Jaka nieostrożna, jaka samolubna, że postawiła go w takiej sytuacji. Ale nie żałowała. Jeszcze nie teraz. Na razie czuła taką władzę, jak jeszcze nigdy w życiu.

Miles wcisnął się plecami w fotel; odrzucił głowę do tyłu; jego gardło poruszało się w rytm przełykanej śliny, kiedy go pieściła. Urywany oddech wydzierał się pomiędzy rozchylnych warg; biodra raz po raz podrywał do góry, w kierunku jej ręki. Szybciej. Przesunęła się bliżej i posłusznie zwiększyła tempo, aż wspólnie znaleźli rytm, który mu odpowiadał.

- Cynthia... - westchnął - ...jak... dobrze...

A po chwili rzucił się naprzód jak rażony gromem, wyprężając się pod nią. Ogarnął ich błogi spokój. Miles opadł z powrotem na fotel bez ruchu, jakby wreszcie po egzorcyzmach ustąpił jakiś dręczący go demon. Słysząc było tylko jego zziębnięty oddech.

Zamknął oczy. Cynthia ze zdziwieniem spojrzała na swoje palce pełne ciepłego, wilgotnego nasienia. Oblała się rumieńcem. Potem zwróciła spojrzenie na niego. Patrzyła, jak próbował odzyskać oddech z głową opartą o zagłówek fotela, z kroplami potu na skroniach. Ciemne rzęsy spoczywały spokojnie na policzkach. Na brodzie widać

było już cień zarostu, który służący rano zgoli ostrą brzytwą. Zapragnęła nagle musnąć dłonią jego policzek, obrysować palcem te zdecydowane rysy twarzy, jakby w ten sposób mogła się dowiedzieć, dlaczego był właśnie taki, jaki był, zapragnęła odsunąć mu z czoła te ciemne jedwabiste włosy.

Wyglądał teraz jak chłopiec, wolny od trosk i trudnych decyzji, wolny od ciężaru odpowiedzialności, który złożyło na nim życie. Wyglądał zupełnie inaczej. Jak obcy człowiek.

Zachciało jej się płakać; czuła się jak zagubione dziecko.

Co było między nimi? Nie umiała tego określić ani nazwać, bo wydawało się nie mieć początku ani końca. Nie było na to miejsca w jej życiu. To nie mogło się dobrze skończyć. Należało to zakończyć w tej chwili.

Te myśli przestraszyły ją bardziej od intymnej bliskości. Zastygła w bezruchu. Oczami już szukała drogi ucieczki: drzwi. W tym momencie Miles spojrzał jej w twarz. Miała wrażenie, że chłonie ją wzrokiem i wyczuwa, o czym myśli.

Popatrzył na jej ręce. Nie zmienił wyrazu twarzy, ale przesunął się w fotelu i wyjął z kieszeni spodni chusteczkę do nosa. Bez słowa, delikatnie ujął jej dłonie i starannie wytarł je do czysta.

Nie miała pojęcia, co się mówi w takich okolicznościach, jako że jej zwykły arsenał środków - wdziek, uroda, inteligencja, dowcip - zupełnie nie przystawały do obecnej sytuacji. Siedziała oto na kolanach mężczyzny, który przed chwilą sprawił, że bezgłośnie krzyczała z niewypowiedzianej rozkoszy.

A ona odwzajemniła mu się tym samym.

Zrobiła ten gest prawie nieświadomie, zamiast użyć słów: uniosła rękę i dotknęła jego policzka grzbietem dłoni. Ale zaraz opuściła i rękę, i wzrok, bo speszył ją zagadkowy błysk w jego oczach.

Zsunęła się z jego kolan, nagle spiesząc się do wyjścia. A jednocześnie nie chcąc odchodzić. Podciągnęła koszulę; on też za jej plecami poprawił ubranie. Słyszała szelest materiału.

Zmierzył ją długim spojrzeniem, jakby się zastanawiał, co ma powiedzieć. A kiedy się już zdecydował, odwrócił głowę w drugą stronę.

- Nigdy więcej - powiedział wreszcie bardzo cicho i bardzo stanowczo. - To nie może się nigdy więcej powtórzyć.

Zanim wymówił te słowa, odmierzył je i zważył, ocenił i przebałał w laboratorium swojego umysłu. Prawie się uśmiechnęła. Gdyby to zrobiła, na pewno byłby to słodko-gorzki uśmiech.

Miles Redmond mówił tylko to, o czym był całkowicie przekonany. Zwrócił się do niej. Prosi ją o współdziałanie, pomyślała, bo nie ufa sobie samemu. Prosi ją, żeby już go nie wystawiała na próbę. Tylko skinęła głową.

Bo szczerze i gorąco się z nim zgadzała. Bo dotychczas uważała, że nie ma rzeczy, której by nie potrafiła zrozumieć, a teraz bała się, choć to uczucie było w zasadzie osobliwym przeciwieństwem strachu. Tak naprawdę miała ochotę uciec. A nigdy dotąd nie uciekała przed wyzwaniem.

Nie wiedziała, co mówi etykieta w sprawie odpowiedniego zachowania po... tym, co właśnie zrobili. Miles najwyraźniej też nie miał pojęcia. Pochylił się

niezgrabnie w jej kierunku, a potem wyprostował, kiedy ona się nachyliła. Odchyliła się z powrotem w tył, a on znowu do przodu.

I w ten sposób dwoje ludzi powszechnie znanych z dobrych manier i gracji przez kilka chwil stało naprzeciw siebie, robiąc uniki.

W końcu Miles zaczerpnął powietrza i stanął przed nią - mocno, zdecydowanie - a Cynthia zastygła w bezruchu. Podjął już decyzję. Powoli nachylił się ku niej - czas nabrał dziwnej gęstości i elastyczności - aż poczuła najpierw jego ciepły oddech, muśnięcie opadającego z czoła pasma ciemnych włosów, wreszcie dotyk jego warg na swoim policzku. Na chwilę przyłożył twarz do jej twarzy.

Serce szarpnęło jeden raz, mocno. Zamknęła oczy. Wciąż był rozpalony jak w gorączce, a jego zarost drapał ją w policzek. Wciągnęła w nozdrza zapach: pot, czysta bielizna, tytoń i mydło, a do tego delikatna piżmowa woń jego podniecenia. Ich podniecenia.

Bardzo wolno, jak ktoś, kto budzi się z letargu, Miles uniósł głowę; zniknęło ciepło jego skóry przy jej policzku. Odsunął się o krok. Sięgnął dłonią do nosa, ale nie było na nim okularów. Opuścił rękę.

Później, już w swoim pokoju, nie mogła sobie przypomnieć momentu, w którym wyszła. Nie pamiętała też zimnej marmurowej posadzki w holu pod stopami ani wypalonych do ogarków świec w kinkietach na ścianie, ani też długich cieni widocznych w świetle księżyca wpadającym przez wysokie okna. Wszystkie jej zmysły rozpamiętywały dotyk policzka Milesa i widok jego twarzy, kiedy powoli odsuwał się do tyłu, jakby musiał sobie to nakazywać całą siłą woli.

Cynthia obudziła się z kotem na głowie i natychmiast załapała ją fala niezrozumiałego, promiennego szczęścia. To była ta chwila tuż przed całkowitym odzyskaniem świadomości. Bo zaraz dotarło do niej, że dzień, który ją czeka, będzie jednocześnie końcem i początkiem.

Zdjęła z głowy swojego kociaka o miękkim futerku i pocałowała go na dzień dobry. Wysunęła się spod kołdry. Uniosła koszulę, żeby ją zdjąć przed umyciem twarzy i górnej połowy ciała w lawendowej wodzie.

Nagle zatrzymała się w pół gestu z koszulą na głowie, bo zdała sobie sprawę, że wciąż czuje jego zapach. Zapach jego skóry, jego potu. Na koszuli, na swojej skórze. Zaczęła wciągać ten zapach łapczywymi haustami. Po czym dotarło do niej, że dziwnie by to wyglądało, gdyby pokojówka zastała ją z koszulą na głowie, obwąchującą materiał.

Gestem pełnym czci całkiem zdjęła koszulę i delikatnie odłożyła na bok, jakby rzeczywiście zdejmowała z siebie jego zapach. Z taką samą czcią umyła twarz i ciało.

„To się nie może powtórzyć”. Tak powiedział. Nie, zdecydowanie nie może. Już ona o to zadba. Muszą się trzymać od siebie na dystans. Powiedziała sobie, że jej instynkt samozachowawczy ją obroni, a poza tym zostaje tu przecież jeszcze tylko przez tydzień.

Jeszcze tylko tydzień.

Na grzbietach dłoni poczuła lodowate zimno.

Otworzyła szafę i potrząsnęła swoją chudą sakiewką. Za tydzień skończy się przyjęcie. Zostanie z trzema

funtami w kieszeni. Z walizką znoszonych ubrań. I z kotem.

I nie będzie miała gdzie się podziać.

Usiadła ciężko na łóżku, bo nagle wydało jej się, że przeżywa na jawie swój nocny koszmar o spadaniu. Spojrzała w lustro, ale nie miała ochoty oglądać osoby, którą w nim zobaczyła. Kto by chciał zatańczyć z taką spiętą, wystraszoną dziewczyną?

Ale trzeba przyznać, że przynajmniej nadal była ładna.

To zabawne. Była piękna. Dumna. Inteligentna. Zaradna. I nie potrafiła absolutnie niczego.

Poza tym, co właśnie robiła.

Zaśmiała się sama z siebie, znowu pocałowała kotka, dumnie wyprostowała łopatki i zeszła na śniadanie. Jakoś zupełnie nie miała apetytu. Nerwy zamieniły jej żołądek we wściekły wir.

Przy zalanym słońcem stole siedzieli już wszyscy oprócz Milesa, co przyjęła z ulgą. Nałożyła sobie na talerz jajek i śledzi, których i tak nie zje, i zaczęła się zabawiać układaniem ich w artystyczne kupki. Popatrywała przy tym na Goodkinda.

Zerkała na niego. Uśmiechała się nieśmiało. I próbowała nie wyobrazić go sobie w damskim kapelusiku na głowie, z jedwabną wstążką pod brodą. Tak czy inaczej, pasowałby mu błękit.

Uśmiechnął się do niej. Miał naprawdę sympatyczny uśmiech, musiała przyznać. I dość ładne oczy, choć dzisiaj rano wydawały się akurat troszkę mętne. No i to wysokie czoło, lecz to przecież normalne u mężczyzn w tym wieku.

- Panno Brightly - odezwał się znienacka. - Czy nie miałyby pani ochoty przejść się ze mną po ogrodzie?

Chciałbym panią zapytać o kilka rzeczy związanych z moją książką.

Głos też miał jakiś niewyraźny. Widocznie Jonathan i Argosy przetrzymali go do późna w nocy.

Violet mrugnęła porozumiewawczo, niezbyt się z tym kryjąc. Cynthia kopnęła ją w kostkę pod stołem. Georgina spojrzała zachęcająco, więc Cynthia zapragnęła kopnąć również Georginę, choć z zupełnie innego powodu.

Lady Windermere zrobiła zdziwioną minę i zerknęła na Argosy'ego. Który prawie zgrzytał zębami. Kiedyż ten człowiek wreszcie pojmie, że udawana obojętność daje kiepskie rezultaty? Cynthia posłała mu pojednawczy uśmiech, co sprawiło, że przestał tak mocno zaciskać szczękę.

Cóż, ona miała swój cel. Kto pierwszy, ten lepszy. Trochę żałowała w tej chwili, że nie może tego wyjaśnić Argosy'emu. Pozostał mu tylko tydzień, żeby się zdecydować, zanim Kopciuszek znowu stanie się posługaczką.

W ogóle nie tknęła śniadania.

Ale mimo wszystko poszła z Goodkindem na ten spacer w pobliże alejki z różami, bo ustalili, że oboje lubią róże. Ogrodnik właśnie przyszedł poprzycinać krzewy i zaczął pracę kawałek dalej, ścinając wielkie, przekwitłe kwiaty do koszyka. Spacerując, słyszeli szcęk nożyc. Taki uspokajający letni dźwięk.

- Więc jak panu idzie praca nad książką, panie Goodkind? Znalazł pan tutaj inspirację?

- Och, panno Brightly, muszę pani podziękować. Pomogła pani nadać mojej pracy zupełnie nowy wymiar.

Przy bliższych oględzinach Cynthia dostrzegła, że jego marna czupryna leży smutno przyklapnięta do czaszki, tłusta i wymęczona.

Przyjrzała się jeszcze uważniej: nie, to nie światło słońca padające przez liście. Jego twarz naprawdę miała zielonkawy odcień. Goodkind zorientował się, że Cynthia mu się przygląda.

- Wczoraj wieczorem pan Jonathan Redmond i lord Argosy namówili mnie na partyjkę bilardu. Obawiam się, że przegrałem za dużo pieniędzy i wypilem za dużo brandy.

- Czy poprosił pan o proszek od bólu głowy, panie Goodkind? - zapytała usłużnie.

- O nie. Uważam, że aby naprawdę żałować swoich wykroczeń i z przekonaniem o tym pisać, muszę ponieść konsekwencje. - Rzucił jej dwuznaczne spojrzenie. - A pani wcale nie wygląda na zmęczoną.

Był to po części komplement, a po części oskarżenie. Zatrzymał się przy ławeczce, jakby pytając: „Usiądziemy?”

- Cóż, być może pani jest przyzwyczajona do nocnych rozrywek - powiedział, kiedy już usiedli.

- Być może - odparła ostrożnie.

Zauważyła, że patrzy na jej ręce. Ciekawe, czy zachwyca się rękawiczkami. Lekko ścierpła jej skóra na karku. Doprawdy, przecież ten człowiek wyglądał tak zwyczajnie.

Pomijając oczywiście tę zieleń na twarzy.

- Spotkała się pani z różnego typu zdrożnościami, panno Brightly?

Wzdrygnęła się. Nie była pewna, czy on flirtuje. Bo brzmiało to całkiem jak wstęp do flirtu. Albo... Albo może właśnie próbuje ją wysondować, na ile jest tolerancyjna dla różnego rodzaju zdrożności? Czy przebieganie się w

kobiece ubrania kwalifikowało się według niego do zdrożności?

O ile jej pamięć nie myliła, nigdy nie słyszała, żeby pastor potępił coś takiego z ambony. Może pan Goodkind cierpi z powodu swoich skłonności.

Spojrzała w jego bladobłękitne oczy. Ciekawe, czy lubi właśnie błękitne fatalaszki? Kapelusiki wyłożone błękitnym materiałem? Rękawiczki z niebieskiego zamszu?

- Spotkałam się z różnego typu... potrzebami i zachowaniami - zaczęła ostrożnie.

- Naprawdę? - Otworzył szeroko oczy. I skrzywił się, bo ostre światło podrażniło mu obolałą głowę. Najwyraźniej skrzywienie się też nie przyszło mu bezboleśnie. - Może o tym porozmawiamy, panno Brightly?

To już zabrzmiało całkiem jak zaproszenie do rozmowy znaczącymi półsłówkami.

- Na przykład... wiadomo mi, że niektórzy panowie mają... specyficzne potrzeby.

Goodkind spojrzał na nią z pewnym zainteresowaniem.

- P-potrzeby?

Rozluźnił się nieco, a jego kolano prawie ocierało się o jej nogę w sposób, który miał wyglądać na zupełnie przypadkowy. Czula jego zapach pomimo mocnej woni róż. Zasadniczo pachniał czystością. Mydłem do golenia. Ciągłe rzucał ukradkowe spojrzenia to na jej dekolt okolony białym muślinem, to na usta. Wreszcie skierował wzrok na jej ręce w białych rękawiczkach i tam się zatrzymał. Jego dłoń przesunęła się na ławce w kierunku jej ręki.

Jeśli mowa o potrzebach, to stwierdziła, że będzie musiała być bardzo ostrożna, żeby przypadkiem nie musiała się bronić przed niewczesnymi zalotami Goodkinda w ogrodzie.

Wyciągnęła więc rękę i dotknęła róży, która zwieszała się przez oparcie ławeczki. Goodkind cały czas podążał za nią wzrokiem. A więc to jednak rękawiczki.

Odwróciła się do niego.

- Ale czy i my wszyscy nie mamy swoich specyficznych potrzeb? I czy nie powinniśmy być wyrozumiali wobec odmienności innych ludzi?

- Panno Brightly - szepnął. - Ma pani naprawdę rewolucyjne poglądy.

Zabrzmiało zachęcająco.

- A dwoje ludzi, z których każde ma odmienne potrzeby, może znaleźć sposób na to, żeby je pogodzić.

To go nieco zbiło z tropu.

- Możliwe, że tak - zgodził się ostrożnie.

- Ja na przykład... nieźle szyję. Co oznacza, że nie miałabym kłopotu z uszyciem wyjątkowo dużej podwiązki.

- Spojrzała na niego z ukosa. - Tak dużej, że weszłaby nawet... na męskie udo.

Goodkind zeszywniał. Przez moment słyhać było tylko nożyce przycinające różę.

- Czy w dalszym ciągu rozmawiamy o specyficznych potrzebach, panno Brightly? - zapytał z wahaniem.

- O tak - uspokoiła go.

Delikatnie zmarszczył brwi. Otworzył usta. Wysunął palec wskazujący, jakby się szykował do wyjątkowo żarliwej przemowy. Po czym urwał, bo od marszczenia czoła zrobiło mu się odrobinę niedobrze.

- I bardzo lubię się dzielić - dorzuciła, chcąc go ośmielić.

- Cóż... to bardzo szlachetna postawa. - Rozchmurzył się nieco.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby się dzielić swoimi kapelusikami. Na przykład... - Wzięła oddech, szykując się do skoku na głęboką wodę. - Mam taki jeden, w którym byłoby panu wyjątkowo ładnie. Pasuje do kształtu pana twarzy.

Goodkind wybałuszył swoje blade oczy.

- I ma błękitną lamówkę - dodała na zachętę.

Wlepił w nią zdumione spojrzenie. Bardzo, bardzo powoli wstał i bardzo, bardzo powoli się wyprostował, zupełnie jakby był inwalidą.

- Jaskinia - mruknął ponuro, oszołomiony.

- Słucham? - Teraz zaczęła się denerwować.

- Jaskinia! - ryknął do niej i w niebo.

Stał nad nią wyprostowany. Zza krzaków dobiegł cichy okrzyk - przestraszył ogrodnika. Cynthia odsunęła się w tył.

- To miejsce to jaskinia rozpusty! Najpierw mnie pani zachęca, żebym się upijał do nieprzytomności, potem młody Redmond i ten paniczyk ogrywają mnie w bilard, a teraz kusi mnie pani tą swoją słodką twarzyczką i tym gadaniem o różnych skłonnościach i chce mnie pani przebrać w podwiązki i damski kapelusz, żeby zaspokoić swoje „specyficzne potrzeby”? Pani jest zepsuta, panno Brightly. Zepsuta do szpiku kości przez swój pobyt wśród londyńskiej socjety.

- Panie Goodkind...

Ale on tylko ze smutkiem pokręcił głową.

- Będę się modlić za pani duszę, panno Brightly. Jednak muszę pani podziękować. Bo pani jest jak diabeł w anielskiej skórce. Dzięki pani poznałem, czym jest pokusa, przekonałem się, że potrafię jej stawić czoło i moja książka na pewno na tym zyska. Ale nie zamierzam dłużej pozostawać w tej jaskini rozpusty i nie założę podwiązki. Dla nikogo! Odjeżdżam.

Odwrócił się, żeby odejść. Przeszedł kilka metrów, ale jeszcze obejrzał się za siebie.

- I niech pani pamięta, żeby kupić moją książkę, kiedy się ukaze na jesieni - dodał na odchodne, już nieco mniej obrażonym tonem.

Po czym stanowczym krokiem pomaszerował do domu.

- Podwiązki - mruczał pod nosem.

Miles właśnie zsiadł z Ramsaya i już miał podać lejce chłopcu stajennemu, kiedy osadził go w miejscu jakiś głos.

- Panie Redmond?

Głos należał do Cynthii. Nie był pewien, czy jest zadowolony, że ją słyszy, bo właśnie przez cały ranek usiłował zmusić swoje ciało i umysł, żeby o niej zapomniały. Specjalnie wybrał się na męczącą przejażdżkę, podczas której zajął się obmyślaniami skomplikowanych planów wyprawy do Lacao.

Ale w jej głosie brzmiał jakiś złowróźbny ton. Odwrócił się powoli.

Widać było, że jest zaróżowiona od szybkiego marszu. Niecierpliwym ruchem zsunęła kapelusz z głowy; opadł na wstążeczkach na plecy, a spocone kosmyki włosów przylepiły jej się do czoła. Wyglądało na to, że go specjalnie szukała. Musiała wypytywać, gdzie może go znaleźć.

Nie wiedzieć czemu, poczuł się troszkę... nieswojo.

- Dzień dobry, panno Brightly - powiedział ostrożnie.

Kątem oka dostrzegł stajennych, którzy czekali na rozkazy i pewnie będą podsłuchiwać, jeśli tylko da im okazję. Ale nie mógł nic na to poradzić. Nieważne, cokolwiek by się działo, cudownie ją było zobaczyć, więc odezwał się cicho.

- Czym mogę pani słu...

- Wygląda na to, panie Redmond, że bardzo obraziłam pana Goodkinda tym, co mu powiedziałam.

O nie.

- Czyżby? - Nonszalancja w najczystszej postaci. - A czy może mi pani, hm, powtórzyć, co takiego mu pani powiedziała?

Chwila namysłu.

- Nie. - Jedna krótka, nieodgadniona sylaba. - Nie mogę. Czekał, aż powie coś więcej. Odchrząknął.

- A czemu myśli pani, że go to obra...

Cynthia bardzo szybko podeszła do niego i stanęła tak blisko, że mógłby policzyć jej rzęsy. Oczy jej płonęły, a na policzkach miała dwie purpurowe plamy. No cóż. Czyli można bez wątpienia powiedzieć, że jest rozzłoszczona.

- Pan Goodkind kazał spakować swoje bagaże i wziął powóz, żeby zmienić klimat, jak się wyraził, na zdrowszy. A wszystko przez to, co powiedziałam.

- Naprawdę? - zdziwił się głupio Miles.

Grał na zwłokę. Przed chwilą nerwowymi gestami przegonił stajennych, którzy rozsądnie uciekli na drugą stronę dziedzińca, czując, że zaraz rozpęta się burza.

- Okłamał mnie pan, prawda? Kiedy mówił pan o tej jego niby-słabostce? O przebieraniu się w damskie rzeczy?

- Cóż... - W dalszym ciągu próbował wyobrazić sobie oburzenie Goodkinda, a kiedy pomyślał o prawdopodobnej treści ich rozmowy... ledwo powstrzymał uśmiech. Co ona mu takiego powiedziała? - Być może... coś tam zmyśliłem...

Urwał. Bo ona wyglądała na wstrząśniętą.

- To nieuczciwe - wyszeptala. - To, co pan zrobił... Nie wolno... Tak się nie godzi.

- Nie godzi? - Co za dziwny zwrot.

Nie był w stanie ocenić jej nastroju.

Cynthia oddychała ciężko.

- To nie jest zabawa. - Głos jej trochę drżał.

- To nie jest zabawa? - Roześmiał się krótko. - „Och, panie Redmond” - zapiszczał cieniutko. - „Jakie to cie...”

Rzuciła się na niego, zanim zdążył zrobić unik, i uderzyła go pięścią.

- Dla mnie to nie jest żadna zabawa!

- Cynthio! Chryste Panie...

- To nie zabawa! - Znów go uderzyła. I to mocno.

Za trzecim razem złapał ją za ręce i przytrzymał, jakby chciał spętać dzikie zwierzątko. Jak na tak drobną osobkę, była zaskakująco silna.

- Ech ty... ty i te twoje pieniądze, ten twój rodzinny splendor i rodowa historia. Ty i Violet możecie się bawić w romanse. Bo w końcu i tak wszystko wam się dobrze ułoży. Ale ja nie mam nic z tych rzeczy. Nic. Nie mam nikogo. A ty właśnie zabawileś się kosztem mojej przyszłości. Dlaczego ja nie mam prawa mieć tego co Violet? Tego, co tobie przyjdzie tak łatwo? Dlaczego nie mogę? Przeklęty... podły... snob! - Mogła użyć jakiegoś innego, bardziej dosadnego określenia, bo nie wątpił, że takie znała; ale i to zabolalo.

Chciała go kopnąć w kostkę; odsunął się.

- Cynthio! Proszę cię! Po prostu...

Podniosła głowę i usiłowała wyszarpnąć mu rękę. Przynajmniej nie gryzła. Na razie.

- Wiem, co sobie o mnie myślisz, Miles. Wiem, co o mnie dotąd myślałeś. Ale ja też mam serce. Mam serce. Tylko nie mogę pozwolić sobie na to, żeby go słuchać. Nie rozumiesz? Czemu nie możesz tego zrozumieć? Bo ty, ty możesz się bawić w miłość, jak długo zechcesz. W końcu i tak kogoś sobie znajdziesz. I to jest ta różnica: ja nie mogę sobie pozwolić, żeby kierować się sercem. A ty, ty po prostu nie chcesz tego robić.

Oszupiały nie wypuszczał jej rąk. Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Głos jej się załamał.

- Ja też mam serce - powtórzyła cicho, ze znużeniem, jak gdyby jacyś niewidzialni słuchacze twierdzili, że jest czarownicą bez serca. Jak gdyby przyznawała się do posiadania jakiejś wstydlivej słabości.

Odwróciła głowę i bez przekonania próbowała mu wyrwać rękę. Ale on nie puszczał. Taki wąty miała ten nadgarstek. Ale skóra była ciepła, widocznie rozgrzana złością i strachem.

- Cynthio... - powiedział stanowczo. - Czy ty w ogóle masz jakieś pieniądze? Masz gdzie się podziać, kiedy stąd wyjedziesz?

Odwróciła twarz. Wciąż ciężko oddychała. Nie chciała spojrzeć mu w oczy. Chodziły słuchy, że nie miała pieniędzy ani rodziny. Zawsze wydawało mu się, że to przesadzone pogłoski, zwielokrotnione przez plotkę.

- Powiedz - zażądał.

- Za jakiś tydzień zostanę bez grosza. I nie, nie mam dokąd pojechać, kiedy to przyjęcie się skończy. Nie mam nikogo.

Podarował jej kotka, dał jej rozkosz swoimi dłońmi i językiem, sam doznał od niej rozkoszy. „Bawisz się w romansie”. A ona była taka wyrachowana, bo w środku umierała z przerażenia.

Lęk o nią ścisnął mu żołądek. O Boże. Zachował się jak skończony idiota.

- Lubiłam go - odezwała się w końcu. Ciągłe jeszcze słyhać było w jej głosie ten dziwny, przerażony i zmęczony ton. - Goodkinda. Był napuszonym nudziarzem, ale był dość miły, był bogaty i podobałam mu się. Z nim byłabym... - Pokręciła głową. - Byłabym bezpieczna.

Wyobraził sobie tę kobietę, ten rozbłysk zmysłowości, który miał przed sobą, jako żonę „dość miłego” człowieka. Czy skończy jak inne arystokratki, przemykające ciemnymi korytarzami na schadzki? Albo ucieknie z Cyganami?

Nie, ona pragnęła bezpieczeństwa. Nigdy dotąd go nie zaznała. Powiedziała mu zresztą, że byłaby wierną żoną. Nie wątpił w to. Miała w sobie dość siły.

Nadal ciasno obejmował dłonią jej nadgarstek, jak gdyby chciał ją zatrzymać, żeby nie uleciała gdzieś daleko, a ona ciągle miała zaciśniętą do białości pięść. Jej ciało dygotało ledwo dostrzegalnie, na twarzy widać było malinowe plamy wypieków.

- Powiedz mi, co się wydarzyło w Londynie, Cynthio - poprosił cicho. - Co tam się takiego stało?

Westchnęła. Czekał cierpliwie.

- Nie jestem dobra - powiedziała wreszcie cichutko.

Intrygujący początek opowieści.

- Nie?

- Nie. Ktoś przeze mnie omal nie zginął.

- Ach. - Odchylił głowę do tyłu, a potem pokiwał nią ze zrozumieniem. - Opowiedz mi o wszystkim.

Przez chwilę trwali w milczeniu. Wokół nich unosił się ciężki zapach siana, skóry i końskiego potu.

- Było tak cudownie - zaczęła łamiącym się głosem. - Gdybyś wiedział, co dla mnie znaczył ten sezon w Londynie. To był istny cud, ledwo mogłam w to uwierzyć. Byłam wręcz rozchwytywana.

- Pamiętam. Brylant pierwszej wody i tak dalej.

Wyrwał jej się dziwny dźwięk. Podobny trochę do śmiechu, ale bardziej żalсны.

- I tak dalej.

- I?

Westchnęła.

- To było coś wspaniałego. Nigdy dotąd nie przeżyłam nic podobnego. Mogłam, był taki moment, kiedy mogłam dosłownie przebierać w zalotnikach, Miles. Byłam w szoku. W tym krótkim czasie nic innego się nie liczyło ponad to, że byłam piękna, miałam wdzięk i oryginalność.

„Bardzo modnie jest się w niej kochać”. Tak powiedział mu wtedy Albemarle. A przecież, uświadomił sobie Miles, nikt z tych ludzi tak naprawdę jej nie znał. Bo im na to nie pozwoliła.

- A potem? - zapytał.

- A potem... Cóż... Courtland... Courtland mi się oświadczył.

Jedyne, co Miles wiedział na temat Courtlanda, to, że był młody i arogancki. Miał obie nogi i ręce na swoim miejscu, regularne rysy twarzy, wyborne maniere. Skupował piękne konie. Miał mocną głowę, niezłe strzelał. Innymi słowy, wiedział to, co zwykle mężczyźni wiedzą na

temat innych mężczyzn o podobnej pozycji społecznej. Nie miał za to pojęcia o jego charakterze. Ale skłonny był go uważać za porządnego człowieka, skoro nie odtrącił Cynthii ze względu na brak koneksji rodzinnych.

- Znam Courtlanda.

- Chciałabym, żebyś to zrozumiał, jeśli potrafisz. Ale nie wiem, czy będziesz w stanie. Bo ty... masz za sobą setki lat rodzinnej tradycji. Wszędzie masz krewnych. A dla mnie... dla mnie Courtland to było szczęśliwe zakończenie historii. Nigdy nie miałam poczucia, że gdzieś przynależę. Dzieje mojej rodziny są dość niejasne. Więc pomyślałam sobie, że w końcu będę szczęśliwa. Będę miała rodzinę. Czemu nie?

- Słusznie, czemu nie? - powiedział to lekkim tonem, żeby ją uspokoić, ale całym sobą czuł ten przygniatający ciężar i głębię samotności, którą w sobie nosiła. I nie miała nikogo, kto by jej w tym ulżył. Musiał powstrzymać nagłą chęć utulenia jej w ramionach, bo tak naprawdę pocieszałby siebie, a nie ją. Zdusił też nagły gniew, wymierzony przeciwko nie wiadomo komu, bo i to w niczym by jej teraz nie pomogło.

- Standshawowie pochodzą z Little Roxbury, a ja przyjaźniłam się z Lizą. Udało nam się poznać właściwych ludzi. Miałam ledwo dosyć pieniędzy, żeby pokupować sobie suknie na cały sezon, ale zaryzykowałam; kupiłam je i... wiesz, jak to wyglądało. Wręcz bili się o mnie. Mężczyźni w Londynie. - Jeszcze teraz w jej głosie pobrzmiwało echo niedowierzania.

- Słyszałem. - I to nieraz.

- Bawiło mnie to i podniecało, Miles. To prawda, ja rzeczywiście bawiłam się nimi i nastawiałam jednych przeciw drugim. Sama nie wiem, czemu to robiłam. Po

części dla czystej radości przekonania się, że ktoś mnie chce. Bo po raz pierwszy w życiu ktoś mnie chciał, wszyscy mnie chcieli! A z drugiej strony miałam potrzebę ciągłego sprawdzania, czy ten cud będzie trwał, czy czar nie pryśnie. Bo nie wierzyłam, że to możliwe. Więc sprawdzałam i sprawdzałam, a czar trwał i trwał. Aż...

- Co się w końcu stało?

Za jego plecami Ramsay zarzął, jakby chciał odchrząknąć, żeby o sobie przypomnieć. Ekhem, cały czas mam na sobie siodło. Ale Ramsay będzie musiał poczekać.

- To wszystko wydawało mi się takie niemądre i przesadzone: te zakłady, ta rywalizacja, kłótnie o to, kto mi przyniesie szklanekę ponczu, zazdrość. Zwykle męskie prężenie mięśni. Ale Courtland naprawdę był zazdrosny. Miał wybuchowy charakter. - Zaśmiała się krótko.

Mężczyzna potrafi stracić głowę na tysiąc głupich sposobów. Zwłaszcza dla kobiety.

- Więc był jakiś pojedynek?

Zrezygnowana westchnęła. Popatrzyła na niego już spokojniej.

- Chcę, żebyś wiedział, że mi na nim zależało - powiedziała opanowanym tonem. - Naprawdę. Albo tak mi się zdawało. Ale komuś innemu udało się... skraść mi całusa w ogrodzie. To był naprawdę tylko zwykły całus - zapewniła.

Teraz już wiedziała, że istnieją pocałunki zupełnie niezwykle, ale nie chciała mu opowiadać o tym, jak całowała się z kimś innym.

- Powiedziałam o tym Courtlandowi. Żeby go sprawdzić. A Courtland wyzwiał tamtego na pojedynek.

Na samo wspomnienie o tym znowu zeszywniała. Delikatnie pogładził kciukiem wewnątrz jej nadgarstka.

- W ogóle nie chciał słuchać głosu rozsądku. Ta jego przeklęta duma. Więc pojedynek się odbył. On... - Odchrząknęła. - Tamten go postrzelił - kontynuowała po chwili. - W ramię. To była bardzo poważna rana. Omal nie umarł, mało brakowało. Tak mi przynajmniej powiedziano. Powiedziano, bo nie dali mi nawet na niego spojrzeć, kiedy zabierali go do powozu i... od tamtej pory go nie widziałam - zakończyła cieniutkim głosikiem. - Jego rodzice wyciszyli całą sprawę. Bo przecież pojedynki nie są legalne - dorzuciła z ironią. - I postarali się o to, żeby wszyscy odwrócili się ode mnie. Wszyscy. Byłam jak zadzumiona. A on zerwał zaręczyny w liście. - Znowu się zaśmiała. W jej śmiechu pobrzmiwała lekka gorycz. - Nie powiem, że sobie na to nie zasłużyłam. A cała tajemnica wokół tej historii zaintrygowała Violet, która zaprosiła mnie tutaj. Zawsze miałam więcej szczęścia, niż sobie na to zasłużyłam - zakończyła cynicznie.

Szczęście. Miles raczej tak by tego nie nazwał.

- Sam widzisz, chociaż to nie ja pociągnęłam za cyngiel, to jednak zabawiłam się jego życiem. A on za to zapłacił. Więc nie jestem dobra.

Poczuł nagłą złość.

- Cynthia. Dość już tego samobiczowania. Nie umiem ci powiedzieć, co to znaczy być „dobrym”. Może właśnie, jak sama przekonywałaś Goodkinda, oznacza to, że ktoś nie ma na tyle wyobraźni czy charakteru, żeby być „złym”. Nie pochwalam tego, co zrobiłaś, i ale potrafię to zrozumieć. A ten wariat Courtland miał wolną wolę. Sam jest sobie winien, że się dał postrzelić. Za to o twoim dobrym sercu świadczy to, że dręczysz się tym, co spotkało Courtlanda

albo przejmujesz się tym, co może sprawić przyjemność Milthorpe'owi. O twoim dobrym sercu świadczy to, że są ludzie, którzy chcą cię uważać za przyjaciółkę i chcą ci pomóc. Tu chodzi o ciebie, Cynthio.

Nie widzisz tego? Nie czujesz się dobra, bo nie podoba ci się to, jak traktujesz innych czy samą siebie. Ale ludzie cię lubią, bo jesteś dobra. A poza tym przede wszystkim jesteś sobą. A to... - głos mu się załamał. - A to się liczy najbardziej.

Patrzyła na niego wielkimi oczyma. Z ustami otwartymi ze zdumienia. Słuchała z napięciem.

- Ale to nie znaczy, że wolno ci się bawić ludźmi tylko dlatego, że się boisz. Mówię tu o Milthorpie, Argosym, Goodkindzie czy kimkolwiek innym. Strach cię nie tłumaczy.

Szarpnęła głową w tył, jej źrenice się rozszerzyły.

- Wcale się nie boję.

- Boisz się - powtórzył stanowczo. - I masz prawo się bać. Każdy by się bał na twoim miejscu - ciągnął bezlitośnie. - Tak się boisz, że jesteś skłonna zrezygnować ze wszystkiego innego, co dla ciebie ważne, żeby tylko uwolnić się od tego strachu. Sama sobie robisz krzywdę, nie widzisz? I w dodatku, na Boga, jesteś zbyt dumna. Udzieliła jej się jego złość.

- Dumna? Ciekawe, że pan przygania garnkowi, panie Kocioł! Tak zabawnie przekreśliła to powiedzenie, że natychmiast przestał prawić jej kazanie.

- A co z lady Georgią, Miles? Myślisz, że będziesz z nią szczęśliwszy, niż ja byłabym z Goodkindem? Albo z Milthorpe'em? Tyle że ty właściwie całą pracę masz już z głowy. To twój ojciec ją dla ciebie wybrał, prawda? Podał

ci ją niemalże na tacy, a razem z nią spełnienie wszystkich twoich marzeń.

- Mam za sobą wieki historii rodu, mój starszy brat zniknął i ciąży na mnie obowiązek wobec ludzi, którzy mnie potrzebują. Nie mogę tego wszystkiego porzucić ot tak.

- Rozumiem cię. Naprawdę, rozumiem. I nie mam ci tego za złe, przysięgam. Ale to nie zmienia faktu, że mam rację. W niczym nie jesteś lepszy ode mnie.

W milczeniu przyznał jej rację.

- Co powinnam twoim zdaniem zrobić? - Jej głos nabrał ostrych tonów. - Chcę mieć takie życie jak ty i Violet. I będę je miała. Dlaczego i ja nie mogłabym wyjść dobrze za mąż, mieć dom i pieniądze? Do niczego innego się nie nadaję. Nie proponuj mi pieniędzy, Miles, bo ich od ciebie nie wezmę. Chcę mieć własne życie. I rodzinę. Jak myślisz, co innego mogę zrobić?

Zostań ze mną na zawsze. Bądź moją kochanką. Kochaj się ze mną co noc, tak długo, jak będziemy w stanie. Wyczytała tę myśl w jego oczach, a on w jej spojrzeniu zobaczył, że mogłaby się na to skusić.

- Nie mów tego - poprosiła cicho.

Westchnął.

- Nie mógłbym cię o coś takiego prosić - zapewnił.

Następna chwila upłynęła im w milczeniu. Konie w boksach nerwowo rżały, gdzieś w oddali ptak wyśpiewywał swoją radość w słońcu.

- Po prostu... zacznij dostrzegać w ludziach to, jacy są naprawdę, a nie to, co mają, Cynthio. Bo na razie widzisz tylko dwadzieścia tysięcy funtów. Albo ponurego młodszego syna.

Wyrwało mu się, zanim zdążył się powstrzymać.

Zamarła.

A po chwili:

- Och - zachłysnęła się. Na jej twarzy pojawił się ten wyraz zdumienia, jak u człowieka, który właśnie dostał pięścią w żołądek. - Teraz już ro... Och, Miles. Więc ty mnie wtedy słyszałeś. Na tym balu. Kiedy mnie po raz pierwszy zobaczyłeś. U Malverneyów. Ta błękitna suknia. I moja... twarz. Słyszałeś, jak rozmawiałam z Lizą. O tobie.

- Więc pamiętasz, co wtedy powiedziałaś - rzucił lekko.

Zrobiła się poważna. Przez chwilę milczała.

- Mówiłam już, nie jestem dobra.

- W każdym razie teraz już rozumiem, dlaczego to powiedziałaś.

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

- To... nie było miłe.

- Trudno zaprzeczyć - odparł ironicznie.

- Pewnie musiałeś mnie wtedy znienawidzić.

- Nigdy - zapewnił ją. - Przenigdy nie czułem do ciebie nienawiści.

Zajrzała mu w twarz badawczo jak jubiler pochylający się z lupą nad klejnotem, jakby się chciała upewnić, że dobrze oceniła każdy odcień jego uczuć i że na pewno nie ma do niej żalu.

- Nie miałaś tego usłyszeć - tłumaczyła się.

- Jakoś mnie to nie dziwi - odparł z przekąsem.

Mały uśmieszek przewinał się przez jej usta.

- Wcale tak nie myślałam - spróbowała jeszcze raz.

- Oczywiście, że tak myślałaś.

Westchnęła.

- Niech ci będzie. Masz rację, myślałam tak.

Znowu umilkli, wspominając tamten wieczór.

Aż wreszcie zadała to pytanie, które i Miles sam sobie stawiał. To straszne pytanie.

- A gdybyśmy wtedy zatańczyli, Miles... Gdybyśmy zaczęli rozmawiać, gdyby nas sobie przedstawiono?

- Cynthio, to wszystko, co wiem o tobie, wiem dopiero od niedawna - powiedział stanowczo, bo znowu miała w głosie strach. - Nic by to nie zmieniło. Nawet gdybyśmy zatańczyli, nie poznałabyś mnie tak naprawdę. A ja nie poznałbym prawdziwej ciebie. Byliśmy wtedy zupełnie inni niż teraz. Zmieniliśmy się oboje.

Nie dodał: ja zmieniłem ciebie, a ty mnie.

Opuściła wzrok. Zauważył, że jej buty mają zniszczone noski i zdeptane obcaszki. To nagłe przypomnienie jej beznadziejnego położenia sprawiło, że poczuł na karku zimny dreszcz niepokoju.

Ponieważ chciał, żeby znowu na niego spojrzała, zaczął mówić dalej:

- Masz rację, Cynthio. Być może jestem dumny. Redmondowskie dziedzictwo i tym podobne. Chyba nie spodobało mi się, że zostałem wtedy przez ciebie zlekceważony. I to może właśnie urażona duma po części sprawiła, że cię okłamałem co do Goodkinda. Chciałem w ten sposób coś udowodnić.

Podniosła oczy. Takie błękitne. Moje serce jest całe w błękitach, pomyślał idiotycznie.

- Urażona duma sprawiła, że skradłeś mi pocałunek pierwszego dnia - powiedziała cicho.

Sprytna z niej dziewczyna.

Słowo „pocałunek” zawisło w powietrzu jak chmura opium. Odurzająca tym, co mogłoby się stać. On mógłby bez trudu pokonać odległość między nimi - wystarczyłoby, żeby pochylił głowę i już dotknąłby ustami jej miękkich

warg. Objąłby dłońmi jej twarz małego kociątka i sprawił, że nie myślałaby o niczym poza jego rękami, ustami, językiem. Zsunąłby wargi na jej szyję, a ręce włożył pod miękkie, ciepłe muślin sukienki, żeby objąć jej piersi...

- Żałujesz? - zapytał schrypniętym z emocji głosem.

Mocniej ścisnął jej rękę. Widział drganie pulsu na jej szyi i czuł je pod swoją dłonią na jej nadgarstku. Była jak porażona.

Sam nie wiedział, czemu o to zapytał. Żadna odpowiedź nie była dla nich dobra. Więc uwolnił jej ręce z uścisku. Powoli.

Cofnęła je takim ruchem, jakby dawał jej prezent. Bezwiednie dotknęła palcami miejsca, w którym ją trzymał.

- Zraniłam cię? - Wyciągnęła dłoń, jakby chciała mu ją położyć na piersi, tam gdzie wcześniej uderzyła go pięścią, ale zatrzymała się w pół gestu, zanim go dotknęła. Miles ujrzał w pamięci echo ich pierwszego pocałunku. Wtedy też jej ręce zawisły niepewnie w powietrzu tuż przed nim. Pamiętał ból, który przeszył go wtedy na myśl, że mogłaby go odepchnąć.

Opuściła rękę.

- Tak - odparł z pewnym zdziwieniem. - Trochę. - Położył rękę na sercu, które biło tylko dla niej. Ponieważ ona już nie mogła go dotknąć. Nie chciała i nie powinna.

Kącik jej ust drgnął lekko.

- Dobrze ci tak.

Milczeli. Dzielili ich raptem krok, ale tak naprawdę była to ogromna przepaść.

- Cynthio, przepraszam cię za Goodkinda. Przysięgam ci, że wszystko naprawię.

- Jeżeli o niego chodzi, to już chyba trochę za późno - stwierdziła rzeczowo. - Powiedział... różne rzeczy... i odjechał. Nie śmieję się - nakazała.

- Więc nie powiesz mi, co takiego mu powiedziałaś?
Westchnęła.

- No dobrze. Powiedziałam coś o tym, że jestem bardzo wyrozumiała dla ludzi, którzy mają różne, nazwijmy to sobie, potrzeby, i że nie mam nic przeciwko temu, żeby udostępnić mężczyźnie swoją garderobę, jeśli coś mu się w niej spodoba. Powiedziałam też, że chętnie uszyję dużą podwiązkę. Proszę bardzo, już możesz się śmiać.

Miles nie potrzebował zaproszenia.

- Zrobiłabyś to?

- Czemu nie miałabym być wyrozumiała, pod warunkiem że on zachowywałby się dyskretnie? - zdziwiła się.

Zastanowił się.

- Racja. Czemu nie miałabyś być wyrozumiała? - powtórzył cicho.

Był pewien, że naprawdę okazałaby wyrozumiałość. Albo przynajmniej zdrowy rozsądek. Nie należała do kobiet, które padłyby zemdlone na widok męża usiłującego wcisnąć się w podwiązkę albo przymierzającego kapelusik. Raczej usiadłaby i porozmawiała z nim o tym.

Tropikalna dżungla nie byłaby dla panny Brightly żadnym wyzwaniem.

- Muszę powiedzieć, że to było naprawdę śmieszne - przyznała. - Nie podejrzewałam cię o taką inwencję.

Kiwnął głową.

- To ty byłaś moim natchnieniem.

Miles przeżywał piekło. To zbyt wiele, rozmawiać z nią o mężczyźnie, do którego mogłaby należeć do końca życia. Ręce mu zziębły i zdrętwiały; w żołądku czuł dziwną, znajomą już pustkę.

Ale ona się o tym nie dowie. Nie może dopuścić do tego, żeby się dowiedziała. Zrobi wszystko, żeby uwolnić ją od strachu, żeby przywołać na jej twarz rumieniec zdrowia, żeby mogła spokojnie spać w nocy i żeby już nigdy niczego jej nie brakowało. Nie pozwoli, żeby cokolwiek musiała żałować.

- Argosy! - W jej głosie znowu pojawił się strach. - Czy ty... Czy o nim...

- Nie. Przysięgam, że tutaj nic nie zmyśliłem - zarzekał się. - Wszystko, co o nim mówiłem, jest prawdziwe.

- Ale ta cygańska dziewczyna powiedziała Argosy'emu, że jestem szelmą, krzyczała coś o krwi i pistoletach. Wydaje mi się, że od tamtej pory traktuje mnie dużo chłodniej.

- Trudno mu się dziwić.

Roześmiała się.

- Dziwna jest ta dziewczyna, nazywa się Marta. Za to jej matka, Leonora, powiedziała, że wyjdę za męża, i to niedługo.

- Miło z jej strony.

- Też tak uważam.

- Cynthio, gdybyś miała wybierać pomiędzy Milthorpe'em a Argosym, którego byś wołała?

Udało mu się powiedzieć to w miarę spokojnie, ale czuł się tak, jakby połykał noże.

Zacisnęła nerwowo palce w fałdach sukienki.

- Chyba Argosy'ego.

- Załatwione.

- Miles...

- Wiesz, że możesz mi zaufać. - Te słowa przypomniały im obojgu poprzednią noc. Zrobił to specjalnie, bo choć nie było to do końca uczciwe, jedynie w ten sposób mógł dać jej pewność, że naprawdę może mu zaufać.

Cofnęła się gwałtownie i spojrzała na niego.

- Zaufaj mi, Cynthio - powtórzył cicho, jako że ona milczała. Policzki jej pały, a w pociemniałych oczach widział wspomnienie minionej nocy. - Zawsze osiągam to, co sobie zaplanuję.

- Dobrze. Ufam ci.

W tych słowach podarowała mu coś bezcennego, zaufanie.

I nagle nie pozostało już nic do dodania, a przecież tyle rzeczy mogliby sobie powiedzieć. Ale Miles jeszcze nie mógł pozwolić jej odejść, bo było coś, co naprawdę chciał jej powiedzieć. Tylko że nie umiał znaleźć słów na to, co się z nim stało, odkąd ją poznał. Potykał się więc, ale mimo to próbował.

- Chcę, żebyś wiedziała... że w jednej sprawie nie masz racji, Cynthio. Ja mam serce. Tylko że dopiero... niedawno to odkryłem. Zabawne, co? Odkrywanie to przecież moja życiowa pasja. I, na Boga, żałuję, że nie mam wyboru. Chciałbym... gdybym tylko mógł, to...

- Przestań - przerwała mu gwałtownie. Odsunęła się od niego, a twarz jej znowu pobielała. - To... to... tak się nie godzi. I dobrze o tym wiesz.

Odwróciła się tak szybko, że aż sukienka załopotą jej wokół kostek i w chwilę później już wybiegała ze stajni w znoszonych pantofelkach.

Miles rzeczywiście postarał się wszystko naprawić.

Cynthia mogła sobie mówić, że dla niej szukanie męża to nie zabawa. Ale on tylko w ten sposób był w stanie spełnić swoją obietnicę, że pomoże jej wszystko naprawić. Udawał, że to taka gra. Dzięki temu jego intelekt działał na pełnych obrotach. Dzięki temu nie miał wyrzutów sumienia, że blefuje i kłamie.

Żeby to wszystko osiągnąć, powtarzał sobie, że jest człowiekiem, który potrafi z fascynacją, ale i z dystansem przyglądać się pozerającej drobne gryzonie roślinie tak wysokiej jak jego młodszy brat. Mógł rozważać jej pochodzenie, miejsce w klasyfikacji botanicznej, substancje, którymi się żywi, mógł ją narysować ze szczegółami, ale nie bał się jej i nie podziwiał. Powtarzał sobie, że wszystko - nawet strach i zachwyty - ma swoje części składowe i przyczyny. Wszystko więc może być elementem tej układanki.

A uczucia wcale nie muszą wchodzić w grę.

Nikt nie musi wiedzieć, że odkrył u siebie istnienie serca. Nie będzie przecież wygłaszał na ten temat wykładu przed Królewskim Towarzystwem Nauk. Nigdy jeszcze nie zależało mu do tego stopnia na osiągnięciu celu, a miał na to raptem tydzień.

Ale, jak sam powiedział, nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się nie osiągnąć czegoś, co sobie zaplanował. Więc rozpoczął kampanię jeszcze tego samego wieczoru.

- Podobno Cyganka wam powróżyła, kiedy pojechaliście zobaczyć tabor? - zapytał od niechcienia Argosy'ego i Jonathana przy partyjce bilardu.

Obaj byli zaskoczeni, ale zadowoleni, że się do nich przyłączył.

- Tak, rzeczywiście - potwierdził Argosy. - To było niesamowite. Ci Cyganie muszą mieć jakiś dar.

Jonathan prychnął pogardliwie.

- Dziesięcioro dzieci! - mruknął ze złością. - Brednie. Musiałbym upaść na głowę. A słono zapłaciłem za tę wróżbę.

- Tak się składa, że to akurat ja słono zapłaciłem za twoją wróżbę - poprawił łagodnie Argosy. - Twoja kolej, Redmond.

- Będiesz miał dziesięcioro dzieci, braciszku? - szczerze zdziwił się Miles.

- Nie! - Jonathan był zgorszony.

- A ta pomyłona córka pani Heron też tam była? - Miles stanął z boku, czekając, aż Jonathan wykona swój ruch.

Argosy spojrział na niego nieco wyzywająco. Ale Miles był dla obu młodzieńców autorytetem w sprawach wszelakich, więc nie ośmielił się zaprotestować zbyt ostro.

- Ja tam nie jestem pewny, czy ona rzeczywiście była całkiem pomyłona. Miałem wrażenie, że sporo wie.

Miles parsknął.

- Tak? Powiedz, a zawołała coś o kaczce?

Oczy Argosy'ego zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Skąd wiesz? Ktoś ci o tym opowiedział?

Miles udał rozbawionego.

- Zawsze to wykrzykuje, kiedy jej matka wróży. Tak przynajmniej słyszałem w Pennyroyal Green. Chyba nie potrafi się opanować. Po prostu jej się to wyrывa. Ona jest trochę niespełna rozumu.

- Naprawdę zawsze tak woła? - Argosy wydawał się jednocześnie uradowany i zawiedziony. - „Kaczka”, tak? Ale mówiła, że kaczka jest pusta. - Ostatnie słowo podkreślił wymownym gestem. Widocznie to miało dla niego jakieś znaczenie.

Cynthia nie wspominała nic o pustej kaczce. Miles zorientował się, że będzie musiał improwizować.

- Właśnie - powiedział, po czym uderzył swoją bilę. Prościutko do luzu.

Huknęła z taką siłą, że Argosy i Jonathan aż się skrzywili.

- Pusta kaczka - ciągnął. - Kiedy pierwszy raz usłyszałem, jak to mówi, myślałem, że chodzi o wabik na polowaniu. Bardzo dziwne. Ale trzeba jej okazać wyrozumiałość, to nienormalna dziewczyna. Za to jej matka... Ta potrafi przyprawić o dreszcze. Jej wróżby zawsze się sprawdzają.

Jonathan wpatrywał się w brata z taką miną, jakby to Miles był pomyłony.

- Dużo wypieś, Miles? - zapytał podejrzliwie. Milesa raczej nie interesowały wróżby, chyba że jako przedmiot bezlitosnych kpin albo fenomen antropologiczny. - Przecież panią Heron i jej córkę znamy od lat.

- Nie wypiełem ani kropelki. - Miles ziewnął leniwie. - A propos, gdzie się podziała brandy? A co ci wywróżyła pani Heron, Argosy? Ją bym na twoim miejscu potraktował poważnie. Mnie przepowiedziała, że wyjadę w daleką podróż.

Nic podobnego mu nie wywróżyła, ale Argosy był pod wrażeniem. Bo przecież Miles faktycznie wyjechał w daleką podróż.

- Powiedziała, że niedługo się ożenię. Z uroczą dziewczyną, która ma licznych wielbicieli. I... żebym się pospieszył, bo mogę się minąć z przeznaczeniem. - Zarumienił się.

On coś czuje do Cynthii, uświadomił sobie Miles. Z jakiegoś powodu ta myśl uderzyła go tak boleśnie, jakby dostał kijem bilardowym w żołądek. Ale dlaczego nie miałby czegoś do niej czuć? Cynthia to wspaniała dziewczyna. Tylko że Argosy nigdy jej tak naprawdę nie pozna.

- Ciekawe - powiedział przeciągle i zmierzył Argosy'ego swoim wszytkowiedzącym spojrzeniem. A kiedy zlokalizował karafkę, odwrócił się, żeby sobie nalać brandy. - Nie wiecie, gdzie jest Milthorpe? - zapytał odwrócony plecami. - Chciałem z nim pogadać o mojej następnej wyprawie.

- Przykro mi. Nie mam pojęcia - odparł obojętnie Argosy.

Stuknęła uderzona bila.

- Ach. Teraz sobie przypomniałem. - Miles uniósł palec, jakby doznał nagłego olśnienia. - Rozmawia chyba z panną Brightly w salonie. Coś mi się wydaje, że doszli w końcu do porozumienia w sprawie psa, którego chciała sobie sprawić. Nie wiem, czy Milthorpe też nie będzie chciał sobie powróżyć. Podobno i on szuka żony. Wygląda na to, że prawie wszyscy wokół są chętni do ożenku. Przynajmniej my tutaj, na przyjęciu.

Argosy zeszytniał. Prawdopodobnie nigdy na poważnie nie brał Milthorpe'a za rywala i nagle zobaczył go w zupełnie nowym świetle.

- A ona niedługo wyjeżdża z Sussex. Panna Brightly. W każdym razie tak słyszałem. Od Milthorpe'a.

Od tej chwili Argosy był tak rozkojarzony, że zaczął przegrywać z kretesem, co oznaczało, że Jonathan i Miles wygrali od niego ładną sumkę.

Zaufaj mi, powiedział.

I Cynthia postanowiła, że tak zrobi. A już na drugi dzień po tym Argosy stał się najgorliwszym z zalotników. Zmiana nastąpiła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Musiała się przyzwyczaić do jego nadszkwania, ale Cynthia nigdy nie miała problemu z dostosowaniem się do okoliczności. Pozwoliła więc sobie na odrobinę odprężenia i usiłowała zagłuszyć poczucie winy. Przecież ma prawo cieszyć się tym, że znów ktoś o nią zabiega.

Tego dnia tylko jeden raz potrząsnęła sakiewką.

Podobnie jak Miles starała się nie myśleć o tym, co między nimi zaszło, ani o tym, co się nigdy nie może stać. Postanowiła się skupić na chwili obecnej.

Dwa dni później, kiedy czekała w salonie na Argosy'ego, który ubłagał ją, żeby się pozwoliła zabrać na spacer - we dwoje! - wydarzyło się coś zaskakującego.

- Panno Brightly, czy mogę panią prosić o chwileczkę rozmowy?

Cynthia odwróciła się powoli.

Stała przed nią lady Georgina. Ostre słońce wpadało przez olbrzymie okna do salonu, a w jego zacienionej części siedzieli Violet z Jonathanem i lady Windermere. Bezpieczne towarzystwo innych było stanowczo za daleko.

Niech to szlag. Nie ma dokąd uciekać.

Cynthia zmierzyła Georginę nieufnym spojrzeniem. Ale w jej głosie nie było oskarżenia. Raczej... nieśmiałość. Jakby Georgina naprawdę chciała ją błagać o chwilkę rozmowy.

- Oczywiście - odparła ciepło Cynthia. W duchu myśląc coś dokładnie przeciwnego.

Przysiadły obok siebie na sofie. Jasne światło słońca prawie zupełnie pozbawiło koloru lady Georginę. Rzuciły się w oczy jedynie jej włosy, zaplecione jak zwykle starannie i lśniące jak aureola.

- Sama nie wiem, od czego zacząć... - Georgina nerwowo zaciskała rękę.

Cynthia znowu zaczęła ją obserwować, doszukując się śladów ironii czy jakiejś dwuznacznej aluzji.

- Niech pani mówi szczerze, Georgino - powiedziała serdecznie, chociaż żołądek skrecił jej się w supeł.

Georgina znienacka pochyliła się w jej stronę.

- No dobrze! Chodzi mi o to. Bo pani jest... taka czarująca.

- Naprawdę? - Cynthia zaczęła się nagle denerwować.

- Tak. Wszyscy to dostrzegają. Od pani wręcz bije blask - upierała się jej rozmówczyni.

Dziwnie było słyszeć takie słowa z ust lady Georginy. Nie sądziła nigdy, że komplement może się okazać tak niepokojący. Ale zaraz przypomniała sobie, że Georgina zazwyczaj odzywała się po to, żeby wyrazić dla kogoś podziw, więc nie brałaby jej na stronę, gdyby chodziło tylko o to.

Ona naprawdę jest miła, pomyślała Cynthia. A ja jestem wstrętna, po prostu wstrętna.

- Miło mi, że pani tak mówi, Georgino. - To przynajmniej była właściwa odpowiedź na większość komplementów.

Georgina wciąż splotała dłonie na podolku. Ładne dłonie o gładkiej skórze. Bez piegów czy blizn, niepodrapane przez kota. Odchrząknęła.

- Widzi pani, panno Brightly... Zastanawiam się... czy może mi pani powiedzieć, co powinnam zrobić, żeby oczarować Milesa Redmonda?

Cynthia nie była w stanie tego powstrzymać. Otworzyła szeroko usta, a potem szybko je zamknęła, ale Georgina zauważyła jej reakcję i zrobiła się purpurowa na twarzy. Mimo to dziewczyna wyprostowała się dumnie i dokończyła z determinacją:

- Ponieważ pani potrafi oczarować mężczyznę, a mnie nie za bardzo to wychodzi. W każdym razie nie z nim.

- Ponieważ ja potrafię... oczarować? - Cynthia nie posiadała się ze zdumienia.

- Wszyscy tak się panią zachwycają.

Ach. To już zabrzmiało jak zarzut. Choć trzeba przyznać, że była to prawda.

- Pan Redmond bardzo panią lubi, lady Georgino - pocieszyła ją Cynthia. Cóż, lubił ją chyba.

- Tak pani myśli? - Georgina miała w głosie cichą desperację. - Jest dla mnie bardzo uprzejmy i czasem sobie ze mnie żartuje, co też jest miłe, ale nigdy nie wiem, co powiedzieć, więc od razu tracę rezon i cały ciężar rozmowy spada na niego. Czuję się przy nim tak niezręcznie, panno Brightly, a nie wiem dlaczego, bo przecież już od dawna nie jestem płochliwą pensjonarką. Jestem dziedziczką, na miłość boską. Ale on... - urwała, być może wyobrażając sobie Milesa. Zatopiła drobne białe ząbki w dolnej wardze.

- Czasem mam wrażenie, że kiedy ze mną rozmawia, myślami jest gdzie indziej. Nie umiem przykuć jego uwagi. A wydaje mi się, że pani potrafi zwrócić na siebie uwagę mężczyzny.

Ta ostatnia uwaga lekko Cynthię zaniepokoiła. Skoro lady Georgina dostrzega takie rzeczy...

Badawczo przyjrzała się jej twarzy, szukając w niej jakichś ukrytych znaczeń czy ostrzeżenia. Ale nie, Georgina mówiła szczerze. Naprawdę wierzyła, że Cynthia może jej zdradzić sekret swojego uroku.

Urok, moja droga, to nie jest coś, czego się można nauczyć, miała ochotę odpowiedzieć Cynthia. Z tym się człowiek rodzi. Wzmacnia go desperacja, a doskonali praktyka. O ile chcesz poznać prawdę. Być może zabawnie byłoby oszołomić Georginę i wytrącić ją z równowagi, mówiąc jej to wszystko, ale Cynthia wiedziała, że tego nie zrobi.

- A więc darzy pani sympatią pana Redmonda? - zapytała powoli, dość niepewnym głosem.

- Kocham go, odkąd skończyłam osiem lat.

Cynthia zamarła.

Georgina powiedziała to spokojnie, lecz z uczuciem. Wyraz jej twarzy prawie się nie zmienił, choć może to z winy tych bladych brwi i rzęs ciężko się było zorientować. Ale w jej przymglonych oczach pojawiło się udręczenie.

- Kocha pani... pana Redmonda? - wykrztusiła Cynthia.

- Jest taki piękny. Nie uważa pani? Taki cichy i spokojny! Taki wysoki, ciemnowłosy i taki mądry. Jego oczy... jego... - Najwyraźniej zabrakło jej słów. - Zawsze był dla mnie taki uprzejmy.

Cynthia zagapiła się na nią. Uprzejmy? I to miała być miłość?

Możliwe, że lady Georgina nie umie ubrać w słowa tego, co czuje. Bo niewątpliwie miłość do Milesa Redmonda musi być trudno opisać słowami. I chociaż wolałaby czuć co innego, musiała przyznać z niechęcią, że

Georgina zasługuje na szacunek. Bo była na tyle mądra, że już dawno temu zakochała się w cichym Redmondzie.

Jakże ona ma, na Boga, powiedzieć tej dziewczynie, jak rozkochać w sobie Milesa?

- No cóż - zaczęła niepewnie. - Na początek dobrze by było, gdyby pani podzielała jego zainteresowania, Georgino.

- Och, próbowałam. Ale, panno Brightly... muszę pani coś wyznać.

Cynthia była gotowa na najgorsze.

- Nie znoszę pajaków i robactwa! - Georgina była w tej chwili istnym ucieleśnieniem namiętnej rozpacz. - Przerazają mnie. - Wzdrygnęła się. - Nienawidzę ich. Nienawidzę ich wszystkich!

Cynthia zaniemówiła ze zdumienia. W końcu zdołała coś wyjąkać:

- Przecież pająki są...

- Odrażające - jęknęła Georgina. - Ledwo się zmuszam, żeby na nie patrzeć.

- Ale... ale... przecież pani... uważa, że mrówki...

- ...to wstrętne, małe, bezustannie rozbiegane stworzenia, które żywią się padliną i innymi ohydztwami. - Znowu się wzdrygnęła. - Nic mnie nie obchodzi ich hierarchia ani czy mają królowe, ani w ogóle nic na ich temat, a jestem specjalistką od mrówek na terenie Sussex tylko dlatego, że zależy mi na panu Redmondzie. Tak więc próbowałam się zainteresować tym co on. Ale dlaczego on musi lubić te paskudztwa?

Brzmiało to bardzo dramatycznie i Cynthia ze sporą fascynacją patrzyła, jak Georgina miota się w miłosnych cierpieniach: jak ona musiała się męczyć, udając, że lubi to samo, co Miles Redmond. Na razie świetnie jej szło. Ironią

losu było to, że miały z Georginą znacznie więcej wspólnego, niżby się mogło wydawać.

Cynthia zastanowiła się poważnie. Istniało całe mnóstwo rzeczy, które mogłaby w tej chwili powiedzieć lub zrobić. I bardzo ją to kusilo. Ale oto stała przed nią kobieta, z którą Miles Redmond będzie się musiał ożenić i spędzić resztę życia, na którą będzie musiał codziennie patrzeć, rozmawiać z nią...

Cynthia przymknęła oczy. Musiała wziąć głęboki oddech, bo gwałtowny ból przeszył jej serce, które protestowało przeciw temu, co za chwilę miała zamiar zrobić.

- Nie przyszło pani do głowy, że te rzeczy, zainteresowania pana Redmonda, to odbicie jego prawdziwego charakteru? - powiedziała ostrożnie.

- Te wszystkie pełzające stworzenia o licznych odnóżach? - wyszeptała przerażona Georgina.

Zakryła na moment twarz dłońmi.

- Niemożliwe. To na pewno tylko taka rozrywka. Jak... u małych chłopców. Po ślubie z pewnością zaczniesz się bardziej interesować sprawami rodziny, Klubem Merkuriusza i swoimi... swoimi dziećmi. - Purpura, która już zaczęła znikać z jej twarzy, pojawiła się znowu w pełnym natężeniu.

- Ale on chce wrócić do Lacao. Organizuje całą wyprawę. - Teraz Cynthia była przerażona.

- Ja nie pojedę.

- Ależ Georgino! - Cynthia naprawdę zaczęła się bać o Milesa.

- Być może... być może on się po prostu interesuje wszystkimi żywymi istotami. Chce je poznawać i

odkrywać. To, jak żyją wokół nas, te wszystkie małe światy, które są częścią naszego świata i...

Mogłaby opowiadać o Milesie całymi dniami. Ale jeśli raz zacznie i nie będzie umiała przestać, to się zdradzi. Pomyślała o tym, że Miles ożeni się z kimś, kto nie będzie w stanie go zrozumieć. Nie pozna go tak naprawdę. I poczuła z całą mocą tę dojmującą samotność, na jaką będzie skazany. Dłonie jej zwilgotniały i pomyślała, że musi zrobić dla niego to, co on zrobił dla niej.

- Naprawdę pani na nim zależy, Georgino?

- O, tak.

Przynajmniej tak się Georginie wydawało.

Cynthia wzięła głęboki oddech, przycisnęła spocone dłonie do kolan i starannie zaczęła dobierać słowa, czując się tak, jakby cała przyszłość Milesa spoczywała na jej barkach.

- Więc musi pani zrozumieć, dlaczego on lubi to, co lubi. Tylko wtedy go pani naprawdę pozna. Te rzeczy przestaną w pani budzić wstręt, kiedy je pani zrozumie. I dopiero wtedy będzie pani w stanie naprawdę go oczarować.

Lady Georgina zrobiła zamyśloną minę.

- Miałam nadzieję, że powie mi pani po prostu, co mam zrobić, żeby go oczarować.

Cynthia przez chwilę siedziała w milczeniu i z ironicznym zdumieniem przypatrywała się tej dziewczynie, która była dokładnie w jej wieku, a jednak pod wieloma względami wydawała się taka naiwna. Jakaż przepaść Miles będzie musiał pokonać.

Oto miała przed sobą kolejną osobę, której się zdawało, że miłością można sterować. Dlaczego zawsze marzymy o tym, co jest dla nas nieodpowiednie,

zastanawiała się. Czemu pragniemy tego, czego mieć nie możemy? Jaki to ma sens?

W końcu uznała, że to odwieczne pytania, na które nie ma dobrych odpowiedzi. Ona sama nie należała do osób sentymentalnych, nie zamierzała też uzalać się nad sobą. Stwierdziła, że nawet Miles Redmond nie rozwiąże tej zagadki, zwłaszcza że obecnie przeżywa ten sam problem.

- Ależ ja właśnie to pani powiedziałam - próbowała przekonać Georginę. - Musi pani zrobić to, co mówię. Musi pani chociaż spróbować. Proszę, niech pani spróbuje.

Powiedziawszy to, wstała i szybko odeszła, żeby Georgina nie zobaczyła, jak zaciska oczy i oblewa się rumieńcem.

I tak upłynęły trzy kolejne dni, dni nie tyle spokojne, ile zięjące pustką, bo Miles prawie nie widywał Cynthii, chyba że z daleka, gdzieś na trawniku redmondowskiego parku. Od czasu do czasu mógł dojrzeć jej lśniące, połyskliwe - brązowe, zwyczajnie brązowe - włosy, gdy spacerowała obok Argosy'ego pogrążona w rozmowie.

O czym tak, u licha, rozmawiali? Doszedł do wniosku, że to chyba nie ma znaczenia, bo niezależnie od tematu Cynthia potrafiła sprawić, że rozmowa iskrzyła i nabierała kształtu. Pewnie okazywała mu zainteresowanie, a Argosy czuł się jeszcze bardziej interesujący niż zazwyczaj. I tak właśnie będzie wyglądało ich wspólne życie.

A wieczorami, przy kartach albo przy kolacji, tylko część swojej uwagi poświęcał rozmowie, bo cały czas trwał w czujnym skupieniu. I choć wymieniali z Cynthią jedynie towarzyskie banały - inaczej by się nie udało zachować w tajemnicy ich sekretnej umowy - oboje czuli bezustannie swoją obecność.

Miles bacznie obserwował sytuację jak naukowiec przeprowadzający eksperyment albo jak jeden z cygańskich akrobatów balansujący na grzbiecie konia, gotów przywrócić równowagę odpowiednim słówkiem, subtelnym działaniem czy też dorodnym, soczystym kłamstwem, gdyby przypadkiem Argosy osłabł w gorliwości wobec panny Brightly. Ale Argosy niezmiennie okazywał jej uwielbienie, a Cynthia niezmiennie okazywała mu względy. Niebawem wszyscy przyzwyczaili się widzieć ich razem.

Jonathan był tym rozbawiony. Violet zdziwiona. A Milthorpe, który widocznie zorientował się, że przegrał wyścig z młodszym ogierem i porzucił nadzieję na rychły powrót Isaiaha Redmonda, postanowił wybrać się po charta, o którym opowiadała Cynthii na pikniku.

Wkrótce nawet lady Windermere, wytrwale czekająca na powrót swojej przyjaciółki, pani Redmond, w nadziei na świeżą dostawę ploteczek, zaczęła robić dość jednoznaczne aluzje, tak ukochane przez kobiety, które wyszły za mąż i urodziły dzieci, a teraz patrzą, jak inni idą w ich ślady.

Tak więc gdy służba zabrała się do polerowania sreber, trzepania dywanów i szykowania wiktuałów na drugi i ostatni proszony obiad - ten, który miał zwieńczyć dwutygodniowe przyjęcie i po którym wszyscy goście mieli się rozjechać do domów - atmosfera w rezydencji Redmondów zgęstniała od domysłów.

- Niedługo będziemy mieli weselisko - przepowiadała lady Windermere, przykładając palec do nosa. - Zawsze byłam zdania, że proszony obiad to doskonała okazja, żeby ogłosić zaręczyny.

A Miles zabierał lady Georginę na spacer po ogrodzie. Codziennie jeden. Zupełnie jakby wyprowadzał

pieska. I cały czas, kiedy z nią spacerował, powtarzał sobie w myśli wszystkie powody, dla których to robi.

Kim ty naprawdę jesteś? Miał ochotę ją o to zapytać. Bo rozmawiali tylko o swoich rodzinach, sąsiadach z Sussex, ewentualnie o florze i faunie.

Zupełnie nie miał głowy do zalotów i któregoś dnia zdarzyło się, że cisza przeciągnęła się niezręcznie, bo Miles obmyślał akurat plany zamorskiej ekspedycji, pielęgnując w ten sposób jedyną pasję, jaka mu pozostała.

Wtedy ona zaskoczyła go właśnie tego rodzaju pytaniem.

- Panie Redmond, dlaczego ma pan akurat takie, a nie inne zainteresowania? - zapytała. Z wahaniem. W jej głosie dosłyszał desperację, którą sam przeżywał.

Odwrócił się w jej stronę zdumiony. Wpatrzył się w jej szare oczy.

- Miles - poprawił.

Miał świadomość tego, że jego imię* było jak metafora tej odległości, którą będą musieli pokonać, żeby się nawzajem poznać. Ale sam fakt, że o to zapytała, dawał być może iskierkę nadziei.

Spróbował jej wyjaśnić. Ale nie wiedział, od czego zacząć, bo takie rzeczy nie mają właściwie początku ani końca. Więc urwał. Tak trudno było jej wytłumaczyć to, co inna kobieta po prostu rozumiała od chwili, gdy się spotkali.

A raczej od chwili, gdy po raz pierwszy naprawdę się poznali. Zarówno na salonach, jak i w kuchni po cichu przyjmowano zakłady: większość obstawiała, że lord Argosy oświadczy się pannie Brightly w dniu proszonego

* *Chase* (ang.) - gonić, ścigać (przyp. tłum.).

obiadu. Powszechnie uważano, że tych dwoje doskonale do siebie pasuje urodą, młodością i duchem, a obiad z tańcami wydawał się idealną okazją do uczczenia zaręczyn.

Spodziewano się, że pan Miles Redmond też niedługo się oświadczy, ale tu pewność była mniejsza, bo ostatnimi czasy wydawał się jakiś nieswój.

- Nawrót gorączki - szeptano ze współczuciem.

Miles czuł, że napięcie rośnie jak odwodzona powoli cięciwa łuku. Zostały jeszcze dwa dni. Ale Cynthia, która ostatnio pozwoliła, żeby Argosy dotknął jej dłoni i powiedział do niej z uczuciem „Cynthio”, zaczęła się czuć znacznie pewniej. Tak też powiedziała swojemu kotu, Pająkowi, kładąc się tego wieczoru do łóżka. W dowód zaufania do Milesa Redmonda przez cały dzień ani razu nie potrząsnęła sakiewką.

Wieczorem na dwa dni przed proszonym obiadem Jonathan i Argosy wybrali się znowu Pod Świniaka i Oset, bo młodszy brat Milesa szykował się do wygrania turnieju gry w rzutki. Jonathan wrócił do domu z wyrazem tryumfu na twarzy. Zdobył małą statuetkę, z której był wielce dumny.

Argosy za to wrócił rozkojarzony, ponury i pogrążony w absolutnym przerażającym milczeniu. Co odkryli dopiero następnego dnia rano, kiedy nie chciał rozmawiać z Cynthią przy śniadaniu. A nawet opuścił jadalnię, kiedy ona tam się pojawiła. Później ostentacyjnie wyszedł z kolejnego pokoju, do którego zajrzała. Jego humor był tak posępny i nieprzenikniony, że nikt nie miał śmiałości zapytać o coś więcej poza zdawkowym: „Czy wszystko w porządku?”

Nikomemu się nie zwierzył. Za to popadł w tak ponury i głęboko zgorzkniały nastrój, jakiego pozostali goście jeszcze w życiu nie widzieli.

Cholerny szczeniak, pomyślał Miles. Miał wielką ochotę solidnie nim potrząsnąć.

Wziął Jonathana na bok.

- Co mu dolega, na miłość boską? Co takiego się wydarzyło Pod Świniakiem i Ostem? Z kim on tam rozmawiał? Może przestał pić? To lepiej niech znowu zacznie.

- Nie chce mi nic powiedzieć, Miles. A ja byłem zajęty wygrywaniem turnieju. Nie patrzyłem, co robi Argosy. Ale cokolwiek się z nim dzieje, wzięło się właśnie stamtąd, tyle mogę powiedzieć. I cokolwiek to jest, na pewno ma związek z Cynthią.

Bracia wymienili spojrzenia. W jakiś sposób przeszłość Cynthii znalazła drogę do Pennyroyal Green, i to właśnie przez karczmę Pod Świniakiem i Ostem.

Miles zamierzał się dowiedzieć, jak to się stało. Nie darowałby sobie, gdyby miał nie dotrzymać danego Cynthii słowa, że wszystko naprawi.

Wystarczył jeden dzień, żeby ponury nastrój Argosy'ego zepsuł całą atmosferę w rezydencji Redmondów jak czarna londyńska sadza opadająca z powietrza, choć sam dom stawał się coraz czystszy, aż każdy mebel i każdy sztuciec lśnił nieskazitelnością, zaś z kuchni na górę dochodziły oszałamiające zapachy potraw szykowanych dla blisko trzydzieścioro zaproszonych gości.

Tuż przed godziną trzecią po południu podjazd zaczął się wypełniać powozami, z których wysypywali się żądni

rozrywki sąsiedzi. Ich wesołość i rozbawienie przykro zgrzytały z panującą w całym domu posepną atmosferą.

Przeklęta staruszka z Northumberland wciąż nie napisała. Cynthią dopuszczała myśl, że pani Mundi-Dickson mogła umrzeć ze skąpstwa albo wreszcie zostać zamordowana przez jedną ze swoich dam do towarzystwa. Jeśli tak, to nie mogła sobie wybrać gorszego momentu. Co się stało z Anthonym - bo tak teraz mówiła do Argosy'ego - skoro już tak bardzo się do siebie zbliżyli?

Drżącymi rękami, nie mając pojęcia, skąd wziąć dosyć pewności siebie, żeby przetrwać dzisiejszy obiad lub może nawet przewyciężyć swoim urokiem arystokratyczne dąsy, którym oddawał się lord Argosy, włożyła ciemnozieloną suknię z tiulem. Brzeg kreacji był nieznacznie rozerwany, bo kiedyś ktoś na nią nastąpił. Nagle wydało jej się to wyjątkowo symboliczne.

Jej życie pruło się w szwach.

Tknięta nagłym impulsem, prawie bez tchu, podbiegła do okna i zajrzała w kąt, bojąc się tego, co tam zobaczy. Odetchnęła jednak z ulgą - pajęczyna była nietknięta, a Susan siedziała cicho w rogu, czekając na kolejną przelatującą muchę. Odniosła wrażenie, że to znaczy więcej niż cygańskie wróżby z fusów. Zamknęła oczy i znów usłyszała jego głos, poczuła jego dłonie na nadgarstkach. „Wszystko naprawię”.

Na jej ustach pojawił się uśmiech, a ściśnięte serce trochę odtajało.

Delikatnie odsunęła kociaka od rozdarcia w sukience, żeby nie zamienił go w strzępki, po czym dumnie wyprostowana zeszła na dół.

Do trzeciej po południu większość gości dotarła już do Redmond House. Wszyscy zebrali się w wielkim salonie

i rozmawiali w grupkach, częstując się herbatą i ciasteczkami, z których okruszki leciały na dywan. Wdeptane w tkaninę licznymi obcasami miały zapewnić pokojówkom zajęcie na wiele dni.

Miles witał przybywających gości - z Pennyroyal Green zaproszono pastora i panią Notterley, miejscową wdowę, która uwielbiała plotki tak samo jak pani Redmond i jakimś cudem zawsze wszystko wiedziała pierwsza. Przeprowadził też z jakimś pół tuzinem osób rozmowy, z których później nie pamiętał ani słowa. A kiedy już spełnił obowiązek gospodarza, stwierdził, że dłużej tego nie znieśie.

Nalał szklaneczkę brandy i podszedł z nią do Argosy'ego, który z ponurą miną osunął się na fotel w kącie, nie zważając na pełne podziwu i zaciekawienia spojrzenia innych gości. Stał nad nim i czekał, trzymając szklaneczkę w wyciągniętej ręce, aż wreszcie Argosy podniósł omdłym ruchem dłoń, żeby ją od niego wziąć.

- Argosy... coś nie tak, przyjacielu? Przez ostatnich kilka parę dni przyglądałem się twojemu szczęściu z prawdziwą przyjemnością i byłem pewien, że lada dzień będę ci gratulować decyzji, którą sam też mam nadzieję niedługo podjąć. A dzisiaj mamy uroczysty obiad w gronie dobrych przyjaciół, których ta nowina również by zachwyciła. Może chcesz mi powiedzieć, co cię trapi.

Regularne rysy młodszego mężczyzny stężały w słusznym gniewie. Argosy wstał gwałtownie.

- Dobrze, Redmond. Powiem ci. Kiedy poszedłem z Jonathanem do karczmy, spotkałem tam lorda Cavilla. Właśnie zawoził córkę na pensję panny Endicott.

Ach tak. Kolejna krnąbrna panienska, pomyślał Miles. Panna Endicott ma pełne roboty ręce. Ale to nazwisko... Cavill... Cavill...

- To bliski przyjaciel lorda Courtlanda.

Chryste Panie. Milesowi serce skoczyło do gardła.

Mimowolnie zerknął w stronę Cynthii. Jej twarz ponad wycięciem ciemnozielonej sukni sprawiała wrażenie nienaturalnie bladej; na ustach miała wymuszony uśmiech. Rozmawiała z Violet, a raczej to Violet mówiła, Cynthia zaś tylko uśmiechała się tym okropnym uśmiechem. Chyba tylko on jeden zdawał sobie sprawę, że jej uśmiech jest sztuczny.

- I jak się miewa lord Cavill? - zapytał ze spokojem.

Argosy prychnął z gniewu i urazy.

- Zaraz ci powiem. Pochwaliłem mu się, że niedługo planuję ożenek i że jestem zakochany... - Tu głos mu się załamał. Argosy naprawdę myślał, że jest w niej zakochany. - I powiedziałem mu o... - Wydawało się, że nie jest w stanie wydusić jej imienia. - Powiedziałem mu o Cynthii. - Wymówił to imię tak, jakby było wcielonym złem, synonimem zdrady.

Miles natychmiast poczuł, że rośnie mu temperatura. Zalała go tak intensywna fala gorąca, że przez chwilę nie mógł oddychać. W ustach miał dziwny, metaliczny smak, a żołądek ścisnął mu się jak sprężyna.

Tymczasem Argosy ciągnął rozgoryczony:

- Wziął mnie na stronę i powiedział w zaufaniu, że słyszał co nieco o Cynthii Brightly. - Zaśmiał się z niedowierzaniem. - Cytował jedną historię po drugiej, wszystkie z tego sezonu, który spędziłem w Europie. O zakładach, wyścigach, bójkach i pojedynkach, o tym, jak nastawiała przeciwko sobie mężczyzn. Jakieś plotki o

pocałunkach w ogrodzie. A do tego pojedynki. Na Boga, sądząc z tego, co mówił Cavill, ta dziewczyna to prawdziwa bezwstydnica!

Milesowi zrobiło się ciemno przed oczami. Czuł, że napinają mu się wszystkie mięśnie.

- Sam widziałeś, jak się nami tutaj bawiła, Redmond. Mnie też wodziła za nos. Chciałem się z nią żenić. Całe szczęście, że spotkałem Cavilla. Bo jeśli on się nie myli, to ta dziewczyna obcałowała co najmniej z pół tuzina...

Później Miles był w stanie przypomnieć sobie tylko odrębne, wyrwane z kontekstu wrażenia: Chór przerażonych okrzyków. Zdrętwiała, piekąca z bólu pięść, którą odruchowo objął drugą dłonią.

Dopiero potem spojrzął tam, gdzie zwracały się wszystkie głowy. Głowy około tuzina znajomych, sąsiadów z Sussex, ludzi, których znał od zawsze.

Wszyscy spoglądali na podłogę.

Na której leżał Argosy, wybałuszając oczy ze zdumienia jak ryba wyrzucona z wody. I dopiero w tej chwili Miles zdał sobie sprawę, że uderzył go w twarz tak zamasyście, jakby jego pięść była kulą, a Argosy kręglem, który oczywiście się przewrócił.

Na szczęście nie wylądował na marmurowej podłodze, ale na jednym z grubych orientalnych dywanów ojca, toteż jego blond głowę przed uderzeniem ochroniła warstwa miękkiej wełny.

Jak za pociągnięciem sznurka, wszyscy goście przenieśli wzrok z Argosy'ego na Milesa. W salonie zapadła cisza tak gęsta jak splot perskiego dywanu. Powszechne zdumienie dało się wręcz namacalnie odczuć.

Miles Redmond - opanowany, godny zaufania, cieszący się szacunkiem, sławny Miles Redmond - właśnie

zamachnął się pięścią na jednego ze swoich gości we własnym domu, i to podczas przyjęcia. I powalił go na ziemię.

Na oczach innych ludzi.

Ze wszystkich możliwych emocji, jakie Miles mógłby w tej chwili u siebie rozpoznać, pierwsze i najintensywniejsze było poczucie ogromnej satysfakcji ze słusznie wymierzonej sprawiedliwości. Słowa Argosy'ego dotknęły go tak, jakby tamten fizycznie zaatakował kogoś, kogo Miles koch...

Uchylił się przed tą myślą, jakby robił unik przed ciosem pięścią w głowę. Oderwał wzrok od Argosy'ego. I jak igła kompasu zawsze znajduje północ, tak on natychmiast odnalazł parę błękitnych oczu wśród pobielających twarzy. Jej twarz też pobladła, ale na policzkach widać było malinowe plamy wypieków; oczy jej błyszczały. Ale nie patrzyła ze zmartwieniem na podłogę. Patrzyła na niego.

I najwyraźniej w świecie była wściekła. Pewnie myślała, że teraz on i Argosy będą się strzelać. No cóż. Obiecał jej, że wszystko naprawi, a tymczasem stało się tak, jak zwykle w jej obecności: wszystko poszło zupełnie odwrotnie, niż planował, i zamiast cokolwiek naprawić, wszystko popsuł.

I tak oto Cynthia wywołała kolejny skandal.

Miles kilka razy rozprostował i zgiął palce, dziwiąc się, jak niewiele trzeba czasu, żeby coś sknocić. Odruchowo wyciągnął wciąż jeszcze obolałą dłoń, żeby pomóc Argosy'emu się podnieść, bo pozostali, wciąż w stanie głębokiego szoku, tylko patrzyli w milczeniu na leżącego na podłodze lorda. Kiedy to zrobił, wokoło

odezwały się szepty i pomruki, szeleszczące jak skrzydła tysiąca ciem.

Argosy zignorował wyciągniętą przez niego rękę, dotknął palcami puchnącej wargi i zmierzył go posępnym spojrzeniem. Miles w duchu zaczął zmieniać plany na następny dzień, uwzględniając konieczność stoczenia pojedynku. Skinął głową, jakby przyjmował do wiadomości wyrok sądu.

- Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, Argosy, będę w gabinecie mojego ojca na drugim piętrze.

W pokoju, w którym miały miejsce wszelkie wydarzenia istotne dla rodu Redmondów.

Miles wykonał przepisowy ukłon, odwrócił się z właściwą sobie godnością i wyszedł, pozostawiając za sobą rozdziawione ze zdumienia usta wszystkich zebranych.

Potrzebny mi mój własny dom, pomyślał Miles, bo załapała go nagła i irracjonalna niechęć do gabinetu ojca. Tak często podróżował, że właściwie nie miał innego domu poza kwaterą w Londynie.

Posepnie zastanawiał się, czy Argosy znajdzie wśród gości jakichś sekundantów. Nie miał pojęcia, co dyktuje etykieta w sprawie wyzywania na pojedynki gospodarza domu, w którym jest się gościem, ale nie wątpił, że na pewno istnieje precedens. Jeśli czegoś się nauczył z książek, które go w tej chwili otaczały, to właśnie tego: nieważne, jak odrażające było czyjeś zachowanie, na pewno ktoś już wcześniej się go dopuścił.

Ta myśl sprawiła mu przewrotną satysfakcję.

To, co właśnie zamierzał uczynić, było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek przyszło mu zrobić. Goodkind pewnie powiedziałby, że takie poświęcenie oczyszcza duszę, pomyślał ponuro.

A do tego jeszcze Georgina... Ani razu nie pomyślał o Georginie, to nie jej oczu szukał w tłumie.

Naprawdę wszystko zepsuł.

Rozległy się dwa gniewne uderzenia w drzwi biblioteki. W następnej sekundzie Miles stał już na nogach, ale Argosy nie czekał na zaproszenie. Otworzył drzwi jednym szarpnięciem, jakby ktoś złośliwie postawił mu je na drodze, i zatrzaskał je za sobą z podziwu godnym dramatyzmem zranionej dumy.

Zajął miejsce na wprost Milesa i hardo uniósł głowę.

- Redmond, wskaż swoich se...

- Argosy - powiedział Miles spokojnie. - Przepraszam, zachowałem się jak dureń.

- .. .kundantów. - Tu Argosy się zająknął. - Że co, proszę?

- Przepraszam. To, co zrobiłem, jest niewybaczalne, ale może zechcesz przynajmniej zrozumieć, czemu tak postąpiłem. Proszę cię, daj mi szansę wyjaśnić moje skandaliczne zachowanie.

Słowa takie jak „skandaliczne” wyraźnie stanowiły balsam na serce Argosy'ego. Z satysfakcją słuchał, jak jego napastnik się kaja. Przestał gniewnie stroszyć piórka.

- Po pierwsze, Cavill się myli. Ma szczęście, że go tu nie było, bo to jego miałbym chęć wyzwać na pojedynek. Te plotki o pannie Brightly powstały z zazdrości różnych ludzi w Londynie, nic ponadto. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek uwłaczał pannie Brightly, zaś powtarzanie plotek o niej pod moim dachem odbieram jako osobistą zniewagę. Bo jej charakter jest bez żadnych wątpliwości... - Odchrząknął. - ...kryształowy.

Umilkł. Argosy przyglądał mu się z lekkim zdziwieniem, ale wyraźnie chłonał jego słowa. Nagle Miles zdał sobie sprawę, że jemu chyba naprawdę zależy na Cynthii, o ile mogło mu zależeć na kimkolwiek poza sobą samym. To było zaskakujące. I bolesne. I bardzo pomocne.

Brnął dalej.

- Podobnie jak Violet, ma wybujały temperament, to prawda, ale jest bardzo... - To było takie zwyczajne słowo. Ale odpowiednie. - Jest bardzo droga.

- Jest droga? - zdziwił się Argosy.

A ponieważ był tym, kim był, prawdopodobnie wydawało mu się, że Miles ma na myśli słowo „kosztowna”.

- To znaczy, chciałem powiedzieć, że jest drogą przyjaciółką naszej rodziny. O czym pewnie nie wiedziałeś, bo gdybyś wiedział, to zakładam, że jako dżentelmen nie ubliżyłbyś jej w mojej obecności. - Argosy nadął się urażony. Może jednak był w nim potencjał na prawdziwego mężczyznę. - Bardzo nam na niej zależy i wszelkie obelgi pod jej adresem odbieramy bardzo osobiście. Ja traktuję ją tak samo jak Violet.

Argosy uśmiechnął się lekko, kiedy Miles powiedział „Violet”. To imię zwykle wywoływało u mężczyzn smutny uśmiech.

- I muszę powiedzieć, że pomimo tego, iż lubi korzystać z życia, panna Brightly posiada tyle zdrowego rozsądku i tak szlachetny charakter, że każdy byłby zaszczycony, mogąc ją zaliczyć do grona bliskich znajomych. Tak czy inaczej, moje zachowanie było przesadne i niestosowne, a choć nie żałuję, że stanąłem w obronie jej honoru, co i ty byś pewnie zrobił dla jednej ze swoich pięciu siostr... - Tu przerwał, a Argosy skinął głową krótko, po męsku. - To szczerze żałuję sposobu, w jaki to zrobiłem. Mam nadzieję, że okażesz się wielkoduszny i mi wybaczysz, i że nie będziesz potępiał panny Brightly za coś, czego jestem pewien, nigdy by nie zrobiła.

Argosy przez chwilę nic nie mówił. Strużka krwi, która wypłynęła mu z kącika ust, zaczęła już zastygać.

- To zrozumiałe, że osoba panny Brightly budzi silne emocje - odezwał się wreszcie, a każde kolejne wypowiedziane przez niego zdanie było mniej zrozumiałe niż poprzednie z powodu puchnącej w oczach wargi. - Po prostu emocje wzięły nade mną górę, bo bardzo się do niej przywiązałem i czułem się upokorzony jej zdradą. Tym, co uważałem za zdradę - dodał pośpiesznie.

Miles tylko skinął głową. Czuł lekkie wyrzuty sumienia, że wprowadza go w błąd. Ale niezależnie od tego, co Cynthia zrobiła lub czego nie zrobiła, Argosy i tak dobrze na tym wyjdzie.

- Bo widzisz... miałem zamiar jej się oświadczyć - wyznał z wahaniem Argosy. - Wczoraj. Bardzo chciałem to zrobić. Wiesz na pewno, że bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Mam wrażenie, że wszyscy to zauważyli. Moje uczucia do niej są szczerze. - Miles słuchał z zaciekawieniem. Brzmiało to, jakby Argosy cytował kiepską poezję miłosną. - I los zdaje się nas sobie przeznaczać... Nie wyobrażam sobie, że mogłoby mi na innej kobiecie zależeć bardziej niż na niej. Naprawdę się zakochałem. Więc bardzo, bardzo mnie rozczarowało to, co powiedział o niej Cavill. Wiem, że jej rodzina to niepewna kwestia. Ale to dla mnie bez znaczenia. Za to mój ojciec na pewno wolałby, gdybym wziął za żonę kobietę, której reputacja nigdy nie została nadszarp...

Miles wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość. I skłamał.

- Panna Brightly to wspinała młoda dama - powiedział dobitnie. - Zapewniam cię, że cieszy się trwałą przyjaźnią oraz szacunkiem naszej rodziny. Mówię więc w imieniu nas wszystkich, że jeśli ktoś uwłacza jej czci, to uwłacza również honorowi rodu Redmondów. - Dał mu chwilę, żeby dotarła do niego ta subtelna groźba; nikt nie miał ochoty narażać się Redmondom. - Uważamy, że dla każdej rodziny, nieważne jak wysoko postawionej, zaszczytem będzie móc ją przyjąć do swojego grona. A każdy mężczyzna wolnego stanu powinien czuć się... - urwał.

Serce mu się ścisnęło przy tych słowach. Musiał się odwrócić do okna, kiedy to mówił, jakby właśnie odwracał się plecami do własnego serca.

- Powinien czuć się wybrańcem losu, jeśli panna Brightly go zechce. Ty również, Argosy.

Kończąc, mówił już głosem ochryplym z przejęcia. Argosy z wrażenia na chwilę stracił mowę.

- Ojciec na pewno by wolał, żebym się ożenił z arystokratką, ale ponieważ jestem jego jedynym synem, nie umie mi niczego odmówić. A w dodatku czuję, że mnie i pannie Brightly pisana jest wspólna przyszłość. Tak nam przecież wyróżyła pani Heron.

- Właśnie.

- Skoro jej bronisz, to muszę sobie pogratulować wcześniejszej słusznej decyzji. A poza tym pragnę jej.

Powiedział to tonem człowieka, który dostał dotąd wszystko, o czym zamarzył. Jego słowa nie były samolubne czy bezczelne. Były oszałamiająco prostolinijne.

Miles stwierdził, że nie potrafi źle myśleć o Argosym. Choć sam fakt, że nie myślał o nim źle, nie znaczył, że myślał o nim dobrze. Był on po prostu nie w pełni ukształtowany i być może taki pozostanie już na zawsze. Bo charakter, jak sam wiedział, kształtuje się przez wytrwałość i zmagania.

Z drugiej strony, Cynthia Brightly jako żona byłaby prawdopodobnie w stanie zapewnić okazję do wytrwałych zmagañ każdemu mężczyźnie.

Czuł, że opuszczają go siły, że to zbyt wiele. Spośród tysiąca bolesnych momentów, które musiał znieść tego dnia, ten kosztował go chyba najwięcej. Ale już prawie po

wszystkim. Już prawie koniec. Cały ten epizod jego życia zaraz się skończy.

Tymi samymi słowami dodawał sobie otuchy, kiedy uciekł z wioski kanibali albo kiedy w końcu ustąpiła gorączka.

- Miles - powiedział impulsywnie Argosy z rozbrajającą szczerością. - Wybaczam ci. I przyjmij też moje przeprosiny za to, że tak bezmyślnie ubliżyłem osobie, która jest droga nam obydwu.

Miał pewne kłopoty z wymawianiem „s”, a jego warga na oczach zafascynowanego Milesa przybrała monstrualne rozmiary.

- W przyszłości postaram się zachowywać tak, jak to dyktuje moja pozycja społeczna i dobre wychowanie. - W głosie miał żal, ale i lekki wyrzut; to pierwsze Milesowi się spodobało, a to drugie przyjął z pokorą. Bo sam też nie zachował się tak, jak mu dyktowały dobre maniere. - Rozumiesz, po prostu nie chciałem wyjść na idiotę - ciągnął Argosy. - I jak ci już mówiłem, czułem się bardzo, ale to bardzo rozczerowany. Powinienem być się jednak domyślić, że Redmondowie nie przyjęliby panny Brightly pod swój dach, gdyby te wszystkie rzeczy, które się o niej opowiada, były zgodne z prawdą.

Cóż, to że nie wszystkie plotki na jej temat były prawdziwe, nie oznaczało jeszcze, że niektóre nie zawierały ziarenka prawdy.

- Cieszę się, że się pogodziliśmy, Argosy - powiedział zamiast tego.

- Ja też. - Argosy próbował się uśmiechnąć, ale spuchnięta warga w ogóle go nie słuchała.

Miles wciąż jeszcze nie czuł się winny, że go uderzył. Może przyjdzie mu to z czasem. Wyciągnął rękę, a tamten

ujął ją i mocno potrząsnął. Odstąpili od siebie i zapadła nagła cisza.

Wreszcie Argosy odwrócił się do okna i zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę. Kiedy się odwrócił z powrotem do Milesa, jego twarz promieniała.

- No to, przyjacielu, teraz cały się trzęsę z nerwów jak osika. - Znowu próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego grymas. Miles podał mu chusteczkę. - Wiedziałem, że się kiedyś ożenię, tylko nie spodziewałem się, że tak szybko. Ale chcę to zrobić. Jutro poproszę pannę Brightly o rękę i jeśli los się do mnie uśmiechnie, a naprawdę wierzę, że los przeznaczył nas sobie, za dwa tygodnie będzie moją żoną. Nie będę w stanie dłużej czekać, żeby wziąć ją do... - opowiadał z wielką swadą i upodobaniem, ale urwał gwałtownie, spojrzawszy na minę Milesa. - Czy mogę uznać, że w imieniu rodziny Redmondów pochwalasz moje oświadczenie? - zapytał z pokorą.

A więc klamka zapadła.

Miles nie mógł nie dostrzec w tym ironii: w końcu zrobił to, co sobie zamierzył. Obiecał jej, że wszystko naprawi, i naprawił. Uświadomił też sobie, że już zna to uczucie, które go teraz opanowało. Tak samo czuł się, kiedy usłyszał o jej zaręczynach z Courtlandem. Jednak wtedy nie mieli ze sobą nic wspólnego, poza tym okropnym momentem zranionej dumy na balu i pamiętał, że zdziwił go ten głęboki, dojmujący smutek.

Bo teraz wiedział dokładnie, że to właśnie czuł: smutek. Jakaś jego część już wtedy wiedziała, jak wiele Cynthia dla niego znaczy. Miejsce w jego piersi, gdzie powinno bić serce, było puste. A słowa Argosy'ego brzmiały jak pogrzebowy dzwon.

- Oczywiście, że pochwalam, Argosy. I życzę ci szczęścia w małżeństwie.

Z poczuciem, że postąpił, jak należy, a jednocześnie, że zrobił coś straszliwie niewłaściwego, patrzył, jak twarz tamtego rozjaśnia się wizją przyszłego szczęścia. Zupełnie jakby Miles przelał na niego całe to szczęście, które nie stanie się jego udziałem.

- Lepiej idź z tą wargą do kuchni - powiedział.

I Argosy tam właśnie się udał. A Miles poszedł szukać Cynthii.

Salon opustoszał tak nagle, jakby ktoś w nim wypalił z pistoletu. Powalenie jednego z gości ciosem w szczękę było chyba dość skutecznym sposobem na zepsucie radosnej atmosfery.

- Wszyscy już się rozeszli? - zapytał jednego z lokajów.

Cudownie obojętna twarz człowieka w cudownie znajomej błękitno-złotej liberii, na którą jego matka wydała sporą część fortuny ojca, odrzekła:

- Tak, proszę pana.

Zupełnie jakby to było najrozsądniejsze w świecie pytanie i jakby Miles nie zrobił wcześniej czegoś całkiem nierozsądnego.

- A widziałeś pannę Cynthię Brightly?

- Chyba poszła do ogrodu, proszę pana. W każdym razie reszta młodzieży zdecydowała się na spacer.

Cynthia siedziała samotnie niedaleko uszkodzonego posągu *Dawida* i wędnących róż. Wymknęła się ukradkiem, podczas gdy Miles i Argosy za zamkniętymi drzwiami rujnowali resztę jej życia, a teraz zastanawiała się, który z nich zginie. Patrzyła na chmury, wdychała odurzający zapach róż i siedziała sztywno, jakby sądziła, że

przeszłość jej nie dosięgnie, o ile nie będzie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Zamiast serca miała w piersiach ciężki kamień.

Usłyszała za plecami kroki. Zobaczyła na ziemi znajomy cień.

Na razie jeszcze się nie odwróciła. Tu, w tym ogrodzie widziała, jak Miles strzela - robił to tak samo elegancko i bez wysiłku, jak wszystko inne, czego się podejmował. To Argosy zginie. O Boże. On przecież powalił Argosy'ego na ziemię jednym ciosem.

Ale co między nimi zaszło?

Wreszcie podniosła na niego oczy, a on musiał w jej twarzy dojrzeć ten potworny strach, bo zaraz usiadł obok i wypalił bez ogródek:

- Nie będę jutro o świcie mierzył do nikogo z pistoletu ani nikt nie będzie strzelał do mnie. Co więcej, wygłosiłem właśnie imponującą przemowę, w której wysławiałem pod niebiosa twoją reputację i charakter oraz przeprosiłem za swoje zachowanie, co mocno nadwerężyło moją dumę, ale wierzę, że zagwarantowałem ci oświadczyzny.

Zapadła chwila ciszy.

Cynthia powoli wypuściła oddech, który dotąd wstrzymywała. I zamknęła oczy.

- Twoja duma, jego szczeka - mruknęła po chwili.

Miles spojrzał na nią zdziwiony.

- Obie nadwerężone - wyjaśniła.

Uśmiechnął się blade.

- Nie obawiaj się, będzie tak samo przystojny jak przedtem, kiedy. .. cóż, kiedy zejdzie mu opuchlizna. Padł jak rażony gromem, co? A poza tym wydaje mi się, że on już miał coś w rodzaju... wgniecenia w brodzie. - Pomacał palcem swój podbródek.

- To się nazywa dołek w brodzie.

- Ach. - Miles zawsze sobie cenił dokładność.

Znów zaległa cisza.

- Ja... przepraszam - powiedział po chwili niepewnie.

Jakby nie wiedział, co go napadło, żeby się tak zachować.

- Miles... - Zawahała się, zanim zadała to pytanie. - Zakładam, że skoro musiałeś wysławiać moją reputację, to znaczy, że uderzyłeś go, broniąc mojego honoru?

- Zrobiłem to bez namysłu, jak widać - potwierdził ze skruchą.

Uśmiechnęła się.

- Co on takiego powiedział?

- Między innymi, że obcałowałaś z pół tuzina mężczyzn w Londynie.

- Pół tuzina? - zachnęła się. - Kto to wymyślił? Było ich dwóch, najwyżej trzech. Ja tylko...

- Cynthia. Nie wydaje mi się, żebyś musiała mi ich teraz wyliczać - wtrącił szybko. - A zresztą, wszystko pomyślnie załatwiłem. Zupełnie, jakby twoja przeszłość nigdy się nie wydarzyła. Powiedziałem mu, że to kłamstwa.

W poidelku dla ptaków obok nich wylądował z chlupotem jakiś mały, krągły ptaszek i zaczął się hałaśliwie pluskać.

- Dziękuję - szepnęła oszołomiona.

Oboje zamyślili się w milczeniu.

- Pewnie dlatego go lubisz. Przez ten dołek. Bóg jeden wie, że nie dla jego bystrości.

Czyżby to miał być żart? Jeśli tak, to wyjątkowo żaloszny. Miles był wyraźnie rozkojarzony, a jego głos brzmiał głucho.

- Przez dołek? - Udała, że się nad tym zastanawia. - Być może. Wiesz, on ma w sumie takie trzy. Jeden na brodzie, jeden po tej stronie ust i jeszcze jeden...

- Cynthio? - wtrącił Miles dość gwałtownie.

W ogóle jej nie słuchał. Zapatrzony był w pobliski klomb.

- Tak? - Odwróciła się ku niemu, zaskoczona. Serce zabiło jej żywiej.

Przez moment Miles nic nie mówił. Znała go już na tyle, żeby wiedzieć, że właśnie starannie dobiera słowa. A kiedy już coś powie, będzie to nieodwołalne.

- Czy... ty go lubisz?

Zaskoczył ją tym pytaniem.

- Argosy'ego? - odparła głupio, bo przecież rzecz jasne o nim mówił. - Tak - stwierdziła. Po czym uznała, że wypadło to dość blado, więc dodała, jeśli nie z zapalem, to przynajmniej stanowczo: - Oczywiście.

Jeśli Argosy był gotów jej się oświadczyć, to ona była gotowa okazywać mu wdzięczność do końca swoich dni. Już samo to wystarczyłoby, żeby go darzyć sympatią. Mógł też być pewien jej wierności. Lubiała go na tyle, że postara się go uszczęśliwić. Ale nie był... to nie był...

- Bo... - Miles znowu urwał.

Wziął głęboki oddech i wydawało się, że czerpie siłę i odwagę z powietrza Sussex, w którym unosił się duch jego saksońskich przodków, od wieków mieszkających w Pennyroyal Green. Wypuścił powietrze i zdecydowanym ruchem zwrócił się do niej.

- Bo nie zniósłbym myśli, że do końca życia będziesz z kimś, kogo nie... kogo przynajmniej prawdziwie nie lubisz. Po prostu twoje szczęście jest moim szczęściem.

Cynthia powoli zamknęła oczy, nie mogąc patrzeć na ból w jego twarzy.

„Nie zniósłbym”.

Te słowa wręcz rosły w jej sercu. Pozwoliła im się tam zagnieździć, odczekała, aż ich sens w pełni do niej dotrze, i wtedy roześmiała się krótko. Zabrzmiało to bardziej jak jęk. Ach, los zadrwił sobie z nich obojga, nieprawdaż? Przez chwilę nie była w stanie odpowiedzieć. Opuściła głowę, kiedy zapiekły ją oczy.

- Lubię go - powiedziała w końcu cicho. Mówienie sprawiało jej ból; gardło miała jakby spuchnięte. Wiedziała, że to dla Milesa ważne, nawet jeśli ona sama nie miała pewności. - Naprawdę. Dziękuję. Ja... dziękuję ci.

W ostatnie słowa, ledwo dosłyszalne, włożyła całe serce, wszystko, co się wydarzyło w ciągu tych dwóch tygodni.

Trwali tak w zaskoczonym milczeniu, ci dwoje, którzy dotąd uważali, że miłość nie jest im potrzebna do zdobycia tego, co chcieli osiągnąć. Jakie to dziwne, że ten moment olśnienia i największego szczęścia niczym się nie różnił od najgłębszego cierpienia.

Cynthia zaryzykowała otwarcie oczu. Pasiasty muślin sukienki rozmywał jej się w polu widzenia. Przeklęte łyzy. Przecież nigdy nie płakała. Płacz przez te ostatnie lata stał się dla niej czymś w rodzaju luksusu. Nie było nikogo, kto by oglądał jej łyzy albo się nimi przejmował. Ale teraz... ach, teraz...

Teraz był ktoś, kto przejmował się jej cierpieniem i kto zrobiłby dla niej wszystko. Więc łyzy wykorzystwały rzadką okazję. Mimo zamglonego wzroku dostrzegła, że na jej kolanie przysiadł maleńki zielony owad. Słońce zmieniło jego skrzydełka w dwie miniaturowe tęcze. No

dobrze. Znieruchomiła, żeby go nie wystraszyć. To miło, że mogła być dla niego miejscem odpoczynku w locie.

Przeklęty Miles Redmond. Była pewna, że do końca życia, kiedy tylko spojrzy na jakieś pełzające albo latające stworzenie, będzie o nim myślała. A przecież owady były wszędzie. I był jeszcze jej kot, Pająk.

Łza oderwała się od rzęs. Zaskakując i Cynthię, i owada: jego malutkie skrzydła zadrgały i odleciał. Z rezygnacją patrzyła, jak łza zamienia się w ciemniejszą plamkę na sukni. Miała nadzieję, że tam zostanie; przynajmniej byłaby to jakaś pamiątka dzisiejszego dnia. Odetchnęła głębiej i ściągnęła łopatki.

Niech i tak będzie: ten epizod w jej życiu miał być równie piękny, jak ten mały skrzydlaty gość i trwać równie krótko, co jego wizyta na jej kolanie. Zazdrościła mu szybkości, z jaką zniknął. Ale ona sama nie należała do tych, którzy uciekają. Teraz też nie zamierzała tego robić.

Z oddali dobiegły ich jakieś rozmowy i śmiech. Violet, Jonathan, Argosy, rozpoznała Cynthia, odróżniając ich po głosie i wyłapując uprzejmy ton ogrodnika, który musiał odpowiadać na żartobliwe pytania. Cała trójka lada moment mogła się natknąć na nią i Milesa, na żywy obrazek szczęścia pomieszanego z rozpaczą, bo zasłaniało ich tylko poidelko, w którym taplały się radośnie już trzy ptaszki, i gęsty zielony żywopłot, przycięty tak równo, że aż nieprzyzwoicie. Te żywopłoty stanowiły kwintesencję rezydencji Redmondów i Milesa.

Podniosła głowę z pełną świadomością, że oczy ma mokre i zaczerwienione, a czubek jej nosa pewnie lśni jak pomidor. Płacz zawsze ją szpecił. Teraz Miles mógł ją sobie obejrzeć w najbardziej autentycznej nieupiększonej

postaci. Wyzywajacym gestem otarla lzy, ktore posypaly sie z rzęs na policzki.

Patrzył. I to jak patrzył.

Jakby wiedzial, ze ten moment bedzie musial mu wystarczyć do końca życia.

A potem powoli odwrócił głowę i zapatrzył się w dal, tam gdzie ziemie Redmondów opadały łagodnie w stronę kanału La Manche. I mimo że ktoś lada moment mógł się na nich natknąć, spokojnym, zdecydowanym ruchem uchwycił jej rękę, wsuwając swoje palce pomiędzy jej. Ich splecione dłonie spoczywały pomiędzy nimi na ławce.

W pewnym sensie ta chwila była bardziej poruszająca niż fizyczne spełnienie. Były w niej wdzięczność i żal; było wspomnienie wszystkiego, co się między nimi wydarzyło, i milczące uznanie tego, co nigdy nie mogło zostać wypowiedziane. Mieściła w sobie zapewnienie i pożegnanie.

A biorąc pod uwagę zbliżające się głosy, była też ogromnie ryzykowna.

Cynthia przyłgnęła do niego. Nie patrzyli na siebie, ale zdawało się jej, że wyczuwa pod dłonią bicie jego serca. Bardziej prawdopodobne było jednak, że po prostu mobilizowała wszystkie zmysły, by na zawsze zapamiętały dotyk jego skóry, i to jej serce tak dudniło, że czuła je aż w dłoniach. Zamykając oczy, była w stanie sobie wyobrazić, że jego dłoń to ciało, a jego palce są nogami i rękami, które ją oplatają, więc o tym właśnie myślała. Bo wiedziała, że dotyka go ostatni raz w życiu, a jej wyobraźnia była bardzo zachłanna.

Siedzieli tak obok siebie, jak gdyby zapatrzeni na roztaczający się przed nimi widok. Lecz żadne z nich go nie dostrzegało.

Ponad inne dźwięki wybił się głos Violet, niepokojąco blisko nich. Miles nieubłaganie cofnął rękę, dotykając jej już tylko czubkami palców. Pozostawił je na jej palcach przez ułamek sekundy, niby pożegnalny pocałunek.

Potem wstał bez słowa, bez ukłonu, rzucił jej tylko zagadkowe spojrzenie przez ramię i zniknął za żywopłotem. Za moment w polu widzenia pojawiła się Violet, która szła, co chwilę odwracając głowę do tyłu i wołając za siebie.

- Jonathan, proszę cię, nie zachowuj się jak idio...

Nagle urwała, komicznie zdumiona na widok zapłakanej Cynthii siedzącej samotnie na ławce. Na szczęście źle zinterpretowała jej czerwone oczy i nos. Podbiegła i chwyciła ją za rękę, choć Cynthia się wyrywała. Ta ręka należała tylko do niej. Czuła na niej jeszcze ciepło palców Milesa.

Ale Violet nie chciała jej puścić.

- Och, Cynthio! - wyszeptała podniecona. - Wytrzymaj oczy, głuptasie! Już wszystko dobrze. Miles przeprosił i Argosy jest prawie cały i zdrow, i kocha się w tobie. Chce ci się jutro oświadczyć! Wiem, że to miała być niespodzianka, ale pomyślałam, że lepiej od razu ci powiem.

- Jutro? - powtórzyła otepiała Cynthia.

- Tak! - potwierdziła wniebowzięta Violet. - Jutro! Zaprosi cię na spacer po ogrodzie i wtedy się oświadczy.

- Ale... dlaczego jutro?

- Violet! - rozległ się lekko poirytowany męski głos w pewnej odległości.

Reakcja Cynthii lekko zbiła Violet z tropu. Ale zignorowała wołanie i odpowiedziała na pytanie przyjaciółki.

- Cóż, nie może tego zrobić dzisiaj. Ma problem z wymawianiem „sz” i „ż”, bo mu warga mocno spuchła. Ależ Miles mu przyłożył, nieprawdaz? Ciekawe, co w niego wstąpiło. Martwię się, czy to nie nawrót choroby; chyba powinien pójść do lekarza. W każdym razie Argosy trochę się tego wstydzi. Uważa, że do jutra opuchlizna powinna zejść, a jeśli nie, to potrzebuje czasu, żeby znaleźć odpowiednie słowa.

Zdanie „Czy zgodzisz się zostać moją żoną?” ma za dużo trudnych spółgłosek, z którymi sobie nie radzi przez tę wargę. „Będę zaszczycony, jeśli zechcesz spędzić ze mną resztę swoich dni” też nie wychodzi mu najlepiej. Próbowaliśmy wymyślić coś odpowiedniego. „Bądź moja” jest dosyć łatwe, ale to brzmi jak coś, co mógłby powiedzieć Miles.

Cynthia siedziała, porażona kompletnie przeciwstawnymi uczuciami. Targały nią rozbawienie, smutek i ulga. Nie umiała znaleźć takiego słowa, które pomieściłoby w sobie to wszystko.

Violet przyjrzała się jej zmartwiona i zaniepokojona tym, że Cynthia się nie odzywa.

- Pomyślałam, że powiem ci o tym. Bo jak cię tutaj zobaczyłam, to wyglądałaś na zupełnie... zupełnie... zdruzgotaną. - Violet była pod wrażeniem własnego słownictwa.

Cynthia z rezygnacją wzięła oddech. Czowała, że to znamienna chwila: jej pierwszy oddech w świecie bez Milesa Redmonda. Będzie musiała żyć dalej i oddychać dalej, nieważne, kto stanie się częścią jej przyszłości. I tak miała szczęście, że w ogóle może liczyć na jakąś przyszłość.

Tęskniła za chusteczką do nosa. Na razie musiała się zadowolić poklepywaniem powiek, żeby wyschły. Ale Violet domyślnie wyciągnęła swoją, nieskazitelnie czystą, z inicjałami VR wyszytymi błękitną nicią przy obrąbku. Cynthia przyjęła ją z wdzięcznością i otarła kąciki oczu. Później dyskretnie i po cichu wydmuchała nos.

- Ojejku! Cynthio! Jaki dzisiaj piękny dzień na przechadzkę, nieprawdaż? - krzyknęła nagle Violet.

Cynthia aż podskoczyła i spojrzała na nią ze zdumieniem. Violet szepnęła konspiracyjnie:

- Chyba nie chcesz, żeby Argosy cię taką zobaczył. A ja wiem, że on wolałby nie pokazywać ci swojej wargi. Ma nadzieję, że do jutra opuchlizna ustąpi. Chyba chciałby cię pocałować, jak już przyjmiesz jego oświadczyń. Taki jest zwyczaj, rozumiesz - dorzuciła ze znawstwem.

Jakby była specjalistką w tej dziedzinie. Cynthia nigdy jej nie pytała, jaką wiedzę posiada na takie tematy. Ciekawe, ile ona otrzymała propozycji małżeństwa? Niewątpliwie odrzuciła je wszystkie, bo to przecież była Violet.

Chciała oddać jej chusteczkę, ale Violet machnęła ręką, że może ją sobie zatrzymać. Daleko na widnokręgu zaczęły się zbierać chmury. Pewnie do wieczoru powoli nadciągną nad Sussex i spuszczą na ziemię swój deszczowy bagaż.

- Masz dobre serce, Violet - powiedziała w końcu Cynthia.

Violet, której dotychczas nikt nigdy nie zarzucił niczego podobnego, z początku wyglądała na zniesmaczoną, ale potem jednak na zadowoloną. Pewnie w myślach dołożyła kolejny punkt do spisu swoich cnót i zalet.

Naraz Violet zerknęła pod nogi. Zamarła: jej twarz stała się nagle dziwnie czujna. Schyliła się i podniosła coś z ziemi, obejrzała tę rzecz, zmarszczyła czoło i zaraz wygładziła zmarszczki. Zanim Violet schowała to coś do kieszeni, Cynthii mignął błysk srebra. Moneta? Ale córka Redmondów raczej nie podnosiłaby z ziemi drobniaków.

Violet znów spojrzała na chmury w oddali.

- Cynthio, powiedz, czy źle zrobiłam, że ci powiedziałam o planach Argosy'ego?

Uniesienie kącików ust było iście herkulesowym wysiłkiem, ale Cynthia była pewna, że udało jej się przywołać na twarz coś na kształt uśmiechu. W końcu też zdołała wysunąć dłoń z uścisku Violet.

- Nie. Zrobiłaś... bardzo dobrą rzecz, Violet. Najlepszą, jaką mogłaś zrobić.

Podczas obiadu stało się jasne, że szeregi gości redmondowskiego letniego przyjęcia mocno się przerzedziły, tak że właściwie trudno już było mówić o przyjęciu. Przy stole brakowało Argosy'ego i Milesa - ten pierwszy jadł w swojej sypialni chłodną zupę, a ten drugi podobno pojechał w odwiedziny do mieszkającego kilka mil dalej doktora Price'a z Królewskiego Towarzystwa Nauk i miał wrócić późnym wieczorem, o ile pogoda pozwoli na jazdę konną.

Tym samym Violet, ku swojemu ogromnemu zaskoczeniu, automatycznie stała się panią domu. Lokaj, który przekazał jej tę wiadomość, nie krył obawy, wiedząc, że Violet dość szybko wyciągnie z tego odpowiednie wnioski. Na całe szczęście mieszkańców domu do większej rozwagi skłaniał fakt, że z gospody w West Chiverley również przysłano wiadomość: państwo Redmond mieli wrócić do domu następnego ranka.

Cynthia, niepokieszona i rozkojarzona, więcej energii włożyła w mieszanie swojej zupy niż w jej konsumpcję. Po czym, wykręcając się bólem głowy, w ogóle zrezygnowała zjedzenia.

- To pewnie te emocje z kilku ostatnich dni - powiedziała przepraszająco do Violet, chociaż w porównaniu z życiem, jakie prowadziła wcześniej w Londynie, ostatnich kilka dni tu, w Sussex, niekoniecznie obfitowało w emocje.

Violet przyjrzała jej się podejrzliwie. Zaraz jednak się rozpogodziła.

- Chcesz być świeża i wypoczęta na jutro rano - powiedziała znaczącym tonem.

- Tak - przyznała Cynthia. Choć ze względu na to, jakie miała plany, było to raczej niemożliwe.

Po powrocie do pokoju zastała na toalecie list z Northumberland. Zmierzyła go wzrokiem, a potem drżącymi rękoma otworzyła kopertę i przeczytała.

Delikatnie odłożyła go z powrotem.

Wzięła na ręce Pajaka i pocałowała go między oczy, co sprawiło, że zaczął mruczeć. Zajrzała w róg okna: pajęczyna wciąż tam była, a Susan pewnie spała, bo nigdzie nie było jej widać.

Szybko ściągnęła suknię, w której była na obiedzie, i powiesiła ją z czułością w szafie, potem włożyła koszulę nocną, wsunęła się pod kołdrę i owinęła ją sobie wokół ramion, a stopy podkuliła pod siebie. Pajak bawił się koszulą, jakby to był namiot; atakował też jej palce u nóg, z nadzieją że Cynthia nimi poruszy. A Cynthia siedziała, wpatrując się w ogień na kominku i czekając, aż zrobi jej się cieplej, próbując znaleźć w płomieniach odpowiedź,

podobnie jak Cyganka czytała ją z herbacianych fusów na dnie filiżanki. Szukając właściwego kształtu.

On nadał jej osobowości głębię i nowe wymiary. Dotychczas była skupiona tylko na jednym, kierowała się wyłącznie strachem i ambicją. Ale teraz wiedziała, co musi zrobić. Światłość zalała jej życie.

Uznała, że taki znak wystarczy.

- Bądź grzeczny - powiedziała do Pajaka, którego włożyła do koszyka przed kominkiem. Bezskutecznie, bo on jeszcze nie miał ochoty na sen. Wyskoczył z powrotem i zaczął atakować frędzle od dywanu.

A Cynthia wyszła z pokoju.

Chwyciła za klamkę i okazało się, że drzwi do jego pokoju nie są zamknięte na zasuwkę. Nacisnęła więc mocniej, a potem uchyliła lekko drzwi - na tyle tylko, żeby mogła się wśliznąć do środka. Drzwi nie zaskrzypiały, a zasuwka nie zazgrzytała, kiedy Cynthia ostrożnie ją przesunęła. Oczywiście, że nie - w końcu to była redmondowska zasuwka. Utrzymana tak starannie jak reszta domu.

Ciemność w jego sypialni była gęsta i aksamitna jak jego oczy. Ogień na kominku dogasał, wracały cienie i chłód. Przez chwilę nie była pewna, czy on w ogóle jest w pokoju. Ale zaraz usłyszała jego rytmiczny oddech dobiegający z łóżka, ogromnego jak... okręt.

Zanim ruszyła się z miejsca, odczekała, aż cienie przybiorą kształty znajomych przedmiotów. Nie najlepiej byłoby, gdyby wpadła z hukiem na jakiś mebel. Kiedy oczy oswoiły się już z mrokiem, wysunęła przed siebie bosą stopę, ostrożnie, powoli, jak linoskoczek, świadoma tego, jak niebezpieczne i piękne było to, co robiła. Gruby dywan tłumił jej kroki.

Wkrótce łóżko znalazło się tuż przed nią, a w nim Miles pogrążony we śnie, zagrzebany w pościeli. Oddychał powoli, miarowo, głęboko. Z wolna, ostrożnie podeszła bliżej i usiadła na brzegu łóżka. Materac nie zaskrzypiał, tylko delikatnie westchnął pod jej ciężarem: materac był gruby, a ona drobna. Powolutku wciągnęła nogi na łóżko. Jego ramię wystrzeliło spod kołdry i unieruchomiło ją w miejscu.

- Kim, u diabła, jesteś? - warknął.

Ach. Więc tylko udawał, że śpi. Przez najbliższych kilka sekund w ciszy słychać było tylko jego poirytowany oddech.

- Auć - powiedziała cichutko. Zabrzmiało to jak czułe zdrobnienie.

Miles wypuścił ją i przekręcił się na drugi bok. Rozległ się szelest, szcęk i stłumione przekleństwo, a po chwili już płonęła lampa przy łóżku. Macając na oślep, udało mu się przykryć płomień klosikiem. Oboje znaleźli się w niewielkim kręgu łagodnego światła.

Siedział teraz sztywno wyprostowany. Włosy, straszliwie rozczochrane, sterczały we wszystkie strony, wpadały na oczy - były po prostu wszędzie. Odruchowo przecesał je palcami, co w żadnym stopniu nie poprawiło sytuacji.

Przez moment wydawało się, że oniemiał. Patrzył na nią tępym wzrokiem.

- Cynthia - powiedział w końcu ochryple. Usłyszała w jego głosie zdumienie. I pragnienie, o tak, pragnienie również, bo jak się domyślała, tylko w ten sposób był w stanie wymawiać jej imię, a ona jego. - Co ty tutaj... Co u licha... Nie możesz...

Pochyliła się i położyła mu dłoń na ustach.

Posłał jej komicznie rozzłoszczone spojrzenie znad czubków jej palców. I dopiero w tym momencie Cynthia zdała sobie sprawę, że pościel osunęła się na łóżko, a Miles jest nagi przynajmniej od pasa w górę.

Nie była w stanie oddychać. Już wcześniej podziwiała jego piękno, ale to były tylko fragmenty: na przykład lśniący kawałek męskiego torsu w wycięciu koszuli. Doświadczyła też dotyku jego skóry ocierającej się o jej ciało, bo była tak bezwstydna, że sama się o to postarała. Ale całkowicie nagi Miles to chyba aż za wiele dla jej zmysłów. Poczowała dziwną słabość, a jej palce osunęły się z jego warg.

Wciągnęła powietrze, żeby sobie dodać odwagi. Z tej odległości jego nagie ramiona robiły imponujące wrażenie: były muskularne, podobnie jak tors zwięzający się w dół, w kierunku talii, która... Która niestety w tym momencie była ukryta w zwojach skłębionej pościeli i zupełnie niewidoczna.

Delikatne ciemne włoski, których już wcześniej dotykała, o które ocierała się piersiami, biegły w dół po płaskim brzuchu tam, gdzie miały swój początek.

Pod kołdrą.

Był absolutnie wspaniały i tak bezapelacyjnie męski, że Cynthia się zawstydzila. Poczowała się nagle zupełnie nieprzygotowana do tej sytuacji.

Ale on też był w pewnym sensie bezbronny - dopiero co rozbudzony, oszołomiony, pełen pożądania. A ona go знаła. Znała go. Jakie to dziwne, że w takiej chwili zalała ją fala opiekuńczości wobec tego mężczyzny, który pewnie potrafiłby ją unieść jedną ręką i wyrzucić na korytarz. Lecz Cynthia była gotowa walczyć za niego na pięści.

Tak jak on za nią.

Spojrzał na jej twarz. Podejrzewała, że ma na niej wypisane to samo, co on: zachwyt, żar, niezmierne pragnienie i bezsens opierania mu się.

- Dlaczego? - wyszeptał zdumiony.

Pewnie chciał spytać: „Dlaczego tu przyszłaś?” A ona w myślach odpowiadała: „Bo cię kocham, do licha. Dzięki tobie odkryłam, że warto żyć, a jednocześnie zniszczyłeś mi życie, ale dziękuję ci za to”.

Uśmiechnęła się blado. Nigdy mu tego nie powie.

Wyciągnęła trzęsącą się dłoń i zsunęła z niego pościel. I owszem, był całkiem nagi. Zakaszłał, usiłując ukryć zawstydzony śmiech. Jego erekcja już wyginała się dumnie w stronę brzucha.

Odruchowo przeciągnęła po niej palcem w zaborczym geście. Jak widać, zrobiła się zupełnie bezwstydną. Powstrzymał ją, obejmując jej nadgarstek dłonią. I tak ją trzymał przez chwilę. Oboje wzięli oddech i wypuścili powietrze. A później delikatnie rozprostował palce i uwolnił jej rękę. Po czym złapał rąbek koszuli nocnej, który zakrywał stopy Cynthii.

Tymi dwoma gestami powiedział: „To ja będę nadawał ton”. Serce jej zadudniło. Przy nim jak zwykle nie miała wyboru, więc oddała się całkowicie w jego ręce. Najpierw powoli uniosła ramiona, żeby Miles mógł rozebrać ją z koszuli, co uczynił bez zbędnych ceremonii. Wszystko szło gładko, póki koszula nie zaczęła się o jej brodę. Miles stęknął i szarpnął mocniej.

Czyli nie było to idealne uwiedzenie.

Zwinał jej koszulę i odłożył delikatnie na bok, jakby miał do czynienia z żywą istotą. Nagle uświadomiła sobie, że jest całkiem naga; chłodne powietrze owiało jej skórę. Zwalczyła chęć skrzyżowania rąk na piersiach.

Ale nie było takiej potrzeby. Jego ramiona już sięgnęły jej pleców, jego dłonie zsuwały się zdecydowanie po obu stronach kręgosłupa, a jej ręce oplótły jego kark. Wiedziała, że do końca życia zapamięta ten moment, kiedy ich nagie ciała wreszcie do siebie przywarły.

Gdy już miał ją w ramionach, przechylił ostrożnie do tyłu, a jej głowa zapadła się w puch poduszki. Nad sobą zobaczyła jego oczy, płonące pragnieniem, i jego usta zacięte w powadze.

Trochę się bała, ale drżała jak w gorączce, drżała z pożądania. Jak w gorączce, bo gorączkowo pragnęła go dotykać wszędzie, poznać i zapamiętać go całego, stać się nim, a zdawało jej się to niemożliwe w tak krótkim czasie, ponieważ każdy skrawek jego skóry był bezcenny, cudowny, fascynujący - każdy był światem samym w sobie. Potrzeba by na to całego życia. Zdjęła ręce z jego szyi i niecierpliwie przesunęła je do przodu, na twardą kość obojczyka, na umięśnioną pierś, gdzie znowu mogła dotknąć jego płaskich sutków.

Pozwolił jej się odkrywać. Ale wyczuwała w nim niecierpliwość.

- Na Boga, Cynthio, chyba nie dam rady być delikatny - powiedział z żalem. Uśmiechnął się przy tym, ale w oczach miał ostrzeżenie.

Myślała, że nie jest w stanie nic powiedzieć. Ale kiedy otworzyła usta, słowa same się z nich wyrwały, jakby więziła je w sobie zbyt długo:

- Pragnę cię teraz.

Równie dobrze mogła mu dać swoje własne, bijące serce i nóż, by odciął jego kawałek. Roześmiał się krótko i jego wargi poruszyły się w niemym „hosanna”, a potem

zamknął oczy, jakby chciał ją ochronić przed nadmiarem emocji promieniujących z jego wzroku.

Ale ona zdążyła jeszcze zobaczyć w nich rozjarzoną do białości radość. I naraz poczuła się tak, jakby w jej piersi zamieszkało słońce, wschodziło tam i zachodziło. Przyciągnął ją znów do siebie, a jego nabrzmiały członek wsunął się pomiędzy jej nogi. Omal nie oślepla z rozkoszy. Instynktownie otwarła się na niego całym ciałem: ramiona przyciągnęły go bliżej, uda rozchyliły się, żeby objąć jego mocne, owłosione nogi, usta przyjęły jego język, kiedy schylił głowę w pocałunku.

Prędko zsunął ręce po wycięciu jej talii, wzniesieniu bioder, aż w końcu objął nimi krągłą, białą wypukłość jej pośladków. Cynthia wyprężyła się i zadygotała pod jego dotykiem. Trudno było określić, gdzie się kończy jej ciało, a zaczyna jego, ale to nie miało znaczenia. Dzielili rozkosz między siebie.

Naturalnym i oczywistym ruchem przycisnęła ją do łóżka, przytrzymując jej ręce nad głową i nakrył ją swoim ciałem. Zgięła nogi w kolanach, żeby przycisnąć się do niego, a on uniósł się nad nią na rękach; poczuła na skórze jego pot. Objęła go w pasie udami, a on jeden raz przeciągnął główką swojej męskości w tym miejscu, gdzie pragnęła go najmocniej. Jęknęła i wygięła się ku niemu.

Miles nie zapytał: „Czy jesteś tego pewna?” Bo wiedział, że nie będzie między nimi żadnych błahych rozmów, tylko połączenie ciał. Być może to pierwszy i ostatni raz, kiedy użyje swojego ciała do celu, w jakim zostało stworzone. Bo po co człowiekowi dano możliwość dawania i czerpania przyjemności, jeśli nie po to, żeby czuć coś tak niezwykłego, jak on w tej chwili?

Jej gorący, przyspieszony oddech owiewał mu szyję, jej oczy zamglone były pożądaniem i obawą.

- Trzymaj się mocno, Cynthia - powiedział cicho.

Zachwycona, przerażona, posłusznie złapała go za ramiona. A on wbił się w nią mocno. Krzyknęła. Odrzuciła głowę do tyłu i przygryzła wargę zębami. Jej brzuch wygiął się w górę. Na pewno sprawił jej trochę bólu.

Pocieszał się tym, że ból zaraz ustąpi. A potem już on się zatroszczy o to, żeby zapłonęła z rozkoszy. Zanurzył się w nią powoli, głęboko. Wysunął i wszedł znowu. Chryste. Tak cudownie... Tak wspaniale... Prawie tracił od tego wzrok. Rozkosz rozlała mu się po skórze jak biały żar i nie mógł oddychać.

- Cynthia... nie wiem, czy... mogę dłużej...

Chciał się w nią wbijać z taką siłą, żeby oboje tracili zmysły, chciał, by do głosu doszły najbardziej pierwotne instynkty. Ale z drugiej strony pragnął, żeby to trwało wiecznie. Otworzył oczy i zobaczył, że ona patrzy na niego spod w półprzymkniętych powiek. Jej pierś unosiła się w ciężkim oddechu, w takim samym rytmie jak jego. Istny huragan oddechów.

Przyciągnęła go do siebie udami i zaplotła nogi na jego pośladkach. Obrysowała palcami mięśnie na jego ramionach.

- Proszę - szepnęła. - Weź mnie teraz.

Nie trzeba go było dwa razy prosić, ale przynajmniej na początku starał się być delikatny. Starał się wchodzić w nią pod takim kątem, żeby było jej dobrze, a kiedy syknęła, biorąc oddech, i jęknęła, wypuszczając powietrze, wiedział, że mu się to udało. Odchyliła głowę w tył, a ciało wyprężyła ku niemu.

Przez krótki czas rytm ich zbliżenia był powolny, niemal leniwy. Ich gorące ciała stykały się ze sobą, kiedy się w nią zagłębiał. Ale wkrótce szalona, narastająca żądza zmusiła go, by poruszał się szybciej, mocniej. Pot skropił mu się na piersi. W świetle lampy skóra Cynthii lśniła od wilgoci.

Zaraz umrze, zginie, jeśli nie zdoła osiągnąć spełnienia.

- Miles... - Wygięła się ku niemu, przyjmując go w siebie głębiej niż dotychczas, a on znowu się w nią wdarł.

Poczuł olbrzymią satysfakcję. Ale chciał więcej, chciał, żeby wiała się pod nim z rozkoszy. Pochylił głowę i wziął w usta jej sutek. Przygryzł go leciutko. Wyrwał jej się okrzyk zachwytu, a on się uśmiechnął. I znowu zagłębił się w jej ciasną, rozgrzaną kobiecość.

Wbiła mu paznokcie w plecy i przesunęła je w dół. Cudowny ból. Poczuł szarpnięcie przyjemności. Zanurzał się w niej raz po raz, a ona unosiła się, żeby go spotkać w pół drogi, otwierała się coraz bardziej, przywarła do niego, objęła ramionami i udami i mruczała mu do ucha wyrazy, o których znajomość jej nie podejrzewał, jeszcze mocniej go pobudzając. Odłamkiem świadomości rejestrował odgłos zderzających się ciał, wilgoć potu, dłonie, które chwyciły, zsuwały się, wbijały paznokcie.

I już nie był w stanie powstrzymać ruchu bioder, które wznosiły się i opadały jak werbel dobosza, wiodąc go ku spełnieniu. Ale wtedy Cynthia wyprężyła się z całej siły przeszyta ostrzem ekstazy. Jej krzyk dotarł do jego uszu, owinął się wokół jego członka i nic już nie było w stanie go powstrzymać, kiedy wdzierał się w nią bez litości, żeby osiągnąć to, czego pragnął od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzał tę kobietę.

Usłyszał swój schrypnięty głos wymawiający jej imię, gdy rozległ się echem w całym pokoju, a rozkosz wyrzuciła go poza ciało i wstrząsnęła nim mocniej niż tropikalna gorączka. Poddał się spełnieniu. Opadł na nią na drżących ramionach. Schował twarz w zagłębieniu jej szyi, gdzie jej miękkie włosy oplotły mu policzek.

Wszechogarniające go odprężenie było jak delikatne kołysanie spokojnego morza.

Cynthia nie była w stanie otworzyć oczu: powieki miała zbyt ociężałe. Chyba każdy skrawek jej ciała kochał się z Milesem Redmondem, a teraz musiał odpocząć. Uniesienie powiek będzie od niej wymagało całych nakładów siły. Nie teraz, jeszcze nie teraz.

Poczuła, jak wysuwa się z niej delikatnie i kładzie obok na łóżku. Objął ją ramionami, a ona poddała mu się z zadowolonym westchnieniem, bezwładnie, jakby w ogóle nie miała mięśni ani kości. Było jej ciepło. Przy nim czuła się jak w domu. Wsłuchiwała się w jego oddech i uśmiechnęła się. Brzmiało to tak, jakby dochodził do siebie po długim biegu. Uspokajał ją ten miarowy odgłos życia krążącego w jego ciele.

W końcu zdobyła się na otwarcie oczu, bo była ciekawa, jak też Miles Redmond będzie wyglądał po tak intensywnych igraszkach. Uniósł głowę i spojrzął na nią. Uśmiechał się. Wyglądało na to, że jest rozbawiony, rozleniwiony i...

- Zadowolony z siebie - mruknęła. - Wyglądasz na bardzo z siebie zadowolonego.

Zastanowił się.

- Między innymi - przyznał, mrużąc tak leniwie jak ona. Wciąż się uśmiechał.

Podniosła rękę i odsunęła mu z czoła sklezione potem włosy, żeby móc widzieć jego oczy i te ciemne, proste brwi, i jego rzęsy. Każdy skrawek jego ciała, każda blizna, każdy włoszek wydawał się istotny. Każdy stanowił część topografii jej serca.

Powoli obrysowała palcem uśmiechnięte wargi. Te cudowne, utalentowane usta. Uśmiech zagościł na nich chyba na stałe. Miles ucałował jej palec. Oparła go o szorstki policzek.

- Cudownie - mruknęła jakby do siebie.

Nie wiedziała, czemu to mówi, ale to jedno słowo opisywało wszystko. Przez chwilę wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Nie mrugał, a uśmiech powoli zniknął mu z twarzy.

- Tak - powiedział. Jego głos miał w sobie odrobinę zdumienia i był delikatny jak pajęczyna. Włożył w to całe serce.

Odwróciła głowę i ugryzła go w ramię, rozkoszując się słonym smakiem jego skóry.

- Dzikuska. - Zaśmiał się.

- Nauczyłam się tego od Pajaka.

Odwróciła się do niego ze śmiechem, ale on zaskoczył ją pocałunkiem. Pewnie miał to być krótki i czuły pocałunek, ale kiedy ich wargi spotkały się ze sobą, tak już pozostały, jakby Miles nie był w stanie oderwać od niej ust, póki jej dokładnie nie wyczuje. A że z niej też była bezwstydną szelma, rozchyliła wargi i dotknęła go językiem. Westchnął głęboko i z radością poddał się sile pocałunku.

I tak ich usta zwarły się na dobre, bawiąc się sobą i oczywiście wzmagając podniecenie. Pocałunek szybko stał się konkretny, chciwy, mocny i głodny i już po chwili ich

ręce błdziły gorączkowo, przyciągając się nawzajem tak, jakby się chcieli stopić w jedno. Cynthię zachwycała i odrobinę przerażała oszałamiająca wielkość jego ciała: z ulgą mogła się zagłębić w tych szerokich ramionach i muskularnych, owłosionych udach, a na myśl o tym, że on mógłby zrobić z nią, co zechce, doznawała lekkiego zawrotu głowy. Podciągnął ją do góry, na kolana, przywierając piersią do jej pleców. Objął ją w pasie ramionami i opuszczył głowę, drapiąc ją w policzek zarostem.

- Spójrz - powiedział jej prosto do ucha. - Popatrz w lustro.

Po drugiej stronie pokoju stało lustro, w którym widać było dwie mgliste sylwetki, blade i lgnące do siebie gorączkowo. Patrzyła, jak blada, mglista dłoń Milesa przemierza pas jej księżycowo bladego brzucha, muska trójkąt włosów pomiędzy jej nogami i znika w tej cienistej dolinie. Widziała, jak jej głowa opada lekko do tyłu, gdy jego palce zaczęły się leniwie poruszać, wsuwając się do jej wnętrza i wyzwalając ukłucia dojmującej rozkoszy, która sprawiła, że Cynthia zaczęła się poruszać wraz z nim. Widziała, jak się pręży, jak ociera się o jego dłoń, przynaglając go, pokazując mu, jak ma jej dotykać. To było oszałamiające: miała wrażenie, że kocha się z dwoma mężczyznami naraz. Czowała to całą sobą, a każde doznanie było podwojone.

Patrzyła, jak Miles opuszcza głowę i delikatnie przygryza jej skórę w miejscu, gdzie szyja łączy się z ramieniem, a potem jak jego usta wracają do jej ucha.

- Boże, jak bardzo cię pragnę.

Oparł się o zagłówek łóżka i przyciągnął ją tyłem do siebie, aż znalazła się tak blisko jego bioder, że mógł

opuścić jej uda na swoją męskość, wchodząc w nią po raz drugi tej nocy.

Jęknął z rozkoszy.

Zaskakująca przyjemność, jakiej Cynthia doznała, kiedy znów poczuła go w sobie, była wręcz nie do opisania. Oparła się o niego plecami.

Przez moment siedzieli tak razem, lubując się tym uczuciem bliskości i połączenia, kołysząc się w rytm oddechów. A potem Cynthia jak zaczarowana patrzyła, jak mglisty Miles z lustra obejmuje dłońmi jej piersi i pieści je palcami, aż zaczęły się unosić w zdyszanej rozkoszy. Zsunął jedną dłoń niżej i dotknął miejsca, gdzie łączyły się ich ciała.

- O Boże...

W jej własnych uszach ten jęk zabrzmiał jak prośba o litość, ale tak naprawdę prosiła o więcej. Jeszcze. Wydawało się, że rozkoszy, którą on jej daje, nie ma końca. Uniosła ramiona i sięgnęła nimi w tył, za jego głowę. Przywarła do niego plecami i poddała się temu, co z nią robiły jego palce.

- Rób tak, Cynthia - nakazał szeptem i ujął jej biodra, a potem poruszył nimi w górę i w dół.

Zrozumiała: z początku jednak poruszała się powoli, celowo przeciągając ruchy, rozkoszując się swoją władzą nad nim. Wskazówki czerpała na wpół świadomie od niego: zar jego ciała, mokre od potu włosy na piersi, które drapały ją po plecach, tempo jego oddechu, mrużane pod nosem przekleństwa i ciche jęki niewypowiedzianej rozkoszy. A kiedy już rozpałała jego pożądanie do prawdziwej pożogi zmysłów, on zrobił z nią to samo; grali na swoich ciałach jak dwoje muzyków w orkiestrze, poruszając się zgodnie.

W lustrze kątem oka widziała ich rozgorączkowane ruchy, które przywodziły jej na myśl miłość i przemoc, posiadanie i poddanie, rozkosz i torturę. To, na co patrzyła, mieściło w sobie wszystkie te rzeczy i było piękne, przepiękne. Wtedy Miles zaczął błagalnym tonem powtarzać jej imię, dysząc w zagłębieniu jej szyi.

- Cynthio... szybciej... O Boże... błagam.

Zesztywniał i wykrzyknął w ekstazie, a kiedy Cynthia poczuła ją w głębi siebie, jej własne spełnienie przyszło nie wiadomo skąd i zewsząd, pozostawiając po sobie pożar zmysłów. Wstrząsając nią gwałtownie. Miles objął ją ciasno ramionami, a ona osunęła się w nich jak zemdlona.

Kołysali się tak przez jakiś czas, zatopieni w ciszy, w której byli sami ze swoimi myślami. Póki nie przeciągnął palcem po jej ramieniu, pozostawiając za sobą gęsią skórkę. Dopiero po tym zorientowali się, jak długo siedzieli nieruchomo, po prostu ciesząc się sobą. Kominek już dawno przestał grzać. Miles sięgnął po koc i nie wypuszczając jej z ramion, owinął ich oboje. Zagrzebali się w pościel i już wkrótce Cynthii zrobiło się ciepło i sennie, coraz sennie, bo usypiało ją jego delikatne pochrapywanie.

Bo on zasnął niemal natychmiast jak kłoda: nie poruszał się i sądziła, że nie będzie w stanie przesunąć go choć odrobinę. Dla próby sprawdziła, czy może się wysunąć z jego objęć. Okazało się jednak, że jego ramiona były zupełnie bezwładne i nie krępowały jej ruchów. Uśmiechnęła się. Zmęczyli się nawzajem aż do wyczerpania.

Lubiła emocje - może teraz nieco mniej niż parę lat temu, ale nadal lubiła - gardziła zaś melodramatem. Niestety, obawiała się, że to, co zamierzała właśnie zrobić, tak będzie wyglądało. Ale już prawie świtało i musiała

wyjsć, zanim zrobi się całkiem jasno, żeby uniknąć zamieszania, zranionych uczuć i zamętu. Nie wiadomo kogo mogłaby spotkać rano. A tak na pewno uda jej się przekonać kogoś z chłopców stajennych, żeby podwiózł ją do gospody, skąd będzie mogła złapać dyliżans do Northumberland.

Nie było innej możliwości. Wiedziała o tym od chwili, kiedy postanowiła, że przyjdzie do niego tej nocy. Honor nie pozwalał jej teraz poślubić Argosy'ego, zarówno ze względu na niego, jak i dlatego, że postanowiła oddać się Milesowi. Być może przyjdzie dzień, kiedy spojrzy na to jak na poświęcenie i dostrzeże męczeństwo i dramat wyrzeczenia. Ale teraz... cóż, teraz czuła się z siebie raczej zadowolona.

Nie było to dokładnie takie szczęśliwe zakończenie, jakie sobie zaplanowała. Ale było szczęśliwe. I było zakończeniem.

Wysuwała się z jego ramion, czując takie szczęście, spokój i lekkość, jakiego nigdy sobie nie wyobrażała. To był spokój płynący z przekonania, że zrobiła to, co trzeba. Podjęła najlepszą decyzję w swoim życiu. Już wiedziała, co to znaczy kochać: on jej to pokazał. I pojęła, że miłość trzeba oddać, nie oczekując nic w zamian. Więc oddała mu wszystko, co miała. Ale nie uważała tego za poświęcenie; zrobiła to w równym stopniu dla siebie i dla niego.

Miała głęboką pewność, że nigdy tego nie będzie żałować, nieważne, jak wiele dni upłynie jej u boku zrzedliwej staruszki na wózku. Która zaproponowała jej posadę.

Miles rozbił skorupę jej serca, a w środku... był cały świat. Spojrzała na niego, czując te postrzępione brzegi w swojej piersi. Ale miała też oszałamiającą pewność, że jest

w stanie stawić czoło wszystkiemu. Kochała i była kochana - to dało jej siłę i trwałe poczucie bezpieczeństwa, którego nikt i nic jej nie odbierze.

To co, że nie spędzi z nim reszty swoich dni. Życie nie zawsze było uczciwe, i to właśnie czyniło je ciekawym. A zresztą jak dotąd miała już w życiu tyle szczęścia, że nie powinna spodziewać się niczego więcej.

Zostały jej w sumie trzy funty, z których jeden wyda na podróż dylizansem do pani Mundi-Dickson, a oprócz tego mała walizka znoszonych ubrań i kotek. Ale miała jeszcze - była tego pewna, choć nie powiedział jej wprost - miłość Milesa Redmonda. A więc była najbogatszą kobietą świata.

Całkiem wysunęła się z jego objęć i delikatnie pocałowała w ramię. Co tam, była przecież Cynthia Brightly. Wyprostowała dumnie plecy.

Miles poruszył się, kiedy wychodziła z pokoju; pościel zaszeleściła cicho. Mruknął coś. Ale się nie obudził, i bardzo dobrze. Bo chociaż potrafiła przekonująco przemawiać w duchu sama do siebie, to nie do końca sobie ufała.

Milesa obudziła pokojówka, która przyszła rozpalic w kominku. Ocknął się, przypomniał sobie wszystko i usiadł gwałtownie na łóżku, co wystraszyło służącą, która pewnie nie spodziewała się zastać pana Redmonda półnagiego, w pościeli wyglądającej jak psu z gardła wyjęta. Położył rękę w miejscu, gdzie spała Cynthia. Druga strona łóżka była zimna.

Więc musiała wyjść jakiś czas temu. Pewnie rozsądnie wróciła do swojego pokoju już w nocy. W sumie dobrze zrobiła.

Nie umiał powiedzieć, jak ostatnia noc wpłynie na ich przyszłość. Teraz przyszło mu do głowy, że powinien był ją o to zapytać. Ubrał się szybko, bo coś nakazywało mu pośpiech. Spojrzenie w lustro podpowiedziało mu, że powinien się ogolić, ale uznał, że to akurat może poczekać, aż zje śniadanie, bo w tej chwili koniecznie chciał się z nią zobaczyć. Czuł się cudownie odprężony. Na samo wspomnienie na jego twarzy zagościł szelmowski uśmiech.

Przy stole w jadalni zastał tylko swoją siostrę, która siedziała, opierając brodę na dłoni. Podniosła na niego oczy, zmarszczyła się - może na widok zarostu - po czym złożyła mu zwięzłą relację.

- Cynthia zniknęła - powiedziała zniechęconym tonem i z odrobiną zazdrości w głosie. - Nigdzie jej nie ma. Argosy jest załamany. Zostawiła mu liścik. Jonathan właśnie go pociesza. Georgina jeszcze nie zeszła na śniadanie, a ja jestem wcześniej niż zwykle. Aha, i mama z papą już wrócili.

Z początku miał wrażenie, że to aniołowie zstąpili z nieba i wykonują chóralne „Alleluja!” Dzień zapowiadał się wspaniale. Cynthia nie była zaręczona! Nie wyjdzie za Argosy'ego! I...

Serce przestało mu bić.

- Zniknęła? - spytał grobowym tonem.

- Zostawiła mu liścik. Wsunęła go pod drzwi! Napisała tylko „Przepraszam”. Argosy jest w fatalnym stanie. - Violet była niepokieszona. - Właśnie służący pakuje jego rzeczy.

- Zniknęła? - Miles sprawiał wrażenie, jakby zapomniał innych słów.

Żadnego liściku dla niego? „Zniknęła” - to oznaczało, że nie wiedział, gdzie się podziewa, z kim przebywa, czy jest bezpieczna i zdrowa. „Zniknęła” - to oznaczało, że może jej już nigdy nie zobaczyć.

Zniknęła, tak jak zniknął Lyon. Na moment sparaliżował go okropny strach.

- Miles... - Violet przyjrzała mu się badawczo i podejrzliwie. - Czemu ty też jesteś załamany?

- Nie jestem załamany - zaprzeczył odruchowo.

Powtarzając jej słowa, żeby nie myśleć nad tym, jak sformułować odpowiedź.

Violet przechyliła głowę na bok.

- A mnie się zdaje, że jesteś - upierała się.

Zignorował ją.

- Nie wiesz, dokąd pojechała?

Chciał zadać to pytanie od niechcienia, ale zabrzmiało raczej jak rozkaz wojskowego. Jego siostra zmarszczyła brwi. Próbowwała wygładzić zmarszczkę palcami, ale bez skutku.

- A czemu ty o to pytasz? - chciała wiedzieć.

- Na miłość boską, Violet - powiedział bardzo powoli, jakby się zwracał do opóźnionego w rozwoju dziecka. - Czy wiesz, dokąd pojechała?

Jego siostra zamarła z oczami wielkimi jak talerze. Otworzyła usta, mocniej zmarszczyła czoło. I przez chwilę tak mu się przyglądała, nie robiąc nic, żeby się pozbyć zmarszczki.

- Miles! - Podmuch jej zdumionego okrzyku podniósł mu włosy z czoła. - O mój Boże! Ty! Cynthia Brightly!

- Violet - warknął. Zaczął chodzić w kółko, jakby sam fakt, że nie stał w miejscu, przybliżał go jakoś do Cynthii. - Błagam.

- Ty i Cynthia Brightly! Cynthia Brightly! Ty!

No to pięknie. Wprawił Violet w szok i teraz do końca życia będzie powtarzała te dwie rzeczy jak ogłupiała papuga. Przestał chodzić w kółko.

- Czy mam tobą potrząsnąć, Violet? Chcesz, żebym to właśnie zrobił? Bo wiesz, że mogę to zrobić bez żadnych skrupułów. W tej chwili mi powiedz, dokąd ona mogła pojechać... To znaczy, bardzo proszę - dodał po namyśle, jakby próbując skierować ich rozmowę na normalne tory.

- Więc to nie dlatego zachowywałeś się tak dziwnie i niegrzecznie, że źle się czuleś. Ty czuleś... Cynthia!

- O Boże, Violet. Przestań już.

Ale realna groźba potrząśnięcia wyraźnie bladła wobec fascynacji Violet. Wciąż przyglądała mu się w taki sposób, że czuł się, jakby był nagi.

Aż w końcu na jej twarzy pojawił się wyraz zachwyty.

- Wielkie nieba, Miles. Jakie to słodkie, że ty, ty! straciłeś głowę dla Cynthii Brightly, ale, dobry Boże, przecież papa cię wydziedziczy!

Zdanie, które zaczęło się tak entuzjastycznie, zakończył okrzyk przerażenia.

- Nie wydziedziczy - odparł Miles, głównie po to, żeby coś odpowiedzieć, bo sam nie był tego taki pewien. W zasadzie był przekonany, że konsekwencje będą poważne.

- Nie, Miles, nie możesz tego zrobić - powiedziała stanowczo Violet. - Nie możesz za nią jechać. Nie zniosłabym tego, gdybym i ciebie straciła, Miles. A papa przecież wyrzuci cię z domu. Zobacz, co się stało z Lyonem. Na pewno to, co ci się wydaje, że czujesz do Cynthii Brightly, to tylko...

- To nie jest żadne „tylko”, Violet.

Powiedział to cicho, ale z tak typową dla siebie stanowczością, że natychmiast umilkła, zupełnie jakby zatkał jej usta dłonią. Roześmiał się niewesoło na widok jej zszokowanej miny.

- Nic, co ma związek z Cynthią, nie jest „tylko” - wyznał z najwyższą niechęcią. Mówiąc takie rzeczy, czuł się... głupi. Bezbronny. Ludzki.

Violet milczała. W jej pojęciu Miles zachowywał się w określony sposób. Zawsze. Dzięki jego stałości rodzina trzymała się razem. Co mogło dla nich oznaczać, że Miles okazał się tak samo ludzki jak pozostali?

Nie wiedział, czego się po niej spodziewać: zrobi mu awanturę? Wybiegnie z pokoju? Będzie milczała obrażona? Włożyła rękę do kieszeni sukienki i po chwili wyciągnęła ją przed siebie. Coś błyszczało w jej dłoni.

- To twoje, prawda?

Popatrzył na swój zgubiony srebrny guzik od fraka. I podniósł wzrok na Violet, a odpowiedź miał wypisaną na twarzy.

- Znalazłam go wczoraj pod ławką w ogrodzie. Pod ławką, na której zastałam Cynthię. Siedziała sama i była... dosyć czerwona na twarzy. Wyglądała... - Violet urwała.

Tak jak wczoraj natknęła się na Cynthię, tak teraz natknęła się na rozwiązanie zagadki. - Wyglądała na zdruzgotaną. Miles... Och. Ona naprawdę była zdruzgotana. Bo pragnęła ciebie. Ona pragnęła ciebie.

Podniosła dłoń do ust. Twarz jej pobladła i ściągnęła się w bólu, jakby też cierpiała razem z nimi. Miles przypomniał sobie Cynthię wczoraj w ogrodzie: płaczącą i próbującą ukryć łzy. A potem zwracającą ku niemu twarz, żeby bez żadnych wątpliwości wiedział, co czuła.

I wczorajsza noc. Jej hojność, jej piękno i, mój Boże... jej nieokiełznana namiętność. To było dla nich obojga cudowne zapomnienie, szalona ucieczka od rozsądku i konieczności. Wydawało się to takie słuszne, takie właściwe.

A on, jak to mężczyzna, nie pomyślał o tym, co przyniesie świt.

- Ja nigdy... nigdy nie przypuszczałem, że ona wyjedzie.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że to powiedział; po prostu głośno myślał. Nie podejrzewał, że jego głos był nabrzmiały bólem. Nie usłyszał tego.

Ale jego siostra usłyszała.

Violet przyglądała mu się, usiłując nie marszczyć przy tym brwi. W zamyśleniu obracała w palcach srebrny guzik, bo go od niej nie wzięł. Biedna Violet. Znowu musiała stawić czoło zmianom, zamieszaniu i nowej sytuacji, ale może właśnie tego jej było trzeba. Redmondowie, z pozoru tak opanowani i elegancy, wyniosli i trudni do rozgryzienia, miotali się na wszystkie strony przez to

dziwne zjawisko zwane miłością, które kształtowało ich losy, choć chlubili się, że są ponad to. Jednak uczucia były dla nich jak wiatr i deszcz, które rzeźbią góry i doliny.

Nie zdziwiłyby się, gdyby Violet postanowiła pójść do klasztoru. Na samą myśl o tym, jaki chaos i zamieszanie jego siostra mogłaby wywołać w klasztorze, humor odrobinę mu się poprawił.

- Miles? - Powiedziała jego imię tak, jakby to było pytanie.

Co ciekawe, wymówiła je podobnie jak ich ojciec: chłodno, w pełni świadoma tego, co właśnie chce powiedzieć. A to znaczyło, że musiała już dojść do jakiegoś ostatecznego wniosku.

- Nie mogę znieść myśli, że mogłabym cię stracić. Ale stwierdziłam też, że gdybyś miał złamane serce, to i ja byłabym strasznie nieszczęśliwa. I uznałam, że najbardziej ze wszystkiego chciałabym, żebyś był szczęśliwy.

Przywołał na usta blady uśmiech.

- Co za dojrzała uwaga, Violet.

- To ja ją tu zaprosiłam. To moja wina.

- O nie - powiedział ze smutnym uśmiechem. - To stanowczo nie jest twoja wina, choć chętnie zrzuciłbym ją na ciebie.

Milczała długą chwilę - długą jak na Violet w każdym razie - i wydawała się przygnębiona.

- Violet, przysięgam ci jedno: nigdy mnie nie stracisz. Nigdy. Nieważne, co się stanie.

Co oznaczało, że coś jednak musi się stać.

Ani on, ani Violet nie mieli pojęcia, jak uda mu się spełnić tę obietnicę; nie wiedzieli też, jak zareaguje ojciec, ale mieli pewność, że ta sprawa nie przejdzie bez

poważnych konsekwencji. Ale siła słów Milesa pocieszyła nieco Violet, jak zawsze.

Westchnęła.

- I nieważne, co się stanie, Violet, chcę, żebyś wiedziała, że zrobię wszystko, by ją odnaleźć. Nieważne, czy mi powiesz, czy nie.

- Coś mówiła o zrzedliwej staruszce na wózku inwalidzkim. Pani Mundi-Dickson. W Northumberland. Cynthia ma być jej damą do towarzystwa.

Wyglądało to na zajęcie całkowicie nieodpowiednie dla kogoś takiego jak Cynthia Brightly. Ciekaw był, jakie kłopoty ściągnie sobie na głowę.

- Gdzie? - dopytywał się.

- Nie mam pojęcia. Mówiła tylko, że w hrabstwie Northumberland.

To wystarczy. Dla Milesa wyciąganie wniosków na podstawie pojedynczej przesłanki nie stanowiło żadnego problemu, jego umysł był wyćwiczony w śledzeniu tajemnic i rozwiązywaniu zagadek.

Odwrócił się do wyjścia. Ale zatrzymał się jeszcze na moment.

- Powiedziałaś Argosy'emu o tej pani Mundi-Dickson?

- Nie, ale...

- Powiedz mu - nakazał Miles. - Chcę, żeby wiedział.

Bo niezależnie od wszystkiego, uważał, że powinien dać Cynthii możliwość wyboru. Choć zdawało mu się, że wie, co ona czuje, to jednak chciał zostać przez nią wybrany. A jeśli Argosy ma wystarczającą motywację, jeśli pragnienie i namiętność popchną go do jej odszukania, powinien mieć do tego prawo.

Miles chciał, żeby tym razem wszystko było „tak jak się godzi”. Chwycił siostrę w ramiona i wycałował w oba policzki, co chyba na stałe odebrało jej mowę. Znajdzie Cynthię. Ale przedtem musi zrobić jeszcze coś, bo Miles Redmond zawsze postępował, jak należy.

Toteż z takim samym entuzjazmem, z jakim lądował na wyspie zamieszkaną ponoć przez plemię kanibali, wyruszył na poszukiwania ojca.

Wyglądało na to, że ojciec przeżywa niczym niezmacony, najzwyczajniejszy w świecie poranek. Kiedy Miles wszedł do jego gabinetu, właśnie odkładał książkę na półkę. Odwrócił się, słysząc kroki.

- Miles. Jak się udało przy...

- Dzień dobry, ojczu. Pomyślałem, że wypadałoby ci powiedzieć, iż zamierzam się ożenić z panną Cynthią Brightly.

Całe ciało ojca - dłonie, twarz, wszystko - zastygło w strasznym bezruchu. Miles czekał. Zastanawiał się przy tym, czy tak to właśnie wygląda, kiedy człowiekowi w szoku przestają funkcjonować organy wewnętrzne.

Już miał podejść do ojca i dotknąć go, żeby się przekonać, czy ten jeszcze żyje i czy nie wywróci się za chwilę twarzą na dywan, ale Isaiah Redmond wreszcie się poruszył. Całkiem płynnie, jakby ta przerażająca sekunda całkowitego bezruchu nigdy nie miała miejsca.

Przyjął na siebie wstrząs i zdołał sformułować odpowiedź. Znowu zaczął oddychać normalnie. Ojciec był naprawdę niesamowity.

- No cóż, nie do końca tak to sobie zaplanowaliśmy, nieprawdaż?

Chłodno, kąśliwie, z dystansem, onieśmielająco. Ach, to słynne redmondowskie opanowanie. Wszyscy je

posiadali, w tej lub innej postaci, ale nikt nie osiągnął w nim takiego mistrzostwa jak ojciec. Miał w końcu kilkadziesiąt lat, żeby się wyszkolić w tej sztuce.

- A co z lady Georgią? Córką bardzo zamożnego człowieka, który od lat jest przyjacielem naszej rodziny? Człowieka, który z chęcią sfinansowałby twoją wyprawę?

- Sam znajdę fundusze na wyprawę. Co do lady Georginy, przypuszczam, że w tej chwili właśnie je śniadanie. To urocza dziewczyna.

Żle potraktował Georginę. Ale i tak by do siebie nie pasowali. Później będzie się za siebie wstydził. Teraz miał pilniejsze sprawy na głowie.

- Właśnie. A mimo to... nie mogłeś... - Ojciec nie zdołał dokończyć zdania.

Miles przerwał mu zdecydowanie.

- Wiedz, ojcze, że nie mam przyjemności w dostarczaniu ci wstrząsów i rozczarowań.

- Bardzo mi miło to słyszeć. - Powiedziane kompletnie obojętnym tonem.

- Ale nie mam wyboru co do panny Brightly.

- Nie masz wyboru? - W głosie Isaiaha pojawiły się teraz niedowierzenie i pogarda. - Na miłość boską, Miles. Co się stało, czyżby ta dziewczka była w ciąży? Robisz to z uczciwości? Ona nie zasługuje na takie skrajne posunięcia. Trochę pieniędzy powinno zała...

- Ona nie jest żadną dziewczką.

Jego słowa były ciche, nieubłagane i groźne jak gilotyna. Miles nigdy wcześniej nie czuł tak czarnej wściekłości.

Isaiah aż odchylił się do tyłu, jak uderzony w twarz. Nikt nigdy nie ośmielił się mówić do niego takim tonem.

Spojrzał na syna. Zielone oczy stały się twarde jak szklana tafla.

- Możesz powtórzyć, Miles? - wycedził jedwabście.

Miles odezwał się, choć szczękę miał zaciśniętą ze złości.

- Chcę tylko wyjaśnić jedną rzecz, ojcze: nalegam, żebyś nigdy więcej nie nazywał Cynthii „dziewką”. Mam zamiar wziąć ją za żonę.

- Nalegasz? - Głos ojca stał się zabójczy jak trucizna. Ostatnie „sz” zasyczało, jakby wymówił je wąż.

Co ciekawe, pogardliwy stosunek ojca tylko dodał Milesowi odwagi. Podsycił jego gniew i zdecydowanie.

- Tak. Nalegam. Będzie należała do rodziny Redmondów, więc nikt nie powinien wypowiadać się o niej bez szacunku w mojej obecności. Lepiej też, żebym nie usłyszał, że w czasie mojej nieobecności ktoś mówi o niej inaczej niż z szacunkiem. Rozumiemy się?

Spojrzenie ojca miało temperaturę godną Arktyki. Uśmiechnął się kąśliwie, nieprzyjemnie. I milczał przez pewien czas.

- Gdzie teraz jest ta... - Tu nastąpiła przerwa, celowo obraźliwa, jakby chciał pokazać, że skoro nie może nazwać jej dziewczką, to nie ma na nią innych słów. - Gdzie ona teraz jest?

- Wyjechała - powiedział lakonicznie Miles.

Ojciec wyraźnie nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Spojrzał na Mileasa.

- Dlaczego? - zapytał. Miles zastanowił się nad tym.

- Myślę, że tak nakazywał jej honor.

Isaiah pokręcił głową. To nic nie wyjaśniało.

- Dokąd pojechała?

- Nie wiem. - Miles poczuł, że w piersi narasta mu niecierpliwe pragnienie, żeby już wyjść z tego pokoju i zacząć jej szukać. Im szybciej skończy tę rozmowę, tym krócej będzie trwała ich rozłąka.

- Więc jak sobie to wyobra...

Urwał, bo Milesowi wyrwało się niecierpliwe parsknięcie. Isaiah przyjrzał mu się ze zdumieniem.

- Czy to nie Argosy'ego miała zamiar upolować?

No, no. Ciekawe, skąd ojciec wiedział takie rzeczy. Pewnie powiedziała mu matka, która z kolei usłyszała o tym od którejś ze służących. Jego matka kochała plotki ponad wszystko, z wyjątkiem modnych ubrań i własnych dzieci.

Miles milczał. Zastanawiał się, jak się dziś prezentuje warga Argosy'ego.

- Zarzuciła wędkę na lorda, a złapała Redmonda? - Ojciec miał w głosie cichą pogardę. - Czy to właśnie miałaś na myśli, mówiąc o honorze? Wyjechała, bo przyprawiła Argosy'emu rogi?

Tego lodowatego milczenia nauczył się chyba od ojca. Ale dopiero teraz miał okazję się przekonać o jego sile i skuteczności. I dzięki niemu nie doszło do rzeczy niebywalej - nie stracił panowania nad sobą podczas rozmowy z ojcem.

Isaiah nie wiedział, jak ma interpretować jego milczenie. Pewnie czuł się tak, jakby walczył z własnym odbiciem w lustrze.

- I co zamierzasz teraz zrobić? Jechać za nią? - W jego ustach zabrzmiało to równie absurdalnie i nedorzecznie, jakby Miles oznajmił, że zamierza wsiąść na miotłę i odlecieć albo prząść złoto ze słomy.

Ojciec wyraźnie wypróbował jego cierpliwość. Ale Isaiah nie wiedział o tym, że Miles znajduje ogromną satysfakcję w podsycaniu własnej złości i w panowaniu nad nią.

- Tak - odparł jedynie. Tonem absolutnej obojętności.
- A ponieważ zawsze osiągam to, co sobie zaplanowałem, nie wydaje mi się, żeby to przedstawiało jakiś szczególny problem.

Miles zauważył, że ojciec stoi prawie bez ruchu. Uświadomił sobie, że przyprawił ojca o ogromny wstrząs. I że ciało i umysł Isaiaha Redmonda jeszcze się zmagają z jego konsekwencjami. W końcu nie był już młodzieniaszkiem.

- Jak do tego doszło, Miles? - Teraz to Miles zmierzył ojca niedowierzającym, oburzonym spojrzeniem. - Och, na litość boską. Nie o to mi chodzi. Nie chcę znać szczegółów. Widziałem ją przecież i wiem, że ma co potrzeba, żeby każdy prawdziwy mężczyzna...

- Lepiej nie kończ tego zdania... ojcie.

Nie tylko jego ojciec potrafił zawiesić głos w sposób, który, nie obrażając wprost, dawał wiele do myślenia.

Na krótką chwilę przez twarz ojca przemknęła mroczna furia i wyglądał, jakby mógł spoliczkować własnego syna. Ale Miles znowu musiał z podziwem przyznać, że ojciec potrafi nad sobą zapanować. Wściekłość zniknęła i jego twarz znowu się wygładziła.

Wtedy spojrzał na syna.

Naprawdę na niego spojrzał. Przyjrzał mu się uważnie tymi szklistymi zielonymi oczyma. Znowu chwila ciszy. Miles pomyślał, że gdyby tylko mógł, to zakochałby się w lady Georginie. Gdyby nigdy nie poznał Cynthii Brightly,

dziś jego życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Ale wiedział, że już niczego nie zmieni.

Wcześniej powiedział prawdę: nie sprawiało mu przyjemności przyprawianie ojca o wstrząsy ani dostarczanie mu rozczarowań. Tym bardziej nie chciał rozłamu w rodzinie. Cierpiał z tego powodu. Ale wiedział, co musi zrobić. I teraz, kiedy przekonał się, czym jest miłość i jak potrafi przemienić jego świat, był pewny, że nigdy, przenigdy nie będzie w stanie z niej zrezygnować.

Odezwał się przyciszonym głosem:

- Rozumiem twój gniew, ojcze. Masz do niego prawo i nie jestem dumny z tego, że stałem się jego przyczyną. Zapewniam cię, że nie to zamierzałem osiągnąć, ale wiedz, że nigdy w życiu nie podjąłem pochopnej i nieprzemyślanej decyzji. Mówię tak, jak myślę: naprawdę nie mam wyboru. Ale mogę cię też zapewnić, że jeśli chodzi o pannę Brightly, przekonasz się sam, że przyniesie chlubę naszej rodzinie. Jest zdecydowana, dowcipna, inteligentna, uczciwa i...

Z czasów dzieciństwa pamiętał, że ojciec nieraz używał tego twardego szklistego spojrzenia swoich zielonych oczu, żeby wykrzesać iskry lęku z duszyczek swojego niesforenego potomstwa. Miles znał to spojrzenie; zawsze działało na niego, kiedy był dzieckiem, ale jako dorosły ani razu nie musiał się z nim mierzyć.

Jednak to nie ciężki wzrok ojca kazał mu przerwać w pół zdania.

Zorientował się, że w jakimś momencie ojciec przestał słuchać jego słów. Za to całym sobą wsłuchiwał się w zawarte w tych słowach emocje. I na oczach Milesa coś zmieniło się w postawie ojca. W jego twarzy, w jego wzroku. Pojawił się jakby... spokój?

- Taka właśnie jest, co? - Głos ojca był dziwnie łagodny.

Brzmiało w nim lekkie rozbawienie. I, o ile się nie mylił... Ulga?

Dokładnie tak samo wyglądała Violet kilka minut wcześniej. Teraz już Miles poczuł się zdecydowanie nieswojo. Pozbawiony swojego słusznego gniewu nie bardzo wiedział, co ma robić.

Isaiah Redmond podszedł wolnym krokiem do stolika pod oknem. Zaczął wodzić palcem po skomplikowanym rysunku słoju wypolerowanego drewna. Może próbował z nich wyczytać przyszłość, swoją i swojego syna i dziedzica. A może kreślił na nim drogę, którą Miles powinien był obrać.

Miles czekał. Powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Isaiah znowu odwrócił się do niego.

- Są trzy rzeczy, które chcę ci powiedzieć, Miles. Słuchasz mnie?

- Tak, ojcze.

- Po pierwsze, nie mogę się zgodzić na związek kogokolwiek z mojej rodziny z panną Cynthią Brightly. To oznacza, że jeśli się z nią ożenisz, to póki żyję, nie dostaniesz już ode mnie ani szylinga. Ale i ja, i twoja matka zawsze przyjmujemy cię u siebie z otwartymi ramionami; reszta rodziny też będzie mogła cię przyjmować. Tylko nie możesz ze swoją... mieszkać w naszym domu. Nie zostaniesz przyjęty do Klubu Merkuriusza. Nie będziesz jego członkiem. Nie sfinansuję żadnych twoich przedsięwzięć. I tego postanowienia już nie cofnę. Rozumiemy się?

Kara była surowa. Miles miał pewność, że Isaiah mówi absolutnie poważnie i że będzie pod tym względem

nieubłagany. Ale nie tak surowa, jak mógł się spodziewać. Uznał, że to sprawiedliwa kara. Później zastanowi się nad tym, co to dla niego oznaczało i czy w ogóle miało znaczenie. Bo na razie nie liczyło się nic prócz Cynthii. Wziął oddech i skinął głową.

- A druga sprawa? - zapytał zwięźle ojca.

- Druga sprawa jest taka...

Miles z nowym zdumieniem patrzył, jak kąciki ust jego ojca wyginają się do góry w smutnym uśmiechu. Czuliym i zdecydowanie rozbawionym.

- Więc jednak nie jest absurdem, co, synu? Chwilę trwało, zanim Miles sobie przypomniał. Generalnie, ciężko go było zadziwić. Ale teraz po prostu osłupiał. Co jego ojciec wiedział o miłości? Czy to matka była miłością jego życia? Czy dobrze odczytał to spojrzenie, jakie ojciec przed laty posłał Isoldzie Eversea?

Ale... nie. Miłość była cudowna, oszałamiająca, wspaniała, konieczna, najważniejsza. Żądała od niego wszystkiego, co miał. I sama była wszystkim. Wszystkim, tylko nie absurdem.

- Nie, ojczy - przyznał bez wahania. - Nie jest.

Jedna strona ust zbuntowała się przeciwko niemu i wygięła w krzywym uśmiechu. Druga strona nie zdecydowała się na uśmiech. Przypuszczał, że właśnie zaczyna poznawać własnego ojca. Teraz, w tej wymianie uśmiechów, po bitwie stoczonej na lodowate słowa.

I to wszystko znowu z powodu Cynthii. Miles nie potrafił zliczyć, na ile sposobów Cynthia Brightly zmieniała jego życie, obnażyła go i pokazała mu rzeczy, o jakich dotąd mu się nie śniło - jemu, który przedzierał się przez dżunglę, przewyciężył tropikalną gorączkę, podglądał

świat przez mikroskopy i kosztował egzotycznych rozkoszy ciała.

Prawdziwa nieodkryta dżungla, jak się okazało, mieściła się w jego wnętrzu... i wokół niego. Jego rodzina. Jego ojciec. Jego przyszłość u boku Cynthii. Miał teraz wolną rękę, żeby do końca życia odkrywać i badać te nieznane tereny. Jakież to będzie ciekawe. A Miles przecież uwielbiał wszystko, co ciekawe.

Ojciec z zadowoleniem skinał głową.

Zapanowała cisza tak długa, że niemal krępująca. Jedyne krępujące moment z udziałem ojca, jaki Miles był w stanie sobie przypomnieć, miał miejsce wtedy, kiedy nie odbyła się planowana egzekucja Colina Eversea i jego ojciec krzyknął: „A to sukinsyn!”

Do dziś dnia Miles nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec tak się zdziwił. W końcu Colin był jednym z rodu Eversea.

- A ta trzecia rzecz, ojczy? - zapytał cicho.

Próbował nie dać po sobie znać, jak bardzo się niecierpliwi. Zastanawiał się też, czy przedłużająca się pauza oznacza, że ojciec nie wie, co powiedzieć. Lecz ten w końcu się odezwał:

- Podziwiam cię, Miles.

Trudno było uznać za komplement zdziwienie i niechęć, które zabrzmiały w głosie ojca. Ale same słowa, które wypowiedział, sprawiły, że Milesowi zaparło dech w piersi. Ojciec nie powiedział: „Jestem z ciebie dumny, Miles”. Powiedział coś nieskończenie wspanialszego: „Podziwiam cię”.

Isaiah starannie dobrał te słowa, żeby dać mu do zrozumienia, że nie przypisuje sobie zasługi za to, jakim człowiekiem Miles się stał i że budzący respekt człowiek -

którego Miles sam szczerze podziwiał - dostrzega w nim coś godnego podziwu.

A co konkretnie we mnie podziwiasz? Chciał to wiedzieć. Moje osiągnięcia? Czy moje decyzje? To, że podejmuję je nieodwołalnie? Ze jestem gotów zaryzykować wszystko, żeby zdobyć to jedno, bez czego nie mogę żyć?

Tymczasem tylko skinął głową. Ojciec uśmiechnął się do siebie. Kiedy się odezwał, celowo przybrał lekki ton głosu.

- Jeśli istotnie dojdzie do jakiegoś ślubu, to wiedz, że z przyjemnością urządzę go w naszym kościele w Pennyroyal Green. Wydaje mi się, że Eversea są ostatnio o jedno wesele do przodu, a nie możemy przecież na to pozwolić.

Miles całkowicie się z tym zgadzał.

- Tak jest, ojcze.

Ojciec uniesieniem brwi dał mu znać, że posłuchanie uważa za skończone, po czym powolnym ruchem odwrócił się w stronę okna. Jakby się spodziewał, że pewnego dnia zobaczy Lyona, wracającego do domu po zielonej łące.

Miles uklonił się z szacunkiem, choć ojciec już tego nie widział. I wymaszerował z gabinetu wyprostowany, z godnością. Na korytarzu za drzwiami zatrzymał się na chwilę i dopiero wtedy uświadomił sobie ogromną wagę tej rozmowy z ojcem. Pozwolił sobie na moment kompletnego bezruchu; oparł rękę o poręcz schodów nie tylko po to, żeby się podeprzeć, ale też żeby dotknąć czegoś, co należało do redmondowskiego dziedzictwa.

Po czym, trzymając ją mocno, ruszył po schodach.

Prawie frunął w dół po marmurowych stopniach, dłoń piekła go od ślizgania się po poręczy, a obcasy łomotały o marmur, kiedy zbiegał po trzy stopnie naraz. Po tych

schodach zbiegał niezliczoną ilość razy w swoim życiu, a teraz przestały być częścią jego domu.

Za to będzie miał własny dom. Najpierw jednak musiał odnaleźć złośliwą staruszkę w fotelu na kółkach. Choć naprawdę to nie było wielkie wyzwanie. Jego doświadczenie utwierdzało go w przekonaniu, że jedna wskazówka może być bramą do całego wszechświata. Trzeba tylko wiedzieć, jak patrzeć.

- Panno Brightly. Ten pani przeklęty kocur znowu bawi się włóczką! Powinno się go utopić jak szczura!

Głos pani Mundi-Dickson mógłby przeciąć szkło: piskliwy, władczy i nad podziw silny jak na osobę, która twierdziła, że niedomaga. Pani Mundi-Dickson była zupełnie zdrowa, chyba żeby za jej chorobę uznać wiek - a zdaniem Cynthii wiek sam w sobie nie był żadną chorobą. Pani Mundi-Dickson po prostu wiele lat temu uznała, że jest znudzona i nieszczęśliwa, zasiadła na swoim fotelu na kółkach i wyrobiła sobie fatalną opinię uprzykrzonej jędry.

Przynajmniej dawała zatrudnienie dziesiątkom młodych dziewcząt, które miały okazję przewinąć się przez jej dom. Chociaż w ten sposób jest użyteczna dla społeczeństwa, mówiła sobie Cynthia w przyływach wisielczego humoru.

Mieszkała w dość odludnej części hrabstwa Northumberland. Ciężko będzie się stąd wydostać. Cynthia, o ile nie spała, bez przerwy myślała o tym, jak się stąd wyrwać, a minęły dopiero cztery dni.

- Zaraz go stamtąd zabiorę, proszę pani.

- Nie mówiłam, że może pani przywieźć kota - zaszczebiotała jej chlebobawczyń z saloniku.

- Ale nie mówiła pani też, że nie wolno mi go przywieźć - odparowała Cynthia.

Poszła wyciągnąć Pająka z koszyka z włóczką, którą rzeczywiście cały się oplątał. Wzięła go na ręce i wróciła do przedpokoju, bo wydawało jej się, że słyszała otwierające się drzwi.

Okazało się, że miała rację. Miles Redmond sam się wpuścił do środka.

- Och. - Cynthia z wrażenia omal nie upuściła kota.

Udało jej się bardzo powoli postawić Pajaka na ziemi.

Miles śledził wzrokiem każdy jej ruch, wodząc za nią oczyma. Jakby wszystko, co robiła, było dla niego niewiarygodnie istotne. Kociak rzucił się do ataku na but Milesa, od którego zaraz się odbił. Pobiegnął więc w drugi koniec przedpokoju, strosząc ogon.

Stali w milczeniu naprzeciwko siebie.

Odetchnęła.

- Jakim cudem...

- Pukałem. Ale sam sobie musiałem otworzyć, kiedy się okazało, że nikt inny tego nie robi - odparł spokojnie.

Mimo woli zaczęła się uśmiechać.

- Zniknęłaś. - W jego głosie zabrzmiało poirytowanie.

Teraz już wiedziała, że u niego oznacza to niepewność. A jako że w sprawie swojego zniknięcia nie bardzo mogła z nim polemizować, a przy tym trudno jej było ocenić jego nastrój w tej chwili, milczała.

Patrzyła tylko na niego, odbierając jego obecność każdą komórką skóry, każdym drgnieniem serca. Które zachowywało się tak, jakby chciało wyskoczyć z jej piersi, żeby tylko być przy nim.

- Pomyślałam, że najlepiej będzie... - zaczęła cicho.

- Jeszcze w nocy - dokończył oskarżycielsko i niemal tryumfalnie, podnosząc głos. Zupełnie jakby się z nim kłóciła.

- No cóż. To prawda - przytaknęła z czułością.

Może się na nią złościć. Niech krzyczy, niech obrzucają wyzwiskami, niech potrząśnie pięścią albo zacznie wymachiwać rękami, niech chodzi w kółko, niech

robi, co chce, żeby wyładować swój strach o to, że może ją utracić, że coś jej się stało, swój lęk przed miłością do niej.

Ona to wszystko przeczeka, będzie tutaj stała wypełniona miłością do niego. I kiedy on już skończy, wtedy ona szeroko otworzy ramiona.

- Panno Brightly! - dobiegł ich przenikliwy krzyk z sąsiedniego pokoju. - Chcę dostać tę przeklętą herbatę! W tej chwili!

Oboje zignorowali panią Mundi-Dickson.

Miles wziął głęboki oddech. Trzymał kapelusz w jednej ręce i uderzał nim o drugą dłoń, trochę jakby go strzepywał. Mój Boże. Miles Redmond ma tik nerwowy.

- Jak... jak mnie znalazłeś? - Była pod wielkim wrażeniem, że udało mu się to aż tak szybko.

- Violet - odpowiedział zwięźle. Wciąż mówił bardzo cicho. - Przypomniała sobie, że mówiłaś coś o starej kobiecie w fotelu na kółkach gdzieś w Northumberland. A na miejscu już nietrudno się było dopytać. Pani Mundi-Dickson jest w tych okolicach dość słynna.

- Panno Brightly! - wrzasnęła z sąsiedniego pokoju słynna staruszka w fotelu na kółkach. - Chcę dostać moją herbatę. H-E-R-B-A-T-Ę. Herbatę. A jeśli mi jej pani zaraz nie przyniesie, to wezmę laskę i...

Miles obrócił się w miejscu.

- Najmocniej... panią... przepraszam - warknął gniewnie.

W sąsiednim pokoju zapanowała cisza.

Cynthia jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiej satysfakcji. Miles znowu zwrócił się do niej z tak opanowanym wyrazem twarzy, jakby przed chwilą nie powiedział ani słowa:

- Przyjechałem, żeby cię o coś zapytać, Cynthio - ciągnął przyciszonym głosem. - Ale zanim mi odpowiesz, muszę ci powiedzieć, że rozmawiałem o tym z ojcem i on tego nie pochwała. Więc gdybyś się zgodziła na... to, o co mam zamiar cię prosić, to musisz wiedzieć, że będziemy żyli jedynie z moich dochodów, czyli bardzo skromnie w porównaniu z tym, jak żyje w tej chwili moja rodzina. Bardzo możliwe, że lord Argosy też w tej chwili próbuje cię znaleźć, bo Violet powiedziała mu, gdzie jesteś. A jak ci wiadomo, Argosy nie jest człowiekiem o skromnych dochodach. Ale nie zostanę wykluczony z rodziny, będziemy mogli ich odwiedzać. Będziesz miała rodzinę.

Serce prawie stanęło jej w piersi. A co... z jego marzeniami, z tym wszystkim, co czyniło go takim, jaki był... Czyżby chciał z tego zrezygnować? Dla niej? Dla tego?

- Miles. Ja nie mogę... nie mogę pozwolić... Co z twoimi marzeniami? Z Lacao! Nie pozwolę...

- Ty jesteś moim marzeniem, Cynthio - wyjaśnił. Nie dodał „ty głuptasie”, ale jego ton wskazywał na to, że tak pomyślał.

Urwała. Rzeczywiście była niemądra. Przecież Miles Redmond nigdy nie robił rzeczy, których wcześniej dobrze nie przemyślał. Więc i teraz wiedział dokładnie, co robi.

Wybrał miłość. Wybrał ją.

Jej serce poszybowało do góry w uniesieniu, jak monety, którymi na ślubie obrzuca się młodą parę. Wyczytał to z jej twarzy. Na jego wargi zaczął wypływać jeden z tych powolnych uśmiechów, które rozgrzewały ją od środka i sprawiały, że czas przestawał istnieć.

Zrobił krok naprzód. Ona też. Jednak nadal dzieliła ich spora przestrzeń korytarza.

- Widzisz, Cynthio... Chodzi o to... - Ze zmarszczonym chmurnie czołem przyjrzał się swojemu kapeluszu, po czym odłożył go na stolik przy drzwiach, jakby to była wina kapelusza, że wcześniej się nim bawił. - Chodzi o to, że kochałem cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. Od tej chwili, kiedy kątem oka dostrzegłem twoją błękitną suknię. Moje serce o tym wiedziało i wiedziała moja dusza, ale mój umysł to bardzo arogancki jegomość, który myślał, że też ma coś w tej sprawie do powiedzenia. A moja duma jest... powiedzmy sobie, dość pokaźnych rozmiarów. Jak zresztą sama wiesz. To wszystko działo się zupełnie na odwrót, moja miłość do ciebie. Wydawało mi się, że to w ogóle nie ma sensu. Więc próbowałem szukać tego sensu jedynym sposobem, jaki znałem, ale... cóż, nauka nie dotrzymuje kroku miłości. Nasze ciała zrozumiały to jako pierwsze. - Uśmiechnął się do niej w taki sposób, że Cynthię ogarnęło nagłe podniecenie. - A potem... - urwał.

- A potem? - podjęła.

Nigdy, przenigdy nie zmęczy się słuchaniem, jak Miles Redmond mówi, że ją kocha, a ta przemowa wyjątkowo jej się podobała.

- No cóż, przez to, że cię pragnąłem, zrozumiałem wreszcie, że cię kocham. Ale najzabawniejsze jest to... że od samego początku wiedziałem, że jesteś częścią mnie, a wiesz, skąd to wiedziałem? Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, zabrakło mi tchu. Co ciekawe, kiedy jestem przy tobie, to każdy oddech jest pierwszy i niezwykły i czuję... że nie żyłem naprawdę, zanim cię nie dotknąłem. Więc jak widzisz, żeby móc oddychać i funkcjonować, muszę być przy tobie.

To była najbardziej niezwykła deklaracja miłości, jaką Cynthia w życiu słyszała, i chyba już nigdy nie usłyszy podobnej. To cały Miles Redmond - połączył miłość z nauką i dorzucił szczyptę ironii.

- A więc to kwestia biologii, tak? - zapytała cicho.

- W sumie tak, ale wiem, że mógłbym oddać za ciebie życie.

Ani przez chwilę w to nie wątpiła.

- Postaram się, żeby to nie było konieczne.

Uśmiechnął się.

- Kocham cię, Miles. - W jej głosie zabrzmiało takie zdumienie, że Miles aż się roześmiał.

- Dziwne, prawda? - skwitował człowiek, który dotychczas nigdy nie cofał się przed dziwnymi zjawiskami.

Zupełnie, jakby miłość była jakimś mitycznym miejscem, takim jak choćby El Dorado, a oni właśnie trafili tam przypadkiem i stanęli w jej obliczu zmieszani. Zawstydzeni, bo próbowali się od niej wykręcić - a kimże oni byli, że chcieli zaprząć tak wzniosłą siłę do swoich małostkowych ludzkich celów? - ale też oszołomieni samym faktem jej istnienia.

Miłość była jak Lacao. Piękna, zatrwajająca i dziwna. Życia im nie wystarczy, żeby odkryć wszystko, co się w niej kryje.

- Miles. Kocham cię. Tylko ciebie. Żałuję, jeśli zraniłam Argosy'ego, ale nie mogę go żałować za bardzo, skoro ty stoisz tutaj przede mną. A ja pójdę za tobą wszędzie.

- Och - powiedział cicho. - To dobrze. Zrobił jeszcze jeden krok do przodu. Ona też.

- Znajdziemy jakiś sposób, żeby znowu wyruszyć do Lacao - obiecała mu z przekonaniem.

- Oczywiście, że tak - odparł rozkojarzony.

Kot Pająk zbliżył się do nich, ślizgając się po podłodze, przysiadł na moment na bucie Milesa i znowu gdzieś pomknął.

- Co mi przypomina, że miałem ci zadać pytanie. Cynthia... - Wziął głęboki oddech. - Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną? - wyrzucił jednym tchem.

Och.

Cały świat zrobił się nagle wilgotny i zamglony. Jak w tropikach. Otarła oczy grzbietem dłoni, bo chciała widzieć jego twarz, kiedy będzie mu odpowiadać.

- Będę szczęśliwa, mogąc być pańską żoną, panie Redmond - powiedziała z dumą godną prawdziwego Redmonda. To znaczy, próbowała to powiedzieć z dumą, bo głos jej się trochę załamywał.

Miles uniósł oczy w górę - może składał dzięki niebiosom - a potem spojrział na nią roziskrzonym wzrokiem.

Cynthia nie mogła pojąć, jak człowiek może znieść tyle szczęścia. Chociaż to chyba niemożliwe, żeby ktokolwiek na świecie był tak niewypowiedzianie szczęśliwy jak ona w tej chwili, więc trudno wyciągać ogólne wnioski. Będzie musiała dać wszystkim dobry przykład, przeżyć ten nadmiar szczęścia, poślubić Milesa Redmonda i dożyć z nim sędziwego wieku.

Oboje nagle równie zawstydzeni wpatrywali się w siebie, wciąż stojąc w przedpokoju pani Mundi-Dickson.

O dziwo, starsza pani już więcej się nie odezwała. Z sąsiedniego pokoju słychać było tylko odgłosy krzątania i utyskiwania pod nosem. Brzmiało to tak, jakby sama sobie nalewała herbaty. Coś podobnego. Istny dzień cudów.

Naraz Miles stanął przed nią, robiąc ten ostatni krok. Wziął jej twarz w dłonie i ostrożnie dotknął jej ust wargami. Jakby do końca nie wierzył, że ona istnieje naprawdę.

Więc musiała go o tym przekonać. Objęła go ramionami i mocno ścisnęła, żeby miał pewność, że już nigdy nie ucieknie. Podniosła głowę i żarliwie pocałowała go w te cudowne usta. Odwróciła twarz, żeby poczuć na policzku drapanie zarostu. Mruczała mu do ucha niedorzeczności, bo taki jest właśnie język zakochanych. Wdychała ciepło jego ciała i zapach potu, dowód na to, jak szaleńczo pędził, żeby ją odnaleźć.

A on splótł ręce za jej plecami i przyciągnął ją blisko do siebie, tam, gdzie było jej miejsce. Odchyliła się w tył w jego ramionach, żeby zdjąć mu z nosa okulary, bo trochę zaparowały. Przetarła je rąbkiem sukienki i umieściła z powrotem na jego nosie. W końcu odtąd to ona będzie się o niego troszczyć.

Rozbawił go ten gest.

- To po to, żebym cię lepiej widział, kochana - mruknął. A kiedy dotknął jej wargami, rzeczywiście miała wrażenie, że zaraz ją zje.